



W tym koszmarze
prawdziwy jest
tylko strach.

FOBIA

ZIELONA
SOWA

SARAH EPSTEIN

FOBIA

SARAH EPSTEIN

Przekład: Karolina Post-Paško

ZIELONA
SOWA

Tytuł oryginału: SMALL SPACES

Przekład: KAROLINA POST-PAŚKO

Redaktor prowadzący: JOANNA LISZEWSKA

Redakcja: ELŻBIETA BŁUSZKOWSKA

Korekta: MONIKA PRUSKA, JULIA TOPOLSKA

Opracowanie graficzne i DTP: TYPO Jolanta Ugorowska

Opracowanie graficzne okładki: MICHALINA PACZYŃSKA

First published in the Great Britain 2018 by Walker Books Ltd

Text © Sarah Epstein

Cover image © Jan Faulkner/Shutterstock.com

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.,
Warszawa 2019

All rights reserved

Wydanie I

ISBN 978-83-8154-357-6

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki
możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 2519, fax 22 379 85 51
e-mail: wydawnictwo@zielonasowa.pl
www.zielonasowa.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[TERAZ](#)

[WTEDY](#)

[TERAZ](#)

[WTEDY](#)

[TERAZ](#)

[WTEDY](#)

[TERAZ](#)

[WTEDY](#)

[TERAZ](#)

[WTEDY](#)

[TERAZ](#)

[WTEDY](#)

[TERAZ](#)

[WTEDY](#)

[TERAZ](#)

[WTEDY](#)

[TERAZ](#)

[LUNAPARK](#)

[TERAZ](#)

[WTEDY](#)

[TERAZ](#)

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

WTEDY

TERAZ

PODZIĘKOWANIA

O Autorce

Przypisy

Dla Tony'ego, Hugona i Harveya

1

TERAZ

Mnóstwo osób odczuwa lęk w ciasnych pomieszczeniach.

W windach, budkach fotograficznych, sklepowych przebieralniach. Labiryntach z żywopłotu, zamkniętych zjeżdżalniach wodnych, wąskich klatkach schodowych, garderobach. Rozumiem to, bo sama unikam takich miejsc. Nawet w wannie miotam się jak ryba w sieci. Ale czasem myślę sobie, że miejscem budzącym mój największy lęk jest wewnątrz mojej głowy.

– Świrujesz, co? – pyta moja najlepsza przyjaciółka Sadie.

Towarzyszyła mi już w tylu podobnych sytuacjach, że wie, co znaczą moje drżące ręce i nerwowe przełykanie śliny. Wiele razy widziała, jak przestępuję z nogi na nogę, rozpaczliwie szukając wzrokiem wyjścia. W ciągu ośmiu lat naszej znajomości Sadie co najmniej sto razy uratowała mnie przed napadem paniki. Jest moją osobistą negocjatorką na wypadek ataku klaustrofobii – czy jej się to podoba, czy nie.

– Nie świruję.

Sadie prychnęła, tłumiąc śmiech.

– Jaaasne. Łapiesz powietrze jak złotka rybka. Oddychaj głęboko. – Wpatruje się w ladę sklepową, pod którą wystawione są lody w dwudziestu różnych smakach. – Wytrzymaj jeszcze trzydzieści sekund, dobrze? – Delikatne pogróżki to najwyraźniej

jej nowa technika negocjacyjna.

Zamykam oczy i staram się uspokoić oddech. Ostatnie, czego mi trzeba, to hiperwentylacja w miejscu publicznym takim jak lodziarnia Seaspray. Była prawie pusta, kiedy Sadie uparła się wejść do środka, ale zaraz po nas pojawiła się grupka licealistek.

Powietrze przesiąka wonią ciał i olejku kokosowego.

– Luuz... – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Jestem zimna jak twoje ulubione miętowe czekoladki.

Sadie spogląda na mnie z powątpiewaniem, usiłując ustać w miejscu. Osłania mnie przed napierającymi na nas ciałami i broni małego skrawka wolnej przestrzeni, znosząc bolesne kuksańce i wrogie spojrzenia. Nad moją głową muchy z brzęczeniem wpadają do lampy owadobójczej. Staram się nie zwracać uwagi na chłodny powiew wokół kostek, dochodzący od stojącej pod ścianą lodówki z colą.

Po prostu oddychaj, Tash. Weź się w garść. Umysł ponad materią.

Tylko że poleganie na moim umyśle to proszenie się o kłopoty.

– Ty i ta twoja laska – mamroczę i obie zerkamy na rudą dziewczynę za ladą. „Alice” – głosi napis na plakietce. Jest smukła, sprawia wrażenie nieśmiałej, ma wymięty fartuszek i cienkie włosy, przez co stanowi całkowite przeciwieństwo mojej mocno zbudowanej i pewnej siebie przyjaciółki maoryskiego pochodzenia. – Wiesz, że pewnie woli facetów?

Sadie odwraca się do mnie, udając zaskoczenie.

– Natasho Carmody, łamiesz mi serce. Nie psuj mi zabawy.

Naprawdę chcę być dobrą przyjaciółką. Wolalabym tylko, żeby Alice pracowała w dwadzieścia razy większym miejscu. Lodziarnia Seaspray to wysmagana wiatrem i deszczem buda na samym końcu mola, gdzie promenada dociera do falochronu. Niegdyś dobrze

utrzymana i przyciągająca turystów, teraz sterczy jak porzucona, przeżarta solą zabawka, która czasy świetności ma już dawno za sobą. Kiedy się nad tym zastanowić, to okazuje się, że jest trafną metaforą naszego miasteczka. Turystyczne serwisy internetowe nazywają Port Bellamy ukrytym klejnotem środkowo-północnego wybrzeża Nowej Południowej Walii, szczycącym się piaszczystymi plażami w pobliżu rozległych parków narodowych. Lecz porównanie do cennego klejnotu jest zbyt łaskawe. To raczej nieoszlifowany diament, którego wady widać już na pierwszy rzut oka.

– Zaraz nasza kolej – zapewnia mnie Sadie, przekrzykując głosy naszych koleżanek, uczennic klasy maturalnej, z którymi prawie nie gadamy, chociaż znamy się od podstawówki. Alice wydaje resztę dziewczynie obok nas i w końcu odwraca się w naszą stronę. Sadie wita ją przesadnie entuzjastycznym „Cześć” i właśnie wtedy Rachel Tan przepycha się łokciami do przodu.

– Sorbet malinowy w kubeczku – mówi, stukając w szybę błyszczącym od brokatu paznokciem. – Tylko tym razem napełnij cały kubek. Chciałabym chociaż raz dostać to, za co płacę.

Sadie odwraca się do Rachel, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Ej! Ziemia do Rachel! Wepchnęłaś się!

Rachel stara się na nas nie patrzeć i trudno sobie wyobrazić, że kiedy przeprowadziła się tutaj z Melbourne, nasza trójka była nierozłączna. Zaprosiłyśmy ją do stolika podczas lunchu, bo uznałyśmy, że musi jej być ciężko w nowej szkole, zwłaszcza że jej brat bliźniak został natychmiast przygarnięty przez członków kółka informatycznego. I choć Rachel od razu zaakceptowała gadatliwą i pewną siebie Sadie, odniosłam wrażenie, że zaledwie tolerowała moje niezręczne próby podtrzymania rozmowy. Pamiętam, że miałam jedenaście lat i byłam taka szczęśliwa, że ta śliczna

dziewczyna, ubrana w modne ciuchy, latająca w odwiedziny do dziadków w Korei, wybacza mi toporność i małomiasteczkowość.

– Czekam tu całą wieczność – mówi Rachel, zakładając kosmyk czarnych włosów za ucho. – Teraz moja kolej.

– Yyyy... Nieee. – Sadie krzyżuje ręce na piersi. – Nie było cię tutaj, kiedy weszliśmy.

Rachel powoli przesuwają po niej wzrokiem, od spłowiałej koszulki z napisem Sex Pistols po nieodłączne fioletowe conversy. Alice obsługuje już kogoś innego, a ja jestem gotowa ograniczyć straty i się ulotnić. Ale Sadie, jak to ona, dopiero się rozgrzewa.

– Sorry, nie dosłyszałam? – mówi, przytykając dłoń do ucha. – Ktoś jest nam chyba winny przeprosiny.

Jęczę, bo wiem, jak to się skończy. Mało jej pyskówek w szkole? Do końca wakacji zostało tylko kilka dni, a ja miałam zamiar rozpocząć ostatni rok szkolny bez większego rozgłosu. Jeśli chcę udowodnić rodzicom, że potrafię o siebie zadbać, to nie mogę w tym roku pozwolić sobie na żadne wpadki. A jednak spędzam cały czas z najbardziej konfliktową osobą na wschodnim wybrzeżu. Chyba tego dobrze nie przemyślałam.

Przyjaciółki Rachel przeciskają się jeszcze bliżej, otaczają nas jak mewy na pikniku i czekają, aż Rachel rzuci im jakieś resztki, na które będą się mogły rzucić ze skrzekiem.

– Och, przepraszam najmocniej – mówi. – Nie wiedziałam, że lesby i szajbuski są obsługiwane poza kolejnością.

No i masz.

– Super – szepczę do Sadie. – Możemy już iść, Dee?

Słowo „szajbuska” dotyka mnie do żywego, pali niczym ogień. Wzdrygam się też w reakcji na „lesbę”, chociaż wiem, że Sadie ma to gdzieś. Nauczyła się olewać prowincjonalne żarty ze swojego koloru skóry i tęczyowych koszulek. Jest jak pokryta teflonem,

zawsze taka była. Ja natomiast chłonę wszystko jak gąbka.

– No co ty, Rachel – odpowiada Sadie, nachylając się i unosząc brew. – Wszyscy wiemy, dlaczego tyle razy zapraszałaś mnie na nocowanie.

Puszczą oko, jak gdyby flirtowała, ale wcale nie jest jej do śmiechu. Odciąga ode mnie uwagę mew, może skuszą się na taki łakomy kąsek. Rachel nie chwyta przynęty. Uśmiecha się chłodno, bębniąc palcami o ladę.

– Skoro mowa o nocowaniu – zerka przez ramię, żeby upewnić się, że ma widownię – to może Tash wyjaśni nam, czemu zsikała się u mnie w śpiwór jak dwulatka.

Koleżanki Rachel chichoczą, wilgotne powietrze oblepia mi szyję. Pani Tan kazała Rachel obiecać, że nie piśnie ani słowa o moim małym wypadku sprzed pięciu lat. Najwyraźniej obietnice mają termin przydatności do użytku, kiedy Rachel brakuje amunicji.

– A jak gadała przez sen. – Rachel zwraca się do Sadie, ale patrzy na mnie. – Wzywała tego swojego wymyślonego przyjaciela.

Stul pysk, Rachel. Stulpysk-stulpysk-stulpysk.

– „Och, Wróblu” – jęczy Rachel. – „Pomóż mi, Wróblu! Tak strasznie boję się ciemności”. – Zaciska dłonie w pięstki niczym bezbronne dziecko, a ja mam ochotę złapać je i walnąć ją nimi w twarz.

Nigdy nie mówiłam takich rzeczy przez sen. Jestem tego pewna.

A może mówiłam?

Wróbel jest ostatnią osobą, którą poprosiłabym o pomoc. Nie chciałam, żeby w ogóle istniał.

Na pewno?

Nie chciałam.

Nie chcę.

Nigdy więcej.

– Ale ściemniasz, Rachel – kwituje Sadie. Łapie mnie za rękę i ciągnie w stronę wyjścia, roztrącając ramieniem dziewczyny, które nie zdążą zejść jej z drogi. Wypadamy na dwór przez zasłonę z plastikowych pasków, morska bryza rozwiewa nam włosy. Wyrrywam się Sadie i ruszam w stronę plaży.

– Tash! – woła za mną. – Daj spokój. Zaczekaj.

Dźwięk jej głosu i stukot takielunku o stalowe maszty łódek na przystani sprawiają, że cała się zjeżam. Jakiś rybak zbyt głośno słucha radia. Niebo zasnuła brązowa mgiełka, w parku narodowym dwadzieścia kilometrów stąd płonie busz. Dym nadciąga z zachodu jak zły omen.

Przygotuj się. Coś złego wisi w powietrzu.

Sadie dogania mnie w miejscu, gdzie promenada zbliża się do nabrzeża.

– Wszystko gra? – mówi do moich pleców. – Obiecuję, że nigdy więcej cię tam nie zaciągnę.

Myśli, że to przez moją klaustrofobię. Odwracam się gwałtownie.

– Mogłyśmy po prostu pozwolić Rachel zamówić ten cholerny sorbet.

Sadie opada szczeka.

– Nie, nie mogłyśmy. Nie możesz dać sobą pomiatać. Nie możesz siedzieć cicho, kiedy tobą poniewierają. To się w życiu nie sprawdza.

U mnie się sprawdza. Im łatwiej o mnie zapomnieć, tym lepiej. Piętno, które towarzyszyło mi od dzieciństwa, wreszcie się zatarło. Gdy skończyły się ataki paniki i wizyty u psychiatry, stałam się nijaka i niegodna uwagi – po prostu kolejna nieciekawa twarz na

zatłoczonym szkolnym korytarzu. Sadie może sobie być arogancka i wyzywająca, ale ja nie mam najmniejszej ochoty, żeby ktoś obgadywał mnie za plecami.

– Nocowanie, Dee. Musiałaś o tym wspominać przy Rachel?

Sadie unosi ręce w geście przeprosin.

– Nie pomyślałam. Mogłam się ugryźć w język.

– Trzeba było. Teraz od samego początku roku będą w szkole plotkować, że moczę się w nocy. – Nie wspominam o Wróblu, a Sadie dobrze wie, że lepiej nie poruszać tego tematu.

– Daj spokój, Tashie. Wiesz, że nie zrobiłam tego specjalnie.

Uderzam czubkiem sandałka w deskę, aż się wygina; turkusowy lakier na paznokciach zdradza, że za bardzo się staram.

– Wiem.

– Carmody... – Sadie mierzy mnie surowym wzrokiem. – Na kogo zawsze możesz liczyć?

Prychając, spoglądam na ciężkie chmury zbierające się na horyzoncie.

– Carmody...?

Wzdycham i odpowiadam niechętnie:

– Na ciebie.

– Co takiego? Mów głośniej. Strzeliłaś takiego focha, że nic nie słychać.

– Mogę zawsze liczyć na ciebie.

– Racja, siostró. – Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie. – Zawsze uratuję ci tyłek, cycki, te dziwne kościste kolana i tę wielką, skomplikowaną łepetynę.

Tym razem to ja się obruszam.

– Wspaniale. Moja najlepsza przyjaciółka uważa, że mam nierówno pod sufitem. Jak mam przekonać kogokolwiek, że jest

inaczej?

Sadie macha ręką.

– Niech sobie myślą, co chcą. Te palanty w szkole już dawno wyrobiły sobie zdanie na nasz temat. To twoich rodziców mamy przekonać, prawda?

Zgadza się. Tylko jeśli uda mi się przekonać rodziców, że sama potrafię o siebie zadbać, będę mogła zdawać na fotografię w Sydney albo w Melbourne. Musiałabym wyprowadzić się z domu i zamieszkać w akademiku; moja mama nie będzie zachwycona tym pomysłem. Ta kobieta nie ufa mi, nawet jeśli chodzi o ładowanie zmywarki. Myśli, że nie słyszę, jak przekłada jej zawartość, gdy już położę się spać.

– Posłuchaj – ciągnie Sadie. – Moja mama ma dla nas nową fuchę, jeśli jesteś zainteresowana. Kilka godzin pracy jako kelnerka i pięćdziesiąt dolców do ręki, co ty na to? – Porusza zabawnie brwiami, żeby rozluźnić atmosferę.

Nie zaprzeczę, kasa przydałaby mi się na profesjonalne odbitki, ponieważ powinnam przygotować porządne portfolio na egzaminy wstępne. Poza tym trudno jest odmówić mamie Sadie, Kiri, która ciężko pracowała na sukces swojej firmy cateringowej, jest samotną matką i nie może liczyć na pomoc rodziny mieszkającej w Nowej Zelandii. Opieram się o drewniany pachołek portowy pomalowany tak, żeby przypominał ogorzałego marynarza.

– Gdzie i kiedy?

Sadie rozluźnia z ulgą ramiona. Choć miewa niewyparzony język, wiem, że nie lubi sprawiać mi przykrości.

– W przyszlą sobotę na Banksia Avenue – odpowiada.

Gwiżdżę cicho. Na Banksia Avenue wyburzają właśnie wszystkie stare ceglane rudery i zastępują je nowoczesnymi willami. Większość posesji ma bramy z lśniącego drewna i jest

otoczona wysokimi murami, wzdłuż których rosną palmy, nie wspominając o widoku na ocean.

– Francja-elegancja – zgadza się Sadie. – To ma być wielkie przyjęcie powitalne dla jakiejś rodziny, która wraca do miasteczka.

– Chcesz powiedzieć, że udało im się stąd wyrwać, a teraz wracają tu z własnej woli?

– Dziwne, nie? – Sadie związuje falujące ciemnobrązowe włosy w luźny kok na czubku głowy i mocuje go gumką. – Nie wynajęli domu. Kupili ten dwupoziomowy z dziwnym okrągłym oknem. Mama mówi, że zaproszono setkę gości.

– Popularna rodzinka.

Czekamy przed przejściem przez Marine Drive, przepuszczając samochody wyjeżdżające niespiesznie z parkingu przy plaży, jakby niechętnie zostawiały za sobą ciepłe popołudnie. Po drugiej stronie ulicy przed budką z rybą i frytkami stoi pełno przyjezdnych w luźnych koszulkach, mokrych kąpielówkach i japonkach na zapiaszczonych stopach.

– Założę się, że Rachel skołowała zaproszenie – stwierdzam – tylko po to, żeby uprzykrzyć nam robotę.

– Pewnie tak – przyznaje Sadie. Przy kafejce na rogu skręcamy pod górę, oddalając się od sklepów. – Czy w Port Bellamy odbyła się kiedykolwiek impreza, na którą się nie wkreśliła? Zresztą to mama Rachel sprzedała dom tym nowym, więc rodzina Tan będzie robić za oficjalny komitet powitalny.

Podchodzimy w górę Banksia Avenue i widzę, że Sadie miała rację: do muru pod numerem ósmym jest przyczepiona tablica agencji nieruchomości z naturalnej wielkości zdjęciem Francine Tan ubranej w niebieski sweterek. Kremowy budynek z eleganckimi drewnianymi żaluzjami w oknach i podjazdem z piaskowca stał pusty przez prawie osiem miesięcy. Teraz na

werandzie ustawiono wiklinowe fotele, a po obu stronach drzwi frontowych pojawiły się ozdobne drzewka.

Podążam wzrokiem wzdłuż podjazdu, który kończy się dużym podwójnym garażem na tyłach posesji. Ten widok budzi we mnie niejasne wspomnienie czające się tuż pod powierzchnią pamięci, niczym zapach, który znasz, ale nie wiesz skąd. Na piętrze kremowego budynku w okrągłym oknie przesuwa się jakiś cień. Firanka się unosi, a potem szybko opada z powrotem.

Z powrotem.

Z powrotem?

– Mówiłaś, że kto tu mieszka?

– Nic nie mówiłam – zaprzecza Sadie. – Widziałam tylko wpis w kalendarzu ściennym mamy. – Mruży oczy, wyęzając pamięć. – Jakieś morsko brzmiące nazwisko. Waters, Sailor czy coś w tym stylu.

Cały świat gwałtownie przyspiesza, a potem raptownie hamuje. Następne słowo wypowiadam bardzo ostrożnie:

– Fisher...?

– Tak, Fisher! Znasz ich?

Zasycha mi w ustach, boję się odezwać. Wzruszam obojętnie ramionami, ale w głowie mam gonitwę myśli.

– Dobra, będę lecieć – mówi Sadie. – Obiecałam mamie, że pomogę jej przygotować owoce morza w panierce. – Rusza w stronę skrzyżowania, na którym powinniśmy się rozstać, ale orientuje się, że za nią nie idę. Z wahaniem robi krok do tyłu, bawiąc się nerwowo paskiem nabijanym ćwiekami. – Między nami wszystko gra? Wyglądasz, jakbyś się dalej gniewała.

– Tak – chrypię – wszystko gra.

– Przytulas?

Podchodzi do mnie z pełnym nadziei uśmiechem i otwartymi ramionami, a potem obejmuje mnie ostrożnie, tak jak ja obejmuję mojego młodszego brata, kiedy mi na to pozwoli. Spoglądam na dom numer osiem przy Banksia Avenue. Teraz w oknie nikogo nie widać, ale wiem, że gdzieś tam jest.

Mallory Fisher.

Dziewczynka, którą porwał zamiast mnie.

2

WTEDY

„The Mid Coast Times” (numer archiwalny)

Dział: Wydarzenia

Data: 13 stycznia 2008

GREENWILLOW, NOWA POŁUDNIOWA WALIA. Sześćioletnia Mallory Fisher została oficjalnie uznana za zaginioną.

Lokalne władze podają, że Mallory Fisher zaginęła w miejscowości Greenwillow na środkowo-północnym wybrzeżu Nowej Południowej Walii w sobotę 12 stycznia. Przebywała razem z rodzicami, Danielem i Annabel Fisher z Port Bellamy, w wesołym miasteczku przy Summit Road w Greenwillow. Mallory i jej ośmioletni brat Morgan rozdzielili się przed sanitariatami w południowej części lunaparku tuż po godzinie 14.00.

Rodzice Mallory oraz personel lunaparku przeszukali teren, po czym wezwali policję około 14.45. Poszukiwania przeciągnęły się do wieczora i objęły pobliskie posesje oraz busz.

Mallory to otwarta i ciekawska dziewczynka w wieku przedszkolnym, która mogła oddalić się i zabłądzić. Kiedy widziano ją po raz ostatni, była ubrana w sukienkę w biało-żółtą kratę, różowy sweterek z krótkim rękawem i białe tenisówki. Jest biała, ma około 112 cm wzrostu, blond włosy do ramion i niebieskie oczy.

Wszelkie informacje o miejscu pobytu Mallory Fisher prosimy kierować pod numer Crime Stoppers¹ (1800 333 000).

3

TERAZ

Jeśli poszukać w internecie zdjęć Mallory Fisher, to ciągle wyskakują te same trzy fotografie: zdjęcie z przedszkola, fotka z bratem na kempingu i ucięte, niewyraźne zdjęcie rodzinne zrobione w święta Bożego Narodzenia. Pierwsze dwa zostały udostępnione prasie przez rodziców Mallory i trafiły na krótko na plakaty. Świąteczna fotografia pochodziła zapewne od jakiegoś krewnego, który przekazał ją w dobrej wierze namolnemu dziennikarzowi.

Gdyby nie odnaleziono dziewczynki żywej, pewnie zdjęć byłoby znacznie więcej. Mallory niemowlak. Mallory obchodzi szóste urodziny. Mallory na karuzeli w Greenwillow. Może pojawiłyby się przetworzone komputerowo zdjęcia pokazujące, jak wyglądałaby za kilka lat – jako dziesięciolatka, dwunastolatka, śliczna nastolatka. Jej postarzona podobizna mogłaby właśnie krążyć po Facebooku.

Ale Mallory Fisher odnalazła się na szlaku turystycznym, brudna i odwodniona, z zakrwawionymi plackami na głowie, z której w kilku miejscach wyrwano kępki jasnych włosów. Mallory Fisher zniknęła na siedem dni, a kiedy znów się pojawiła, ta gadatliwa wcześniej sześciolatka już nigdy nie wypowiedziała ani słowa. Plakaty z jej zdjęciem pozrywano, a Fisherowie wyjechali z Port Bellamy, jak się wydawało, na zawsze.

Wśród miejscowych panuje przekonanie, że Mallory została

porwana, najprawdopodobniej z Old Meadow Lane – pierwszej drogi, do której dotarła po wyjściu z lunaparku. Ludzie uznali, że ktoś po prostu skorzystał z okazji – porwał Mallory pod wpływem impulsu, a potem wystraszył się, znudził albo dopadły go wyrzuty sumienia, i w końcu porzucił ją w Parku Narodowym Barrington Tops. Gazety donosiły, że przesłuchiowano podejrzanych, ale nikogo nie aresztowano. Sprawdzano i eliminowano różne tropy, a zeznania niewiarygodnych świadków obalono.

W tym także moje.

Wzdrygam się na samą myśl o tym, co powiedziałam policji. To wszystko, co wtedy widziałam, wydawało się takie rzeczywiste.

– Kto to?

Zatrząskuję laptopa i zdjęcia Mallory Fisher zostają pochłonięte jednym gwałtownym kłapnięciem. Mój braciszek Tim stoi w drzwiach sypialni i wyciąga szyję, usiłując zobaczyć, co przykuło moją uwagę.

– Hej. Jak leci, Timber?

Chłopiec opiera się o framugę drzwi i zaczyna skubać zacieki z farby.

– Mama chce, żebyś jej oddała laptopa. I nie wolno ci tak do mnie mówić.

– Jak mówić, Timber?

– Przestań – odpowiada opryskliwym tonem, jak na dziewięciolatka przystało. – Mama mówi, że już nie wolno ci mnie tak nazywać.

– Według mamy w zasadzie nic mi nie wolno. Może więc chociaż ty mi odpuścisz?

Tim zastanawia się przez chwilę, po czym wzrusza ramionami na znak zgody. On też nie rozumie, dlaczego już nie wolno mi go tak przezywać. Kiedy uczył się chodzić i upadał na pupę, wołałam

„Timberrr!”, jak gdyby był ścinanym drzewem w lesie². Chichotał za każdym razem, więc przezwisko przyłgnęło do niego na dobre. Nikt nie miał nic przeciwko temu aż do chwili, gdy dwa tygodnie temu Tim po raz pierwszy spróbował jeździć na deskorolce.

– Natasho, nie wołaj „Timber” za każdym razem, kiedy się przewraca – skarciła mnie mama. – Skupiasz uwagę na jego niepowodzeniach. To może zostawić trwałe ślady w jego psychice.

Z grubsza oznaczało to: „W rodzinie wystarczy jedno dziecko stwarzające problemy”.

Nie „problemy”, poprawiłaby ją doktor Ingrid. „Wyzwania”.

– Co oglądałaś? – pyta Tim, zerkając na laptopa. Gdy przesuwam się z krzesłem, żeby odwrócić jego uwagę, Tim unosi podejrzliwie brwi. – Kto to był?

– Hej, o co się kłóć rodzice? – Wsuwam laptopa pod pachę i wypycham Tima na korytarz. Nasza długowłosa kotka Mysza zeskakuje z mojego łóżka i bezszelestnie rusza za nami.

– Nie wiem – odpowiada Tim, sięgając po komputer. Jestem od niego szybsza i unoszę laptopa nad głowę. – Wszystko było w porządku przed tym telefonem do taty. – Zatrzymujemy się na szczycie schodów.

– Jakim telefonem?

– Ja odebrałem, a ona poprosiła tatę. Powiedziała, że jest cicią Ally. – Tim unosi ku mnie usianą drobnymi piegami buzię i patrzy niebieskimi oczami. Ma pociągłą twarz o delikatnych rysach jak mama, a nie pulchne policzki z dołeczkami jak ja. – Mamy jakąś cicię Ally?

– Tak. – Przygryzam wargę od środka. – Mamy.

Tim unosi brwi.

– Jesteś pewna? Nigdy o niej nie słyszałem. Czy ona jest stara? Jak babcia? Albo bogata?

Chichoczę pod nosem, jednym uchem nasłuchując głosów z dołu. Nic dziwnego, że rodzice się kłóca. Zawsze tak jest, ilekroć Ally pojawia się w ich życiu niczym granat wrzucony do ogniska.

Schodzimy na palcach do połowy schodów i siadamy na naszym stopniu. Można stąd oglądać telewizję, podsłuchiwać rozmowy w kuchni i podglądać, co się dzieje w ogródku przed domem, samemu pozostając niewidocznym.

– Ciocia Ally jest cztery lata młodsza od taty – szepczę do Tima. – Nie jest stara. I na pewno nie jest bogata.

– Tata jest już stary.

– Ma czterdzieści dziewięć lat, Tim.

– Ma siwe włosy – szepcze Tim z oburzeniem. – Nikt inny w klasie nie ma taty z siwymi włosami. Nikt nie ma taty, który ma prawie pięćdziesiąt lat. – Kręci głową, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że umknęło to mojej uwadze.

– Wiesz przecież, że byłeś niespodzianką. Rodzice myśleli, że etap powiększania rodziny mają już za sobą. Może tata był w takim szoku, że osiwił. – Robię wielkie oczy, a Tim rozdziawia buzię. Dotyka koniuszkiem palca rozjaśnionej słońcem czupryny.

– Czy to możliwe? Jak bardzo trzeba się wystraszyć? – Łaskocze Myszę za uchem i odpływa gdzieś myślami, a ja chciałabym zajrzeć mu do głowy, żeby zobaczyć rozgrywające się w niej scenariusze. Zepsuty Xbox, zły pies sąsiada, mama smarująca mu włosy preparatem przeciw wszom. Niewinne lęki dziewięciolatka – i właśnie takie powinny być.

Z dołu dolatuje głos mamy:

– Mówiłeś, że ma być w Byron Bay do lutego. Chryste, Richard! To tyle, jeśli chodzi o element zaskoczenia.

– To bez znaczenia – odpowiada tata. – Wycena agencji nieruchomości jej nie przekona. Uparła się.

– Richardzie, wiem, że się uparła. – Mama wypowiada imię taty takim tonem, jak gdyby to było przekleństwo. – Właśnie dlatego wysłaliśmy tam agentkę pod jej nieobecność, żeby w ogóle mogła dostać się do środka. Francine Tan twierdzi, że twoja siostra oblała ją wodą z wiadra!

Tim zasłania usta ręką, tłumiąc śmiech. Pewnie myśli sobie, że ta stara ciotka bez grosza przy duszy jest wystarczająco postrzelona, żeby być fajna. I chyba jest fajna, na swój własny, hipisowsko-artystyczny sposób. Kiedy widziałam ją ostatnim razem, ogoliła głowę na łyso i zamierzała namalować mural w środku swojego domu. Sęk w tym, że dom w Willow Creek nie jest wyłącznie jej własnością – należy do niej i do mojego taty. Babcia zostawiła im ten stary dom w stylu kolonialno-georgiańskim w spadku i od jej śmierci dziesięć lat temu tata chce go sprzedać.

– Właśnie tu jedzie – oznajmia tata. – Spróbujmy usiąść razem i porozmawiać o tym jak poważni ludzie.

– Co takiego? Ally tu jedzie?

– Rano była w Hunter Valley, więc wpadnie do nas w drodze powrotnej.

Tom mruga z niedowierzaniem, a jego usta układają się w literę „o”. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że nigdy nie rozmawiamy przy nim o Ally. Kilka razy spędzała z nami święta, ale Tim był jeszcze za mały, żeby cokolwiek zapamiętać. Któregoś roku Ally tak się wstawiła, że kopniakiem przewróciła choinkę i poszła spać w swoim samochodzie. Innym razem nazwała tatę nadętym durniem i chlusnęła mu drinkiem w twarz. Nic dziwnego, że mama przestała ją do nas zapraszać.

Kilka minut później na podjeździe słychać niski pomruk forda F100 należącego do Ally. Stary pick-up zatrzymuje się z piskiem hamulców, po czym strzela z gaźnika. Tata na pewno się

wzdrygnął – kocha ten brązowy wóz z chromowaną kratką chłodnicy i karoserią we wzory z lat siedemdziesiątych. Oglądanie go w takim stanie musi być dla niego torturą. Samochód należał do babci, a ponieważ tata woził nim antyki, którymi handlowała, jasne było, że to on go odziedziczy. A potem Ally wróciła z którejś ze swoich wypraw z plecakiem i przywłaszczyła sobie auto.

Kiedy tata otwiera drzwi, jego siostra maszeruje właśnie ścieżką przez ogród i bez wahania wchodzi do środka.

– Richardzie – wita się krótko, poprawiając falujące kasztanowe włosy obiema rękami. Sięgają jej teraz do połowy pleców, co uzmysławia mi, ile lat minęło od naszego ostatniego spotkania. Jest szczupła, ma na sobie sukienkę w kolorach ziemi, a na nadgarstkach całą masę bransoletek z rzemyków i paciorków.

– Przywiozłaś któregoś ze swoich facetów, żeby mnie zastraszyć? – Tata wskazuje ruchem głowy pick-upa. – Tego frajera PJ-a? A może tego niemieckiego palanta Klausa? – Drzwi z siatki zamykają się z trzaskiem, a ja schylam się, żeby wyjrzeć przez okno. W oknie samochodu dostrzegam postać palącą papierosa.

– Jasne, Rich – odparowuje Ally – bo to w moim stylu. Jakbym potrzebowała pomocy jakiegoś faceta. Aż tak przeraża cię wizja niezależnej kobiety?

– Nie wiem. A oblejesz mnie wiadrzem wody?

– Nie wiem. A będzie to konieczne?

W tej wymianie zdań da się wyczuć żartobliwą nutę, która przypomina mi, że dorastali w tym samym domu, jedli przy tym samym stole i oglądali te same programy w telewizji. Gdyby nie zadawnione urazy, mogliby ze sobą konie kraść. Jednego zdążyłam się jednak nauczyć: im bliższa jest ci jakaś osoba, tym mocniej rani cię jej krytyka. Jej nieufność wobec ciebie wywołuje panikę, a jej rozczarowanie tobą jest niczym trucizna.

– Witaj, Ally. – W głosie mamy słysząc napięcie. – Co możemy dla ciebie zrobić? – Nie proponuje, żeby ciocia usiadła. Nie oferuje kawy.

– Chodzi raczej o to, co możecie przestać robić, Elaine. Na przykład wysyłać mi do domu aroganckie zdziury, które mają czelność same sobie otwierać drzwi.

Siedzący obok mnie Tim z trudem hamuje radosną ekscytację brzydkim słowem. Marszczę ostrzegawczo brwi i przykładam palec do ust.

– Francine Tan jest agentką nieruchomości – mówi mama powoli, jak gdyby tłumaczyła coś dziecku. – Myśleliśmy, że jesteś w Byron i chcieliśmy...

– Dobrze wiem, co chcieliście zrobić – przerywa jej Ally. – Dlatego przyjechałam po mój komplet kluczy.

– Twój komplet kluczy? – pyta mama.

– To moja prywatna przestrzeń – ciągnie Ally. – Nieproszeni goście nie są mile widziani w moim domu.

– Dlaczego? Masz coś do ukrycia? – Wymowna pauza po tym pytaniu jest jak wbicie szpili owiniętej drutem kolczastym. Przypominam sobie lato spędzone u Ally dziewięć lat temu, pokoje z zakazem wstępu i zamknięte na klucz drzwi, wilgotne schody prowadzące do piwnicy przypominającej czarną gardziel bestii gotowej połknąć mnie w całości. Prawie czuję kredowy zapach zmurszałych drewnianych framug, niemal słyszę stukania i trzaski, gdy staremu domowi strzela w stawach. Gdybym sobie na to pozwoliła, pewnie byłabym w stanie przywołać uczucie bycia ciągniętą z jednego pokoju do drugiego i pamięć o skarpetach zaczepiających o gwoździe w deskach podłogi.

– Daj mi klucze, Rich – rozkazuje Ally.

– Nie dostaniesz mojego kompletu. Połowa domu należy do

mnie, pamiętasz?

– I postanowiłeś sprzedać ją ze mną w środku.

Tata wzdycha.

– Nie próbujemy cię wykurzyć. Wiesz, że chciałem sprzedać swoją połowę od lat. Nie stać cię, żeby mnie spłacić, więc musimy to omówić.

– A co to za bzdury z wpisaniem domu do rejestru zabytków, skoro po prostu chcesz go sprzedać?

– Odezwała się do mnie rada hrabstwa Gloucester – odpowiada tata. – Chcą go kupić i mają kilka świetnych pomysłów, jak go wykorzystać.

– Ktoś już z niego korzysta. Ja!

– Ten dom zaraz zawali ci się na głowę, a żadnego z nas nie stać na remont – odparowuje tata. – Musimy go sprzedać komuś, kogo na to stać.

– Ten dom stoi od 1820 roku, Rich. Nie zawali się jutro.

– Posłuchaj, dałem ci dziesięć lat...

– Więc skąd ten nagły pośpiech?

– Tash idzie w przyszłym roku na studia – tłumaczy tata. – Trzeba będzie opłacić chesne, pomożemy jej też kupić samochód, kiedy przyjdzie czas.

Brat podnosi na mnie wzrok, a ja wzruszam ramionami. Nie miałam pojęcia, że rodzice chcą mi pomóc opłacić chesne. Myślałam, że popracuję na pół etatu jako kelnerka i jak wszyscy wystąpię o odroczenie opłaty za studia. Zresztą i tak będzie to konieczne, bo rodzice nie biorą pod uwagę kosztów utrzymania w Sydney czy Melbourne. Spodziewają się, że będę dojeżdżać z domu do kampusu w Newcastle. Żeby mieć mnie na oku. Monitorować.

– A co u Tash? – pyta Ally. Ton jej głosu przechodzi z obronnego w zaciekawiony. Cała sztywnieję, a Tim szturcha mnie łokciem w żebra. – Ile ma już lat? Szesnaście?

– Siedemnaście – odpowiada tata.

Znów zapada niezręczna cisza, ale tym razem w powietrzu zawisa to, o czym nikt nie chce mówić.

– Wszystko z nią... w porządku?

– Jak najlepszym – ucina mama. – Twój siostrzeniec też ma się doskonale, jeśli cię to interesuje.

– Oczywiście, że mnie interesuje. To wy nie chcecie go przywieźć do Willow Creek. Spodobałoby mu się tam, busz zaczyna się zaraz za drzwiami, mógłby ganiać po okolicy razem z Bennym.

Tim dotyka mojego ramienia.

– Jej psem – szepczę, a on uśmiecha się radośnie.

– A co z Tash? – dopytuje Ally. – Dalej robi zdjęcia? Może zmiana otoczenia pobudziłaby jej kreatywność. Jest zawsze mile widziana w domu rodzinnym.

– Tu jest jej dom rodzinny – mówi mama z naciskiem. – I nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

– Daj spokój, Elaine. Nadal się z nią cackasz? Jest już prawie kobietą.

– Nie podnoś głosu! – syczy mama. – Zachowaj swoje zdanie dla siebie. Nie masz pojęcia, co się dzieje z tą dziewczyną.

Z „tą dziewczyną”. Zwykle jestem „tą dziewczyną”, kiedy mama żali się tacie za zamkniętymi drzwiami, że nie wie, co ze mną począć.

– Dlaczego nie zapytasz Tash, czego ona chce? – drażni Ally. – Może przydałoby jej się kilka tygodni przerwy od twojej krytyki

i osądzania. Bo mnie na pewno.

Mama aż sapie z oburzenia i mamrocze coś pod nosem. Obok mnie Tim przestał się uśmiechać i usiłuje zrozumieć, o co chodzi.

Słowa Ally wywołują u mnie dziwną mieszaninę wdzięczności i podejrzliwości. Chcę wierzyć, że coś nas łączy – obie wiemy, jakie to uczucie być trzymaną na dystans przez własną rodzinę. Jak gdyby rozumiała, jak się czuję, a przecież... ledwie mnie zna.

– Dobra – odzywa się tata. – Kończymy na dziś. Wyślę ci maila w sprawie domu.

– A co z moimi kluczami?

– To moje klucze – odpowiada tata. – Wciąż ma je agentka nieruchomości.

– Chcę je z powrotem, Rich. I koniec niezapowiedzianych wizyt w celu naprawienia ciekącego prysznica. Wiem, że robisz to wyłącznie po to, żeby mnie szpiegować.

Tata kręci głową i wychodzi do holu. Staje z jedną ręką na biodrze, a drugą wskazuje na drzwi niczym bramkarz wyprowadzający z nocnego klubu awanturującego się gościa. W spłowiałym dresie, z siwymi włosami, którym przydałoby się przycięcie, sprawia wrażenie znużonego.

Ally natomiast przemyka zwawo do drzwi, zamiatając spódnicą i pobrząkując koralikami, a włosy jej falują niczym u furii.

– Chciałabym powiedzieć, że było mi miło, braciszku, ale byłoby to naciągane.

– Serio? – Tata udaje zszokowanego. – Nie mów.

Gdybym zmrużyła oczy, mogłabym ich wziąć za nastolatków.

Mysza uznaje otwarte drzwi za zaproszenie do wyjścia do ogrodu. Zeskakuje Timowi z kolan, drapiąc go przy tym pazurem, a chłopcu wyrywa się okrzyk bólu. Tata i Ally odwracają się

i zauważają nas na schodach. Tata zerka ze skrucną w stronę kuchni, jakby uwagi na mój temat wciąż unosiły się tam w powietrzu niczym swąd przypalonych tostów.

Spojrzenia moje i Ally się spotykają. Wyczuwam w jej oczach solidarność. Jak gdyby dokładnie wiedziała...

„To będzie nasz mały sekret, Tash”.

...o czym myślę.

Tim próbuje wstać, ale obejmuję go opiekuńczym gestem i przyciągam z powrotem do siebie. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, dlaczego wolę, żeby nie miał nic wspólnego z Ally. Ani z Willow Creek. Bądź co bądź, to ja narobiłam tam kłopotów.

Do holu wkracza mama i nic porozumienia między mną a Ally zostaje zerwana. Ally wymyka się z domu, drzwi z moskitiery zamykają się za nią z trzaskiem, a mama zauważa mnie i Tima na schodach. Z pewnością zaraz zbagatelizuje całe to zajście z ciotką albo zbeszta nas za podsłuchiwanie.

Jednak mama nie robi żadnej z tych rzeczy. Wyciąga tylko rękę i mówi:

– Laptop, proszę.

Wychyłam się przez balustradę i podaję go jej, uświadamiając sobie zbyt późno, że zapomniałam zamknąć stronę ze zdjęciami Mallory Fisher.

4

WTEDY

4 marca 2008

Gabinet dr n. med. Ingrid Ballantine

Stenogram z wywiadu lekarskiego

Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży

Klinika dziecięca w Newcastle

Pacjentka: Natasha Carmody, 8 lat

IB: Witaj, Natasho. Miło znów cię widzieć. Poznałam cię i twoją mamę kilka tygodni temu, pamiętasz?

NC: Tak.

IB: Jestem doktor Ballantine. Możesz mi mówić Ingrid.

NC: Dobrze.

IB: Twoja mama poszła do pokoju obok napić się kawy, żebyśmy mogły porozmawiać w cztery oczy. Nie masz nic przeciwko temu?

NC: Nie...

IB: Ile masz lat, Natasho?

NC: Osiem. Niedługo skończę dziewięć.

IB: Myślisz, że z okazji urodzin będziesz miała przyjęcie z tortem?

NC: Hm, chyba nie. Byłam niegrzeczna.

IB: Tak? Uważasz, że byłaś niegrzeczna?

NC: Mama tak uważa.

IB: Naprawdę?

NC: Tak.

IB: Dlaczego tak myślisz?

NC: Bo... sikam do łóżka.

IB: To się czasem zdarza.

NC: Mnie się zdarza często.

IB: Naprawdę?

NC: Tak. Nie mogę nic na to poradzić. A mama mówi: „Dość tego. To się musi skończyć”.

IB: Czy to cię martwi?

NC: Tak, bo nie robię tego specjalnie.

IB: To się zdarza, kiedy śpisz?

NC: Czasami.

IB: A w innych sytuacjach? Czy zdarza ci się to, kiedy nie śpisz?

NC: ...

IB: Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?

NC: Wstrzymuję się, bo nie chcę pójść do łazienki.

IB: Bo jesteś zmęczona?

NC: Bo się boję.

IB: Czego się boisz, Natasho?

NC: On czasem przychodzi, kiedy jest ciemno.

IB: Kto taki?

NC: ...

IB: Czy ktoś do ciebie przychodzi po ciemku?

NC: Teraz już nie. Ale może wrócić. Powiedział mi, że cały czas ma mnie na oku. Jeśli wyjdę z łóżka, żeby pójść do łazienki, on może zacząć się w moim pokoju.

IB: Kto?

NC: ...

IB: Czy to ktoś, kogo się boisz?

NC: Na początku się nie bałam.

IB: Kiedy zobaczyłaś go po raz pierwszy?

NC: U cioci Ally.

IB: Pojechałaś w odwiedziny do cioci Ally?

NC: Rodzice wysłali mnie do niej, kiedy miał się urodzić Tim. Chyba na dwa tygodnie. Dla mnie to było długo.

IB: Czy wcześniej nocowałaś poza domem bez rodziców?

NC: Nie.

IB: Tęskniłaś za nimi?

NC: Nie chciałam, żeby byli z Timem. Chciałam, żeby byli ze mną.

IB: Rozumiem. Czułaś się pominięta?

NC: Byłam zupełnie sama. Nie miałam z kim porozmawiać.

IB: A co z ciocią Ally?

NC: Była zajęta. Nie wolno mi było wchodzić do pokoi, w których pracowała. Poza tym jeździła z dostawami.

IB: Rozumiem. Więc naprawdę potrzebowałaś przyjaciela? Kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać?

NC: Potrzebowałam mamy i taty.

IB: A potem pojawił się ten nowy przyjaciel, tak?

NC: Nie prosiłam go o to.

IB: Czy to chłopak?

NC: Nie.

IB: Dorosły?

NC: Nie.

IB: Przedszkolak?

NC: ...

IB: Dzidziuś, jak twój braciszek Tim?

NC: ...

IB: Zwierzę?

NC: Nie wiem, czym on jest.

5

TERAZ

Liceum w Port Bellamy jest oddalone od klifu tylko o dwie przecznice, ale stamtąd nie widać oceanu. Składa się z trzech budynków z surowej cegły; najstarszy z nich zbudowano ponad sto lat temu. Na tle bezchmurnego nieba i licznych boisk szkoła całą sobą krzyczy „instytucja”. Im jestem bliżej, tym wolniej idę, tak że przez kilka ostatnich metrów mam wrażenie, że brnę w błocie.

Zaraz za bramą z kutego żelaza wysyłam do Sadie trzeciego tego ranka SMS-a:

Gdzie jesteś, kiwi?

Odpowiada błyskawicznie.

W drodze, kanga. Trzy minuty. Maks pięć.

Pierwszy dzień szkoły, a ona już jest spóźniona. W zasadzie nie powinnam się dziwić, skoro spóźnia się w dwóch przypadkach na trzy.

Zaczekam na ciebie pod eukaliptusem, odpisuję, pójdziemy razem na lekcje.

Dzięki temu nie muszę samotnie stawiać czoła szkolnym korytarzom. Nie wstydzę się przyznać, że kiedy Sadie nie ma w pobliżu, czuję się nieswojo. W ósmej klasie Sadie wagarowała co drugi piątek, bo jej mama miała zajęcia w szkole hotelarskiej. Gdy sprawa się wydała, było mi jej żal, ale w duchu skakałam z radości.

Moja komórka znów wibruje.

Już cię obgadują? Jakież żarty na temat pieluch?

Prycham i rozglądam się za Rachel Tan.

Jeszcze nie, odpisuję, ale dzień dopiero się zaczął.

Chowam się w cieniu wielkiego eukaliptusa na końcu parkingu i rzucam plecak na ziemię. W tej samej chwili na miejscu przede mną parkuje czarny SUV. Wysiada z niego wysoki mężczyzna o jasnych włosach. Kiedy zdejmuje okulary słoneczne, mój żołądek wywija salto.

To Daniel Fisher, mój dawny ortodonta. Ojciec Morgana i Mallory Fisher.

Wpatruję się w pozostałe drzwi samochodu, serce bije mi jak szalone. Morgan i Mallory mogą siedzieć po drugiej stronie przyciemnianej szyby. Mrużę oczy, bezskutecznie usiłując przeniknąć wzrokiem ciemne szkło, jak gdybym chciała przygotować się na spotkanie z nimi. Na żadnej z sesji z doktor Ingrid nie omawiałyśmy takiej ewentualności. Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, że spotkanie twarzą w twarz z Fisherami może wywołać u mnie regres.

Nie jestem już tamtą dziewczynką, powtarzam sobie. Tamtą osamotnioną ośmiolatką, która wymyślała niestworzone historie. Dziewczynką, która powiedziała policji, że widziała, jak Mallory zostaje porwana z lunaparku przez wymyślonego potwora.

Nie mogę być znowu tą dziewczynką, bo nigdy stąd nie wyjadę, nigdy nie pójdę na studia, nie będę miała żadnej przyszłości. Nie mogę pozwolić, żeby mój umysł znów osunął się w czarną dziurę, z której już raz udało mi się wydostać.

Zanim zdołam przypomnieć sobie jedną z uspokajających mantr doktor Ingrid, otwierają się drzwi od strony pasażera. Z samochodu wysiada tyczkowaty nastolatek, który rozgląda się wokoło, drapiąc

się po głowie. Jest kilka cali wyższy ode mnie, ma ciemne włosy, postawione do góry, przystrzyżone na wysokości uszu i karku, pewnie pod naciskiem matki. Na jednej ręce nosi zegarek na skórzanym pasku, drugą zatknął za szlufkę obcisłych džinsów.

„Morgan”, huczy mi w głowie. „Morgan Fisher”.

Czerwieni się aż po same uszy, jak gdybym została przyłapana na podglądaniu kogoś w bieliźnie. Wycofuję się między niskie gałęzie eukaliptusa i patrzę, jak Morgan i jego tata idą przez parking w stronę sekretariatu.

Morgan i tak by mnie nie rozpoznał, a nawet gdyby, na pewno byłby rozczarowany. Mam grzeczną fryzurę, wyraźne piegi, a jedyną odjazdową częścią garderoby, jaką posiadam, jest oldskulowy T-shirt z E.T., który wyszperałam w lumpeksie. Zresztą i tak go nie noszę, nie jestem wystarczająco wyluzowana.

– Rany. – Podskakuję, gdy obok mnie pojawia się Sadie. – Oprócz pieluch będę ci chyba musiała sprawić śliniak.

Przesuwa okulary słoneczne na czoło, odprowadzając wzrokiem Fisherów znikających właśnie w budynku szkoły.

– Proszę cię – pry cham, zakładając ręce na piersi. – Wcale się nie ślinię.

– Czemu nie? Ma niezłą stylówkę, zwłaszcza włosy.

Patrzę na Sadie spod zmrużonych powiek, a ona dla odmiany robi wielkie oczy.

– Powaga – mówi. – Sama chętnie bym się tak ostrzygła. Chodź. – Łapie mnie za rękę i ciągnie w stronę drzwi, za którymi zniknęli Fisherowie.

– Czekaj. – Próbuję stawiać opór. – Chcesz poprosić go o poradę w kwestii stylizacji włosów?

Sadie uśmiecha się krzywo, szukając czegoś w plecaku. Wyciąga z niego ulotkę reklamową „So Delish Catering”, firmy swojej

mamy.

– Świetny pomysł. Ale nie. Muszę to zanieść Promiennej Janice, żeby zamieściła reklamę w szkolnym biuletynie. Jest winna mamie przysługę.

Bierze mnie pod ramię i relacjonuje ze szczegółami, kogo widziała w drodze do szkoły, a ja uśmiecham się od czasu do czasu z udawanym zainteresowaniem, nie przestając myśleć o dwójce Fisherów, na których zaraz natkniemy się w sekretariacie.

Wiesz, co masz robić. Zachowaj spokój. Minęło wiele lat, a Fisherowie nie mają pojęcia, co naopowiadałaś policji.

Poza tym byłam dzieckiem. Dzieciom wybacza się zmyślanie, prawda? Nawet w poważnych sprawach. Nawet jeśli robią to, żeby znaleźć się w centrum uwagi.

Ssę kciuk i staram się nie patrzeć na swoje odbicie w szklanych drzwiach.

– A, mam coś dla ciebie – mówi Sadie i puszcza moją rękę, żeby znów poszperać w plecaku. Rzuca mi coś czarnego w przezroczystym plastikowym opakowaniu. Zauważam logo „So Delish” ze spiralnym symbolem koru³. – W sobotę mamy włożyć czarne koszulki. Mama nie była pewna, czy jakąś masz.

Wpycham koszulkę polo do plecaka i wchodzę za Sadie do sekretariatu. Promienna Janice, nasza wiecznie skwaszona sekretarka, właśnie rozmawia przez telefon i podnosi palec na znak, że mamy poczekać. Kątem oka zauważam, że ktoś siedzi na kanciastej kanapie pod oknem. Wiem, że to Morgan – jego tata jest w gabinecie dyrektora naprzeciwko recepcji.

Janice kończy rozmowę i nie zaszczyciwszy nas nawet spojrzeniem, wchodzi do sąsiedniego pokoju. Sadie przewraca oczami i opiera się plecami o kontuar. Kiwa komuś głową na powitanie.

Nie komuś. Morganowi.

– Cześć – mówi.

– Cześć.

Wiem, że też powinnam się odwrócić – będzie dziwnie, jeśli tego nie zrobię – ale nadal wpatruję się w kolekcję miniaturowych sukulentów na biurku Janice.

– Jesteś nowy? – pyta Sadie.

– Co mnie zdradziło? – Ma niższy głos, niż się spodziewałam. Gdziekolwiek się podziewał, wkroczył w okres dojrzewania i urósł pół metra. Może ma pryszczę. Może nawet się goli.

– Po pierwsze – zaczyna Sadie – nikt tutejszy nie nosiłby tak postawionych włosów. Morskie powietrze jest zbyt wilgotne i słone. Gdybyś był stąd, już dawno byś się poddał. Daję twojej fryzurze maksymalnie dwa tygodnie.

– Aha. – W jego głosie słychać rozbawienie. – Mów dalej.

– Poza tym jesteś blady. Tak blady, jak gdybyś spał w trumnie. Wolisz księgarnie od plaż, mam rację?

Morgan chichocze.

– Tak jakby. Coś jeszcze?

– Po trzecie, do tej szkoły chodzi mniej niż sześciuset uczniów. A ja nigdy wcześniej cię nie widziałam. Zgaduję, że w Port Bellamy jesteś nowy.

– Niezupełnie.

Sadie przestępuje z nogi na nogę, zaintrygowana. Ja nadal wpatruję się w równy rząd doniczek z terakoty.

– Urodziłem się tutaj, ale wyprowadziliśmy się, kiedy miałem osiem lat – wyjaśnia Morgan. – Mieszkaliśmy w Brisbane, a potem moi rodzice postanowili wrócić do rodzinnego miasta.

– Chwileczkę. – Sadie się prostuje i strzela palcami. – Nazywasz

się Fisher?

Zmiana nastroju jest wręcz namacalna. Zerkam przez ramię, żeby zobaczyć reakcję Morgana. Policzki ma zaróżowione, a grube brwi zjechały mu nisko nad oczy.

– Taak... – potwierdza niepewnie.

– Moja mama obsługuje waszą imprezę w sobotę. Tash i ja będziemy kelnerkami. – Sadie klepie mnie w ramię, chcąc mnie przedstawić. Nie mam wyboru, więc uśmiecham się niezręcznie i kiwam głową na powitanie.

Morgan spogląda na mnie po raz pierwszy i rozchmurza się, jak gdyby mnie rozpoznał. Jak gdyby pamiętał, że w drugiej klasie siedzieliśmy naprzeciwko siebie na lekcjach z panią Suresh i za każdym razem przyłapawszy mnie na tym, że na niego zerkam, robił zeza, po czym oboje, chichocząc, chowaliśmy głowy w książkach. Jak gdyby pamiętał ten dzień, kiedy podzieliłam się z nim swoim lunchem, a on narysował mi małą flagę z napisem „Tash jest miła”.

– Tash Carmody – mówi z szerokim uśmiechem. Jeden z jego przednich zębów jest uroczo wykrzywiony. Jak to możliwe, skoro ma ojca ortodontę? – Wow. Kopę lat.

– Mhm.

– Nadal mieszkasz przy Melaleuca Road? Koło starych szop na łodzie?

Pamięta.

– Tak – odpowiadam ostrożnie. – Od urodzenia.

Uśmiecha się jeszcze szerzej, przez co dołeczki na jego policzkach sięgają aż do podbródka.

– Mieszkałem dwie przecznice dalej, na Boronia Avenue.

– Pod jedenastką – wyrywa mi się.

– Tak. – Morgan śmieje się cicho, jest pod wrażeniem mojej dobrej pamięci. Jego spojrzenie skupia się na mnie, okrągłe zielone oczy nie obejmują już Sadie. – Więc ostatni raz widziałem cię... Kurczę, kiedy to mogło być?

Jeśli wcześniej było mi ciepło, to teraz oblewa mnie fala gorąca.

– Hm... – Marszczę brwi, jak gdybym wyteżała pamięć, a tamten dzień nie zostawił na mojej psychice zaognionej blizny. Błysk w oczach Morgana przygasa i wiem już, że nie muszę odpowiadać. Uśmiech znika mu z twarzy. Przypomniął sobie.

Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, Morgan siedział na tylnym siedzeniu policyjnego wozu. Nogi zwisały mu z otwartych drzwi, oczy miał czerwone, jakby płakał. Była piąta po południu i wesołe miasteczko w Greenwillow właśnie zamykano. Jego siostra zaginęła trzy godziny wcześniej i policja wydawała instrukcje ekipie poszukiwawczej zebranej pod karuzelą. Wspaniałe rumaki galopowały z wdziękiem, światła odbijały się w ich rżących łbach, co w połączeniu z głuchą organową muzyką sprawiało wrażenie, że wszystko jest w porządku.

Ale nic nie było w porządku.

Nie było w porządku to, że lunapark działał normalnie jeszcze przez kilka godzin po tym, jak pochłonął małą dziewczynkę.

Sama nie wiedziałam, co robić, kiedy początkowa panika Fisherów ustąpiła miejsca bezradności. Kręciłam się w pobliżu rodziców Mallory i ekipy poszukiwawczej, wahając się, czy powiedzieć im, co widziałam. Kiedy w końcu pojawiła się Ally, żeby zabrać mnie do domu, czekała w naszym umówionym miejscu cała roztrzęsiona. Usłyszała od kogoś na parkingu, co się stało.

– Myślałam, że to ty – szepnęła, łapiąc mnie za ramiona. – Powiedzieli, że zaginęła dziewczynka i byłam pewna, że chodzi o ciebie.

Kucnęła przede mną i zamknęła mnie w zbyt mocnym, duszącym uścisku; jej bluzka była jak zawsze przesiąknięta słodkawym zapachem dymu. Nad jej ramieniem widziałam Morgana siedzącego samotnie z tyłu biało-niebieskiego policyjnego wozu. Uwolniłam się z objęć Ally i podeszłam do niego, uśmiechając się błado.

– Do zobaczenia w szkole?

Podniósł na mnie wzrok pełen lęku i poczucia winy.

– Nie wiem, jak to się stało, że mi zginęła.

Przez dziewięć lat przechowywałam w pamięci jego obraz, odtwarzając go raz po raz, jakbym rysowała ołówkiem, podkreślając krągłość jego przerażonych oczu, smugę cienia wokół wygiętych w podkówkę ust. Pozwoliłam, żeby ciotka odciągnęła mnie od niego, bo sama chciałam znaleźć się jak najdalej od lunaparku.

Myślałam, że jeszcze go zobaczę. Myślałam, że będę miała okazję go pocieszyć: „Morgan, to nie twoja wina, tylko moja”.

– Więc dziś zaczynasz szkołę? – pyta Sadie.

Morgan mruga.

– Eee, nie. Za kilka tygodni.

– Ostatnia klasa? – pyta Sadie. Morgan kiwa głową. – Super. To do zobaczenia na zajęciach. Hej, masz jakieś ładne siostry, o których powinnam wiedzieć?

Morgan traci na chwilę pewność siebie. Rzuca mi niespokojne spojrzenie, a mnie aż skręca w żołądku.

– Ma tylko piętnaście lat – odpowiada sztywno. – Zresztą nie chodzi do szkoły.

Sadie zerka na mnie, unosząc brwi.

– Spokojnie. Tylko żartowałam.

– Ma nauczanie domowe – wyjaśnia Morgan. – I z tego, co wiem, woli chłopaków.

– Nie rozmawia z tobą na takie tematy?

Policzki Morgana czerwienieją jeszcze bardziej.

– Moja siostra w ogóle nie mówi.

Sadie ma już coś odpowiedzieć, kiedy kilka rzeczy dzieje się naraz: dzwoni szkolny dzwonek, pojawia się Promienna Janice, a tata Morgana wystawia głowę z gabinetu dyrektora i kiwa na niego.

– Do zobaczenia w sobotę – mówi Sadie. – Postaramy się nie uwalić żarciem dywanu twojej mamy.

– Jasne – mamrocze Morgan. – Miło było cię poznać. – Zerka na mnie i coś w jego wzroku topnieje. – Do zobaczenia, Tash.

– Pa, Morgan.

Ignoruję spojrzenia rzucane mi przez Sadie, która rozmawia z Janice, ale aż rozsadza ją ciekawość i chęć podroczenia się ze mną. Dopiero kiedy biegniemy, żeby nie spóźnić się na sprawdzenie listy obecności, nie jest już w stanie dłużej wytrzymać.

– Ktoś tu się chyba zabujał, Tashie Tashkins?

Rzucam jej spojrzenie mówiące: „Nawet nie zaczynaj”, a ona uśmiecha się zwycięsko, gdy rozdzielamy się na końcu korytarza. Przed Sadie nie da się nic ukryć. Zna wszystkie moje sekrety.

Prawie wszystkie.

*

W drodze powrotnej ze szkoły odbieram Tima z podstawówki, zadowolona, że mogę zająć się sprawami nurtującymi dziewięciolatka. Gdy docieramy do domu, czuję, że udzieliła mi się jego energia i zdołałam zepchnąć rozmyślenia o Fisherach na dalszy

plan. Ale kiedy mama wysłała Tima do jego pokoju bez podwieczorku, wiem, że moja radość była krótkotrwała.

– Natasho – mówi mama – muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Gdy zostajemy same, obraca leżącego na kuchennym blacie laptopa w moją stronę. Staję twarzą w twarz z dziesiątkami zdjęć Mallory Fisher.

– Zostawiłaś tak wyszukiwarkę, kiedy poprosiłam cię o zwrot komputera.

Wzruszam ramionami i spuszczam wzrok na jej ramię.

– Tak, wiem.

– Możesz to wyjaśnić? – podnosi głos. – Myślałam, że mamy to już dawno za sobą?

Zakłada ręce na piersi, ale zaraz je opuszcza i jedną dłoń opiera niezgrabnie o blat. „Mowa ciała jest ważna”, powiedziałaaby doktor Ingrid. „Powinnaś sprawiać wrażenie otwartej i dostępnej”.

– Oczywiście. – Kiwam gorliwie głową i mama lekko się rozluźnia. – To nie to... no wiesz... co myślisz.

Mama odwraca laptopa z powrotem w swoją stronę i przymyka go powolnym, precyzyjnym ruchem, jak gdyby zastanawiała się, co teraz powiedzieć.

– Po prostu mama Sadie ma dla nas pracę – tłumaczę. – To ma być przyjęcie powitalne dla Fisherów. Wiedziałaś, że wrócili?

Mama rozchyła lekko usta.

– Nie... nie słyszałam o tym.

– Tak się tylko zastanawiałam. Myślałam o Mallory. To nic takiego.

Mama przygląda mi się tak, jakby między moimi słowami czały się kłamstwa. Przypominam sobie, że gdy miałam osiem lat, wszystko, co powiedziałam, wywoływało na jej twarzy grymas

niepokoju, jak gdyby obawiała się, że coś jest ze mną nie w porządku.

– Mallory Fisher wraca do Port Bellamy – mówi ostrożnie. – Pamiętaj, że to nie ma nic wspólnego z tobą.

– Mamo! To przecież jasne. Nie ma o czym mówić. – Robię krok w jej stronę i widzę, że lekko się cofnęła. – Nie jestem już dzieckiem.

– Fisherowie nie będą chcieli wracać do przeszłości. Dla ciebie też będzie tak najlepiej.

– Ja w ogóle już o tym nie myślę – kłamię. – Mam siedemnaście lat, mamo. Ten cały Wróbel... – mama znów się wzdryga, tym razem wyraźniej – to już przeszłość. Nie masz się czym martwić.

Mama mierzy mnie przeciągłym spojrzeniem, które zdradza, że nigdy nie przestała.

– Posłuchaj, twoja obecność na tym przyjęciu to chyba nie jest dobry pomysł – mówi, sięgając po telefon. Przegląda listę wybieranych numerów. – Zadzwoń do Kiri i wyja...

– Nie! Nie rób tego.

Sadie nie może się dowiedzieć w taki sposób. Nie wie, co tak naprawdę łączy mnie z Fisherami. Powiedziałam jej o wszystkim, tylko nie o tym.

Prawda jest taka, że chcę ją zobaczyć. Mallory. Muszę zobaczyć ją z bliska po tych wszystkich latach. Spojrzeć jej w oczy i...

I co?

Nie wiem.

Owszem, wiesz.

– Nie mogę zostawić Kiri i Sadie na lodzie – tłumaczę. – Nie znajdą nikogo na zastępstwo w tak krótkim czasie.

– Lepiej by było...

– Mamo, naprawdę. – Staram się mówić lekkim, choć stanowczym tonem. – To nie będzie problem. Możesz mi zaufać. Wszystko będzie dobrze.

W oczach mamy dostrzegam cień kapitulacji. W tym roku chcę udowodnić rodzicom, że dorosłam, a fucha u Fisherów będzie dobra na początek. Dowiodę, że problemowy etap życia mam już za sobą i wszystkie te sesje z doktor Ingrid przyniosły spodziewany efekt.

– Chcę ci pokazać, że dam sobie radę – błagam. – Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Mama wzdycha przeciągle i odkłada telefon na podstawkę. Jej dłoń zawisa na chwilę w powietrzu, po czym przesuwa się nad leżący obok notes.

– A tak przy okazji – mówi, zmieniając temat – dzwoniła do ciebie ciotka.

Odrywa kartkę z wierzchu i podaje mi ją. Są na niej zapisane niebieskim atramentem imię i numer Ally. Mrugam.

– Czego chciała?

Jedno przelotne spojrzenie w ubiegłym tygodniu i Ally już chce nawiązać kontakt po tylu latach milczenia? Może nie żartowała z tym zaproszeniem do siebie, ale czy naprawdę byłabym gotowa tam wrócić? Ostatni raz byłam u niej tego lata, kiedy urodził się Tim, i to tylko dlatego, że rodzice znaleźli się w podbramkowej sytuacji. Podejrzewam, że nawet zapłacili Ally za opiekę nade mną przez te dwa tygodnie, co najlepiej świadczy o tym, jak niewiele nas łączy.

– Nie mam pojęcia – odpowiada mama z udawaną obojętnością. – Nie musisz oddzwaniać, jeśli nie chcesz. Właściwie chyba lepiej by było, gdybyś nie dzwoniła.

Rusza za mną do salonu, po drodze podnosząc z fotela brudne skarpetki Tima. Gdy spogląda na mnie, ostentacyjnie zgniatam

kartkę.

Czekam, aż wejdzie do pralni, po czym wsuwam kulkę papieru do kieszeni.

6

WTEDY

– *Po prostu nie wiem, o co ci chodzi, Tash.*

Ciocia Ally przysuwa dzbanek mleka w moją stronę, a ja bardzo staram się nie skrzywić. Ciocia nie pije zwykłego krowiego mleka, wyłącznie sojowe, które ma szarawy kolor i nie ma smaku. Nalewam trochę do muesli i patrzę, jak rodzynki wyskakują na powierzchnię, a potem wpycham jedną z nich z powrotem czubkiem łyżki.

– *Opowiedz mi jeszcze raz – mówi ciocia Ally, odsuwając swoją miskę płatków. Wkłada papierosa do ust i pstryka zieloną zapalniczkę, aż pojawi się płomień.*

– *Którą część? – pytam.*

– *Od momentu, kiedy obudziłaś się w ciemności. Może uda nam się to rozgryźć.*

Rozgryźć? To nie łamigłówka. Wczoraj w nocy ktoś był w mojej sypialni. Nie wiem, po co mam ponownie o tym opowiadać.

Może obudził mnie grzmot, a może trzask drzwi na piętrze. Wiatr wdzierał się w szpary starego domu z takim piskiem, jaki wydają hamulce samochodu cioci Ally. Pamiętam, że otworzyłam oczy i zamrugałam na widok starej tapety w staroświeckie samoloty i balony. Przez chwilę nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem. To był pokój mojego taty, gdy był dzieckiem – właśnie dlatego go

wybrałam, kiedy ciocia powiedziała, że mogę spać, gdzie chcę. Pozostałe pokoje mi się nie podobały. Cały ten dom jest zimny i nikt się tu nie śmieje.

Wielki pokój nie wydawał się taki straszny jak poprzedniej nocy, bo wiedziałam już, co rzuca te wszystkie długie cienie. Wiedziałam, gdzie są wybrzuszenia w materacu i jeśli ułożyłam się w odpowiedni sposób, nawet ich nie czułam. Żeby szybciej zasnąć, mogłam wsunąć rękę pod poduszkę i odnaleźć satynową metkę wystającą z poszewki. Kiedy pocierałam ją między palcami, czułam się prawie jak w domu.

Ale nie jestem w domu.

Nigdy wcześniej nie byłam tu bez rodziców.

Właściwie nie znam cioci Ally.

Wydał z siebie cichy dźwięk, dlatego się obróciłam. Siedział tak nieruchomo, że w pierwszej chwili nie zauważyłam go w mroku. Zamrugałam, żeby oswoić wzrok z ciemnością, i wtedy zauważyłam na tle okna ciemny kształt, który wyglądał niczym czarna dziura zasłaniająca krople skrzące się na szybie.

Błysnęło potężnie i w pokoju na moment zrobiło się jasno. Siedział tam, przycupnięty na siedzisku pod oknem naprzeciwko łóżka. Kaptur miał nasunięty tak głęboko, że nie widziałam jego twarzy, kolana trzymał przyciągnięte do klatki piersiowej niczym kot gotujący się do skoku na swoją ofiarę. Kiedy znów błysnęło, zobaczyłam, że na bosych stopach ma źdźbła trawy. Kościste palce zawinięte za krawędź siedziska wyglądały jak korzenie drzewa, o które potknęłam się przy podjeździe. Wyglądał jak jeden z tych kamiennych posągów na gzymsach starych budynków. Zawsze nieruchomych. Zawsze czujnych.

– Kim jesteś? – wyszeptalam. Gdyby odpowiedział, znaczyłoby to, że nie śnię.

Obrócił głowę w moją stronę i przekrzywił ją na bok jak ciekawski ptak. Przypomniały mi się wróble siadające na parkanie w domu. Mama pozwalała mi je karmić okruszkami, jeśli uważałam, żeby ich nie spłoszyć.

Bardzo się starałam nie spłoszyć mojego gościa. Był o wiele, wiele większy od wróbla.

– Co masz pod kapturem? – zapytałam. Nie zdjął go, żebym mogła zobaczyć. Zamiast tego uniósł dłoń do twarzy i przyłożył chudy palec do ust.

– Ciiiiii.

Ręka mu się trzęsła, jak gdyby powstrzymywał chichot. Nawet w ciemności widziałam, że dygoczą mu ramiona.

– Czy to jakaś zabawa? – zapytałam z nadzieją w głosie. Od przyjazdu tutaj nie miałam się z kim bawić. Ciocia Ally powiedziała, że dzieci same powinny się sobą zajmować.

– Tak – potwierdził. Głos miał ochryply, przydałby mu się syrop na kaszel. Pachniał jak mokre skarpety suszące się na grzejniku.

– Zamknij oczy i policz do pięćdziesięciu – powiedział. – Tylko nie podglądaj.

– Nigdy nie podglądam!

Żeby tego dowieść, obróciłam się na plecy i zakryłam oczy, żeby zacząć liczyć. Nie wiem, do ilu doszłam, bo od liczenia zrobiłam się senna. Może do trzydziestu pięciu? Czterdziestu? Nie wiedziałam, co się stanie, kiedy doliczę do pięćdziesięciu, a teraz nigdy się tego nie dowiem. Zaczęłam śnić o labradorze cioci, Bennym, a kiedy się obudziłam, był już ranek. Mój gość zniknął.

– Tash? – odzywa się Ally. Z ust zwisa jej papieros. Nachyla się do przodu i macha mi ręką przed nosem, jak gdyby ścierała niewidzialną szybę. – Rety. Dokąd odpłynęłaś, malutka?

– Nigdzie. Jestem tutaj.

– Twoi rodzice wiedzą, że się tak zawieszasz?

– Nic... nic nie robiłam. – Odkładam łyżkę, bo straciłam apetyt. – Myślałam o moim śnie.

Ciocia obserwuje mnie, sięgając za siebie po kubek z kawą. Stawia go na stole obok zielonej zapalniczki i strząsa do niego popiół.

– Więc teraz twierdzisz, że to był tylko sen?

– Nie, zasnęłam później, kiedy on kazał mi zacząć liczyć. To była taka zabawa. Nie wiem, na czym polegała.

Ciocia wrzuca papierosa do kubka.

– Często masz w nocy koszmary, Tash?

– Nie. Prawie nigdy nic mi się nie śni. To był przyjemny sen. Bawiłam się z Bennym.

Głos cioci Ally jest spokojny, ale przestała mrugać, jak gdyby się na mnie gniewała.

– Chodzi mi o tę część snu, kiedy zobaczyłaś kogoś w sypialni.

– To mi się wcale nie śniło.

Ciocia stuka nerwowo paznokciami w kubek od kawy.

– W ciemności wzrok potrafi płatać figle.

– Nie – protestuję głośno. Mama uważa, że niegrzecznie jest podnosić głos, ale teraz jej tu nie ma. Ani taty. – Był tam, zaraz obok łóżka. Rozmawiał ze mną. Słyszałam go. Czułam jego zapach.

Ciocia zaciska usta i przeciąga dłońią po krótkich, puszystych włosach.

– To moja wina – stwierdza. – Pozwoliłam ci pójść spać za późno. A te grzmoty i błyskawice? Nic dziwnego, że przyśnił ci się koszmar.

– To nie był...

– To był zły sen, Tash – upiera się. – Możesz mi wierzyć.

Przyszłam do twojego pokoju, pamiętasz? Wołałaś mnie.

Ściągam brwi, wpatrując się w rozmoczone muesli. Nie przypominam sobie, żebym ją wołała.

– Więc musiałaś go widzieć – mówię. – Siedział skulony w oknie obok mojego łóżka. Był tuż obok!

Ciocia Ally wyciąga rękę i obejmuje moją buzię dłonią.

– Tash, skarbie. Nikogo nie widziałam.

7

TERAZ

Wlekę się w górę Banksia Avenue, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że ktoś snuje się za mną jak cień. Muszę odwrócić się raz czy dwa, żeby sprawdzić, czy mama nie kręci się w pobliżu swoim autem. Przez cały tydzień ani razu nie wspomniała o imprezie u Fisherów, dopiero dziś po południu zaproponowała, że mnie podwiezie. Skłamałam, że jadę z Sadie, w obawie, że mama znajdzie jakiś pretekst, żeby się wprosić i mieć mnie przez całą noc na oku.

Jeszcze raz czytam ostatniego SMS-a od Sadie.

Podjazdem do tylnego wejścia. Właśnie wszystko rozkładamy.

Odnajduję wzrokiem dom Fisherów położony prawie na szczycie wzgórza, górne piętro skąpane jest w promieniach zachodzącego słońca. To było ciepłe popołudnie, ale teraz na drodze kładą się leniwie długie cienie, w ich mrocznej głębi kryje się zapowiedź nocy. Lekki wietrzyk jeży mi włoski na karku, trochę się trzęsę w czarnej koszulce polo. Rzut oka na zegarek mówi mi, że...

Chwileczkę.

Co to?

Kroki?

Zerkam przez ramię na opadającą za mną ulicę, na szachownicę brukowanych podjazdów i przystrzyżonych trawników. Przyczepka na łódź tu, przyczepa turystyczna tam, stado różowych kakadu

drepczących wśród kępy mleczy.

Wycieram dłonie o nogawki dżinsów. Głupio mi, że jestem taka nerwowa.

Za dużo gadania o Fisherach. Za dużo myślenia o przeszłości.

Ruszam dalej szybszym krokiem, moje czarne skórzane buty tupią po asfalcie. Biała furgonetka z logo „So Delish” stoi zaparkowana trzy podjazdy dalej, brama pod numerem ósmym jest otwarta na oścież jak rozpostarte ramiona. Przyjęcie zaczyna się za jakieś pół godziny, więc Sadie i jej mama będą zajęte do ostatniej chwili.

O, znowu!

Okręcam się na pięcie i rozglądam na boki. Solidne mury i kanciaste żywopłoty na Banksia Avenue drwią ze mnie, jak gdyby bawiły się ze mną w raz, dwa, trzy, Baba Jaga patrzy.

Nie myśl o zabawach.

Nie myśl o nim.

– Halo? – wołam, aż jedna z kakadu podrywa się do lotu. Czuję się jak idiotka, ale nie mogę pozbyć się przykrego uczucia bycia obserwowaną. Gdy mam się już odwrócić, żeby iść dalej, dostrzegam kątem oka jakiś ruch. Dwa domy niżej po obu stronach podjazdu stoją kamienne kolumny. Za jedną z nich znika cień.

Cholera.

Ze strachu ściska mi się żołądek. Obracam się i puszczam pędem w stronę domu Fisherów. Dopadam furgonetki „So Delish” i obiegam ją, żeby znalazła się między mną a ulicą – jak tarcza. Przywieram plecami do twardego metalu, zaciskam wargi i nasłuchuję.

Słyszę tylko szum własnej krwi w uszach.

Masz paranoję.

Naprawdę myślisz, że ktoś cię śledzi?

Czekam, aż serce przestanie mi walić, i odklejam się od furgonetki. To śmieszne. Ja jestem śmieszna. Potrzebuję jakiegoś zajęcia, żeby nie zapuszczać się myślami na niebezpieczny grunt.

Nie dalej niż trzy kroki od miejsca, w którym stoję, pod oknem Fisherów kołysze się gęsta kępa krzewów azalii. Przez sekundę myślę, że coś mi się przywidziało, ale gałęzie znów szeleszczą. Chcę wierzyć, że to kot albo opos, ale nawet w zapadającym zmroku jestem w stanie dostrzec zarys postaci skulonej pod ścianą domu.

On wrócił.

To niemożliwe.

Czyżby?

Do ust napływa mi gorąca ślina.

Wycofuję się pod skrzynkę na listy i rozglądam za jakimś palikiem albo kamieniem leżącym na rabatce. Łapię ułamaną gałąź, ostrą z obu końców, która wygląda wystarczająco groźnie, jeśli uchwycę ją we właściwy sposób. Z uniesioną gałęzią w dłoni skradam się w stronę domu. Mieszanka strachu i wściekłości dławi mi gardło.

– Wychodź! – warczę. – Wychodź i pokaż się!

Krzaki trzęsą się gwałtownie, ktoś gramoli się na zewnątrz. Odskakuję do tyłu, ściskając gałąź jak kij bejsbolowy.

I wtedy...

Jest za wysoki, podpowiada mi rozum. To nie on.

Jasne, że to nie on. Przecież wymyśliłaś go sobie.

Przede mną prostuje się młody mężczyzna.

– Spokojnie – burczy. – Chciałem tylko zrobić kilka zdjęć.

Unosi obie ręce, jak gdyby się poddawał, w jednej trzyma

cyfrową lustrzaną podobną do mojej. Ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, a jego policzki są upstrzone fioletowymi bliznami po trądziku. Przy pasie nosi nerkę, do której przyczepiony jest identyfikator. Dostrzegam okrągłe logo „Mid Coast Times”.

– Co jest, do cholery? – pytam. – Jesteś dziennikarzem?

– Fotografem – odpowiada. – Może chciałabyś opowiedzieć mi coś o dzisiejszym przyjęciu? Znasz Mallory Fisher? Pamięta cokolwiek ze swojego zaginięcia?

– Hej!

Oboje z fotografem podskakujemy na dźwięk trzeciego głosu dobiegającego z werandy za naszymi plecami. Obracamy się i widzimy wściekłego Morgana, który w obu rękach trzyma niezapalone bambusowe pochodnie.

– Nic ci nie jest, Tash? – pyta łagodniejszym tonem. Kiwam głową i opuszczam kij, a Morgan zwraca się do fotografa:

– Spadaj stąd, sępie. Za dwie sekundy wzywam gliny.

– Nie będzie wypowiedzi dla prasy? – pyta facet, ale już odchodzi. – Powrót Mallory Fisher to ważna wiadomość. Tak czy siak, w poniedziałkowym wydaniu ukaze się artykuł na jej temat.

– Jeśli opublikujesz jakieś zdjęcie – woła za nim Morgan – pozwiemy cię za wtargnięcie na teren prywatny.

Fotograf śmieje się w wymuszony sposób i oddala szybkim krokiem w dół wzgórza. Gdy znów spoglądam na werandę, Morgan właśnie mocuje pochodnie. W koszulce w granatowe pasy i beżowych spodniach wygląda jak marynarz, jego spiętrzone nad czołem włosy wciąż opierają się wilgotnemu morskemu powietrzu.

– Wow – mówi z uśmiechem. – Naprawdę chciałaś mu przyłożyć tym patykami?

Czerwieniąc się, szybko wyrzucam gałąź do ogrodu.

– W dniu przeprowadzki też się tu kręcił – ciągnie Morgan. – Tyle że wtedy schował się w aucie po drugiej stronie ulicy. Musi być zdesperowany, skoro zniżył się do zaglądania ludziom w okna.

– To obleśne – stwierdzam. – Próbuje sfotografować Mallory?

– Chyba sami się o to prosiliśmy, wracając do miasteczka, w którym mieszkaliśmy, kiedy zniknęła.

– Co takiego? Nie! Powinna czuć się tutaj bezpiecznie. To jej dom.

Morgan przekrzywia głowę i przygląda mi się badawczo, tak jak w poniedziałek w szkole.

– Może powinnaś zostać jej ochroniarzem atakującym paparazzich z kijem w dłoni?

Parskam śmiechem, a Morgan znów się uśmiecha. Sama nie wiem, jak to się stało, ale jest zupełnie jak w drugiej klasie, gdy uśmiechaliśmy się do siebie znad zeszytów. To przyjemne uczucie. I dziwnie podniecające.

– Jak to jest – wrócić do domu? – pytam.

Morgan spogląda na horyzont, zastanawia się.

– Chciałbym powiedzieć, że jest tak, jak gdybyśmy nigdy nie wyjeżdżali. Ale nie przypuszczałem, że będę się czuł tak nieswojo.

– Jak to?

– Dawni znajomi chodzą wokół nas na palcach. Prowadzą przyjazne pogawędki i zadają uprzejme pytania, ale w ich oczach widać, że chcą wiedzieć, co się wtedy wydarzyło. Przyglądają się trochę zbyt uważnie, jakby szukali jakichś wskazówek, rozumiesz?

Rozumiem. Doskonale go rozumiem.

– Jak gdybyś coś przed nimi ukrywał – dopowiadam.

– Właśnie. Mam wrażenie, że od przyjazdu ani razu z nikim szczerze nie rozmawiałem. No, nie licząc teraz. – Uśmiecha się,

a mnie aż kręci się w głowie.

– Zawsze chętnie się z tobą umówię, żeby pogadać.

– Super. Trzymam cię za słowo. Żaden z moich znajomych sprzed wyprowadzki nie zaczął mnie obserwować na Instagramie, więc trochę się obawiam powrotu do szkoły. Nie cierpię być „nowym”. A zwłaszcza „nowym-starym”, przy którym wszyscy czują się niezręcznie.

– Nie ja – protestuję. – Znajdź mnie na Instagramie. Obiecuję, że będę cię obserwować.

Morgan chichocze cicho.

– Okej. Trzymam cię za słowo, więc mnie nie wystaw.

– Nie ma mowy – zapewniam, uśmiechając się do własnych butów. Wskazuję kciukiem podjazd. – Powinnam wziąć się do roboty.

– Ja też. – Podnosi pochodnie i obraca się w stronę frontowych schodów.

Oboje przystajemy na jedno uderzenie serca, a ja się zastanawiam, czy on też to czuje: łaskotanie w brzuchu, trzepot serca, nadzieję na coś więcej.

Przywołuję się do porządku. Zbyt łatwo przychodzi mi wyobrażanie sobie rzeczy, które nie istnieją.

*

Pierwsza godzina przyjęcia mija mi na roznoszeniu tac i kieliszków szampana. Chociaż krążę po całym domu, ani razu nie wpadam na Morgana. Nie widziałam też Mallory, mimo że cały czas obserwuję schody, jak gdyby mogła w każdej chwili zrobić wielkie wejście. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że przyjęcie nie jest wymarzonym miejscem dla kogoś, kto nie mówi.

Pan i pani Fisher są w swoim żywiole, witając starych znajomych i poznając nowych. Francine Tan trzyma panią Fisher pod rękę i co chwila przedstawia jej tego czy innego członka rady mieszkańców. Matka Morgana wygląda kwitnąco w sukience koktajlowej w róże i ze szminką w tym samym odcieniu na ustach. Jego ojciec prezentuje się równie stylowo w eleganckiej koszuli i marynarce; jasne włosy opadają mu na oczy niczym podstarzałemu gwiazdorowi filmowemu.

Bycie kelnerką ma tę zaletę, że pozwala podsłuchiwać rozmowy bez wzbudzania podejrzeń. Kursując z tacą pełną pasztecików, dowiedziałam się, że w przyszłym tygodniu pan Fisher otwiera gabinet ortodontyczny w Newcastle. Zbierając puste kieliszki, usłyszałam, że Morgan jest artystycznie uzdolniony, ale nie ma pojęcia, co chce robić po ukończeniu liceum. A kiedy serwowałam poncz, okazało się, że w marcu pani Fisher planuje spędzić weekend w rodzinnym domku letniskowym w Greenwillow. Na wzmiankę o Greenwillow zadrżała mi ręka, ale jakimś cudem udało mi się nie porozlewać ponczu po całym stole.

Mamy chwilowy przestój, zanim kotleciki ziemniaczane się podgrzeją, korzystamy więc z Sadie z okazji i robimy sobie krótką przerwę w kuchni. Kiri, która przygotowuje na wyspie kuchennej talerz z kanapkami, podnosi głowę i puszcza do nas oko.

– Mama to uwielbia – mówi Sadie, podając mi szklanekę wody. Poprawia kołnierzyk koszulki polo, spod której miga mi T-shirt drużyny futbolowej All Blacks. – Ci wszyscy potencjalni klienci, którzy mają więcej pieniędzy niż rozumu.

Po drugiej stronie kuchni Kiri nuci sobie pod nosem, uwijając się jak w ukropie. Zawsze można liczyć na jej ciepły uśmiech albo słowa otuchy. Sadie odziedziczyła po mamie nie tylko twarz w kształcie serca i ciemnobrązowe oczy, ale również szczodrość i ducha walki. Dziesięć lat temu tata Sadie namówił je na

przeprowadzkę do Auckland, żeby rozpocząć w Australii nowe życie, a następnie opróżnił konto w banku i ulotnił się na Bali z księgową ze swojego biura. Kiri musiała zaczynać wszystko od nowa w obcym kraju. Zbudowała firmę „So Delish” od podstaw, mając do dyspozycji niewielkie fundusze, ale za to ogromną determinację.

Właśnie dekoruje kanapki małymi niebieskimi kwiatkami.

– Są jadalne – uspokaja nas, gdy unosimy ze zdziwieniem brwi. Sadie żartuje, że zaraz ozdobi kanapki konikami polnymi. Kiri pokazuje córce język i wtyka jej do rąk półmisek.

– A to dla ciebie, Tash – mówi, gdy Sadie znika w jadalni, i wręcza mi niewielką tacę z kilkoma sałatkami, tartą cytrynową i butelką wody mineralnej. – To dla córki Annabel, Mallory. Biedactwo nie przepada za przyjęciami.

Kiri nie ma pojęcia, że doskonale wiem, kim jest Mallory. Sadie z mamą przyjechały do naszego miasteczka rok po zaginięciu Mallory. Fisherowie zdążyli się już spakować i wyprowadzić.

– Mam...?

– Zanieś jej to do pokoju. Proszę, skarbie. – Kiri ten talerzyk również posypuje kwiatkami. – Annabel mówiła, że to na piętrze, ostatnie drzwi po lewej. Przejdź tymi drzwiami, to skrót do schodów. – Wskazuje przesuwne drzwi na tyłach kuchni, które błędnie uznałam za drzwi do spiżarni.

Niechętnie odbieram od niej tacę.

– Może Sadie mogłaby...

– Kocham moją córkę – mówi Kiri, ściskając mój łokieć – ale do dyskretnych to ona nie należy. Zagadałaby tę dziewczynkę na śmierć. Lepiej, żebyś ty poszła, dobrze?

Uśmiecham się niepewnie, a Kiri dziękuje mi i podchodzi do piekarnika.

Okej, mówię sobie w duchu, chciałaś się spotkać z Mallory twarzą w twarz? Oto twoja szansa.

Ruszam korytarzem ku schodom, moje spocone dłonie ślizgają się na spodzie tacy. Zdenerwowanie sprawia, że z każdym kolejnym stopniem serce galopuje mi w piersi coraz szybciej.

Czy Mallory mnie rozpozna?

Czy uda mi się nie zasypać jej pytaniami?

Tylko ostatnie drzwi na piętrze są zamknięte. Z pokoju po prawej słychać muzykę elektroniczną, w środku Morgan i Christopher Tan – brat bliźniak Rachel – leżą w poprzek łóżka i grają w gry wideo. Christopher zauważa mnie i kiwa mi głową, poprawiając okulary w czarnych oprawkach, które zjechały mu z nosa. Ku mojej irytacji do drugiego boku Morgana przyciska się Rachel. Podnosi na mnie wzrok, omiata spojrzeniem mój strój i tacę, po czym prychna pogardliwie.

Opanowując przyпіływ zazdrości (Serio? Od jak dawna Rachel zna Morgana? Prawie siedzi mu na kolanach!), usiłuję skupić się na powierzonym mi zadaniu. Przed drzwiami Mallory unoszę pięść i pozwalam jej zawisnąć w powietrzu. Kusi mnie, żeby zostawić tacę na dywaniku i uciec. Z dołu dobiega głośna salwa śmiechu, która rozprasza mnie na moment. Zanim zdążę się zorientować, co robię, stukam dwa razy do drzwi.

Po drugiej stronie słychać jakiś ruch. Szczęk zamka. Drzwi uchylają się odrobinę i w złotym świetle lampy zarysowuje się sylwetka dziewczyny. Jest niższa, niż się spodziewałam, góruję nad nią wzrostem. Połowę twarzy zasłaniają jej włosy w odcieniu brudnego blondu, druga połowa jest ukryta za drzwiami. Spomiędzy włosów spogląda na mnie oko, błękitne i czujne.

– Przyniosłam jedzenie – wyjaśniam. Dziewczyna zerka na tacę, a potem znów na mnie. – Jestem z obsługi przyjęcia. Mogę

zostawić je tutaj, jeśli wolisz.

Już mam postawić tacę na ziemi, gdy Mallory otwiera drzwi szerzej i wskazuje staromodne biurko stojące pod okrągłym oknem. Obok biurka piętrzą się puste kartony, na podłodze leży zwój folii bąbelkowej.

Wzdłuż ścian stoją sosnowe regały wypełnione kolorowymi grzbietami, część książek ułożono pionowo, część w niedbałych stertach. Ściany są oblepione plakatami światów fantasy i tajemniczych ogrodów, na korkowej tablicy pełno jest pocztówek przedstawiających odległe galaktyki i średniowieczne zamki. Nad łóżkiem wisi ręcznie rzeźbiona półka pełna pluszowych smoków, sów i lisów. Małe lampki na suficie spowijają pomieszczenie nieziemskim blaskiem.

– Boże, jaki fantastyczny pokój – wypalam, zachwycona tą bezpieczną kryjówką przed światem zewnętrznym. Ale zaraz przypominam sobie, jaką dziś pełnię rolę, i wychodzę na korytarz. – Przepraszam. Pójdę już.

Mallory obserwuje mnie, szarpiąc rękawy obszernej koszuli. Próbuję przyjrzeć się dyskretnie jej twarzy. Nie przypomina już tej uśmiechniętej dziewczynki z policyjnych plakatów. Cerę ma matową i pozbawioną blasku, włosy proste i cienkie. Napina barki, jak gdyby groziło jej niebezpieczeństwo.

To jej oczy, jasne jak kryształ i uważne, każą mi się zatrzymać. Kryją się w nich pytania, ale i morze odpowiedzi. Mam ochotę nią potrząsnąć, zapytać, jak to się stało, że zniknęła. Czy oddaliła się sama? Czy została porwana?

Czy naprawdę go sobie wyobraziłam, Mallory?

Proszę, powiedz, że mój umysł nie jest chory!

Zamiast tego mamrocze: „Do zobaczenia”, czekam chwilę na odpowiedź, aż w końcu dociera do mnie, że się jej nie doczekam.

Gdy wracam do kuchni, Sadie ściera na kolanach podłogę.

– Mała katastrofa – wyjaśnia. – Mama upuściła słoik majonezu. Poleciała do sklepu po nowy.

Łapię garść serwetek i kucam obok Sadie. Wybiera odłamki szkła z kremowej brei, którą staram się zgarnąć w jedno miejsce. Udaję, że chcę dotknąć jej twarzy upaćkaną serwetką, a ona odskakuje do tyłu i ląduje na pupie. Obie wybuchamy śmiechem.

– O cholera – mówi, gramoląc się z podłogi. – Mama chciała, żebym podała te kotleciki, póki są ciepłe.

– Ja to posprzątam – proponuję. – Tylko powiedz, gdzie znajdę mopa i wiadro.

– Może w pralni? Tam znalazłam szufelkę. – Sadie wskazuje drzwi na tyłach kuchni. Waha się. – Trochę tam ciasno. Sprzątnę, kiedy wrócę.

Podchodzę do drzwi pralni. To wąska, pozbawiona okien klitka, z szafkami od podłogi do sufitu. Cała sztywnieję, w podstawie czaszki czuję zapowiedź zawrotów głowy.

– Pospieszę się – zapewniam Sadie, choć tak naprawdę uspokajam samą siebie. – Wejdę i zaraz wyjdę. To zajmie sekundę.

Przyciskam kilka razy włącznik światła, po czym słyszę, jak Sadie woła:

– Żarówka padła. Zaczekaj na mnie, dobra?

To jakiś absurd. Czuję się niczym dzieciak, który boi się zejść ze śliskiej górki. Zwijam dłonie w pięści, wchodzę pewnym krokiem do pralni i zaglądam do szafek.

– Dziewczyna z misją, co? – pyta Sadie z lekkim rozbawieniem. – Sprawdź, czy na górze nie ma płynu do mycia podłóg. Z tyłu jest mała drabinka, jeśli nie dosięgasz do górnych półek.

Ruszam w stronę drewnianego krzeselka, którym podparte są drzwi.

– Nie ruszaj go! – krzyczy Sadie. Cofam rękę, jak gdyby krzeselko było podłączone do prądu. – Drzwi same się domykają, a klamka się zacina. Już raz się tam zatrzasnęłam.

Sadie bierze półmisek, przystaje na chwilę, po czym rusza na przyjęcie. Rozglądam się gorączkowo, usiłując ignorować szafki ograniczające moją przestrzeń osobistą.

Na pewno wystarczy mi tlenu.

Nie ma absolutnie żadnych powodów do paniki.

Udaje mi się odszukać mopa w wąskiej szafce. Stawiam go obok siebie i sięgam właśnie ku jednej z wysokich półek, gdy w pomieszczeniu robi się ciemno. W drzwiach staje jakaś postać, blokując dopływ światła.

Nie.

Cofam się i wpadam na ścianę. Mop upada z hukiem na podłogę, serce wali mi jak oszałałe.

Tylko nie on. Nie tutaj.

Szukam ręką blatu, postać jest coraz bliżej.

Uciekaj, uciekaj, uciekaj.

– Czegoś szukasz? – pyta, a światło z kuchni oświetla z boku jego twarz.

Morgan.

Osuwam się na ścianę z westchnieniem ulgi.

– Wiadra – dukam. – I płynu do podłogi. – Odwracam się i macam podłogę w poszukiwaniu mopa.

– Chętnie pomogę – mówi.

Orientuję się, co robi, dopiero gdy smuga światła na podłodze zaczyna się kurczyć. Gdy się odwracam, widzę, że zdążył już

przytargać krzesło do blatu. Ostatnią rzeczą, którą widzę, jest Morgan stawiający stopę na siedzeniu, a potem drzwi się zatrząskują i zalewa nas ciemność.

– Ups. Zaczekaj. – Słyszę szarpanie za klamkę i bezskuteczne klikanie włącznika światła.

– Żarówka się przepaliła – dyszę. – Spróbuj otworzyć.

– Nie mogę...

Drzwi znów się trzęsą, a Morgan stęka, szarpiąc za klamkę. Mrugam kilka razy, żeby oswoić wzrok z ciemnością. Widzę tylko cień stóp Morgana na tle plamy światła rozlewającej się pod drzwiami.

Temperatura w ciasnym pomieszczeniu rośnie. Albo ja mam gorączkę. Powietrze wokół nas smakuje wilgotną stęchlizną.

Moje powietrze.

– Nic ci nie jest? – pyta Morgan. – Dziwnie oddychasz. Masz astmę?

Z trudem panuję nad głosem:

– Muszę stąd wyjść.

Chodzę tam i z powrotem, objijając się kolanami o szafki.

– Wszystko w porządku – uspokaja Morgan. – Muszę tylko... – Drzwi znów dygocą, klamka szczyka. Coś spada nam pod stopy z metalicznym dźwiękiem. – Okej, nie jest dobrze. Nie masz chyba klaustrofobii, co?

W jego głosie słyhać wesołość, próbuje mnie rozśmieszyć. Nie jestem w stanie odpowiedzieć. Osuwam się na kolana...

„Chcesz się pobawić?”.

...ciemność mnie osacza. Wypełnia mi nozdrza, wlewa się gęstą strugą do gardła.

– Proszę – sapię.

Nie mogę oddychać.

– Tash? – Czuję, że Morgan podchodzi do mnie. – Gdzie jesteś?
Przyciągam kolana do piersi i oplatom rękoma łydki.

Skul się. Oddychaj powoli.

Dłonie Morgana odnajdują moje ramiona i...

„Nie umiesz się bawić. Przestań się szamotać”.

...miotam całym ciałem, odpychając Morgana.

– Spokojnie, Tash. Co się dzieje? – pyta.

Robię krótkie, gwałtowne wdechy.

Nie zużyj całego powietrza.

– Hiperwentylujesz. – Dłoń Morgana odnajduje moje ramię. Tym razem jej nie odpycham. – Musisz uspokoić oddech. Głębokie oddechy. Posłuchaj, rób tak jak ja.

Bierze głęboki wdech przez nos, a potem powoli wypuszcza powietrze ustami. Odnajduje moje drugie ramię i pomaga mi zrobić jeszcze pięć głębokich oddechów. W kuchni za drzwiami rozlega się brzęk. Morgan ściska moje ramiona po raz ostatni, przesuwa się po podłodze do drzwi i zaczyna w nie walić.

– Halo? – woła. – Utknęliśmy tutaj. Halo?

Koncentruję się na oddychaniu – powoli, głęboko, długie, spokojne oddechy – i czuję ulgę, gdy zza drzwi słyszę przeklinającą Sadie. W następnej chwili rozlega się głośne łupnięcie i drzwi odskakują. Sadie wpada do pralni w snopie jaskrawego światła.

– Co jej zrobiłeś? – pyta, gdy zauważy mnie skuloną w kącie. Odpycha Morgana na bok, klęka, obejmuje mnie i przyciąga do siebie.

– Nic! – odpowiada Morgan, robiąc wielkie oczy. Wycofuje się do kuchni, żeby dać nam więcej przestrzeni. – Przetawiałem krzesło i drzwi się zatrzasnęły. Tash spanikowała. Próbowałem jej pomóc.

Sadie pomaga mi wstać.

– Ty i ciasne pomieszczenia, co?

Muszę mieć grobową minę, bo Sadie ucina swoje docinki. Morgan idzie do zlewu i wraca ze szklanką wody.

– Znowu Wróbel? – szepcze Sadie.

Kiwam głową z zawstydzeniem.

– Jaki Wróbel? – pyta Morgan, wodząc wzrokiem między nami.

Sadie mruży groźnie oczy.

– Hej, to twój dom – nie wiedziałeś, że drzwi się zatrzasują?

W moim sercu kiełkuje ziarenko wątpliwości. Sadie ma rację. Dlaczego Morgan przesunął krzesło?

– Zapomniałem – zwraca się do mnie. – Mieszkamy tu dopiero od trzech tygodni. Przepraszam, po prostu zapomniałem.

Sadie odbiera od niego szklankę z podejrzliwą miną. Podaje mi ją, ale kręcę głową.

– Nic mi nie jest – zapewniam nieszczerze. Sadie wygląda na równie przekonaną, jak gdybym upierała się, że zamiast głowy mam arbuza. Spoglądam na Morgana. – Nie musisz przeproszać. To był wypadek.

Sadie zerka na niego przez ramię.

– Poradzę sobie. – Jej głos balansuje na cienkiej linii między stanowczym a opryskliwym. Dla dobra interesu mamy dodaje z wymuszonym uśmiechem: – Wszystko gra. Proszę, idź już na swoje przyjęcie.

Morgan odnajduje moje spojrzenie, a ja przytakuję. Wzdycha ciężko i wraca do jadalni. Gdy zostajemy same, Sadie wyciąga stołek spod blatu i wciska mi szklankę do ręki.

– Siadaj – rozkazuje. – Wypij to. Bez dyskusji.

Salutuję jak żołnierz, za co dostaję prztyczka w ucho, a Sadie

maszeruje do pralni. Zaraz potem zaczyna buszować w szafkach w poszukiwaniu wiadra. Osuwam się na stołek i podnoszę szklanę do ust, mój wzrok wędruje po wyspie kuchennej i pada na rozsuwane drzwi w kącie na tyłach kuchni.

W drzwiach stoi Mallory.

Zamieram i zamiast powietrza wciągam wodę. Zginam się wpół, kaszląc, jakby klatka piersiowa miała mi eksplodować. Sadie wystawia głowę z pralni.

– Serio, Carmody? Co znowu?

– To nic – udaje mi się wykrztusić i wskazuję na Mallory. Sadie spogląda w tamtą stronę i marszczy brwi. – Ona po prostu...

Urywam, orientując się, na co patrzy Sadie.

Na pustkę.

Mallory zniknęła, jak gdyby nigdy jej tam nie było.

8

WTEDY

11 marca 2008

Stenogram z sesji z doktor Ingrid Ballantine

Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży

Klinika dziecięca w Newcastle

Pacjentka: Natasha Carmody, 8 lat

IB: Chcesz porozmawiać o Timie?

NC: Dobrze.

IB: Twoi rodzice mają przy nim pełne ręce roboty. Jest taki mały, że sam nie potrafi o siebie zadbać, prawda? Więc rodzice muszą się nim opiekować. Przy niemowlakach zawsze jest dużo pracy.

NC: Tak.

IB: Ale z każdym dniem będzie coraz większy. Mama i tata muszą opiekować się zarówno nim, jak i tobą. Co o tym myślisz?

NC: To dobrze. Jeśli przestaną, może skończyć z głodu.

IB: To prawda. Rodzice będą musieli dzielić swój czas między was dwoje.

NC: Wiem.

IB: Kiedyś miałaś ich tylko dla siebie. Teraz musisz pewnie czasem poczekać, bo zajmują się Timem.

NC: Mhm. I mama jest zawsze zmęczona. Nie chce już ze mną

rysować ani piec muffinek.

IB: Czy to cię złości?

NC: Kiedyś robiłyśmy tyle rzeczy razem. No i Tim dużo płacze. Budzi nas wszystkich w nocy głośnym krzykiem. Ale czasem to nawet dobrze.

IB: Że cię budzi? Dlaczego?

NC: Czasem mam złe sny. Tim ratuje mnie przed nimi.

IB: Tim cię ratuje?

NC: Czasami nie mogę się wybudzić ze złego snu, nie mogę się wydostać. Płacz Tima mnie budzi.

IB: O czym są te złe sny?

NC: Nie pamiętam wszystkich.

IB: Może choć jeden?

NC: Byłam uwięziona w skrzyni i było ciemno. Nie mogłam oddychać.

IB: Bałaś się?

NC: Tak! Waliłam w boki skrzyni rękami, pchałam i kopałam. Byłam ściśnięta! Miałam nogi zgięte w kolanach, a głowa obijała mi się o ścianki. Wieko było – o tu – zaraz za moimi plecami.

IB: No dobrze. Usiądź z powrotem na kanapie. Tak, żeby ci było wygodnie – o właśnie. Widzę, że ten sen budzi twój niepokój.

NC: I nikt mi nie pomaga. Nawet kiedy wołam mamę i tatę, nikt nie przychodzi.

IB: Rozumiem.

NC: Mama mówi, że jest taka zmęczona wstawaniem do Tima, że naprawdę musi się wyspać. Mówi, że mam przestać ją wołać. Mówi, że chcę zwrócić na siebie uwagę.

IB: Mama ci tak powiedziała?

NC: Tacie. Podśluchałam ich. Mówiła, że w ten sposób odreagowuję.

IB: Wiesz, co to znaczy „odreagowywać”?

NC: Nie bardzo. Wiem, co to znaczy „zwracać na siebie uwagę”. To jest wtedy, kiedy chcesz, żeby wszyscy na ciebie patrzyli i się tobą zajmowali.

IB: Uważasz, że czasem robisz albo mówisz różne rzeczy, żeby zwrócić na siebie uwagę rodziców?

NC: Może czasem.

IB: Jakie to są rzeczy?

NC: Mówię: „Przepraszam, mamo”, kiedy chcę ją o coś zapytać.

IB: Mówisz jej, kiedy zdarzy się coś złego? Żeby mogła cię wysłuchać i przytulić?

NC: Tak, ale ona mnie nie przytula. Mówi, że mam przestać zmyślać.

IB: A zmyślasz czasami?

NC: Nie jestem pewna...

IB: Nie jesteś pewna?

NC: Nie, bo kilka razy nikt mi nie uwierzył w rzeczy, które wydarzyły się naprawdę, i teraz nie jestem już nie wiem, czy to była prawda, czy nie. Ale nie zmyśliłam ich.

IB: Mówiłaś wcześniej, że jeśli mama nie będzie się zajmować Timem, to on może „skonać z głodu”. To takie dorosłe określenie. „Skonać z głodu”. Gdzieś je wcześniej usłyszałaś? Twoja mama go użyła?

NC: Nie. On.

IB: Twój tato?

NC: Nie. On.

IB: Twój gość u cioci Ally?

NC: Tak. Czasem mówił okropne rzeczy.

IB: Jakie rzeczy?

NC: Powiedział, że jak nie będę go słuchać, zamknie mnie w skrzyni, nikt mnie nie znajdzie i skonam z głodu.

IB: To rzeczywiście okropne. Jak myślisz, dlaczego powiedział coś takiego?

NC: Bo chciał, żebym robiła różne rzeczy.

IB: Jakie rzeczy, Natasho?

NC: Nie powinnam pani mówić.

IB: Dlaczego?

NC: Nie chciał, żeby dorośli się dowiedzieli.

9

TERAZ

Wieści o moim ataku paniki na przyjęciu u Fisherów obiegły szkołę w mniej niż trzydzieści sześć godzin. Teraz wszyscy rozpamiętują każdy mój najmniejszy kryzys. W poniedziałek przy wyczytywaniu listy obecności jakiś chłopak wymamrotał za moimi plecami „histeryczka”, a potem było już tylko gorzej. Na wtorkowym WF-ie koleżanki Rachel pochlipywały teatralnie, kiedy schodziłam z boiska do siatkówki z nadwyrężoną kostką. A w piątek grupka rozbawionych ósmoklasistów zapytała mnie wprost, czy to ja jestem „tą szurniętą laską, która boi się ciemności”.

Nawet teraz, tydzień po zajściu w pralni, wciąż rumienię się na to wspomnienie. Nie powinnam się dziwić, że Rachel puściła plotkę w obieg. Plotka jest w szkole jej walutą – im jest okrutniejsza, tym lepiej przypomina wszystkim, żeby przypadkiem nie nadepnąć Rachel na odcisk. Rachel nie ma super ocen jak jej brat ani nie jest duszą towarzystwa jak jej matka. Wykorzystuje swoje mocne strony, a jej talentem jest manipulacja. Ale pomimo że spodziewałam się tego po niej, czuję się odrobinę zdradzona przez Morgana, który opowiedział jej, co zaszło w pralni.

Nie musiał jej przecież nic mówić – ani jej, ani nikomu innemu – nawet jeśli nie zna jeszcze Rachel zbyt dobrze i nie wiedział, że zrobi użytek z tej wiedzy. Mam takie niemądre przekonanie, że skoro w drugiej klasie podzieliliśmy się raz kanapką, to Morgan

powinien stać po mojej stronie.

– Jesz go? – pyta Tim, nachylając się nad kuchennym stołem.

Zacisnął palce na moim ostatnim naleśniku. Zwykle w sobotnie poranki jemy płatki, siedząc na dwóch końcach kanapy, ale dziś uparłam się, żeby zjeść przy stole. Dwa tygodnie szkoły, a ja już zaczynam tęsknić za jego umorusaną buzią.

– Skazonego chłopackimi zarazkami? W życiu – odpowiadam i podsuwam mu swój talerz. Tim już zdążył unieść naleśnik w powietrze. Uśmiecha się psotnie, cały umazany syropem klonowym, a ja czuję nagły przypływ siostrzanych uczuć.

– Wielka szkoda – mówi, odchylając głowę do tyłu, żeby wsunąć sobie naleśnik do ust. Truskawka zjeżdża mu po brodzie i plami przód koszulki. Zerka na mnie, mlaszcząc głośno, więc zanurzam koniuszki palców w wodzie i pryskam mu nią w twarz.

– No wiesz, Natasho – odzywa się mama, wkraczając do kuchni. Kładzie na blacie dwie torby z zakupami. – Czasem mam kłopot z ustaleniem, które z was jest dzieckiem. No naprawdę.

Cmoka z niezadowoleniem na widok kropelek wody na stole, po czym zagląda do zlewu, spodziewając się totalnej katastrofy. Szuka brudnej patelni oraz śladów mąki i mleka na blatach. Jestem z siebie niezmiernie zadowolona, gdy kuchnia okazuje się nieskazitelnie czysta. Już wyobrażam sobie uniesioną brew i cichy pomruk świadczący o tym, że mama jest pod wrażeniem.

Ale mama otwiera szarpnięciem zmywarę i mamrocze pod nosem:

– Wszystko trzeba będzie poprzekładać.

Krzesełko skrzypi, gdy wstaję, żeby pozbierać nasze talerze. Tim ukradkiem przewraca oczami, a ja usiłuję zdobyć się na uśmiech.

– Musimy dzisiaj pojechać po buty – oznajmia mama, rozpakowując zakupy. Słoiki i puszki pobrzękują, gdy ustawia je

w równych rzędkach. – Oboje potrzebujecie nowych tenisówek. Pojedziemy do Watergardens, tylko niech Tim zmieni koszulkę.

– Chciałam pójść do starego młyna porobić zdjęcia – protestuję. Mam wrażenie, że nie sfotografowałam niczego od miesiący, chociaż tak naprawdę minęło kilka tygodni. – W środku dnia światło nie jest tak dobre.

– Później nie dam rady, Natasho. Po południu muszę pojechać do Gayle Simpson, żeby zorganizować szkolną akcję charytatywną. Bóg jeden wie, jak znajdę czas, żeby przyszyć Timowi odznaki harcerskie do mundurka przed wieczornym ogniskiem.

– To może ja zabiorę Tima na zakupy? – proponuję. – Możemy pojechać po południu, kiedy ty będziesz u Simpsonów. W ten sposób będziesz mogła przyszyć odznaki teraz, a ja pójdę do młyna.

Tim kiwa z zapalem głową. Jeśli pojedziemy tylko we dwójkę, pojedziemy na churros, a on będzie mógł wydać trochę kieszonkowego na automaty. Przynajmniej będziemy mieć z tego jakąś frajdę.

Mama nawet nie udaje, że się zastanawia.

– Nie. Pojedziemy teraz. Zmień koszulkę, Tim. Spotkamy się przed domem.

Mój brat wydaje z siebie głośny jęk zawodu, po czym zaczyna wlec się po schodach na górę, jak gdyby miał nogi z ołowiu. Zarzucam torbę na ramię z nadąsaną miną. Mama nie zauważa naszych protestów. Nachyla się nad czymś w progu drzwi.

– Co to...? – Prostuje się gwałtownie i cofa o krok. – Fuj!

– Co się stało? – Podchodzę do drzwi i zaglądam jej przez ramię. Na środku wycieraczki leży mała, szarobrązowa kulka.

– Cholerny kot – mruczy mama, pobrząkując nerwowo kluczami. – Bądź tak dobra i usuń to, zanim Tim zobaczy. Mógłby się zdenerwować.

Robi przesadnie wielki krok nad wycieraczką, jak gdyby przechodziła nad krokodylem, a ja wreszcie widzę, na co patrzyła.

Maleńki martwy wróbel.

Kogo ona chce nabrać? Tim jest dziewięcioletnim chłopcem – uwielbia takie paskudztwa. Jediną osobą, która się ich brzydzi, jest ona sama. Chyba ma fobię, bo panicznie boi się dotykać martwych stworzeń albo, co gorsza, własnoręcznie jakieś zabić. Tatę bawi, że mama woli wleźć na oparcie kanapy i wołać o pomoc, zamiast rozgnieść karalucha butem. Jeszcze bardziej bawi go to, że ja, choć nie brzydzę się pajaków ani martwych myszy, nie jestem w stanie przejechać przez myjnię samochodową ani spędzić dłużej niż trzy minuty w toalecie.

Ale to nie my wybieramy, czego się boimy.

To nasze lęki wybierają nas.

Kucam przed wróblem i trącam go palcem, żeby sprawdzić, czy nie jest tylko oszołomiony. Słyszę za plecami ciężkie kroki Tima, więc wstaję, żeby zasłonić przed nim martwego ptaka.

– Ulubiona koszulka mamy – stwierdzam z przekąsem, wskazując ruchem głowy T-shirt z Lordem Vaderem. – Wiesz, że każe ci się przebrać?

Tim uśmiecha się zuchwale.

– Nie mamy tyle czasu – odpowiada i rusza do samochodu, a ja parskam śmiechem.

Kiedy się oddalił, biegnę do kuchni po plastikową torebkę, zakładam ją na dłoń jak rękawiczkę i wracam. Ostrożnie podnoszę wróbla, zaskoczona, że łebek opada mu nienaturalnie na jedną stronę. Kręcę nadgarstkiem w prawo i lewo, a główka wróbla kołysze się na boki, jak gdyby miał szyję z gumy.

Czy kot mógł to zrobić? Skręcić ptakowi kark?

Gdy tylko zadaję sobie to pytanie, uświadamiam sobie coś, co

powinna była zauważyć już w chwili, gdy zajrzałam mamie przez ramię: wróbel nie jest nawet draśnięty. Nie ma na sobie nawet kropli krwi, zmierzwionych piórek, żadnego śladu, że zetknął się z kłami i pazurami Myszy. A kiedy wrzucam go do kubła, otoczonego cementaryjskimi workami ze śmieciami, zauważam coś jeszcze bardziej niepokojącego.

Jest wciąż ciepły.

*

Godzinę później chodzimy po centrum handlowym Watergardens, a ja nie mogę przestać o nim myśleć. Prawie udało mi się przekonać samą siebie, że wróbel rozbił się o nasze drzwi. Ptaki często wlatują w szyby, więc możliwe, że ten też źle ocenił tor lotu. Jedna myśl nie daje mi jednak spokoju, podsycając moją paranoję: czy to wyłącznie zbieg okoliczności, że martwy wróbel pojawił się pod moimi drzwiami zaledwie dwa tygodnie po tym, gdy Rachel zdradziła swoim koleżankom imię mojego wymyślnego przyjaciela? Te dziewczyny zrobiłyby wszystko, żeby jej się przypodobać. Rachel mogła mi zrobić głupi kawał, nie brudząc sobie przy tym wypielegnowanych rączek.

Mama ciągnie nas od sklepu do sklepu z poczuciem misji. Tim zaczyna być rozdrażniony koniecznością przymierzania kolejnych par butów, których nawet nie może sam wybrać.

– Nikt takich nie nosi – marudzi na widok fluorescencyjnych tenisówek. Niechęć do bycia traktowanym jak małe dziecko sprawia, że odmawia zakupu trzech kolejnych par, chociaż wiem, że o nich marzył. Mama nie dostrzega jego prób osiągnięcia samodzielności i w pewnym sensie winię za to siebie. W wieku Tima byłam nieporadna i nieobliczalna. Mama nie miała wyboru – musiała wziąć sprawy w swoje ręce.

Ale Tim nie jest taką sierotą, jaką ja byłam w jego wieku. Jest rozsądny i można na nim polegać. Nigdy nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Odciągam mamę na bok, zostawiając nadąsanego brata przy sportowych skarpetach.

– Może zabiorę go na coś do jedzenia? – pytam. – Załatwisz resztę rzeczy ze swojej listy i spotkamy się za godzinę. – Nie wspominam, że po lunchu wrócę z Timem do sklepu sportowego, żeby sam wybrał sobie buty. Wciąż mam w torebce pięćdziesiąt dolców, które zarobiłam na przyjęciu w ubiegłą sobotę.

Mama nie protestuje. Właściwie zgadza się z westchnieniem wdzięczności. Cieszę się, że znalazłam sposób, żeby jej pomóc. A przede wszystkim zasłużyć na jej zaufanie.

Gdy tylko mama znika, Tim znowu się ożywia. Przed lunchem idziemy na automaty i gramy we flippery oraz w cymbergaja, dopóki nie skończą nam się monety. W drodze do strefy restauracyjnej jestem tak pochłonięta naszą wymyśloną zabawą w „znajdź ukrytego superbohatera”, że prawie zderzam się z kimś przy ladzie kawiarni. Dopiero po sekundzie dociera do mnie, że ten ktoś celowo zastąpił mi drogę.

– Cześć, Tash.

Zawracam i widzę jego okrągłe zielone oczy oraz włosy zmierzwiłone, jakby dopiero co wstał z łóżka. Morgan macha do mnie niepewnie.

– O, cześć. – Staję jak wryta, przez co Tim dopiero po kilku krokach orientuje się, że mnie przy nim nie ma.

– Jak leci? – pyta Morgan, bujając się na piętach. – Tak sobie pomyślałem, że wtedy w sobotę trzeba było wymienić się numerami telefonów. Nie mogłem zadzwonić i zapytać, jak się czujesz po... No wiesz, po przyjęciu.

Mówi tak szybko, że nie jestem pewna, czy się nie

przesłyszałam.

– Chcesz mój numer?

– No... tak. Zgadzasz się? Bo jakoś dziwnie się na mnie patrzysz.

– Nie, tylko... – Oglądam się przez ramię – Tim wpatruje się w witrynę piekarni tuż obok. Ściszam głos. – Czasem trochę świruję.

Morgan nachyla się z konspiracyjnym uśmiechem.

– Każdy ma jakieś wady. Osoby z felerami to mój ulubiony typ ludzi.

Wpatruję się w niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Mógł mieć na myśli swoją siostrę i nie wiem, czy jeśli mu przytaknę, nie wyjdę na nieuprzejmą. Łowi moje spojrzenie i się rumieni. Dopiero teraz załapuję aluzję. Chwileczkę. Ja jestem w jego typie?

– Przepraszam – bąka, biorąc moją zaskoczoną minę za oznakę obrazy. – Nie chciałem powiedzieć, że jesteś... wcale nie jesteś felerna. Tak tylko się wygłupiam.

Gdyby tylko wiedział, że trafił w sedno.

– Możemy puścić tę rozmowę w niepamięć i zacząć od nowa? – pyta niepewnie.

Wybucham śmiechem.

– Zgoda.

Morgan relacjonuje mi przebieg całego tygodnia, zakup podręczników i mundurków szkolnych, opowiada o internetowym kursie rysowania kreskówek, na który się właśnie zapisał, i o tym, jak pomagał tacie malować ściany gabinetu ortodontycznego, dzięki czemu ominęło go rozpakowywanie kartonów.

– Sorry. Aż mi tchu zabrakło – mówi. – Gadam jak nakręcony.

– Naprawdę potrzebujesz tej kawy?

– Chyba nie. – Uśmiecha się. – Spałem dzisiaj tylko kilka godzin.

Nocna sesja grania z Chrisem Tan.

– Aha. Kumplujecie się?

– Na to wygląda. Chris to spoko koleś. Inny niż moi kumple z Brisbane.

– Co masz na myśli?

– Orientuje się, co i jak, mamy podobne zainteresowania techniczno-artystyczne – wyjaśnia. – Większość moich kumpli z Brisbane interesowały tylko szybkie fury albo piłka nożna. Często się przeprowadzaliśmy i zmienialiśmy szkoły, więc starałem się dopasować.

– Nie wiedziałam, że przenosiliście się wiele razy.

– To przez mamę, ona nie potrafi usiedzieć w jednym miejscu – tłumaczy Morgan. – Myślę, że tak naprawdę przez cały czas chciała wrócić do Port Bellamy.

– Takie częste zmiany szkół muszą dawać w kość.

– O tak. Dlatego znalazłem takie hobby, które nie wymaga przebywania w jednym miejscu przez dłuższy czas – ciągnie. – Czyli rysowanie i animacja poklatkowa. Rodzice opłacili mi całą masę kursów online.

– Zrobiłam przez internet kilka kursów fotograficznych.

– Serio? Bardzo chciałbym zobaczyć kiedyś twoje zdjęcia.

– Możesz zajrzeć na mój Instagram. Ale musisz obiecać, że ominiesz nasze głupie selfiki z Sadie.

Morgan chichocze.

– A to kto? – pyta, spoglądając na Tima, który właśnie częstuje się darmowymi próbkami wypieków. – Fajna koszulka.

Już mam zawołać Tima, żeby go przedstawić, kiedy barista wywołuje Morgana.

– Twoja kawa – mówię.

– Tak. – Zerka przez ramię, ale stoi w miejscu. Znów czuję lekkie podekscytowanie, tak jak w tamtą sobotę w jego ogródku. Barista powtarza jego imię, tym razem głośniej. – Okej, lepiej już po nią pójść.

– Widzimy się w szkole w poniedziałek?

– No jasne – odpowiada i biegnie odebrać kawę.

*

W strefie restauracyjnej Tim zamawia tłustego burgera z całą masą dodatków, smażoną cebulką i piklami. Jestem przekonana, że połowa z tego wylądzuje mu zaraz na kolanach. Notuję w pamięci, żeby wziąć więcej serwetek z sushi baru, kiedy będę kupować lunch dla siebie.

– Nigdzie nie chodź, dobrze? – mówię do Tima, odkręcając mu butelkę z wodą. Jest zajęty zlizywaniem z nadgarstka smużki ketchupu. – Idę zamówić dla siebie sushi w tamtej restauracji. Zaczekaj tu mnie, okej? Tim? Słuchasz mnie?

– Mmm – stęka, błędząc wzrokiem po sklepowych szyldach i obrotowych reklamach.

Ludzie kłębią się przy stoiskach z jedzeniem jak wyrojone pszczoły, z trudem toruję sobie między nimi drogę. Kiedy wreszcie docieram do baru z sushi, Tim wciąż znajduje się w zasięgu mojego wzroku. W kolejce do kasy stoi pięć osób, więc rozglądam się po okolicznych sklepach. Moje spojrzenie prześlizguje się z pobliskiej księgarni na sklep z artykułami dekoracyjnymi, gdzie na wystawie stoją plastikowe flamingi, które na pewno spodobałyby się Sadie. Rozglądam się po zatłoczonych alejkach, gdy nagle coś przykuwa moją uwagę.

Pod ruchomymi schodami stoi jakaś postać.

Obserwuje mnie.

To mogłaby być zwykła zakapturzona postać w tłumie. Noszenie kaptura we wnętrzach jest trochę dziwne, ale nastolatki często się tak ubierają. Gdyby stał przed sklepem muzycznym, a nawet minął mnie w korytarzu, nie zwróciłabym na niego większej uwagi. Ale w rzece ludzi wylewających się z ruchomych schodów jest niczym rozdzielająca nurt skalna ostroga. Ludzie wymijają go, rejestrując jego obecność, ale go nie widzą.

Ja go widzę.

Jak gdybym wyostrzyła go w obiektywie aparatu, a cała reszta rozmyła się w tle. Ręce wetknął w kieszenie workowatych džinsów, bluza wisi na jego chudej sylwetce. Głowę przekrzywił w bok, jak gdyby coś rozważał. Kalkulował. Cień bluzy zasłania górną połowę twarzy, wargi odsłaniają popsute zęby w grymasie, który aż za dobrze znam ze swoich koszmarów.

„Chcesz się pobawić?”

Zaciskam powieki.

Przestań, Tash. To nie on.

Robię głęboki wdech, a potem wypuszczam powietrze. Kiedy otwieram oczy, już go nie ma.

Spoglądam na nasz stół. Zadowolony Tim nadal pałaszuje hamburgera. Przyciskam pięści do czoła i masuję skronie okrężnymi ruchami, aż poczuję ból za oczami.

Dlaczego to się znowu dzieje?

Przy ruchomych schodach wszystko wygląda zwyczajnie. Ludzie mociją się ze sklepowymi wózkami, nastolatki wysyłają SMS-y, tatusiowie niosą maluchy na barana. Usiłuję skupić się na menu sushi baru i nie oglądać się przez ramię. Ale instynkt wygrywa ze zdrowym rozsądkiem i wbrew sobie zaczynam przeczesywać wzrokiem zatłoczone korytarze jak w jakiejś makabrycznej wersji zabawy w „Gdzie jest Wally?”. Wychodzę z kolejki, zbyt

rozkojarzona, żeby przejąć się tym, że ktoś natychmiast zajął moje miejsce.

Wodzę wzrokiem od jednej lśniącej witryny do drugiej, od jednej osoby do drugiej. Wypatruję, tropię, poluję.

I wtedy go zauważam.

Osiem sklepów dalej, wygląda zza kolumny.

Serce wali mi w piersi.

Jak to? Przecież się go pozbyłam! Jak, u licha, się tu znalazł?

Ktoś postanowił zrobić mi głupi dowcip, a ja zaraz go zdemaskuję.

Puszcza się truchtem, gdy zauważy, że się zbliżam. Przepycham się przez tłum, wpadając na ludzi i mamrocząc przeprosiny, usiłując nie stracić z oczu podskakującej czarnej bluzy. Przed strefą restauracyjną tłum gęstnieje. Rozglądam się na prawo i lewo, analizując każdy ciemny strój. Żaden nie należy do niego. To nie on.

Do oczu napływają mi gorące łzy, z gardła wyrywa się pomruk frustracji. Nie mogę uwierzyć, że po tylu sesjach z doktor Ingrid znów zastanawiam się, co jest prawdą, a co nie.

Czując się jak ostatnia idiotka, wlekę się z powrotem. Kompletnie straciłam apetyt, w żołądku czuję narastający niepokój. Zerkam na zegarek – zbliża się godzina spotkania z mamą, pora, żeby wziąć się w garść i przykleić do twarzy uśmiech. Zachowywać się normalnie.

Gdy zbliżam się do naszego stolika, stwierdzam, że musiałam gdzieś źle skręcić.

Coś tu nie gra.

Oglądam się za siebie, żeby zorientować się względem baru z sushi. To zdecydowanie jest to miejsce, gdzie zostawiłam Tima.

Ogarnięta dławiającą paniką, potykając się o krzesła, przeciskam się do naszego stolika. Na wpół zjedzony hamburger Tima leży rozbabrany na papierowym opakowaniu. Z przewróconej butelki woda wylewa się na podłogę, a Tim...

Tim zniknął.

10

WTEDY

„The Mid Coast Times” (numer archiwalny)

Dział: Wydarzenia

Data: 19 stycznia 2008

PORT BELLAMY, NOWA POŁUDNIOWA WALIA.
Zaginiona przez tydzień sześciolatka odnaleziona żywa.

Policja potwierdziła, że Mallory Fisher, która zniknęła w ubiegłą sobotę z terenu wesołego miasteczka w Greenwillow, odnalazła się wczoraj nieopodal szlaku turystycznego ponad czterdzieści kilometrów od miejsca zaginięcia. Około godziny szesnastej została zauważona przez turystów, gdy usiłowała wydostać się z koryta wyschniętego strumienia w Parku Narodowym Barrington Tops.

Brandon Elliott, dziewiętnastoletni student wędrujący w tamtej okolicy z rodzicami, twierdzi, że usłyszał „kwilenie”, które wziął za odgłos rannego zwierzęcia. Kiedy zajrzał do wąwozu, zobaczył małą dziewczynkę, usiłującą wspiąć się po stromym kamienistym zboczu. Nie był w stanie powiedzieć, czy dziewczynka miała na sobie żółtą sukienkę, w którą Mallory była ubrana w chwili zaginięcia, ponieważ była „strasznie brudna”, ale potwierdził, że nie miała butów ani sweterka. Elliot stwierdził również, że była podrapana i „wyglądała, jakby miała powyrywane włosy. Była mocno poturbowana”.

Mallory była wyziębiona, odwodniona i miała liczne skaleczenia. Przewieziono ją do szpitala Johna Huntera w Newcastle, gdzie obecnie przebywa. Według jej ojca, Daniela Fishera, jej stan jest stabilny, choć dziewczynka jest „oszołomiona i wyczerpana”.

Nie wiadomo, jak długo Mallory błąkała się po Parku Narodowym Barrington Tops. Policja uważa, że przetrzymywano ją wcześniej w innym miejscu. Ogólny stan jej zdrowia wskazuje na to, że z dużym prawdopodobieństwem nie przebywała na dworze przez cały okres zaginięcia. Inspektor Owen Morris oświadczył też, że „charakter odniesionych obrażeń świadczy o kontakcie z inną osobą lub osobami”. Inspektor Morris nie chciał spekulować, czy ewentualny porywacz nadal przebywa na wolności. Potwierdził, że psy policyjne przeszukują okolicę.

„Teraz, gdy Mallory odnaleziono całą i zdrową, skoncentrujemy nasze wysiłki na zbadaniu okoliczności jej zaginięcia oraz sposobu, w jaki znalazła się w parku narodowym” – oświadczył inspektor Morris.

Potwierdził, że śledczy chcą dziś porozmawiać z Mallory, ale przede wszystkim mają na uwadze dobre samopoczucie dziecka. „Jak można się domyślać, Mallory musi dojść do siebie po tym wszystkim, co ją spotkało. Musimy mieć pewność, że dobrze się czuje, zanim ją przesłuchamy”.

Policja prosi o kontakt osoby posiadające jakiegokolwiek informacje, które mogłyby pomóc w śledztwie.

11

TERAZ

Tylko nie to.

Tylko nie to, tylko nie to.

Bezradnie okrążam stolik.

– Tim? – wołam na cały głos. Obracam się. – Tim?

Ludzie przy pobliskich stolikach spoglądają na mnie z zaciekawieniem, ale nieco dalej moje krzyki toną w ogólnym gwarze galerii handlowej.

Dlaczego zostawiłam go samego? Po co, do cholery, pobiegłam gonić za przywidzeniem?

Bo Wróbel tego chciał. Zostawiłaś Tima samego, żeby mógł go porwać, tak jak porwał Mallory.

Przesuwam palcami po czaszce i zaciskam powieki.

Nie.

Doktor Ingrid powtarza, że Wróbel był wymysłem samotnej, spragnionej uwagi dziewczynki. Wróbel nie dostał się do mojej sypialni w domu cioci Ally, nie zamknął mnie w skrzyni ani nie porwał Mallory z lunaparku. Nie ma znaczenia, jak zapamiętałam te wydarzenia – teraz wiem, że je zmyśliłam.

– Przepraszam – zwracam się do starszej pani przy stoliku obok. – Czy nie widziała pani małego chłopca, który tu siedział? Blond włosy. Koszulka z Lordem Vaderem?

– Oczywiście, skarbie. – Odstawia kubek z kawą i spogląda na mnie znad oprawek okularów. – Uwalał się cały jedzeniem, a wtedy pojawił się jego przyjaciel i go zabrał.

Czuję w piersi ucisk.

– Jego przyjaciel?

– Tak, skarbie. Poszli w tamtą stronę. – Starsza pani wskazuje przeciwny koniec strefy restauracyjnej. – Chłopiec ucieszył się na jego widok. Wyglądał całkiem sympatycznie.

Bo takie sprawia wrażenie. Podstępem skłania cię, żebyś zrobił to, czego chce.

Zaciskam powieki.

– Przestań – syczę pod nosem. Kiedy otwieram oczy, kobieta przygląda mi się dziwnie. Bąkam „dziękuję” i zaczynam miotać się między stolikami, przeczesując strefę restauracyjną od jednego końca do drugiego. Kiedy docieram do salonu gier, wiem już, że nic z tego nie będzie. Muszę zadzwonić do mamy.

Odbiera przy trzecim dzwonku.

– Skończyliście jeść? Będę u was za pięć minut.

– Mamo, zgubiłam Tima – rzucam. – Siedział przy stoliku, ja poszłam po jedzenie, a kiedy wróciłam, jego nie było, wszędzie go szukałam i nie wiem, gdzie się podział.

– Natasho, mów wolniej. Co z Timem? Gdzie on jest?

– No właśnie mówię! Zostawiłam go przy stoliku, a kiedy wróciłam, już go nie było. – Czuję się jak zamroczona, jest mi niedobrze. Istnieje realne ryzyko, że zwymiotuję przed samym wejściem do marketu.

W słuchawce zalega cisza i przez moment myślę, że połączenie zostało przerwane.

– Mamo? Jesteś tam?

Głos ma lodowaty, gdy odpowiada:

– Chcesz powiedzieć, że zostawiłaś Tima samego?

To moja wina – moja wina – i obie o tym wiemy.

– Na minutę – kłamie. – Poszłam tylko po sushi.

Mama i tak już nie słucha, bo nie ma znaczenia, gdzie byłam. Zostawiłam Tima bez nadzoru. Nie opiekowałam się bratem, koniec tematu.

– Idę do informacji na poziomie pierwszym – oznajmia. – Poproszę o nadanie komunikatu w całej galerii. Tam się spotkamy.

Dowodem skuteczności mojej mamy jest fakt, że komunikat zostaje nadany, jeszcze zanim zejdem z ruchomych schodów.

„Do Tima Carmody, twoja mama czeka na ciebie w punkcie informacyjnym na poziomie pierwszym. Do Tima Carmody, twoja mama czeka na ciebie w punkcie informacyjnym na poziomie pierwszym”.

Tylko „twoja mama”. Nie siostra, która tak beztrąsko cię zgubiła.

Pełna lęku pokonuję ostatnie kilka metrów do miejsca, w którym stoi mama. Rozmawia z dwoma ochroniarzami wyposażonymi w krótkofalówki, a kiedy mnie zauważa, niecierpliwym gestem daje znać, że bym podeszła. Mężczyźni w czarnych uniformach kierują poszukiwaniami. Poczucie [déjà vu](#) jest obezwładniające.

Powtarzam swoją opowieść, pomijając fragment, w którym gonię zakapturzonego wymyślonego przyjaciela. Wspominam o starszej pani, która widziała, jak Tim oddala się z nieznanym.

– Opisała go? – pyta jeden z ochroniarzy. – Jak wyglądał?

– Ja... nie zapytałam – odpowiadam, porażona własną naiwnością. Nie zapytałam o to, bo wiem przecież, jak wygląda Wróbel. Tylko że on nie jest prawdziwy. Więc jak ta kobieta mogła go zobaczyć?

Mama wzdycha ciężko, a ochroniarze oddalają się szybkim krokiem. Opadam na drewnianą ławkę i opieram łokcie o kolana, żeby się nie trzęsły. Nie jestem w stanie spojrzeć mamie w twarz, zresztą i tak nie jest mną zainteresowana. Naciska na kobietę w informacji, żeby nadała kolejny komunikat, i dopytuje się, kiedy powinna zawiadomić policję.

W sklepie z odzieżą tuż obok dudni głośna muzyka, ze środka wychodzi grupka rozchichotanych nastolatków, którzy mijają mnie beztrosko. Chowam twarz w dłoniach i wbijam wzrok we własne buty.

Jak mogłam zostawić Tima samego? Nawet gdybym znów nie odpłynęła myślami, nawet gdybym nie wyobraziła sobie, że widzę Wróbla, jak mogłam zostawić dziewięciolatka samego w zatłoczonej restauracji, kiedy po świecie chodzi tylu popaprańców?

Zerkam na mamę, na jej twarz zastygłą w maskę niepokoju. Nasze spojrzenia spotykają się i przez moment wyczuwam wątpliwość porozumienia, dostrzegam okazję, żeby okazać jej wsparcie. Wstaję i podchodzę do niej, moja ręka zawisa przy jej łokciu. W tej samej chwili komórka mamy zaczyna wibrować w torebce, więc sięga po nią, nieumyślnie odtrącając moją dłoń. Odbiera i nachyla się nad kontuarem, dzięki czemu ma wymówkę, żeby się ode mnie odwrócić. Mam wrażenie, że przez całe swoje życie widuję tylko plecy mamy, jej założone na piersi ręce, wysunięty podbródek.

Mija następne dziesięć minut, które wleką się w nieskończoność. Z głośników płyną kolejne komunikaty. Pojawia się jeden z ochroniarzy, ale nie ma nam nic do powiedzenia. Mama informuje tatę na bieżąco, a ja chodzę tam i z powrotem, czując się kompletnie bezużyteczna.

A potem je słyszę: szybkie kroki, odgłos gumowych podeszew na

polerowanym betonie. Głos Tima.

– Tash, jestem tutaj! Jestem tutaj!

Okręcam się i widzę go pędzącego korytarzem w moją stronę. Ledwo zauważam postać przedzierającą się za nim przez tłum. Widzę tylko Tima biegnącego do mnie z mieszaniną skruchy i ulgi na twarzy... i mamę, która przechwytyje go, zanim do mnie dotrze.

– Dzięki ci, Boże – mówi, biorąc go w objęcia. – Gdzieś ty był? Zamartwiałam się o ciebie na śmierć.

Tim usiłuje uwolnić się z jej uścisku, zły, że mama robi scenę w miejscu publicznym. Wygląda jej zza ramienia, szukając mnie wzrokiem.

– Wywaliłem na siebie cały lunch – tłumaczy. – Musiałem się umyć. Szukaliśmy cię, ale nie mogliśmy cię znaleźć.

Czuję ucisk w żołądku. Tim zerka za siebie, a ja podążam za jego spojrzeniem i dostrzegam szczupłą postać przy informacji. Morgan uśmiecha się do mnie niepewnie. W mojej głowie znów budzą się podejrzenia.

– Bardzo mi przykro – mówi, spoglądając to na mnie, to na moją mamę. – Nie chcieliśmy nikogo wystraszyć.

Przez chwilę obie z mamą nie jesteśmy w stanie wykrztusić ani słowa.

– Dokąd go zabrałeś? – pyta w końcu mama. – Po co?

– Burger spadł mi na kolana – tłumaczy Tim, wskazując wilgotną plamę z przodu szortów. Wygląda jak resztki sosu pomidorowego. – Próbowałem to wyczyścić i wtedy przewróciłem butelkę z wodą. – Patrzy mi w oczy, z miną na poły zawstydzoną, na poły oskarżycielską. – Nie mogłem cię znaleźć.

– Stałam w kolejce po sushi – mówię cicho, czując na sobie wzrok mamy. – Pokazywałam ci, gdzie to jest, pamiętasz?

– Wcale tam nie stałaś – mówi stanowczo Tim. – Szukaliśmy cię tam.

Zerka na Morgana, licząc na wsparcie. Mama unosi brew. Nie ma pojęcia, kim jest Morgan. Jeśli uważała, że ma powody do niepokoju, niech no tylko się dowie, kto to.

Morgan odchrząkuje i podchodzi bliżej.

– Przechodziłem właśnie przez część restauracyjną i zobaczyłem, jak Tim sprząta stół. – Spogląda na mnie. – Rozpoznałem jego koszulkę. No wiesz, widzieliśmy się wcześniej. Połowę lunchu zrzucił sobie na kolana i usiłował to jakoś wyczyścić.

Tim wierci butem w posadzce, zawstydzony. Morgan puszcza do niego oko.

– Chwileczkę – odzywa się mama. – Wy się znacie? – Mierzy mnie groźnym wzrokiem, jakby to był żart, którego nie zrozumiała i nie była tym wcale zachwycona.

– Jestem kolegą Tash – odpowiada Morgan. Nie dodaje nic więcej, a ja dziękuję mu w duchu. Nie wie, że gdyby wymienił nazwisko Fisher, znacznie pogorszyłby sytuację.

– Nie słyszałeś komunikatów? – pyta mama, mrużąc oczy. – Dlaczego nie przyprowadziłeś go tutaj, gdy tylko usłyszałeś, że go szukamy?

Mnie też to przyszło do głowy.

– Byliśmy w męskiej toalecie – wyjaśnia Tim. – Zdjąłem szorty, żeby sprać plamę pod kranem.

Na szyi mamy napina się ścięgno.

– Zdjąłeś szorty?

– Nie, nie, nie – protestuje Morgan, machając rękami. – Tim był w kabinie. Podał mi spodenki pod drzwiami, żeby mógł je oczyścić. Nikt go nie widział.

Rzuca mi rozpaczliwe spojrzenie, bo mama nie przestaje świdrować go wzrokiem.

– Suszyłem szorty pod suszarką do rąk – dodaje. – Dopiero pięć minut temu usłyszeliśmy komunikat. – Znow na mnie zerka. – Mieliśmy zamiar cię odszukać.

– Przy barze z sushi – dopowiada mama, kierując swój sceptycyzm ku mnie. – Gdzie podobno stałaś przez cały czas w kolejce.

Morgan posyła mi przepaszające spojrzenie, ale jest też zaintrygowany. Będę się musiała przyznać, że wcale mnie tam nie było, a powód mojego zniknięcia zabrzmiałby kompletnie absurdalnie. Morgan uzna mnie pewnie za wariatkę, a mama natychmiast wybierze numer doktor Ingrid, lecz jedyną osobą, o którą się martwię, jest Tim. Nie chcę, żeby myślał, że nie może mi zaufać.

Krople potu występują mi nad górną wargą, staram się wymyślić jakąś wymówkę.

– Nie wiem...

Morgan spogląda to na mnie, to na moją mamę. Widzi, jak się wiję.

– Zaczekaj – mówi, pstrykając palcami. – Są dwa bary z sushi, prawda? Musieliśmy cię szukać przy tym drugim.

– Eee, tak – przytakuję. – Chyba tak.

– To nie zmienia faktu, że musisz być ostrożniejsza, Natasho – mówi mama. – Gdybyś została przy stole z Timem, nie doszłoby w ogóle do tej sytuacji. Jesteś kompletnie nieodpowiedzialna.

Odwraca się, żeby powiadomić ochronę, że można odwołać poszukiwania. Szybko przyciągam Tima do siebie, obejmuję go i całuję w czubek głowy.

– Tak mi przykro, Timber. Nie powinnam była zostawiać cię samego. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy, zgoda?

Wzrusza ramionami, wpatrzony w sklep z elektroniką tuż obok.

Kiedy mama dzwoni do taty, Morgan łagodnie odciąga mnie na bok. Chociaż jestem wykończona, czuję lekkie mrowienie w miejscu, gdzie dotyka palcami mojej skóry.

– Wszystko gra?

Zdobywam się na blady uśmiech.

– Oprócz tego, że mama uważa mnie za kompletną ofiarę? Tak, jakoś przeżyję.

– Nie przejmuj się. Mam wrażenie, że podpadłem jej bardziej niż ty.

– Dzięki, Morgan. – Nie precyzuję, za co właściwie jestem mu wdzięczna, ale mam nadzieję, że się domyśli. Unosi podbródek, jakby wiedział, że jego pomoc nie ograniczyła się wyłącznie do opieki nad Timem.

– No wiesz, gdybyś dała mi wtedy swój numer... – droczy się – nic by się nie stało.

Jestem w szoku. Do głowy przychodzi mi absurdalna myśl: czy on próbuje mi powiedzieć, że zabrał Tima specjalnie? Żebym zwróciła na niego uwagę?

Na widok mojej miny Morgan robi wielkie oczy.

– Chciałem tylko powiedzieć, że mógłbym wtedy zadzwonić do ciebie z restauracji – tłumaczy. – I nie doszłoby – macha ręką w stronę informacji – do tego wszystkiego.

Odpycham od siebie tę niedorzeczną myśl. Jezu, Tash... Weź się w garść.

– No dobrze – mówi mama, podchodząc stanowczym krokiem, i bierze Tima za rękę. – Pora wracać. – Po raz ostatni mierzy Morgana wzrokiem, a Tim uwalnia dłoń z jej uścisku. – Dziękuję ci za pomoc... – zawiesza głos i przekrzywia głowę, zachęcając

Morgana, żeby się przedstawił.

– Morgan – podsuwa, wyjmując rękę z kieszeni, jak gdyby chciał ją podać mamie. Gdy ta nie reaguje, opiera ją niezręcznie na biodrze.

– Morgan. Dziękuję cię, Morgan. – Twarz mamy przybiera wyraz wystudiowanej serdeczności. Dziękuje obsłudze informacji i prowadzi Tima w stronę parkingu. Ruszam za nimi, a Morgan za mną.

– Hej, gdybyś chciała kiedyś pogadać o dzisiejszym – mówi ściszym głosem – chętnie posłucham.

Wie, że nie było mnie przy barze z sushi i że pozwoliłam mu okłamać mamę, żeby ratować własną skórę. Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem mu winna prawdę, ale nie mam pojęcia, jak mu to wytłumaczyć, żeby nie wyjść na kompletną świruskę.

– Trudno się po czymś takim pozbierać – ciągnie Morgan, znów wpychając ręce do kieszeni. – Kiedy zaginie młodszy brat albo siostra, która była pod twoją opieką.

Staję jak wryta. Morgan robi jeszcze krok i też się zatrzymuje. Ogląda się przez ramię, a z jego twarzy biją taka szczerość i otwartość, że mam ochotę wszystko mu natychmiast opowiedzieć. Nie tylko o tym, co stało się dzisiaj, ale również w przeszłości.

Zamiast tego tchórzę.

– Ale Mallory nie ma chyba do ciebie pretensji? – Robię pół kroku w jego stronę. – To przecież nie twoja wina, że ktoś ją wywabił spod toalet.

Marszczy brwi.

– Nikt mnie otwarcie o nic nie oskarżył. – Morgan marszczy brwi jeszcze mocniej, a mój puls przyspiesza. – A dlaczego powiedziałaś, że Mallory uprowadzono spod toalet? Policja twierdziła, że oddaliła się sama i prawdopodobnie ktoś porwał ją

z jakiejś bocznej drogi.

– Ja... – Żołądek mi wariuje. – Masz rację. Pomyliło mi się. To było tak dawno, że wszystko mi się płące.

Morgan przygląda mi się uważnie, a ja mam wrażenie, że przejrzał mnie na wylot. Na ułamek sekundy jego wzrok poważnieje, a ja zadaję sobie pytanie, czy powinnam się bać. Zaraz zacznie się domagać szczegółów i będę musiała mu opowiedzieć, jak to uroiłam sobie, że jego siostrę porwał mój wymyślony przyjaciel.

– Muszę już iść. – Wskazuję głową mamę i Tima znikających za automatycznymi drzwiami. – Lepiej, żeby mama nie musiała na mnie czekać. Jeszcze raz dziękuję i przepraszam, że cię w to wciągnęłam.

Jeśli w spojrzeniu Morgana krył się cień podejrzliwości, to teraz zniknął.

– W porządku. Powiedz Timowi, że fajnie było go poznać. Mam nadzieję, że twoja mama ochłonie i nie da ci za bardzo popalić.

Może dlatego, że nie domaga się wyjaśnień, a może to przez ten jego uśmiech ukazujący przekrzywiony przedni ząb, w każdym razie Morgan sprawia, że mam ochotę być bardziej szczerą wobec samej siebie. Więc dlaczego okłamuję wszystkich wokół, że terapia doktor Ingrid zakończyła się sukcesem? Czy dlatego, że tak naprawdę nie zgadzam się z postawioną mi diagnozą? A może tak rozpaczliwie pragnę być normalna, że wolę, by Wróbel był człowiekiem z krwi i kości niż skazą na moim zdrowiu psychicznym?

Wiem, że nie wszystko jest ze mną w porządku – fakt, że wywołałam dzisiaj Wróbla, najdobitniej o tym świadczy. Najgorsze, co mogłabym zrobić, to wciągnąć w moje kłopoty osoby trzecie, zwłaszcza Fisherów. Powinnam porozmawiać z rodzicami.

Powinnam umówić pilne spotkanie z doktor Ingrid, zamiast czekać aż do czerwca.

Ale wiem, że nie zrobię żadnej z tych rzeczy.

Zamiast tego spróbuję skłonić niemowę do rozmowy.

12

WTEDY

28 marca 2008

Stenogram z sesji z doktor Ingrid Ballantine

Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży

Klinika dziecięca w Newcastle

Pacjentka: Natasha Carmody, 9 lat

IB: Wyglądasz trochę inaczej niż na naszym ostatnim spotkaniu, Natasho.

NC: Parę tygodni temu skończyłam dziewięć lat. I zmieniłam fryzurę.

IB: Wyglądasz bardzo dorośle. Świątowaś urodziny z przyjaciółmi?

NC: Tylko z mamą i tatą. I z Timem.

IB: Czy...

NC: Właściwie nie mam żadnych przyjaciół.

IB: Nie? Nie bawisz się z dziećmi z klasy?

NC: Kiedyś tak, ale teraz dzieci nie chcą się ze mną bawić.

IB: Jak myślisz – dlaczego?

NC: Wyzywają mnie od dziwolągów. Jeden chłopiec powiedział, że jestem psychiczna.

IB: Psychiczna? Jak sądzisz, o co mu chodziło?

NC: Nie jestem pewna. Przypadkiem zatrzasnęłam się w schowku i wpadłam w panikę. Płakałam i kopałam w drzwi, a teraz dzieci myślą, że jestem dziwaczką.

IB: To trochę jak we śnie, o którym mi opowiadałaś. Tym, w którym byłaś zamknięta w skrzyni. Bałaś się tak jak wtedy?

NC: ...

IB: Czy w szkole czujesz się czasem samotna?

NC: Hm... Raczej nie. Nie jestem pewna.

IB: Masz wrażenie, że nauczycielka i koledzy z klasy nie zwracają na ciebie uwagi?

NC: Nie zrobiłam tego specjalnie. Przypadkiem zwolniłam blokadę drzwi, kiedy pani Brooks posłała mnie po pędzle.

IB: Rozumiem.

NC: Musiała iść po klucz do pokoju nauczycielskiego. Czułam się jak w pułapce. Myślałam, że skończy mi się powietrze. Byłam przerażona, kopałam i płakałam. Niektóre dzieci śmiały się ze mnie, kiedy otworzyła drzwi.

IB: Rozumiem.

NC: Myślałam, że może to być... (stłumione)

IB: Możesz mówić głośniej? Nie słyszę cię, kiedy chowasz twarz w poduszce.

NC: ...

IB: Powiedziałaś: „może to był”...?

NC: On.

IB: Jeden z chłopców w klasie?

NC: Nie, on.

IB: Twój przyjaciel, który cię odwiedza?

NC: On nie jest moim przyjacielem. Robi mi paskudne kawały,

więc pomyślałam, że to był on.

IB: Odwiedzał cię wcześniej w szkole?

NC: Nie. To znaczy raz wydawało mi się, że widziałam go w bibliotece, ale chyba tylko go sobie wyobraziłam. Szukałam go między regałami, ale nikogo tam nie było, więc tylko podpadłam panu Halliwell.

IB: Aha. Więc może jednak go sobie wyobraziłaś?

NC: Tak.

IB: Czy było więcej takich sytuacji, kiedy wydawało ci się, że coś widzisz, ale mogła to być tylko twoja wyobraźnia?

NC: Hm... może.

IB: Pamiętasz, jak powiedziałaś rodzicom, że widziałaś, jak wprowadzono tamtą dziewczynkę z lunaparku?

NC: Tak. To się wydarzyło naprawdę. Nie wyobraziłam sobie tego.

IB: Dobrze, pomówmy zatem o tamtym dniu. O dziewczynce, która zaginęła.

NC: Nazywa się Mallory Fisher.

IB: Zgadza się. Mallory. Z kim widziałaś Mallory?

NC: Z Morganem. To jej brat. Chodzi ze mną do szkoły, to znaczy teraz już nie. Przeprowadzili się.

IB: I to z nim widziałaś Mallory tamtego dnia?

NC: Poszłam za nimi do łazienki.

IB: Była z tobą ciocia? Poszła z tobą do łazienki?

NC: Nie. Miała coś do załatwienia, więc zostawiła mnie samą. Miałam się z nią spotkać przy kasie z biletami tuż po zamknięciu.

IB: Byłaś zupełnie sama w wesołym miasteczku?

NC: Aha.

IB: Mówiłaś, że czasem, gdy czułaś się samotna, odwiedzał cię twój przyjaciel. Pamiętasz?

NC: Tak. Ale on nie jest moim przyjacielem. I naprawdę tam był. Chociaż wcale go o to nie prosiłam.

IB: Mam wrażenie, że łączy was wyjątkowa więź. Myślisz, że on pojawia się, kiedy go potrzebujesz?

NC: Nie! Nie potrzebuję go! Nawet go nie lubię. W wesołym miasteczku zachował się wstrętnie. Oszukał mnie i zamknął w pudle. Uwięził mnie w środku!

IB: W kartonowym pudle?

NC: Nie, w takim twardym.

IB: W kufrze?

NC: Tak!

IB: Tak jak w twoim śnie?

NC: To nie był sen. On naprawdę to zrobił. Zamknął mnie w środku.

IB: Twój przyjaciel?

NC: On nie jest moim przyjacielem!

13

TERAZ

Ukryta pod molo czekam cierpliwie, aż słońce wypali resztki mgły. Poranek jest spokojny, jeśli nie liczyć poświstywania wiatru w trawach na plaży i odległego szumu wypływających w morze kutrów rybackich. Gdy słońce wschodzi nieco wyżej, robię kilka zdjęć lustrzanką, chociaż w portfolio mam już całą masę nadmorskich pejzaży. Coraz mniejsza liczba lajków dla moich zdjęć na Instagramie mówi mi coś, co już sama wiem – to wszystko niezbyt oryginalne pocztówki. Nie wypadnę dobrze na egzaminach na uniwersytet, jeśli nie wymyślę czegoś bardziej osobistego.

Na domiar złego nie mam dzisiaj serca do robienia zdjęć. Od czasu zajścia w centrum handlowym sytuacja w domu jest napięta, a mama prawie się do mnie nie odzywa.

Za to ma mnóstwo rzeczy do powiedzenia tacie.

– Myślałam, że wyrosła już z tych nieprzewidywalnych zachowań – oznajmiła wczoraj wieczorem. Siedziałam na schodach, kiedy razem z tatą sprząтали po kolacji. – Naprawdę nie wiem, Rich. Jak ona sobie poradzi na studiach, skoro nie można jej powierzyć żadnego odpowiedzialnego zadania?

– Może to nie jest przejściowy problem – odparł tata. – Możemy co najwyżej reagować na bieżąco. To najwyraźniej nie jest coś, z czego ona po prostu wyrośnie.

– Więc o co chodzi? Myślisz, że to wciąż kwestia zazdrości? Myślisz, że specjalnie zostawiła Tima samego, żeby sprawdzić, co się stanie?

Musiałam zagryźć wargę. Za kogo oni mnie mają? Jak mama może myśleć, że celowo narażałabym Tima, „żeby sprawdzić, co się stanie”?

Trzymanie mamy na dystans to teraz jedyny sposób, abym nie powiedziała czegoś, czego będę żałować. Gdybyśmy mogły zejść sobie z oczu na parę dni, obie miałybyśmy szansę wyciszyć emocje.

Ustawiony w komórce alarm daje mi znać, że właśnie otwarto szkolną pracownię komputerową. Mam pełną kartę pamięci do skopiowania, żeby jeszcze w tym tygodniu zająć się edycją zdjęć. Zakładam skarpetki oraz buty i otrzepuję mundurek z piasku. W lekko wypchniętej kieszeni marynarki coś szeleści, wsuwam rękę do środka i wyjmuję zmięty kawałek papieru.

Na kartce widnieje, zanotowany pismem mojej mamy, numer telefonu cioci Ally.

*

Przez dziesięć minut, bo tyle zajmuje mi droga do szkoły, obracam świstek papieru w palcach, a gdy dochodzę do budynku C, wiem już, że muszę zadzwonić teraz, zanim stchórzę.

Przystaję na pustych schodach, robię głęboki oddech i wybieram numer ciotki. Odbiera po sześciu sygnałach, szeleszcząc czymś i przeklinając pod nosem.

– Ally? Mówi Tash. Twoja bratanica. Z Port Bellamy.

Milczenie trwa tak długo, że słyszę, jak ciotka ziewa.

– Tash? Cześć, skarbie. – Przez telefon jej głos jest głębszy, ochryply i zaflegmiony. – Miło cię słyszeć. Nie byłam pewna, czy dostałaś moją wiadomość. Znasz swoją mamę...

Czy znam moją mamę? Dobrze sobie.

– Przepraszam, że dopiero teraz się odezwałam.

– Nie ma o czym mówić. Pamiętam siebie w twoim wieku, tyle się wtedy działo – mówi. – Posłuchaj. Chodzi o drugi weekend marca.

– Tak?

– Masz ochotę wpaść do mnie na kilka dni?

Po tamtej wizycie jako dziecko nie miałam najmniejszej ochoty wracać do domu w Willow Creek, gdzie popękany stiuk przywodził na myśl łuszczący się makijaż wyszczerzonego klauna. Pamiętam wilgoć oblepiającą poduszki niczym plamy pleśni, cienie wydłużające się groźnie za moimi plecami, w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi. Pytania o to, co wydarzyło się w tym domu, zawsze napawały mnie lękiem. Jeśli naprawdę sobie to wszystko wyobraziłam, to znaczy, że byłam zaburzonym dzieckiem, które rozmawiało samo ze sobą i widziało nieistniejące rzeczy. A co, jeśli sobie tego nie wyobraziłam? Ta ewentualność była znacznie gorsza.

Wiedziałam jednak, że pobyt w Willow Creek pozwoliłby mi i mamie na chwilę oddechu, przekonałby ją, że nie musi się tak nade mną trząść. Ponowna wizyta w tym starym domu mogłaby mi pomóc ustalić, co rzeczywiście się tam wydarzyło.

– Dobrze – mówię do Ally. – Czemu nie? Wezmę ze sobą aparat.

– Doskonale. Wieczorem mamy tu piękne światło. Pewnie tego nie pamiętasz. Minęło tyle czasu, odkąd byłaś tu ostatni raz.

Czuję, że powinnam przeprosić za to wszystko, co powiedziałam i zrobiłam, a co w oczach moich rodziców stawiało Ally w złym świetle, bo nie potrafiła sprawić, żebym poczuła się bezpiecznie w jej domu. Ale nie mogę wiecznie wracać do spraw z dzieciństwa. Mam teraz siedemnaście lat i nic nie jest takie samo. Ally i ja obie

wiemy, że nie jestem już tamtą małą dziewczynką.

– Pamiętasz Benny’ego, prawda? – pyta Ally. – Psina ma już swoje lata. Ale wciąż wydaje mu się, że jest szczeniakiem.

– Jasne, że pamiętam Benny’ego.

– Więc nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym zostawiła cię z nim na dwa dni?

Przekładałam telefon do drugiego ucha i marszczę brwi.

– Nie będzie cię?

– Nie, skarbie. Będę na warsztatach jogi, a tam nie można zabierać psów.

Czerwienię się z zażenowania. Myślałam, że Ally zaprosiła mnie, bo chciała spędzić ze mną trochę czasu. Ale w sumie czy to taki zły pomysł? Naprawdę lubię psy i przez dwa dni będę miała cały dom dla siebie, bez rodziców sterczących mi nad głową. Jeśli pokażę im, jaka jestem samodzielna, będę mogła liczyć na większą przychylność z ich strony, gdy poruszę temat wyjazdu na studia.

– Benny nie sprawia kłopotów – ciągnie Ally. – Przesypia większość dnia. Krótki spacer raz dziennie i staruszek jest zadowolony. Prawda, piesku? – Słyszę metaliczny brzęk plakietki Benny’ego i wyobrażam sobie, jak leży wyciągnięty na łóżku obok ciotki. – I co ty na to? Masz ochotę wyrwać się spod skrzydeł rodziców i przez kilka dni zająć się własnymi sprawami?

Kiedy tak to ujmuje...

– W porządku – słyszę swój własny głos. – Zgoda.

Od razu mam ochotę ugryźć się w język. Oszołomiona, słucham, jak Ally obiecuje podać mi więcej szczegółów w SMS-ie, a potem słyszę swój głos, gdy zgadzam się na wszystko i radośnie potakuję. Próbuję przekonać samą siebie, że to nic wielkiego – potrzebuję zrobić sobie przerwę od mamy, potrzebuję odrobiny niezależności. Nie ma znaczenia, czy Ally tam będzie, czy nie.

Oczywiście to nieprawda.

Będę w Willow Creek zupełnie sama.

*

Podczas przerwy na lunch usiłuję przekonać Sadie, żeby spędziła ze mną weekend w Willow Creek. Próbuję przedstawić wyjazd jako dwa dni na relaksujące babskie przyjemności, chociaż to zupełnie nie jej bajka, zresztą moja też nie.

– Mama ma dla mnie dwie fuchy w ten weekend – mówi Sadie. – Chętnie bym się z nich wymiksowała, ale nie chcę jej zostawić na łodzi. – Wgryza się w jabłko, krzywi, a potem ciska je wysokim łukiem do najbliższego kosza. Owoc ląduje w środku z głuchym łupnięciem.

Skubię kanapkę, bo nagle straciłam apetyt.

– Rozumiem.

– Zresztą myślałam, że to miejsce cię przeraża – ciągnie Sadie. – Jesteś pewna, że chcesz tam wrócić?

– Byłam wtedy małą dziewczynką o bujnej wyobraźni – tłumaczę, próbując przy okazji uspokoić samą siebie. – Chyba nie może być aż tak źle? To tylko stary dom.

Sadie nie wygląda na przekonaną.

– A co z tą ciotką? Dlaczego tak nagle wypęzła z za boazerii?

– Co masz na myśli?

– Żadnego kontaktu przez tyle lat, a teraz sobie o tobie przypomniła? – Sadie mruży oczy. – Jak myślisz, czego chce?

– Opiekunki dla psa – odpowiadam ze śmiechem. – Chyba możesz odłożyć notes, Sherlocku.

Przez chwilę jemy w milczeniu, obserwując uczniów kłębiących się na dziedzińcu.

– Hej. – Sadie szturcha mnie nagle. – Zauważyłaś, że twój stalker zaczął w tym tygodniu szkołę?

– Kto?

– Gość w rurkach.

Rumienie się.

– Ma na imię Morgan. I wiesz co? Nie jest stalkerem.

– Okej. Więc jak nazwiesz łażenie za tobą i twoim bratem po centrum handlowym?

– Nie łąził za nami. To przypadek, że w ogóle na niego wpadliśmy.

– Przypadek, że pojawił się właśnie wtedy, kiedy Tim upaprał się hamburgerem?

Wpycham kanapkę z powrotem do papierowej torby i zakładam ręce na piersi.

– O co ci chodzi?

– Może obserwował was przez cały czas. Może tylko czekał na okazję, żeby wkroczyć do akcji i zostać bohaterem.

– A to źle, ponieważ...?

– Nie powiedziałam, że to źle. Ale to takie ewidentne.

Sadie szpera w torbie i wyciąga z niej banana.

– Naprawdę nie wiem, co masz na myśli.

Sadie przewraca oczami, obierając banana ze skórki i cienkich włókien.

– Rusz głową, Carmody. Jak na taką bystrą dziewczynę czasami wolno jarzysz. Podobasz mu się.

Spoglądam na nią tępo.

– Wpadłaś mu w oko – powtarza. – To jasne jak słońce. Cały czas szuka okazji, żeby porozmawiać z tobą albo ci pomóc.

– Spotkałam go może ze trzy razy, Dee.

– Jasne. Z czego dwa razy pospieszył ci z pomocą niczym jakiś pan Zawsze do Usług.

Prycham lekceważąco.

– Pan Zawsze do Usług? Wow. Poważny tytuł.

– A on ma wobec ciebie poważne zamiary. – Sadie odchyła się do tyłu i opiera o ciepły ceglany mur. Odgryza kęs banana, przez co jej kolejne wypowiedzi brzmią niewyraźnie. – Bądź ostrożna, dobrze? Jeszcze mu nie ufam.

– Nawet go nie znasz.

Sadie celuje we mnie końcówką banana.

– Właśnie.

Odkąd Morgan zaczął szkołę, naszą jedyną wspólną lekcją był angielski, więc pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy, że jesteśmy z tego samego rocznika. Wczoraj, gdy tylko wszedł do klasy, dopadł go Christopher Tan, który najwyraźniej znalazł bratnią duszę dzielającą jego obsesję na punkcie filmów o zombiakach i George’a R.R. Martina. Nie zauważył mnie skulonej w ostatnim rzędzie.

– W takim razie powiem mamie, że nie ma cię w drugi weekend marca – oznajmia Sadie równo z dzwonkiem obwieszczającym koniec przerwy na lunch. – Jeśli będzie potrzebowała jeszcze kogoś do pomocy, może zadzwonić do naszej sąsiadki Lilly. Chociaż Lilly jest głupia jak but i równie interesująca.

Śmieję się bez przekonania, uświadamiając sobie nerwowo, że będę w Willow Creek sama jak palec. Muszę pamiętać, że to dla mnie szansa. Może nawet jakiś punkt zwrotny.

Gdy rozstajemy się na schodach, Sadie szturcha mnie lekko w ramię.

– Uważaj na tego stalkera, okej?

Przewracam oczami i ironicznym gestem unoszę do góry oba kciuki.

Gdy wchodzę na piętro w budynku B, słowa Sadie okazują się prorocze. Pod pracownią plastyczną stoją Morgan i Rachel Tan.

– Hejka – wita się Morgan, gdy do nich dołączam. – Zaczynałem już myśleć, że mnie okłamałaś, że chodzisz do tej szkoły.

– Oto jestem. Chyba nie mamy wielu wspólnych zajęć.

– Jak to? – wcina się Rachel, odrzucając przez ramię burzę czarnych włosów. – Nie macie oboje anglika z moim bratem?

Morgan posyła mi zdziwione spojrzenie, a ja zaciskam dłonie w pięści. Nie pozwolę, żeby Rachel znów zrobiła ze mnie idiotkę. Nie przed Morganem.

– Nadal wybierasz się do Greenwillow w marcu? – pytam go.

– Tak. Skąd wiesz?

– Twoja mama coś wspominała na przyjęciu. – Nie dodaję, że podsłuchałam jej rozmowę z sąsiadką. – W drugi weekend marca będę w domu mojej ciotki w Willow Creek.

– Serio? – Morgan się rozpromienia. – To super. Możemy się spotkać. No wiesz, jeśli chcesz.

Na myśl o tym i na widok nieśmiałego uśmiechu Morgana oraz Rachel zgrzytającej zębami czuję mrowienie w całym ciele.

– Jasne, że chcę. To co... wymienimy się numerami?

Morgan ze śmiechem wyciąga swoją komórkę.

– I kto to mówi?

Nasza nauczycielka plastyki przybywa w obłoku zapachu zielonej herbaty i zawierusze kolorowych paciorków, klaskaniem zaganiając nas do klasy jak stado owiec. Wchodzę do środka za Morganem i widzę, że Rachel już usiadła. Przy każdym stole

mieszczą się trzy osoby, ale Rachel rozłożyła swoje rzeczy na dwóch miejscach, żebym nie miała gdzie usiąść. Jednak Morgan tego nie zauważył i przyciąga stołek od sąsiedniego stołu, żebym mogła wcisnąć się obok niego.

Pani Liotta wyjaśnia, na czym będzie polegał nasz nowy projekt. Korzystając z technik mieszanych, mamy stworzyć własną interpretację tematu „Senne pejzaże”. Zostaniemy podzieleni na grupy, w których mamy pracować w klasie i po lekcjach. Powinam się cieszyć, że będę mogła dodać nową pracę do swojego portfolio. Zamiast tego jestem kompletnie rozkojarzona z powodu bliskości Morgana, który przypadkiem ociera się nagim kolanem o moje udo.

– Żeby ułatwić wam zadanie – mówi pani Liotta, spoglądając na nas znad czerwonych oprawek – podzielę was na trzyosobowe zespoły, tak jak teraz siedzicie w ławkach.

Rachel i ja jednocześnie spoglądamy na siebie z przerażeniem, co jest niemal komiczne.

– Nie ma złych interpretacji – ciągnie pani Liotta – i zachęcam was do łączenia różnych technik i materiałów. Ale przede wszystkim cała trójka musi uzgodnić wspólną wizję. Pomysły każdej osoby muszą znaleźć odzwierciedlenie w jednej, spójnej pracy.

Ręka Rachel wystrzela w górę, jeszcze zanim nauczycielka skończy mówić.

– Tak, panno Tan?

– Chciałabym poprosić o zmianę partnerki – mówi szybko Rachel. – Myślę, że między mną a Tash może dojść do konfliktu interesów.

Pani Liotta przekrzywia głowę, jej usta w kolorze fuksji drgają.

– Masz na myśli konflikt spowodowany obopólnym

zainteresowaniem naszym nowym uczniem?

W klasie rozlegają się chichoty. Nie potrafię spojrzeć ani na Morgana, ani na Rachel, chociaż czuję, że Morgan kręci się z zakłopotaniem na swoim stołku. Rachel próbuje zaprotestować, ale pani Liotta nie dopuszcza jej do głosu.

– Jestem pewna, że uda wam się pokonać ewentualne różnice zdań.

– Ale ja...

– Wystarczy, panno Tan. Chyba zapominasz, że uczyłam was w siódmej klasie, kiedy byliście z panną Carmody dobrymi koleżankami. Będziecie musiały znaleźć płaszczyznę porozumienia. Żadnego zmieniania grup.

Ja i Rachel znów wymieniamy spojrzenia – obie mamy stuprocentową pewność, że jeśli nawet istniała między nami jakaś płaszczyzna porozumienia, to została ona spalona i zaorana. Rachel odwraca się i zatapia nos w swoim dzienniku.

Morgan stuka długopisem w kartkę z wytycznymi do projektu.

– No więc, masz jakieś pomysły?

– Jeszcze nie. Burza mózgów?

Przez następne dwadzieścia minut rozmawiamy o Incepcji, świadomym śnieniu, a nawet o *Koszmarze z ulicy Wiqzów*, chociaż Morgan musi mi streścić fabułę, bo nie jestem fanką horrorów.

– A jak się ma twoja mama po tej całej akcji w Watergardens? – pyta Morgan. – Po powrocie do domu dalej była na ciebie wściekła?

Zerkam na Rachel siedzącą po drugiej stronie Morgana. Wciąż pochyla się nad zeszytem, ale na wszelki wypadek ściszam głos.

– Prawie się do mnie nie odzywa. Mogę śmiało stwierdzić, że nie zdobędę tytułu córki roku.

– Naprawdę? No to grubo. – Morgan uśmiecha się ze współczuciem. – Wciąż mam wyrzuty sumienia, że narobiłem ci kłopotów.

– Skąd – protestuję. – To była moja wina. Prawdę mówiąc, wcale nie stałam przez cały czas w kolejce po sushi.

Nie mam pojęcia, dlaczego się do tego przyznaję, bo nie najlepiej to o mnie świadczy jako o starszej siostrze.

– Tyle to wiem – mówi Morgan. – Domyśliłem się, że musisz mieć jakiś dobry powód, żeby ukrywać to przed mamą.

Rachel odwraca nieznacznie głowę. Nie patrząc na nas, bąka pod nosem:

– Tash nigdy nie układało się z mamą.

Nie mówi tego w złośliwy sposób, a ja przypominam sobie, że kiedyś, dawno temu, się jej zwierzałam. Wtedy mnie słuchała i nawet jeśli miała już dość moich wynurzeń, starała się być pomocna. Teraz obraca moje zwierzenia w broń. Mrużę oczy i czekam, co jeszcze wyciągnie, żeby mnie zranić.

– No co? – pyta, łowiąc moje spojrzenie. – Przecież to prawda. Mówiłaś, że nigdy nie ma dla ciebie czasu, a Tim jest jej ulubieńcem. Nic dziwnego, że pochrzało ci się coś z głową.

Zaciskam dłonie na brzegach drewnianego stołka, usiłując zapanować nad głosem.

– Nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Rachel prycha zniecierpliwiona, jak gdybym zepsuła jej kwestię.

– Wspominała, że słyszy głosy? – zwraca się do Morgana.

Morgan patrzy na nas obie niepewnie.

– Nie wiem, co...

– Nie słyszę głosów, Rachel – mówię trochę zbyt głośno. Kilko uczniów siedzących przed nami ogląda się przez ramię. – Mogłabyś

już przestać wciskać ten kit każdemu, kto wykazuje jakiegokolwiek zainteresowanie moją osobą.

– Serio? – Rachel się prostuje. – To jak nazwiesz rozmowy z wymyślonymi przyjaciółmi?

Mam już na końcu języka odpowiedź: „Idź do diabła”. Kusi mnie, żeby załatwić to z nią raz na zawsze. Powinnam jednak załagodzić sytuację, jeśli chcę ocalić resztki godności.

– Nazwę to byciem niedojrzałym dzieckiem – odpalam. – Trochę jak twoje ciągłe powracanie do tego tematu, chociaż nikogo to nie obchodzi.

Dwaj goście przy sąsiednim stoliku parskają śmiechem. Z twarzy Rachel znika wyraz satysfakcji, właściwie wygląda na urażoną. Żałuję, że się jej odgryzłam, nawet jeśli przez sekundę poczułam w sobie moc i wiem, że Sadie byłaby ze mnie dumna. Żałuję, że po prostu jej nie olałam i że w ogóle się odezwałam.

– Jak sobie chcesz – burczy Rachel i wraca do swojego zeszytu. Przez resztę lekcji traktuje nas z lodowatą obojętnością i wypada z klasy równo z dzwonkiem.

Ja i Morgan pakujemy się powoli w pustoszejącą klasie, zbieramy nasze notatki i rysunki. Gmeram przy torbie dłużej, niż to konieczne, bo jakoś nie mam ochoty wracać do domu.

– Sorry za tę akcję z Rachel – mówię. – Pogodzę się z nią, żeby nasz projekt nie ucierpiał. Czasem udaje jej się trafić w mój czuły punkt.

Morgan obraca się na stołku twarzą do mnie, jego kolano znów muska moje udo. Nie przesuwam nogi, on też nie.

– Nie powinnaś wstydzić się czegoś, co wydarzyło się, kiedy byłaś dzieckiem.

– Wiem.

– Nie możesz pozwolić, żeby wydarzenia z dzieciństwa określały

to, kim jesteś teraz. Myślisz, że jestem dumny z tego, co spotkało Mallory? I że nie poczekałem, aż wyjdzie z toalet? Żałuję tego każdego dnia, ale to było lata temu, rozumiesz?

Wzmianka o wesołym miasteczku zaskakuje mnie.

– Skąd mogłeś wiedzieć, co się stanie? – odpowiadam.

– No cóż, nigdy nie zapomnę wzroku mojej mamy, kiedy wróciłem z toalet sam. To chyba było niedowierzenie. Po prostu nie mogła uwierzyć, jak mogłem być tak lekkomyślny.

– Moja mama zareagowała podobnie w Watergardens – przyznaję. – Chociaż jestem dziewięć lat starsza niż ty wtedy. Nic mnie nie usprawiedliwia.

Morgan skubie nitkę wystającą z szortów. Widzę, że chce mnie o coś zapytać. Ale pytania, które w końcu zadaje, w ogóle się nie spodziewałam.

– Masz chłopaka, którego ukrywasz przed mamą?

– Co takiego? – Rumienię się aż po dekolt mundurka.

– W Watergardens wymknęłaś się, żeby się z nim spotkać? To dlatego okłamałaś mamę?

Prawie parskam, słysząc ten absurdalny pomysł – ja i sekretny chłopak! – a potem czuję się mile połechtana, że Morgan wcale go za taki nie uważa.

– Nie – odpowiadam cicho. – Nie mam chłopaka.

– Okej, więc kim jest Wróbel?

Mocuję się z piórnikiem i dwa markery spadają mi z trzaskiem na podłogę. Koncentruję się na ich pozbieraniu.

– Eee, co takiego?

– Na imprezie u nas w domu twoja przyjaciółka Sadie zapytała cię o Wróbla po tym, gdy zatrzasnęliśmy się w pralni. – Morgan schyla się, żebym spojrzała na niego. – Skrzywdził cię? Dlatego się

mnie wystraszyłaś?

Wyciągam rękę i dotykam jego ramienia.

– Nie wystraszyłam się ciebie! To w ogóle nie tak.

Morgan się rozluźnia, spogląda na moją dłoń. Szybko ją cofam i natychmiast mam ochotę znów go dotknąć.

– Wróbel to... – Zastanawiam się, jak mam to najlepiej ująć. – Ten wymyślony przyjaciel, o którym mówiła Rachel.

– Och. Okej.

– Pojawił się w moim życiu mniej więcej wtedy, kiedy urodził się mój młodszy brat. Psychiatra mówi, że to dlatego, że byłam zazdrosna i spragniona uwagi. A tak, jeszcze nie wiesz, że leczyłam się psychiatrycznie przez dziewięć lat. Masz już ochotę wziąć nogi za pas?

Morgan się uśmiecha.

– Ani trochę. Oboje z siostrą chodziliśmy do psychiatry po jej zniknięciu. Nikogo nie oceniam.

Kiwam głową.

– Wymyśliłam tę przerażającą postać, żeby mieć towarzystwo, bo czułam się samotna w domu ciotki. Kiedy urodził się Tim, rodzice zostawili mnie u niej na dwa tygodnie, żeby oswoić się z nową sytuacją bez dodatkowej komplikacji w postaci opieki nade mną. Miałam wtedy osiem lat i poczucie, że chcą się mnie pozbyć.

Morgan chichocze.

– Dlaczego wymyśliłaś taką przerażającą postać? Czemu nie na przykład wielkiego pluszowego misia?

– Właśnie o to chodzi: w ogóle nie pamiętam, żebym postanowiła go wymyślić. Po prostu pewnej nocy pojawił się w mojej sypialni i chciał się pobawić. Istniał już sam z siebie. Psychiatra uważa, że to moja podświadomość uczyniła go takim odrażającym, żeby

wzbudzić większe współczucie rodziców. Im był okropniejszy, tym bardziej byli zaniepokojeni i tym bardziej żalowali, że się mnie pozbyli.

– Wow, byłaś niezłą intrygantką! – żartuje Morgan.

– Najwyraźniej. – Wzruszam ramionami. – Chociaż doktor Ingrid ujęła to w znacznie miłszy sposób, opakowując wszystko w psychologiczny bełkot.

Morgan kręci głową z uśmiechem.

– Jak on wyglądał? Jak jakiś popaprany klaun czy coś w tym stylu?

– Eee... nie. – Dziwnie się czuję, rozmawiając otwarcie o Wróblu, choć nadal tak wiele zatajam. – Wyglądał jak człowiek, chyba. Chory człowiek. Bardzo wychudzony, z zapadniętą twarzą. – Kładę dłonie pod kośćmi policzkowymi i wpycham skórę do środka. – Miał zepsute zęby i był bardzo blady. Twarz i ręce miał w ropiejących wrzodach.

– Jezu – mówi Morgan z mieszaniną rozbawienia i zgrozy. – Jak jakiś upiór. Nic dziwnego, że mając taki obraz w pamięci, nie lubisz być zamknięta w ciemnych pomieszczeniach.

Nie ma sensu tłumaczyć, co robił Wróbel; tłumaczyć, że chodzi o coś znacznie więcej niż jego przerażający wygląd. Po co? Był tylko wytworem mojej wyobraźni.

– Moja mama miała już powyżej uszu moich koszmarów z Wróblem w roli głównej, a śniły mi się jeszcze przez wiele miesięcy. Ona i doktor Ingrid uważają, że chciałam zwrócić na siebie uwagę, ale ja naprawdę bałam się, że on wróci. Czasami wydawało mi się, że widzę go kątem oka.

Wciąż mi się to zdarza.

– No cóż – Morgan się przeciąga – muszę powiedzieć, że sprawiasz wrażenie całkiem nieźle przystosowanej jednostki, jak na

kogoś z tak paskudnym epizodem w dzieciństwie. To niesamowite, jak działa umysł dziecka. Chwała Bogu, że się z tego wyrasta.

Odpowiadam bladym uśmiechem, starając się zagłuszyć stale obecny głos w mojej głowie:

Powiedz mu. Powiedz mu wszystko. Teraz.

Morgan zarzuca plecak na ramię, a ja manipuluję przy suwaku torby, zastanawiając się, czy jestem w stanie wyjaśnić mu, jak trwale piętno odcisnął Wróbel na mojej psychice. Nawet dla mnie samej brzmi to skomplikowanie i niepokojąco, więc stosuję sprawdzoną strategię mówienia ludziom tego, co chcą usłyszeć.

– Tak – przyznaję Morganowi rację. – Chwała Bogu, że się z tego wyrasta.

14

WTEDY

– Chcesz się pobawić?

Na dźwięk jego głosu podnoszę wzrok znad kolorowanki, jedna z kredek stacza się na podłogę. Wychyla się zza drzwi, jego chude palce wczepiają się we framugę niczym ptasie szpony. Nie widziałam go od dwóch dni i do tej pory nie odwiedzał mnie za dnia. Może to dobrze. Gdybym spotkała go w świetle dziennym, mogłabym być zbyt przerażona, żeby wydobyć z siebie choć słowo.

„Czasem ludzie dziwnie wyglądają”, powiedziałaaby mama. „To niegrzecznie tak się gapić”.

Ale ja nie mogę się powstrzymać. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś, kto wyglądałby tak jak on.

Nie ma dziś na głowie kaptura, jest łysy. Oczy ma głęboko osadzone, przez co jego czoło wydaje się wielkie i wypukłe. Ma wrzody na brodzie, a na uszach strupy, które wyglądają, jak gdyby próbował je zdrapać. I dziwną skórę. Wyblakłą. Całkiem spłowiałą, jak mój komiks o Wonder Woman, który przez przypadek zostawiłam na słońcu.

Może jest chory. Ale nie porusza się jak osoba, która źle się czuje. Podryguje i trzęsie się, jak gdyby był podekscytowany, jakby usiłował wydostać się z własnego ciała. Teraz wpada do pokoju i ogląda się przez ramię na schody, skąd słychać, jak ciocia Ally

bierze prysznic na piętrze.

– Schowałem coś – oznajmia. – Zejdź do piwnicy i spróbuj to znaleźć.

Kładę niebieską kredkę na stoliku kawowym i prostuję skrzyżowane nogi.

– Co schowałeś?

– Drzwi do mojego sekretnego pokoju.

– Nie lubię piwnicy – odpowiadam. – Nie lubię dźwięku, jaki wydaje bojler.

Słyszę go nawet przy zamkniętych drzwiach do piwnicy – łupnięcie, dygot i wysoki charkot niczym chrapanie cierpiącego zwierzęcia. Przypomina mi opowiadaną przez babcię historię o bogatym lekarzu, który zbudował ten dom dla swojej rodziny. Przyjęli na służbę skazańca ze Szkocji, który sypiał właśnie w piwnicy. Co noc zamykali drzwi prowadzące na dół. Więzili go tam w ciemności.

– Musisz schować je gdzieś indziej – mówię – jeśli chcesz, żebym się z tobą bawiła.

Znów zerka na schody, z jego gardła wydobywa się chrapliwy pomruk.

– Chodź teraz. Nici z zabawy, jeśli dorośli się dowiedzą.

Staje na tle okna i widzę, że pod oczami ma fioletowe sińce. Światło słoneczne ukazuje zmarszczki na jego czole i wokół ust. Próbowałam odgadnąć, ile ma lat, ale nie potrafię. Jest jak chochlik albo goblin z baśni, który jednocześnie wygląda staro i młodo.

– Co tu robisz? – pytam. – Wolno ci tu być?

Skubie zadrapanie na ręce, zerkając co chwila na podest na piętrze.

– Jestem tu, żeby się z tobą bawić.

– Kto cię zaprosił?

– Ty. – Zakłada ręce na piersi. – Musisz iść teraz albo zabraknie nam czasu.

Na górze woda z prysznicza przestaje lecieć, słysząc skrzypienie podłogi. Odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Wstaję i odsuwam się od stolika, ale w tej samej chwili Wróbel rzuca się w moją stronę. Łapie mnie za rękę.

– Nie chcę się bawić w piwnicy! – Usiłuję się wyrwać. Trzyma mnie mocno, zaciskając palce. Wydaje się drobny i chory, ale jest silny. – Tam jest za ciemno. Nie chcę. Jest za ciemno!

Jego twarz wykrzywia grymas podobny do miny, jaką zrobił tata, kiedy niechcący uderzył się młotkiem w kciuk. Ściąga brwi i zaciska zęby, jak gdyby powstrzymywał się od ryku. Kulę się, nogi się pod mną uginają. Wlecze mnie przez pół salonu w stronę holu.

– Nie chcę! – Próbuję zaprzeć się piętami, ale skarpetki ślizgają mi się na deskach. – Proszę. Nie!

– Jeśli nie posłuchasz, zakradnę się do twojej sypialni, kiedy będziesz spała – syczy – i zamknę cię w skrzyni. Nikt cię nie znajdzie i skonasz z głodu. Czy tego właśnie chcesz?

Na samą myśl o czymś tak okropnym milknę. Czy zejście do piwnicy jest lepsze? Nie prosiłam o to, żeby się zjawił, więc dlaczego mam wybierać?

– Ja... ja nie chcę się bawić.

W chwili, w której docieramy pod drzwi piwnicy, na piętrze pojawia się warcząca smuga złotego futra. Benny zbiega susami po schodach, jego obroża pobrzękuje jak mały dzwoneczek. Wróbel rozluźnia uścisk i popycha mnie tak mocno, że padam na kolana. Gdy się oglądam, już go nie ma.

Benny zeskakuje z ostatniego stopnia i mija mnie, ślizgając się na

deskach ze stukotem pazurków. Korytarz wybucha szczekaniem, gdy drapie w drzwi piwnicy i powarkuje.

Ciocia Ally zbiega po schodach w splewiałym zielonym szlafroku.

– Tash? – Rozgląda się po holu. – Z kim rozmawiasz?

– Z Wróblem. – Rozcieram obolałą rękę i unoszę ją na dowód ataku. Nie ma niej jednak czerwonych śladów. – Znowu tu był. Tym razem Benny też go widział.

– Wróbla...?

Rumienię się.

– Ja go tak nazywam. Nie powiedział mi, jak ma na imię, więc sama je wymyśliłam.

Ciocia Ally milczy. Stoi na najniższym stopniu i przygląda mi się ze zmartwioną miną.

– Przysięgam – zapewniam ją, wskazując drzwi do piwnicy. – Stał tam, a Benny na niego warczał.

– Skarbie – mówi łagodnie ciocia Ally. – Benny znów warczy na bojler. Posłuchaj, właśnie napełnia się po mojej kąpieli.

Przykłada palec do ust i wskazuje głową w kierunku piwnicy. Z okropnego ciemnego pomieszczenia na dole dochodzą syk i pisk. Benny warczy, drepcząc tam i z powrotem pod drzwiami.

– Nie cierpię tego hałasu – skarżę się, przyciskając dłonie do uszu. – Wyłącz to!

Ciocia Ally podchodzi do mnie i obejmuje mnie ramieniem.

– Chodź – mówi. – Chodź stąd. Zrobimy ci śniadanie. Chyba jest ci słabo z głodu.

Prowadzi mnie w stronę kuchni i gwizdże na Benny'ego. Wpatruję się w jej twarz.

– Wierzysz mi, prawda? We Wróbla?

Ściska moje ramię.

– Wierzę, że ty w niego wierzysz. Ale twoi rodzice tego nie rozumieją, skarbie. Mogą pomyśleć, że coś jest nie tak.

– Co to znaczy?

– Mogą pomyśleć, że twoja głowa nie działa prawidłowo. – Prowadzi mnie do kuchennego stołu i podsuwa mi krzesło. – Mogą pomyśleć, że widzisz rzeczy, których tak naprawdę nie ma.

Siadam, a ciocia sięga po starą puszkę na parapecie. Myślałam, że poczęstuje mnie ciastkiem, ale wyciąga z niej paczkę papierosów i plastikową zapalniczkę.

– Kiedy byłam dzieckiem – zaczyna – byłam przekonana, że w ogrodzie mieszkają elfy. Widzisz tamte paprocie? Na skraju buszu? – Zapala papierosa i macha nim przed wielkim oknem wychodzącym na tyły domu.

Prostuję się na krześle, wyciągam szyję nad zlewem i wyglądam przez brudną szybę na trawnik pełen chwastów, sznurek z praniem i zardzewiałą furtkę w głębi ogrodu.

– Zbudowałam nawet domki z gałązek i kory, żeby moje elfy miały gdzie spać w nocy – ciągnie. – Mój brat, czyli twój tata, przycinał któregoś dnia trawnik i wszystkie skosił.

– O nie! – wrywa mi się. Ale co to ma wspólnego z Wróblem? Zastanawiam się, czy nas podsłuchuje. Mógł zostawić drzwi do piwnicy uchylone, żeby słyszeć wszystko, o czym rozmawiamy.

– Byłam załamana – ciągnie ciocia Ally – bo myślałam, że w tych domkach mieszkały moje elfy. Nie mogłam przestać płakać. Mama stwierdziła, że przesadzam. A brat nigdy mnie nie przeprosił. Cóż za niespodzianka.

Strzepuje popiół do zlewu i zaciska usta, jak gdyby miała w nich coś paskudnego.

– Chcę przez to powiedzieć, że byłam inna. Zawsze byłam inna niż oni. – Wraca do stołu, staje nade mną i nakrywa moje dłonie

swoimi. – To nic złego być innym. Ale uwierz mi, skarbie, twoi rodzice tego nie rozumieją.

– Jeśli...

– Zaufaj mi – mówi stanowczo. – Więcej nie będziemy o tym rozmawiać. – Pochyla się i zakłada mi kosmyk włosów za ucho. – To będzie nasz mały sekret, Tash.

15

TERAZ

Pierwszy tydzień marca przynosi wietrzne poranki i deszczowe popołudnia, więc po szkole mam znacznie mniej okazji do robienia zdjęć. Sfotografowałam już zbyt wiele silosów na tle burzowych chmur, ale niestety żadne z tych zdjęć nie nadaje się do szkolnego projektu, a są też zbyt nijakie, żeby trafić do portfolio, które mam przedstawić na egzaminach na uniwersytecie.

Tim chce mi zwykle towarzyszyć podczas wypraw z aparatem, ale mama za każdym razem wynajduje mu jakieś zajęcie. Zawsze znajdzie się zaległe zadanie domowe, coś do zrobienia w domu albo jeszcze inny powód, który uniemożliwia mu pójście ze mną, a mamie oszczędza konieczność powiedzenia wprost, że mi nie ufa.

Tim patrzy z miną zbitego psiaka, jak pakuję do plecaka książki o sztuce i magazyny fotograficzne.

– Dokąd idziesz tym razem? – jęczy. – Obiecałaś, że pograsz ze mną w Minecrafta.

– Zagram, braciszku. Później, kiedy wrócę. – Wysuwam pokrowiec aparatu spod jego dłoni. – Muszę iść do Morgana, żeby popracować nad naszym projektem. W przyszłym tygodniu powinniśmy pokazać nauczycielce plastyki, co udało nam się zrobić do tej pory.

To może być problematyczne, bo jak na razie potrafimy co

najwyżej pokazać jej figę z makiem. Rachel odmawia współpracy i całe lekcje spędza pochylona nad swoim pamiętnikiem, podczas gdy ja i Morgan przerzucamy się bez przekonania pomysłami o futurystycznych światach i bezludnych pustkowiach. Często zbaczamy z tematu, żeby porozmawiać o przeczytanych książkach lub serialach, które właśnie oglądamy na Netfliksie. Wczoraj przez większość lekcji zgadywaliśmy, jakich zespołów i potraw najbardziej nie lubimy, zachwyceni naszą wspólną niechęcią do Coldplay i kolendry.

– Dlaczego robisz coś do szkoły w sobotę? – pyta Tim, schodząc za mną po schodach do salonu. – Idziesz tam na całe popołudnie?

Mam wyrzuty sumienia, że Tim jest niepokieszony, podczas gdy ja ledwo panuję nad podekscytowaniem. Morgan zaprosił mnie kilka dni temu, uprzedzając, że jego rodzice jadą na cały weekend na wesele w Coffs Harbour. Perspektywa spędzenia z nim całego popołudnia poza szkołą skłoniła mnie do zakupu nowej koszulki, a po porannym prysznicu układałam przez dwadzieścia minut włosy.

Cieszę się nie tylko na myśl o spotkaniu z Morganem. Dziś będę miała okazję zobaczyć się znów z Mallory.

– Nie wiem, kiedy wrócę – mówię do Tima. – Może tata z tobą zagra.

Tata podnosi wzrok znad gazety i poklepuje kanapę, zachęcając Tima, żeby usiadł obok niego.

– Mama będzie pewnie chciała wiedzieć, czy wrócisz na kolację – mówi do mnie.

– Właśnie – potwierdza mama, stając w drzwiach kuchni. – Dokąd idziesz?

– Do Morgana – dąsa się Tim.

Mama unosi brew, żebym wiedziała, że ma na ten temat

wyrobione zdanie.

– Zdajesz sobie sprawę, że wiem, kim jest Morgan? – pyta. – Dziwnym trafem przedstawiając mi go, pominęłaś fakt, że jest synem Fisherów.

– Nie musiałam o tym wspominać – odpowiadam, bawiąc się paskiem plecaka. – Zresztą co to zmienia?

Mama zakłada ręce na piersi i obniża głos.

– Dobrze wiesz co. Nie chcesz chyba zaprzepaścić postępów, jakie zrobiłaś dzięki terapii.

Zerkam na Tima w nadziei, że nie zrozumiał tej enigmatycznej wymiany zdań. Na szczęście czyta tacie przez ramię pasek z komiksem.

– A poza tym – ciągnie mama – Fisherowie nie muszą wiedzieć o pewnym żenującym przesłuchaniu policyjnym w 2008 roku.

– Nigdy bym o tym nie wspomniała – szepczę. – Mamy z Morganem przygotować wspólny projekt na plastykę, więc nie mogę go unikać.

Mama wydyma usta, jak gdyby wiedziała, że unikanie Morgana to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Widziała w galerii, jaki z niego przystojniak o zielonych oczach i fryzurze godnej członka boysbandu.

– Powinniśmy przesunąć wizytę u doktor Ballantine kilka miesięcy naprzód – stwierdza. – W związku z tym całym powrotem Fisherów. Nie wspominając o zajściu w Watergardens.

– Elaine... – zaczyna tata.

– Super! – wypalam, ściągając za mocno ramiączka plecaka. – Skoro tak, będę mogła porozmawiać z nią o Willow Creek. Bo wiesz co? Jadę tam z wizytą.

– Nie tym tonem, Tash – ostrzega tata.

– Willow Creek? – pyta mama. – Chyba nie oddzwoniłaś do Alice?

– Zaprosiła mnie do siebie na następny weekend. Zgodziłam się.

– Co takiego? – Mama kładzie ręce na biodrach. – Miałaś w ogóle zamiar zapytać nas o pozwolenie, czy może chciałaś się wymknąć bez pytania?

Tata odkłada gazetę.

– Tash coś mi o tym wspominała.

– Wspaniale, Richardzie – mówi mama. – Zamierzałeś mi o to powiedzieć?

Tata wzrusza ramionami.

– Moim zdaniem to całkiem niezły pomysł.

– Chyba żartujesz.

– Obu wam przydałaby się przerwa od siebie – stwierdza tata. – Kilka dni osobno dobrze wam zrobi. Poza tym nie wiemy, jak długo stary dom pozostanie w naszych rękach. Niech Tash skorzysta z okazji, póki jeszcze może.

Mama obdarza tatę spojrzeniem mrożącym krew w żyłach.

– A to wszystko, co się tam wydarzyło...

– Wydarzyło się prawie dziesięć lat temu – ucina stanowczo tata. – Tash nie jest już dzieckiem. Nic jej nie będzie. – Rzuca mi znaczące spojrzenie, które mówi „Nadstawiam dla ciebie karku, młoda. Nie schrzań tego”.

– Uważasz, że spoufalanie się z twoją siostrą przysłuży się Tash? – pyta mama. Rodzice chyba zapomnieli, że Tim leży na kanapie i przysłuchuje się z oczyma wielkimi jak spodki. – Alice ledwo panuje nad własnym życiem.

Przyglądam się mamie z zaciekawieniem. Jeszcze nigdy otwarcie nie skrytykowała Alice w obecności mojej i Tima. Kiedy kręcimy

się w pobliżu, zwykle ogranicza się do szeptanych pod nosem uszczypliwych uwag na jej temat.

– Tash ma prawie osiemnaście lat – argumentuje tata. – Nie będzie zależna od Ally i potrafi sama o siebie zadbać.

Będę musiała zadbać o siebie sama, bo Ally w ogóle tam nie będzie. Ominęłam ten szczegół w rozmowie z tatą.

– No cóż. – Mama zabiera tacie kubek z kawą, której nie zdążył dopić. – To miło, że podejmujecie decyzje za moimi plecami – mówi i wraca do kuchni.

– Pogodzi się z tym – pociesza mnie tata. – Kiedyś.

Myślę o moich planach na studia, szansie na niezależne życie.

– Mam szczerą nadzieję, że masz rację.

*

Może nie mogę się doczekać spotkania z Morganem, a może tak bardzo chcę się oddalić od domu, w każdym razie pedałużę tak zawzięcie, że gdy docieram na Banksia Avenue, jestem cała spocona. Dopiero gdy wjeżdżam na podjazd Fisherów, uświadamiam sobie, że wyjęte rano z suszarki ubranie jest teraz wilgotne i pogniecione. Po zdjęciu plecaka odkrywam na koszulce dwie mokre plamy pod pachami.

Wyciągam z plecaka spłowiałą bluzę z kapturem i zakładam ją, żeby ukryć ślady potu, chociaż podczas jazdy rowerem cała się zgrzałam. Biorę głęboki oddech i naciskam dzwonek.

To tylko wspólne odrabianie pracy domowej, Tash. Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele.

Drewniane drzwi otwierają się i moją ekscytację trafia szlag. Rachel Tan robi krok naprzód i opiera się o framugę. Czerwona krótka sukienka opina jej zgrabne biodra, eksponując nagie uda,

długie nogi i czerwone paznokcie u stóp.

– Wyglądasz na rozczarowaną – mówi, uśmiechając się kpiąco. Bawi się kosmykiem jedwabistych włosów. – Na pewno jakoś przeżyjesz moją obecność. Dobrze wiedzieć, że ta stara, wysłużona bluza dostała kolejną szansę.

Znika wewnątrz domu, a ja czuję się jak przekłuty balon, z którego uszło całe powietrze. Nie wiem, czemu ubzdurałam sobie, że będziemy tu tylko ja i Morgan. To projekt grupowy, nic więc dziwnego, że zaprosił też Rachel.

Idę za dźwiękami muzyki w głąb domu i trafiam do pokoju rekreacyjnego, który był zamknięty podczas przyjęcia. Jest w nim stół do piłkarzyków, dwie obszerne sofy oraz wielki płaski telewizor.

– Jesteś! – wita mnie Morgan, gdy stoję w drzwiach. Siedzi pochylony nad stolikiem do kawy zarzuconym książkami i papierami. Rachel układa się na wiklinowym fotelu obok podwójnych drzwi prowadzących na słoneczne patio. Christopher leży wyciągnięty na jednej z sof z paczką chipsów w ręku i skacze po kanałach.

– Hej, Tash – mówi wyraźnie znudzonym tonem. – Proszę, powiedz, że nie będziecie odrabiać lekcji, kiedy w ratuszu jest właśnie giełda komputerowa.

– Przykro mi – odpowiadam, starając się ukryć własne rozczarowanie faktem, że nasze dzisiejsze spotkanie nie będzie miało w sobie nic z randki.

– Chris zachowuje się tak, jak gdyby giełda nie odbywała się co miesiąc – mówi Morgan, wstając, żeby się ze mną przywitać.

– Nie o to chodzi – odpowiada Christopher, celując kukurydzianym chrupkiem w głowę Morgana. Ten wyskakuje w powietrze i udaje mu się złapać go w usta wśród śmiechu

i pohukiwań. Rzucam plecak na ziemię z głuchym łupnięciem, ściągając na siebie uwagę Morgana. Po zwycięstwie odniesionym nad chrupkiem jest uroczym zarumieniony.

– Przyniosłaś albumy ze zdjęciami? – pyta, unosząc z nadzieją brwi. – Bo mnie kompletnie nic nie przychodzi do głowy. – Nachyla się, ścisząc głos. – A cały wkład Rachel ogranicza się do zbadania, która z Kardashianek ma największy cellulit.

Puszcza do mnie oko, a mnie serce zaczyna bić szybciej. Chciałabym, żeby to mrugnięcie wynikało z czegoś więcej niż z jego przyjaznego usposobienia.

– Nie wiem, na ile okażą się inspirujące – mówię, rozkładając książki obok szkiców Morgana. Zgodził się ze mną, że jeśli każde z nas wykorzysta swoje mocne strony – on rysunek, a ja zdjęcia – może uda nam się jakoś je połączyć. Siadam obok niego na kanapie i przez chwilę oglądamy albumy, zaginając rogi stron, które nas zainteresowały. W zalonym słońcem pokoju jest ciepło, wręcz duszno, a ja żałuję, że nie mogę zdjąć bluzy. Żałuję, że nie mam na sobie przyciągającej wzrok czerwonej sukienki i pomalowanych paznokci. Żałuję, że wiele rzeczy, o których marzę, nigdy się nie wydarzy.

Rachel udaje się przekonać Christophera, żeby włączył PlayStation, więc wkrótce oboje pochłania hałaśliwa misja polegająca na mordowaniu kosmitów, co utrudnia nam skupienie się na projekcie.

– Przepraszam za nich – szepcze Morgan. – To był pomysł mojej mamy, żeby ich zaprosić. Zorganizowała to z panią Tan za moimi plecami.

– A co z Mallory? – pytam, skubiąc paznokieć. Nie chcę wyjść na nadąsaną dziunię. – Przecież nie zostałbyś zupełnie sam.

– Mallory trudno nazwać duszą towarzystwa – żartuje Morgan,

uśmiechając się lekko. – Mama uważa, że nam obojgu przydałoby się więcej kontaktu ze światem zewnętrznym.

Odkładałam album na stolik.

– Jak odnaleźliście się w Brisbane po wyjeździe stąd? Było wam trudno?

Morgan wbija wzrok we własne kolana, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Mnie było chyba łatwiej, kiedy już przestałem tęsknić za Port Bellamy. Nikt w Brisbane nie wiedział o zniknięciu Mallory. Nikt nie wytykał mnie oskarżycielsko palcem i mogłem nawiązać nowe przyjaźnie bez obawy, że ktoś próbuje się do mnie zbliżyć z chorobliwej ciekawości. – Zerka na mnie niepewnie. – Mogłem zacząć od nowa w miejscu, gdzie nikt mnie nie znał.

Kiwam głową ze zrozumieniem, bo właśnie tego pragnę dla siebie.

– Ale dla Mallory nie miałyby znaczenia, czy jest w Brisbane, czy na Księżycu – ciągnie Morgan. – Nie da się zacząć niczego od nowa, jeśli przeszłość nie przestaje cię prześladować.

Równie dobrze mógłby mówić o mnie. Czuję, że mnie i Mallory łączy melancholijna więź sięgająca tamtego koszmarnego lata.

– Ma jakichś znajomych? – pytam. – Spotykała się z kimś w Brissy?

– Rozmawia z ludźmi głównie online – odpowiada Morgan. Muszę mieć zaskoczoną minę, bo Morgan chichocze. – Kiedy powiedziałem, że nie mówi, miałem na myśli komunikację werbalną. Mał pisze SMS-y i maile, spędza masę czasu na Twitterze i Instagramie. Choć raczej nie tyle udziela się towarzysko, co obserwuje.

– No jasne, sorry. Myślałam tylko... sama nie wiem co.

– Nie lubi spotkań twarzą w twarz – kontynuuje Morgan. –

Zdecydowanie woli własne towarzystwo. Nie przepada za światem zewnętrznym.

– To się chyba nazywa agorafobia?

– Tak. To przeciwieństwo twojego lęku przez zamkniętą przestrzeń. Powinnyście się spotkać i powymieniać opowieściami o swoich fobiach.

Uśmiecham się.

– W niezatłoczonym pokoju, który nie jest ani za duży, ani za mały.

Morgan parska śmiechem.

– Właśnie tak. – Poważnieje i spogląda na swoje dłonie. – Może zajrzę do niej, sprawdzę, czy czegoś potrzebuje. Nie zejdzie na dół, gdy ktoś tu jest, nawet gdyby umierała z głodu.

– Ja mogę do niej pójść, jeśli chcesz. – Trącam kolanem kolano Morgana. – Będziesz mógł powiedzieć mamie, że oboje się dziś uspołecznialiście. Mogę jej zanieść talerz z jedzeniem, tak jak na przyjęciu, jeśli uważasz, że nie będzie miała nic przeciwko.

Morgan przekrzywia głowę, rozważając moją propozycję, być może szukając ukrytego motywu, którym mogłabym się kierować. W tej chwili nie mam żadnego. Wszystkie naglące pytania, jakie chciałam zadać Mallory, przyćmiło pragnienie pokazania jej, że jeśli tylko zechce, ma we mnie przyjaciółkę.

– Obiecuję, że nie będę jej zanudzać opowieściami o mojej fobii – zapewniam go z uśmiechem. – Przynajmniej podczas pierwszej rozmowy.

Morgan śmieje się cicho.

– Okej. Tylko wyślę jej SMS-a, żeby ją uprzedzić. – Sięga po leżącą na stoliku komórkę z nieśmiałym uśmiechem. – Wiem, że to dziwaczne, ale tak się na ogół porozumiewamy, nawet w domu.

– Może ja to zrobię. – Wyciągam telefon z kieszeni. – Ty przygotuj jej coś do jedzenia, a ja wyślę jej SMS-a. Jaki ma numer?

Morgan podaje mi go z pamięci. Gdy wychodzimy z pokoju rekreacyjnego, czuję na plecach palące spojrzenie Rachel. W kuchni Morgan zagląda do lodówki, a ja piszę wiadomość:

Cześć, Mallory. Morgan szykuje dla ciebie przekąskę. Przyniosę ci ją na górę, co ty na to? Tash

Gdy podnoszę głowę, okazuje się, że Morgan rozłożył na blacie połowę zawartości lodówki. Wybieram winogrona, truskawki i trójkątny kawałek sera.

– Masz krakersy?

Morgan przeszukuje spiżarnię i wraca z paczką herbatników. Układam wszystko na talerzu, a Morgan podkrada dwa krakersy i wpycha je sobie do ust.

– Wygląda pysznie – mówi z pełną buzią. – Powinnaś pracować w firmie cateringowej.

Robię zamach ścierką, a on uchyla się i oboje wybuchamy śmiechem. Wyjmuje z lodówki puszkę lemoniady i stawia ją na blacie obok talerza.

– No już, leć – droczy się, przeganiając mnie z kuchni. – Idź się zaprzyjaźnić.

Przewracam oczami, z uśmiechem biorę talerz do jednej ręki, a Morgan wkłada mi gazowany napój do drugiej. Przytrzymuje go sekundę dłużej, niż to konieczne, zmuszając mnie, żebym na niego spojrzała.

– Dzięki, Tash – mówi. – To, że chcesz się do niej zbliżyć, wiele dla mnie znaczy.

Słowa Morgana budzą we mnie wyrzuty sumienia. Skłamałabym, twierdząc, że robię to wyłącznie dla Mallory. Po prostu nie wiem, kiedy znów będę miała szansę znaleźć się z nią sam na sam, więc nie mogę zmarnować takiej okazji.

Gdy docieram na piętro, drzwi do jej pokoju są uchylone, a kiedy pukam w nie lekko, z sypialni nie dochodzą żadne dźwięki. Uznaję, że jest w łazience, więc popycham drzwi, żeby postawić talerz z jedzeniem na biurku.

Miedziane promienie popołudniowego słońca przesączają się przez zaciągnięte zasłony, spowijając sypialnię przytłumionym światłem, przez co przypomina oświetloną świecami jaskinię. Dopiero po chwili orientuję się, że Mallory leży skulona na łóżku pod pikowaną narzutą i ma zamknięte oczy. Głowę podparła na poduszkach, w uszach ma białe słuchawki, a włosy koloru słomy okalają jej twarz niczym aureola. Skórę ma tak bladą, że prawie przezroczystą. Odnajduję w jej rysach cień tamtej sześciolatki, za którą chodziłam po lunaparku dziewięć lat temu.

– Mallory? – szepczę. Nie jestem pewna, czy śpi, czy słucha muzyki. Jej komórka leży na podłodze przy łóżku. Robię krok w jej stronę. – Mallory?

Nie otwierając oczu, zmienia pozycję i prostuje prawą nogę, zrzucając na ziemię niewielką książeczkę. Spomiędzy stronic wysuwa się pióro, które toczy się pod łóżko.

Notes łąduje na grzbiecie i się otwiera. Gdy schylam się po niego i po pióro, bluza podjeżdża mi do góry, a kaptur spada na głowę. To szkicownik pełen rysunków zrobionych czarnym tuszem. Nawet w półmroku jestem w stanie docenić ich niezwykłą szczegółowość.

Wstaję i kartkuję notes. Powtarzają się w nim dwa motywy: widziane z dołu korony drzew o pniach wygiętych z żabiej perspektywy oraz misternie zdobiona wiktoriańska szafa, która

wygląda jak wyjęta z kart powieści fantasy, których pełno na półkach Mallory.

Rysunków szafy jest znacznie więcej niż rysunków lasu, a każdy z nich różni się odrobinę od pozostałych, jak gdyby Mallory wciąż cyzelowała swój projekt. Zmienia się kształt zdobień, delikatne kwiatowe wzory, rozmiar drzwi, liczba szuflad. Na niektórych szkicach na szafę nałożona jest kratownica, tak jakby ktoś patrzył na nią przez okno ze szprosami.

Zamykam z żalem notes. Chętnie obejrzałabym więcej, ale zdaję sobie sprawę, że już i tak naruszyłam prywatność Mallory. Gładzę dłonią okładkę i nachylam się, żeby położyć go na łóżku obok dziewczyny.

Mallory trzepocze rzęsami.

Wytrzeszcza oczy, usiłując się podnieść.

O cholera.

– Co? – Oglądam się przez jedno, a potem drugie ramię. Pokój za mną jest pusty. Mallory gramoli się do tyłu, skopując z łóżka poduszki i pled. RzUCA się w stronę nocnego stolika i łapie za podstawę ceramicznej lampy. Odwodzi ramię i ciska nią we mnie niczym piłką do baseballa.

Kucam, wydając z siebie nieartykułowany krzyk. Rozlega się głośny trzask, gdy kabel lampy zatrzymuje ją w locie gwałtownym szarpnięciem. Lampa leci do tyłu i rozbija się o podłogę. Abażur odskakuje i uderza w ścianę.

– Co ty, u diabła, wyprawiasz? – dyszę, odsuwając się od łóżka i wpadam tyłem na biurko. Uderzam w nie z takim impetem, że zawartość talerza rozsypuje się po całym blacie. Puszka lemoniady toczy się po drewnianej powierzchni i spada na podłogę.

Mallory podskakuje na ten dźwięk, gorączkowo szuka czegoś za plecami. Jej palce natrafiają na szklaną ramkę na zdjęcia.

– Zaczekaj! – Unoszę dłoń obronnym gestem. – Zaczekaj! – Zerkam rozpaczliwie w stronę drzwi, bok kaptura ogranicza mi pole widzenia. Zrywam go szybko z głowy i wtedy to do mnie dociera. Moja twarz była ukryta. W pokoju panuje półmrok, a moja twarz była w cieniu.

Unoszę ręce na znak, że się poddaję.

– Mallory, to ja. To tylko ja, Tash. Widzisz?

Mallory zastyga na łóżku, zaciskając dłoń na ramce ze zdjęciem, jej pierś unosi się i opada gwałtownie, jakby przebiegła maraton. Kosmyk blond włosów przylepił jej się do kącika ust, rozbiegane, jasnoniebieskie oczy usiłują rozpoznać rysy mojej twarzy.

– Przyniosłam ci przekąskę – mówię, wskazując bałagan na biurku.

Dziewczyna zwiesza ramiona. Rozwiera palce i ramka ląduje lekko na materacu obok niej. Rozluźniam się, opieram dłonie o uda i z drzeniem wypuszczam powietrze z płuc. Z korytarza słychać dudnienie kroków na schodach.

Mrugając, wpatruję się w Mallory, serce wciąż wali mi w piersi. Przerywa kontakt wzrokowy dopiero, gdy jej brat wpada do pokoju.

– Co tu się dzieje? – woła, włączając światło. Rachel i Christopher tłoczą się za nim w drzwiach. Morgan omiata wzrokiem stłuczoną lampę i mnie, zgiętą w pół przed biurkiem. – Co tu się stało, do diabła?

– To było nieporozumienie – udaje mi się wykrztusić. – Mallory drzemała i chyba ją wystraszyłam. To moja wina.

Morgan wpatruje się w siostrę, oszołomiony.

– Jezu, Mal. Rzuciłaś lampą?

– To moja wina – powtarzam. – Przepraszam.

Rachel prychnie i szepcze coś do Christophera, ale ten marszczy

brwi i ucisza ją. Morgan rzuca Rachel zdegustowane spojrzenie.

– Nic ci nie jest? – zwraca się do mnie.

– Jest okej. – Sięgam po puszkę lemoniady leżącą pod biurkiem. – Tylko tu posprzątam.

– Przestań – mówi Morgan, wyraźnie zniecierpliwiony. – Nie musisz tego robić.

Szorstki ton jego głosu sprawia, że się wzdrygam. Rachel odchrząkuje i przybiera zatroskany wyraz twarzy.

– Posłuchaj, Tash – mówi. – Najlepiej będzie, jak wrócisz do domu.

– Nie – warczy Morgan.

– W porządku – bąkam, ruszając w stronę holu. Rachel odsuwa się na bok.

– Nie – powtarza Morgan. – Czy wszyscy mogliby... Boże! – Uderza się dłonią w udo i mierzy całą naszą trójkę gniewnym spojrzeniem. Jest tak wściekły i tak niepodobny do Morgana, którego znam, że mam wrażenie, że patrzę na zupełnie inną osobę.

– Słuchajcie – mówi ostro. – Czy wy dwoje możecie zejść na dół? Proszę.

– Jasne, stary – odpowiada Christopher. – Tylko weź głęboki oddech, okej? Nikomu nic się nie stało. Wszystko gra. – Trąca Rachel. – Zostawmy ich samych. – Wychodzi na korytarz, a ja mijam Rachel i wyślizguję się w ślad za nim.

– Tash, zaczekaj – mówi Morgan łagodniejszym tonem. – Nie ciebie miałem na myśli. – Spogląda znacząco na Rachel, ale ona zakłada ręce na piersi i ani drgnie.

Morgan odwraca się szybko do siostry i pyta łagodniejszym tonem:

– Co się stało, Mal? – Zerka przez ramię i dodaje ciszej: –

Myślałem, że już o tym rozmawialiśmy. Chcesz, żebym zadzwonił do mamy?

Mallory potrząsa głową, jednocześnie szukając mnie wzrokiem nad ramieniem brata. Żar w jej oczach sprawia, że mój puls znów przyspiesza.

Coś jej się przypomniało.

Wycofuję się na korytarz i zbiegam po schodach, żeby zebrać swoje rzeczy. Christopher podchodzi do mnie w pokoju rekreacyjnym, kręcąc głową. Wzdycha i robi wielkie oczy, jak gdyby chodziło o jakiś żart dla wtajemniczonych.

– A tak serio, to co jej nagadałaś?

– Nic – odpowiadam. – Ona spała. Obudziła się i była w szoku, że ktoś jest w jej pokoju.

Christopher uśmiecha się krzywo, mimowolnie upodobniając się do Rachel. Muszę się odwrócić.

– Wariatka – mówi z wyraźnym przejęciem.

Wpycham ostatni album do plecaka i obracam się do niego.

– Ona nie jest wariatką. To wstrętne tak kogoś nazywać.

Chrisowi rzędnie mina.

– Nie, czekaj. Nie chciałem...

– Nieważne. – Ruszam korytarzem, wlekąc ciężki plecak w jednej ręce. U stóp schodów pojawia się Morgan, a zaraz za nim Rachel.

– Czekaj – woła za mną. – Już idziesz?

– Paaa – mruczy Rachel, przepychając się obok mnie i staje obok brata.

Nie tracąc czasu, maszeruję do drzwi. Morgan przyskakuje do mnie i podnosi mój ciężki plecak. – Naprawdę bym chciał, żebyś została dłużej – mówi cicho błagalnym tonem.

Szarpnięciem otwieram drzwi i wychodzę na werandę. Ciemne burzowe chmury nadciągają znad oceanu, wymazując ostatnie promienie popołudniowego słońca.

– Powinnam już wracać do domu.

Morgan przeciąga palcami przez włosy i wydaje z siebie pomruk frustracji.

– Cholera jasna.

Obracam się i patrzę na niego wielkimi oczami.

– Przepraszam. Naprawdę nie chciałam jej przestraszyć. Mogę wrócić na górę i przeprosić ją jeszcze raz, jeśli uważasz...

– Nie. – Morgan wzdycha ciężko, a jego twarz łagodnieje. – Nie o to chodzi. – Trąca czubkiem stopy wycieraczkę. – Po prostu... nie tak sobie wyobrażałem dzisiejszy dzień.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc spoglądam na drogę, gdzie wiatr rozrzuca liście pod zaparkowanymi samochodami. Prawie na rogu stoi brązowy pick-up podobny do wozu Ally. Ścisza mnie w żołądku.

Następny weekend. Willow Creek. Sama jak palec.

– Naprawdę chciałem spędzić z tobą dzisiejsze popołudnie – mówi Morgan, przyciągając z powrotem moje spojrzenie. – Tylko z tobą.

Robi krok do przodu i plecak obija się nam o kolana. Schylam się, żeby go podnieść, niemal uderzając Morgana głową w ramię. Gdy podnoszę wzrok, żeby się pożegnać, on zbliża twarz do mojej i przyciska usta do moich ust. Trwa to sekundę, ale czuję, jak od stóp do głów ogarnia mnie fala ciepła. Zanim zdążę zareagować, Morgan odsuwa się i prostuje.

Nie mam pojęcia, co powinnam teraz zrobić. Czy to był prawdziwy pocałunek? Czy przyjacielski pocałunek? Czy przyjaciele całują się w taki sposób? Nie mam ich aż tylu, żeby

znać odpowiedź. Jestem totalnie skołowana, poza tym wstyd mi, że zrobiło mi się tak gorąco i zakręciło mi się w głowie.

– Dzięki – bąkam. – Lepiej... lepiej już pójdę.

Zbiegam z werandy, wskakuję na rower, macham mu przez ramię i wyjeżdżam na Banksia Avenue. Dopiero w połowie drogi na dół oglądam się na dom Fisherów.

Weranda jest pusta.

Ale z okrągłego okna obserwuje mnie blada twarzączka.

16

WTEDY

15 kwietnia 2008

Stenogram z sesji z doktor Ingrid Ballantine

Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży

Klinika dziecięca w Newcastle

Pacjentka: Natasha Carmody, 9 lat

IB: Jesteś dzisiaj trochę zdenerwowana, Natasho. Mogłabyś usiąść na kanapie?

NC: ...

IB: Nie chcesz porozmawiać o tym, co cię tak wzburzyło?

NC: Mama mówi, że wizyty tutaj mają mi pomóc, ale wcale nie pomagają.

IB: Dlaczego tak myślisz?

NC: Nikt mi nie wierzy. Myślałam, że przychodzę tutaj porozmawiać o tym, co wydarzyło się u cioci Ally, żeby wszyscy zrozumieli.

IB: Staramy się zrozumieć.

NC: Muszę w kółko powtarzać to samo!

IB: Staramy się ustalić, dlaczego widziałaś i mówiłaś pewne rzeczy.

NC: Bo się wydarzyły. Po co innego?

IB: Czasami ludziom się wydaje, że słyszą lub widzą różne rzeczy, bo bardzo pragną, żeby były prawdziwe. Ale w rzeczywistości wcale się nie wydarzyły. Rozumiesz to?

NC: Nie...

IB: Rozmawialiśmy już o tym, jak to jest czuć się samotnym i że czasem czujemy się mniej samotni, jeśli zaczniemy wyobrażać sobie różne scenariusze. To trochę tak jak wymyślanie scen filmowych, w których gramy główną rolę.

NC: ...

IB: Omawialiśmy też różnice między faktami a fikcją, między tym, co dzieje się w rzeczywistości, a tymi filmowymi scenami, które sobie wyobrażamy.

NC: Umiem odróżniać fakty od fikcji.

IB: Świetnie. Możemy porozmawiać o jednej z sytuacji, która wydarzyła się w domu twojej cioci?

NC: Chyba tak.

IB: Dobrze. Porozmawiajmy o popołudniu w buszu za domem cioci. Kiedy poszłaś szukać kijanek w strumyku.

NC: Mój tata robił to w dzieciństwie. W jednym miejscu strumyk rozlewa się szeroko, tworząc oczko wodne. Tata mówi, że to najlepsze miejsce.

IB: To blisko domu cioci?

NC: Nie bardzo. Trzeba iść dziesięć minut przez busz.

IB: Rozumiem. Więc ciocia nie mogła cię zobaczyć z podwórza?

NC: Nie, tam są drzewa, a potem trzeba zejść z pagórka.

IB: Co więc wydarzyło się tego dnia, kiedy poszłaś łapać kijanki?

NC: Ciocia Ally pracowała. Kłóciła się z kimś przez telefon w gabinecie na piętrze. Drzwi były zamknięte.

IB: Co było potem?

NC: Zapukałam do drzwi, bo chciałam się pobawić z Bennym. To pies cioci Ally. Ale kazała mi pobawić się na dworze.

IB: Więc postanowiłaś pójść nad strumyk?

NC: Tak. Było super. Miałam w wiaderku dziesięć kijanek, kiedy on przyszedł i wszystko zepsuł.

IB: Kto taki?

NC: Wróbel. Chował się za drzewami.

IB: Wróbel?

NC: Tak go nazywam.

IB: Rozmawiał z tobą?

NC: Tak. Chciał, żebym gdzieś za nim poszła. Nie miałam ochoty. Powiedział, że wie, co zrobić, żeby tatuś przyjechał i mnie zabrał, skoro tak bardzo chcę wrócić do domu.

IB: I co miałaś zrobić?

NC: To była zabawa. Już o niej mówiłam.

IB: Ta, w której wstrzymywałaś oddech i zanurzałaś buzię w strumyku?

NC: Dlaczego znów muszę o tym opowiadać?

IB: Chcę zrozumieć, dlaczego to zrobiłaś. Wiesz, że takie zabawy mogą być niebezpieczne?

NC: Ludzie wstrzymują oddech, kiedy pływają.

IB: Tak, ale ty nie pływałaś. Klęczałaś na brzegu strumyka, prawda? Nawet w basenie zdarza się, że ludzie dla zabawy wstrzymują oddech tak długo, aż zakręci im się w głowie i mdleją pod wodą. Kiedy tracą przytomność, ich ciała automatycznie zaczynają oddychać.

NC: Tylko że nabierają w płuca wodę zamiast powietrze.

IB: Tak. I toną. To bardzo niebezpieczne, zwłaszcza kiedy jest się samemu.

NC: Nie byłam sama. Wróbel tam był.

IB: Tak, oczywiście.

NC: On zrobił to pierwszy. Powiedział, że jeśli uda mi się wstrzymać oddech dłużej niż jemu, zadzwoni do mojego taty, żeby po mnie przyjechał. To miała być nagroda za wygraną.

IB: Gdyby więc rodzice o tym usłyszeli, mieli po ciebie przyjechać?

NC: Wróbel mi to obiecał.

IB: Czy dotrzymał obietnicy?

NC: Nie. To był podstęp! Położył mi rękę na karku – o, tak – i przytrzymał mi głowę pod wodą. Nie pozwalał mi się wynurzyć. Powiedział, że nie umiem się bawić. Powiedział: „Przestań się szamotać”.

IB: I co zrobiłaś?

NC: Kopałam i drapałam, i machałam rękami ze wszystkich sił. Musiałam go uderzyć, bo mnie puścił. Pobiegłam do domu cioci Ally i powiedziałam jej, co się stało, a ona poszła nad strumyk poszukać Wróbla. Ale go nie znalazła. W ogóle go nie widziała.

IB: Hm. Jak myślisz, dlaczego Wróbel przytrzymał ci głowę pod wodą?

NC: Może chciał, żebym straciła przytomność? Tak jak pani mówiła.

IB: Ale dlaczego?

NC: Bo nie chciałam z nim pójść do jego sekretnego pokoju.

IB: Tak?

NC: Gdybym zemdląła, mógłby mnie tam zabrać nieprzytomną i nie miałabym wyboru.

IB: Nigdy wcześniej nie wspominałaś o sekretnym pokoju.

NC: Wróbel mówił, że by mi się spodobał, bo nikt inny o nim nie

wie. To miało być nasze sekretne miejsce.

IB: Dlaczego nie chciałaś go zobaczyć?

NC: Bo gdybym tam poszła, mógłby mnie już nigdy nie wypuścić.

IB: Czy teraz widzisz się z Wróblem albo z nim rozmawiasz?

NC: Czasem mam złe sny, w których się pojawia. Czasem wydaje mi się, że widzę go tutaj – jakby z boku.

IB: Kątem oka?

NC: Tak. Ale kiedy się odwracam, znika.

IB: Czy rozmawiałaś z nim, odkąd wróciłaś do Port Bellamy?

NC: Nie. Może tam utknął.

IB: Gdzie?

NC: W domu w Willow Creek. Może nie może się stamtąd ruszyć.

IB: Czy byłaś w Willow Creek od tamtego lata?

NC: Mowy nie ma.

IB: Dlaczego nie chcesz tam wrócić?

NC: Bo on może wciąż tam być. Czekać na mnie.

17

TERAZ

Półtoragodzinna podróż na północ do Willow Creek przebiega w ponurej atmosferze. Nie minął nawet kwadrans, a mnie i tacie skończyły się błahe tematy do rozmowy. Gdy opuszczaliśmy dom, między nim a mamą doszło do gwałtownej wymiany zdań i choć wyjeżdżając z Port Bellamy, tato starał się sprawiać wrażenie niewzruszonego, to zauważyłam, że nerwowo zaciska zęby. Chyba z ulgą przyjął propozycję włączenia audiobooka, ale widzę, że myślami jest daleko.

Oprócz weekendu w Willow Creek oraz faktu, że oboje z Morganem zachowujemy się tak, jak gdyby nasz pocałunek nigdy się nie wydarzył, mam jeszcze inne zmartwienia. Sadie ostrzegła mnie, że bym trzymała Morgana na dystans, dopóki go lepiej nie poznam, więc zachodzę w głowę, co takiego Morgan ma w sobie, że wzbudza jej podejrzenia.

Ale przede wszystkim nie daje mi spokoju moje ostatnie spotkanie z Mallory. Nie chodzi tylko o to, że wyrwałam ją ze snu i zareagowała w tak gwałtowny sposób. Moja obecność wytrąciła ją z równowagi i przeraziła do tego stopnia, że mnie zaatakowała.

Czyżby przypomniawszy sobie jakieś szczegóły swojego zaginięcia?

A dokładniej – czy przypomniawszy sobie mnie?

Gdy mijamy starannie utrzymane pola golfowe w Greenwillow,

kręcę się niespokojnie. Stąd do domu Ally jest jeszcze dziesięć minut drogi. Ogarnia mnie dziwna mieszanka niepokoju i poczucia swojskości, gdy suniemy główną ulicą Greenwillow, mijając ceglane fronty sklepów, dwupiętrowy pub na rogu, Palace Theatre z fasadą z niebieskich kafli. Zauważam drewniany znak ze strzałką wskazującą miejscowy kemping – wakacyjny dom Fisherów znajduje się na tym samym odcinku rzeki. To wystarczy, żebym znów poczuła nerwowe łaskotanie w brzuchu, bo nawet jeśli jeszcze ich tu nie ma, wkrótce przyjadą.

– Nieczynne – odzywa się tata, widząc, że spoglądam w górę Old Meadow Lane, bocznej drogi, skąd według policji porwano tamtego pamiętnego lata Mallory. – Wesołe miasteczko. Zamknięto je jakieś pięć lat temu, bo po otwarciu parku wodnego w Port Macquarie odwiedzających było coraz mniej.

– Serio? – Jestem zdziwiona, że nic o tym nie słyszałam. Wyciągam szyję, żeby wypatrzeć bramę lunaparku albo spiczasty dach autodromu. Udaje mi się dostrzec tylko żółty czubek diabelskiego młyna, zanim kępa drzew zasłoni mi widok.

– Pisali o tym w gazecie – mówi tata, zwalniając na skrzyżowaniu. Skręcamy w lewo i ruszamy na zachód, zostawiając lunapark za sobą. – Najpierw zniknęły budki z jedzeniem, potem wyprzedano i wywieziono inne atrakcje. Podejrzewam, że niewiele z nich się uchowało. Pewna epoka dobiegła końca.

Opieram się o podłokietnik na drzwiach, obgryzając kciuk. Nie wiedzieć czemu, czuję rozczarowanie. Może myślałam, że wesołe miasteczko wciąż kryje w sobie odpowiedzi. Teraz to tylko kolejny ślepy zaułek.

Gdy wyjeżdżamy z Greenwillow, droga wiję się między pastwiskami i osnutymi mgłą tamami, omija wzgórza poznaczone skalistymi skarpami oraz strzeliste eukaliptusy. Willow Creek to

zbieranina starych domów i zardzewiałych szop, większe posiadłości oddziela od siebie tylko kilka drewnianych słupów, między którymi rozpięto drucianą siatkę.

Skrećamy w Cowpasture Road i moim oczom ukazuje się dom ciotki. Czerwony ryflowany dach wieńczą z obu stron kruszejące kamienne kominy. Symetryczna fasada jest jednocześnie dumnie klasyczna i kompletnie banalna. Z oddali dom wygląda tak, jak gdyby przycupnął na tle gór niczym stare, uparte stworzenie, które z trudem zachowuje pion, ale wciąż trzyma się na nogach.

Gdy podjeżdżamy bliżej, tata omiata wzrokiem zapadnięty dach werandy i popękane szyby. Trudno orzec, czy na jego twarzy maluje się nostalgia, czy milcząca rezygnacja.

Koła wpadają w dziurę na szutrowym podjeździe i samochodem zarzuca w bok.

– Psiakrew – mamrocze tata, zatrzymując się przed domem. Gdy wysiadamy, wiatr szumi w zwisających gałęziach przydrożnych wierzb płaczących. Tata sprawdza, czy felga nie ucierpiała.

– Chyba nie uszkodziłeś swojego skarbu?

Oboje podnosimy głowy na dźwięk głosu Ally. Ciotka schodzi boso po kamiennych stopniach werandy, otulając się robionym na drutach swetrem. Benny przeciska się obok niej i pędzi prosto do taty.

– Jestem wzruszony twoją troską – odpowiada sucho tata, pochylając się, żeby podrapać Benny’ego za uchem.

– Ależ wymuskana gabłota – droczy się Ally. – Pasuje do ciebie jak ulał, co nie, braciszku? – Podchodzi prosto do mnie i zamyka mnie w krótkim, entuzjastycznym uścisku przesyconym zapachem, który zdążyłam już zapomnieć: gardenii i dymu papierosowego. – Zaprosiłabym cię na kawę, Rich, ale wiem, że się spieszysz.

To prawda. Tata nie przestaje oglądać się przez ramię, jak gdyby

nie mógł się doczekać powrotu do auta.

– Chodź, Tash – ponagla Ally, wyciągając do mnie rękę, jakby naprawdę liczyła na to, że ją wezmę. Wyciągam plecak z bagażnika, czując na kostkach ciepły oddech Benny’ego. Gdy ruszam w stronę domu, tata zastępuje mi drogę; łagodny ton jego głosu przywodzi na myśl tamto lato, kiedy zostawił mnie tu jako dziecko.

– Posłuchaj – mówi – gdyby coś było nie tak, po prostu zadzwoń, a przyjadę po ciebie. Kiedy tylko zechcesz, okej?

Całuje mnie w czubek głowy i szybko odjeżdża. Stoję obok starego brązowego forda babci, odprowadzając go wzrokiem. Gdy kurz opadnie, przesuwam dłonią po krzywiźnie maski i wzdłuż pomarańczowych pasków namalowanych na drzwiach.

– Prawie już nim nie jeżdżę – oznajmia Ally. – Tylko na dłuższe wyjazdy albo z większą dostawą. Do miasteczka wybieram się Molly. – Wskazuje kciukiem stary srebrny motorower oparty o ścianę szopy. – Jest znacznie tańsza w eksploatacji.

Coś mi przychodzi do głowy.

– Mogłabyś oddać forda tacie? Wiesz, że bardzo by tego pragnął.

Ally wpatruje się w horyzont zmrużonymi oczami.

– Richard dostawał wszystko, czego chciał, kiedy żyła nasza matka. Tego nie musi dostać.

*

– To jakie masz plany na weekend? – pyta Ally, zdejmując wgnieciony czajnik z palnika na piecyku. Oprowadziła mnie po domu oraz ogrodzie i wszystko wygląda dokładnie tak samo. Najwyraźniej ja też się nie zmieniłam – wciąż sprawdzam każdy kąt i staram się stawać plecami do ściany. Myślałam, że wyrosłam z lęku przed tym wielkim domostwem, bo sama jestem większa, ale

mój wrażliwy żołądek nie przestaje się buntować. Kiedy Ally poprosiła, żebym wybrała sobie pokój, wybrałam ten najdalej od gościnnej sypialni, w której spałam lata temu.

– Plany? Hm... dwudziestominutowe prysznice i spanie do oporu? – odpowiadam z szerokim uśmiechem. Ally kiwa głową, jak gdyby jej mama też miała o to pretensje, kiedy ciocia była w moim wieku. – Sama jeszcze nie wiem. Chcę umówić się z kolegą ze szkoły, żeby popracować nad wspólnym projektem.

Ciocia spogląda na mnie z nowym zainteresowaniem. Nalewa nam dwa kubki herbaty i dodaje do każdego z nich łyżkę miodu, chociaż prosiłam odrobinę mleka i cukier. Unosi brew.

– Zdefiniuj „umówić się”. – Och. To nic takiego – zapewniam. – Pracujemy nad wspólnym projektem na plastykę. Przyjeżdża do swojego letniego domu w Greenwillow, więc pomyślałam, że dobrze byłoby się spotkać i trochę popracować.

Ally uśmiecha się ironicznie, słysząc moje wylewne tłumaczenia. Przełykam wielki łyk herbaty. Jest za gorąca i parzy mnie w gardło.

– Podoba ci się ten chłopak.

– Eee... to znaczy... – Wzdycham. – Chyba tak.

Ciocia podnosi kubek do ust i uśmiecha się znad jego brzegu. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że kiedykolwiek odbywam taką rozmowę z moją matką.

– Wiesz co? – zaczyna. – Poznałam moją bratnią duszę w szkole średniej. – Czuję, że się rumienię, chociaż Ally opowiada o sobie. – Nazywał się Patrick Jonas. Był szczupły i umięśniony, najszybszy zawodnik w szkolnej drużynie lekkoatletycznej. Przezywali go Rakietą. Ja spędzałam wtedy większość czasu, popalając za winklem z ponurakami z kółka teatralnego. Bóg jeden wie, jak to się stało, że między nami zaiskrzyło, ale było to tak proste, że nawet nie musieliśmy się starać.

Myślę o tym, z jaką łatwością ja i Morgan odnowiliśmy po latach naszą przyjaźń. Jak wspaniale się poczułam, kiedy mnie pocałował, i jak bardzo pragnę, żeby zrobił to jeszcze raz.

– Twojej mamie też się spodobał?

– Też coś. Mojej matce nie podobało się nic, co miało związek ze mną – odpowiada Ally, machając lekceważąco ręką. – Zazdrościła mnie i tacie więzi, która nas łączyła, zanim umarł. Wyobraź sobie bycie zazdrosną o własną trzynastoletnią córkę. – Na jej twarzy maluje się rozgoryczenie. – To oczywiste, że nie znosiła Patricka, bo zapełnił tę zimną, pozbawioną miłości pustkę, jaką stworzyła w domu. Stał się dla mnie rodziną. – Opiera brodę na dłoni i wygląda tęsknie przez okno. – Kłóciliśmy się i zrywaliśmy wiele razy, ale zawsze do siebie wracaliśmy. Tylko on naprawdę mnie rozumiał.

Rozglądam się po ponurej kuchni z żółtymi zasłonkami w oknach i wytartymi płytkami na podłodze. Zdaję sobie sprawę, że obecnie Ally nikogo nie ma. W jej życiu nie ma żadnego PJ-a. Wciąż tkwi samotnie w zimnej, pozbawionej miłości pustce domu swojej matki.

– Czasem wszystko się sypie – ciągnie Ally. W oczach ma iskierki. – Nie będę kłamać, popełniłam wiele błędów i wielu rzeczy żałuję. Ale głęboko wierzę, że jeśli coś jest komuś pisane, to w ten czy inny sposób wszystko się ułoży. – Odrywa wzrok od okna i spogląda mi w twarz. – Ludzie pojawiają się ponownie w naszym życiu nie bez powodu.

„Jak Morgan i Mallory”, myślę w duchu, choć wciąż nie ustaliłam, co to za powód.

Ku mojemu zaskoczeniu Ally pochyla się i ściska moją dłoń. Wzdrygam się lekko, przez co czuję się winna.

– Zostawię cię, żebyś mogła się rozgościć – oświadcza ciotka. – Poznać na nowo dom. Ja się spakuję i podjadę zatankować przed

jutrzejszym wyjazdem. Może przy okazji przywiozę coś do jedzenia.

Ciotka odsuwa krzesło i wstaje, odpychając się od blatu. Przez krótką chwilę wydaje się mieć znacznie więcej niż czterdzieści pięć lat. Jest znużona i niepewna, niemal krucha. Ale prawie natychmiast odzyskuje werwę, odrzuca z twarzy falujące włosy i wychodzi z kuchni stanowczym krokiem.

*

Kiedy wracam do swojego pokoju po wzięciu prysznic, mam dwa nowe SMS-y od Sadie. Pierwszy:

Elo, kanga. Jak leci u ciotki?

Drugi:

Co powiedziałaś Chrisowi Tan? Uważa, że go nienawidzisz.

Mam wyrzuty sumienia, że w ubiegłym tygodniu tak napadłam na Christophera u Fisherów, nie zasługiwał na to. Czulałam przypyływ adrenaliny i byłam roztrzęsiona. Muszę wysłać mu jakąś wiadomość, żeby oczyścić atmosferę.

Hej, kiwi, piszę do Sadie. Na razie wszystko okej. Jak przyjęcie?

Od razu dostaję odpowiedź i przez kilka minut wysyłamy sobie SMS-y, dopóki Sadie nie musi pójść pozmywać kieliszków.

Gdy schodzę na dół, Ally jest w salonie i rozlewa czerwone wino. Rozpala niewielki ogień w kominku w gasnących promieniach zachodzącego słońca. Rysujące się na horyzoncie sylwetki eukaliptusów o rozczapierzonych gałęziach wyglądają jak armia nieumarłych nacierająca na dom. Wzdrygam się od chłodu bijącego od ciemnych okien i szybko zaciągam zasłony. Nie lubię czuć się jak na wystawie sklepowej. Ktoś mógłby nas obserwować z zewnątrz.

Na stoliku kawowym stoją pudełka z indyjskim jedzeniem na wynos. Ally zaczęła już jeść samosy i włączyła nam do posiłku jakąś psychodeliczną muzykę na sitarze.

– Musiałam podjechać po to aż do Ellenbrook – oznajmia. – Wcinaj, póki gorące. – Rzuca mi wielką wyszywaną poduchę, żebym miała na czym usiąść, a sama opada na marokański puf przy kominku. Benny drepcze do nas z kuchni, przystając po drodze w korytarzu, żeby zawarczyć na drzwi do piwnicy.

– Przestań, Benny. Chodź no tu. – Ally rzuca ma kawałek placka, który pies chwytą w powietrzu, po czym sadowi się na dywanie u jej stóp w nadziei na kolejne kąski.

– Wciąż to robi? – pytam, wskazując głową drewniane drzwi ukryte pod schodami. Wzdrygam się mimowolnie. Nadal czuję ucisk kościstych palców Wróbla wpijających mi się w ramię i rozpaczliwie pragnę się pozbyć tego wrażenia.

Zza drzwi dochodzi bulgot bojlera napełniającego się po moim prysznicu. Syk i pisk rur w piwnicy wciąż szarpią mi nerwy.

Ten dom nie da mi zapomnieć.

– To pierwszy raz od dawna – odpowiada Ally, głaszcząc stopą grzbiet Benny’ego. – Stare nawyki ciężko wykorzenić. – Marszczy na chwilę brwi, jak gdyby miała coś dodać, ale najwyraźniej zmienia zdanie.

Przesuwa w moją stronę kieliszek z winem.

– Hm, jesteś pewna, że mogę? Nie jestem jeszcze pełnoletnia...

Ally prychnęła.

– Boże, wdałaś się w swojego tatę, co? Nie chcesz wiedzieć, co ja robiłam w wieku siedemnastu lat. – Upija ze swojego kieliszka duży łyk. – Nie martw się. Obiecuję, że nie zakabluję cię twoim klawiszom.

Sącę pomału wino między kęsami curry z soczewicą i wkrótce

czuję się swobodnie i zrelaksowana, może nawet szumi mi trochę w głowie. Próbowałam już kiedyś wina i niespecjalnie mi smakowało. Z jedzeniem wchodzi znacznie lepiej.

– Więc co jeszcze robiłaś w młodości? – pytam, ośmielona alkoholem.

Ciotka nalewa sobie kolejny kieliszek i spogląda na mnie z ukosa.

– Nie chcę rozmawiać o tym wszystkim. Nie chcę, żeby mój świętoszkowaty brat znów krytykował mój styl życia.

– Nie powiem nic tacie. A on wcale nie jest...

– Opowiem ci coś o Richardzie „Złotym Chłopcu” Carmodym – przerywa mi Ally, robiąc palcami cudzysłów w powietrzu. – On nie ma zielonego pojęcia, co to naprawdę znaczy żyć. Myśli, że jest taki światowy, tymczasem wszystko, co osiągnął w życiu, to małżeństwo ze swoją pierwszą i jedyną dziewczyną i przeprowadzka do miasta oddalonego o półtorej godziny drogi od miejsca, w którym się wychował. Zazdrości mi wolności i niech mnie diabli porwą, jeśli pozwolę mu sprzedać ten dom, żeby zasponsorować mu jego żalosny kryzys wieku średniego. Nie oddam mojego domu, żeby jakiś smutny człowieczek mógł kupić sobie małe, smutne volvo, które będzie parkował w swoim małym, smutnym garażu.

Ally spogląda na mnie, jak gdyby dopiero uświadomiła sobie, że mówi o moim ojcu, i że jego małe, smutne życie póki co zaowocowało zaistnieniem małej, smutnej mnie. Mruczy coś niezrozumiale pod nosem i sięga po paczkę papierosów. Skupiam się na jedzeniu, próbując przetrwać jej słowa.

Dochodzę do wniosku, że moja ciotka składa się z samych sprzeczności. Zachwala zalety swojej organicznej diety, ale kopci jak smok. Wynosi pod niebiosa korzyści płynące z jogi i medytacji,

a sama nosi w sobie pokłady żalu do mojego ojca. Kiedy byłam małą dziewczynką, Ally powiedziała, że ona i ja jesteśmy do siebie podobne, i zapewniała mnie, że nie ma niczego złego w byciu innym. A jednak nie chciała mieć ze mną do czynienia po tym, jak wyjechałam stąd odmieniona.

Patrzy na mnie uważnie, wydmuchując dym kącikiem ust.

– Znajdzie jakiś sposób, żeby opłacić ci chesne.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć.

– Nigdy nie położy swoich brudnych łap na mojej połowie domu – ciągnie. – Zostawię go komuś innemu.

Trudno ocenić, czy mówi poważnie.

– Dlaczego?

Ally bierze kolejny łyk wina, usta jej lśnią.

– A dlaczego nie? Ja nie odziedziczę po nim majątku, prawda? Więc dlaczego miałabym zostawić mu swoją połowę, tylko dlatego, że nie mam dzieci? – Chichocze konspiracyjnie, jak byśmy były dwiema kumpelami w winiarni. – Sporządziłam testament lata temu. Czy możesz sobie wyobrazić minę Ricka, kiedy się dowie? – Parska śmiechem i pociąga kolejny łyk.

W sposobie bycia Ally coś mi zgrzyta, brakuje zgodności między tym, co mówi, a tym, co robi. Może to sprawka wina, może kwestia sposobu, w jaki obraża mojego tatę, a może żywionych od dawna podejrzeń dotyczących tego, co naprawdę wydarzyło się w tym domu, ale w końcu zdobywam się na odwagę.

– Mogę cię o coś zapytać?

Ciotka wydmuchuje cienką smużkę dymu w stronę kominka i sadowi się wygodnie w fotelu.

– Oczywiście, skarbie.

– Tamtego dnia w wesołym miasteczku, kiedy miałam osiem lat.

No wiesz, kiedy zaginęła Mallory Fisher.

Mruży oczy.

– Taak?

– Dlaczego myślałaś, że to byłam ja?

– Co masz na myśli?

– Kiedy po mnie przyjechałaś, usłyszałaś na parkingu, że zaginęła dziewczynka. Gdy mnie znalazłaś, złapałaś mnie za ramiona i powiedziałaś: „Byłam pewna, że chodzi o ciebie”.

Ally marszczy brwi i wzrusza ramionami.

– Dlaczego miałabym powiedzieć coś takiego?

– No właśnie. Dlaczego?

Ally opada na oparcie fotela i przygląda mi się tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Odczekuje moment, zanim zacznie mówić, a ja walczę z pokusą przykrycia paplaniną narastającego napięcia.

– Nie wiem Tash, do czego zmierzasz – mówi, kładąc rękę w poprzek ciała. Zaciąga się głęboko papierosem.

– Byłaś pewna, że to właśnie ja zniknęłam.

– Nie mam pojęcia, jak możesz pamiętać rozmowę sprzed dziewięciu lat.

– Pamiętam wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia.

W jej oczach pojawia się błysk.

– Nawet to, co zmyślane?

Głos jej twardnieje, a ja mam ochotę się wycofać. To nie jest ta empatyczna ciocia, która zapewniała siostrzenicę, że nie ma nic złego w bujnej wyobraźni. Teraz czuję się, jakby wykorzystywała to przeciwko mnie.

– Czułaś się winna? – wypalam.

– Oczywiście, że nie. Niby dlaczego...

– Bo zostawiłaś ośmiolatkę samą w wesołym miasteczku na pięć godzin.

Ally parska i prostuje się w fotelu.

– Nic ci się nie stało!

– A gdybym to ja zniknęła, a nie Mallory Fisher?

Spogląda na mnie z rozgoryczeniem.

– Miałam tamtego popołudnia dużo spraw do załatwienia, Tash. Wiedziałam, że będziesz się dobrze bawić w lunaparku. Chciałam zrobić dla ciebie coś miłego.

– Zostawiając mnie na pastwę losu?

– Do jasnej cholery, miałaś osiem lat, a nie trzy. Kiedy ja miałam osiem lat, matka kazała mi roznosić po całym mieście ulotki reklamujące jej sklep z antykami. Wszyscy tu wszystkich znają. Jest całkowicie bezpiecznie.

– Nie zawsze.

Ally pochyla się do przodu i gasi papierosa w popielniczce.

Cofam się mimowolnie.

– Dlaczego chcesz się ze mną pokłócić, Tash?

– Nie chcę. Próbuję tylko zrozumieć, dlaczego tamtego dnia byłaś taka przerażona, dlaczego byłaś święcie przekonana, że to ja zaginęłam.

Ally wstaje z westchnieniem z fotela.

– Byłaś pewna, że to właśnie ja zniknęłam – kontynuuję.

Ally podchodzi do kamiennego kominka i wpatruje się przez kratkę w płomienie.

– Tamtego lata mówiłaś i robiłaś dziwne rzeczy – odpowiada, opierając głowę o półkę nad paleniskiem. – Jakbyś żyła w swoim własnym świecie. Miałaś przywidzenia, wymyślałaś różne postacie.

Bałam się, że uciekniesz z lunaparku w ferworze jednej ze swoich fantazji.

Ally otula się swetrem i wraca do stolika po swój kieliszek.

– Nie miałam zamiaru nic mówić twoim rodzicom – ciągnie, stając nade mną. Gdy tak siedzę i patrzę na nią z dołu, znów czuję się jak dziecko. – Wiedziałam, że zareagują histerycznie i zrobią z igły widły. To miał być nasz mały sekret, pamiętasz? – Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nie daje mi dojść do słowa. – Wiedziałam, że robisz to, żeby znaleźć się w centrum uwagi. Wiedziałam też, że im mniej uwagi ci poświęcę, tym szybciej się tym znudzisz. A potem wymyśliłaś historyjkę, że widziałaś, jak porwano tę małą Fisherów. Nie zostawiłaś mi wyboru: po czymś takim musiałam opowiedzieć im o wszystkich innych rzeczach, które zmyśliłaś.

Ostatnie zdanie sprawia, że cała się zjeżam. Mówi tak, jak gdybym celowo opowiadała te historie, jak gdybym chciała coś na tym zyskać albo komuś zaszkodzić. Lecz mimo wzburzenia nie potrafię znaleźć słów na swoją obronę. Wbijam wzrok w stół, zawstydzona. Jak by nie patrzeć, opowiadałam te historie. Wszyscy uznali mnie za kłamczuchę.

– Nie jestem już głodna – oznajmia Ally tonem, który przywodzi na myśl naburmuszonego Tima. Nie patrząc na mnie, opróżnia kieliszek i rusza z nim w stronę holu. – Idę na górę dokończyć pakowanie.

Jej poobijana brązowa walizka już stoi pod drzwiami frontowymi.

– Do zobaczenia przy śniadaniu – mruczy, wchodząc po skrzypiących schodach. Benny, obdarzywszy ostatnim tęsknym spojrzeniem pudełka z jedzeniem, biegnie za nią.

Skubię resztki swojego dania, a potem zbieram wszystko ze

stolika i sprzątam kuchnię. Wracam do salonu i zwijam się w kłębek na starej, patchworkowej kanapie babci. W kominku dogasające płomienie oblizują poczerwiałą polana.

Choć próbuję oczyścić umysł i puścić w niepamięć zadawnione urazy, jedno pytanie nie daje mi spokoju. Pytanie, którego nie zadałam Ally, gdy miałam okazję, a teraz tego żałuję.

Skoro zachowywałam się tak dziwacznie w tygodniu poprzedzającym wyjście do lunaparku, dlaczego, u licha, zostawiła mnie tam samą?

18

LUNAPARK

Dwa balony.

Jeden różowy i jeden żółty, splątane ze sobą jak siostry trzymające się za ręce. Mocują się i szarpią, całują i skręcają, wiatr ciska nimi wte i wewte w przypominającym zapasy walcu.

Odlatują ku różowym obłokom nad oceanem, byle dalej od grzechotu i zgrzytu karuzel, kakofonii brzęków ze strzelnic. Byle dalej od smrodu błotnistej trawy i frytkownic, wysoko ponad ludźmi, którzy lśnią od kremu z filtrem oraz potu.

Odlatują, machając sznurkami w czułym pożegnaniu.

Dziewczynce na ziemi.

Gdy on wabi ją do siebie.

19

TERAZ

Zrywam się ze snu z metalicznym posmakiem paniki na języku, a w uszach wciąż mam melodię karuzeli. Serce wali mi w piersi, gdy mrugając, wpatruję się w mrok sypialni, gdzie jeszcze przed chwilą było błękitne niebo. Szukam kołdry i koca, które skopałam z siebie we śnie, przyciskam je do piersi i zwijam się w kłębek z głową na poduszce. To już moje trzecie przebudzenie od chwili, gdy poszłam spać, i za każdym razem śnię inną wariację na temat tej okropnej sceny w lunaparku.

To ten dom. Nie da mi spokoju. Nie zostawi mnie samej sobie.

Otrząsam się z wywołanej brakiem snu paranoi, powtarzając sobie w duchu, że tym razem sama postanowiłam tu przyjechać. Nie jestem bezsilna. Nie jestem dzieckiem.

Przysypiam na samej krawędzi snu, pulsujące ćwierkanie cykad sączy się przez szpary w oknach, nie pozwalając mi zasnąć głębiej. Stary dom skrzypi i stęka w objęciach chłodnej nocy, a moje początkowe rozedrganie ustępuje miejsca tępej, wyczerpanej obojętności. Kiedy zza drzwi sypialni słychać skrzypienie podłogi, bez przekonania spoglądam w tamtą stronę jednym okiem.

Drzwi są otwarte. W korytarzu majaczy jakiś cień.

– Ally? – Przecieram oko zwiniętą w pięść dłonią. – O co chodzi?

Opieram się na łokciu, usiłując wypatrzeć w ciemności jej sylwetkę. Mrużę oczy i jestem w stanie dostrzec zarys jej ramienia.

– Ally...? Wszystko w porządku?

Cień stoi nieruchomo. Serce wali mi ostrzegawczo, a mój zaspany umysł roztrząsa kolejne pytania.

Czy ona mnie nie słyszy?

Czy ona lunatkuje?

Czy to w ogóle Ally?

Wciskam się w materac, podciągając koc pod brodę.

– Jest... jest tam kto?

Cień porusza się w drzwiach. Mrugam szybko, usiłując rozróżnić kształty, nie pozwalając myślom odpłynąć w niepożądanym kierunku...

Ten dom to miejsce, gdzie pojawił się po raz pierwszy.

...i szukam logicznego wytłumaczenia.

Ally zajrzała do mnie albo wstała, żeby wypuścić Benny'ego na dwór. Może rusza w drogę do Byron Bay.

Więc dlaczego nie odpowiada?

Macam dłonią stolik nocny za plecami, szukając lampy z falbaniastym abażurem. Niewielkie pomieszczenie zostaje zalane złotym światłem, które pada przez drzwi na korytarz. Nie ma tam nic prócz kilku zerwanych pajęczyn i łuszczącej się tapety.

Zrzucam z siebie pościel, maszeruję do drzwi i otwieram je na oścież. Ciemny korytarz jest pusty, a gdy podchodzę do szczytu schodów, słyszę tylko tykanie zegara w salonie. Skradam się pod drzwi sypialni Ally i przyciskam ucho do chłodnego drewna. Drzwi ustępują i uchylają się do środka, a ja tracę równowagę i prawie się przewracam.

Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć, ale nie nieprzytomną

Ally rozciągniętą w poprzek łóżka z rozrzuconymi rękami i w ubraniu. Benny śpi skulony u jej boku. Ciotka wydaje z siebie przez sen głębokie stęknienie, jedna z łapek Benny'ego drga. Na dywaniku obok łóżka leży kieliszek po winie.

Stoję na środku sypialni Ally i przyglądam się im znacznie dłużej, niż to konieczne. Jakbym bała się wrócić do swojego pokoju i zostać sama ze swoimi myślami. W końcu zamykam cicho drzwi, a potem obchodzę cały dom, po drodze zapalając wszystkie światła. Sprawdzam zasuwki w drzwiach i zamki w oknach, wewnątrz szafek i zasłonkę pod prysznicem, dopóki nie mam pewności, że nikt nie mógł się włamać.

Ale nie czuję ulgi.

Jeśli nikogo tu nie ma, jedyne miejsce, gdzie ktoś mógł się ukryć, znajduje się w mojej głowie.

*

W sobotni poranek budzi mnie odgłos drapania psich pazurków. Wydaje mi się, że to Benny skrobie do moich drzwi, ale gdy nieco przytomnieję, orientuję się, że dźwięk dochodzi gdzieś z dołu. Czuję się kompletnie wyczerpana, jakbym w ogóle nie wypoczęła, choć w rzeczywistości musiałam przespać kilka godzin. Odchyłam zasłonkę. Okoliczne wzgórza spowija lekka mgiełka, szarofioletowa luna zdradza, że słońce jest już w drodze. Podobnie jak Ally – jej brązowy pick-up zniknął sprzed domu.

Drapanie Benny'ego staje się coraz bardziej natarczywe, a do mnie dociera, że pewnie potrzebuje wyjść na dwór. Zarzucam bluzę na piżamę i wysuwam się z łóżka. Deski podłogi ziębią mnie w stopy, rozglądam się więc za tenisówkami. Benny szczeka tak zajadle, że zbiegam na dół, gdzie czeka w holu. Nie stoi jednak przed drzwiami wejściowymi. Chodzi tam i z powrotem przed

wejściem do piwnicy.

– Chodź, piesku – postępuję, przecierając zaspane oczy. – Chcesz wyjść na dwór?

Otwieram frontowe drzwi, a Benny przeciska się na werandę, zeskakuje na żwirowy podjazd i znika za rogiem domu. Idę do kuchni, która wygląda dokładnie tak, jak ją wczoraj zostawiłam. Żadnych używanych kubków po kawie, brudnych popielniczek czy miski po płatkach w zlewie. Pewnie Ally postanowiła wyjechać wcześniej, żeby zjeść śniadanie po drodze i prawdę mówiąc, trudno mieć jej to za złe. Wczoraj wieczorem trochę się ścięłyśmy i mam z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia.

Zdażyłam już nastawić wodę na herbatę i napełnić miskę psią karmą, ale Benny nadal nie wraca. Odnajduję go po drugiej stronie domu warczącego na swoje odbicie w okienku na poziomie ziemi.

– Chodź no tu, staruszk. – Poklepuję się po udzie, unosząc miskę z karmą. – Czas na śniadanie. Chodź. – Benny przybiega i wchodzi za mną do domu. Zjada swoje śniadanie, idzie za mną na górę i czeka pod drzwiami łazienki, gdy biorę prysznic. Jestem mu za to wdzięczna. W tym domu jest zbyt cicho, nie mogę się już doczekać, żeby z niego wyjść.

Zabieram aparat i ledwo biorę do ręki smycz Benny'ego leżącą na stoliku przy wejściu, a pies przybiega w podskokach z wyrazem pociesznego oczekiwania na pyszczku. Słońce rozproszyło już poranną mgłę, wstał jasny i rześki dzień – w takim świetle najbardziej lubię robić zdjęcia. Ruszamy przed siebie zakurzonymi bocznymi drogami Willow Creek, omijając szerokim łukiem busz za domem, byle dalej od strumyka, którego nie mam ochoty nigdy więcej oglądać.

Benny biegnie przede mną, goniąc motyle i stworzonka poświstujące w wysokich trawach po obu stronach drogi. Dzwonię

do Sadie, która zdaje mi relację z wczorajszego koktajlu. Jej sąsiadka Lily wywaliła tacę sajonek do doniczki, a Alice, dziewczyna z lodziarni, która wpadła Sadie w oko, była gościem na przyjęciu. Ona i Sadie dodały się nawzajem do znajomych na Snapchacie.

– A ty? – pyta Sadie. – Jak ci minął wieczór u ciotki?

– W porządku.

– Czyli było drętwo. Słyszę to w twoim głosie.

– No. Trochę się poprzytykałyśmy. Wygląda na to, że ciotka ma milion pretensji do mojej rodziny.

Sadie fuka.

– Całe szczęście, że nie udusiła cię we śnie. Jesteś pewna, że nie zaprosiła cię, bo ma jakiś ukryty motyw?

Sadie chichocze pod nosem, ale jej słowa budzą we mnie niepokój. Właściwie co skłoniło Ally, żeby mnie zaprosić? Dlaczego zrobiła się taka nieprzyjemna, kiedy wspomniałam o tamtym lecie? I dlaczego wyjechała bez pożegnania?

– Zabawne, że to mówisz – odpowiadam, starając się nadać głosowi lekki ton. – Wydawało mi się, że wczoraj w nocy stała w drzwiach mojej sypialni i patrzyła, jak śpię.

– Uwaga! Zboczek na horyzoncie! – Sadie wybucha śmiechem. – Proszę, powiedz, że rzuciłaś w nią poduszką!

Zmuszam się do śmiechu.

– To nie była ona. To znaczy nikogo tam nie było. Byłam zaspana i coś mi się przywidziało.

– Albo – Sadie zniża głos – duch skazańca McPortka chciał obczaić twoją koronkową koszulkę nocną.

– McTavisha – poprawiam ją, chichocząc. – Żałuję, że w ogóle opowiedziałam ci tę historię. Przestań mnie straszyć.

– Czy on nie wykitował gdzieś w spizarni?

– Ponoć w piwnicy. Był służącym u Blackwoodów i w piwnicy miał swoją kwaterę. Ale nie ma żadnych dokumentów poświadczających, że naprawdę zmarł w tym domu. Pewnie odsłużył swój wyrok i szczęśliwie dotarł do Sydney.

– Chciałabyś.

Rozmawiamy o wszystkim i o niczym, a biegnący przodem Benny wdrapuje się pod górkę. Dopiero gdy sama docieram na szczyt wzniesienia, orientuję się, że doszliśmy aż do Greenwillow. Stoimy na środku Old Meadow Lane. Przecinam drogę jak na autopilocie i schodzę żwirowym zboczem w stronę łąki, która służyła kiedyś za parking przy wesołym miasteczku.

– Oho – odzywa mi się do ucha Sadie. – Znowu odpłynęłaś.

– Hę?

– Ostatnio ciągle ci się to zdarza. Wyłączasz się w połowie rozmowy, jakby twój mózg zdezerterował.

– To przez Benny’ego – tłumaczę, brodząc w wysokiej trawie. – Próbuję nie stracić go z oczu.

– Spoko, laska. Ne przejmuj się. Ja i tak już spadam. Umówiłam się na lody z taką jedną panną.

Sadie się rozłącza, a ja szukam gorączkowo aparatu, skupiona na malującej się przede mną scenie.

Wesołe miasteczko przypomina cmentarzysko zdezelowanych karuzel, których martwe mechaniczne ramiona sterczą powyginane w stawach, jak gdyby z trudem trzymały pion. W suchej trawie pełno pustych osłonek po petardach, spłowiałych na słońcu i kruchych, co wygląda niczym pole minowe upstrzone pancerzykami ogromnych cykad. Budy z zepsutymi atrakcjami stoją krzywo, w szyldach brakuje żarówek, a twarze klaunów są pomazane graffiti. Tu i ówdzie wiszą brudne pluszowe zabawki,

zbyt wysoko, żeby ktoś się na nie połakomił. Benny obszczekuje jedną z nich, po czym odbiega truchtem, żeby oznaczyć swoje terytorium.

Nawet w czasach swojej świetności lunapark sprawiałby niesamowite wrażenie. Teraz, opuszczony i konający, wydaje się surrealistyczny jak sen. Wyciągam telefon i bez zastanowienia wybieram numer Morgana.

– Hej! – odbiera. – Już jesteś? My przyjechaliśmy wczoraj wieczorem.

– Morgan, musisz to zobaczyć – mówię, wtykając głowę do wnętrza kasy biletowej w biało-czerwone pasy. Ktoś nabazgrał palcem na zakurzonej kontuarze: „Bez biletu nie ma jazdy!”. Po podłodze wala się rozwinięta rolka zielonych biletów. – Znalazłam nasz „senny pejzaż”. Jest idealny, serio. Musisz tu przyjechać ze swoim szkicownikiem.

– Co, tutaj? W Greenwillow? – Głos ma stłumiony, jak gdyby zakładał kurtkę, ale słychać w nim zainteresowanie. – Rodzice pożyczyci nam na dzisiaj samochód. Mal i ja możemy podjechać w każdej chwili. Gdzie jesteś?

Nagle to do mnie dociera – to, gdzie stoję, i co mu proponuję. Spoglądam w głąb lunaparku, gdzie na szczycie wzgórza nad parkingiem przycupnął betonowy budynek toalet.

– Mallory też chce przyjechać?

Co mi odbiło? Nie mogę ich tu zaprosić! Żadnego z nich. Zakrawałyby to na jakiś chory żart.

– Tak. Sama to zaproponowała. – Morgan ścisza głos. – Myślę, że po ostatnim weekendzie ma wyrzuty sumienia. Chce pokazać mamie, że próbuje wyjść do ludzi.

Ja też mówię ściszym głosem, chociaż Mallory nie może mnie usłyszeć:

– Posłuchaj, to zły pomysł. Zapomnij o tym. Znajdziemy coś innego.

– Żartujesz? – pyta Morgan. – Jesteśmy jedyną grupą w klasie, która jeszcze nic nie przygotowała. Skoro ty jesteś pod wrażeniem, ja też będę. Zróbmy to. Powiedz tylko, gdzie jesteś.

Zwieszam ramiona.

– Jestem... jestem w wesołym miasteczku.

Z drugiej strony zapada milczenie tak długie, że uznaję, że Morgan się rozłączył. Zdrowy rozsądek podpowiada mi, żeby natychmiast zaproponować coś innego, ale jakiś buntowniczy wewnętrzny głos każe mi tu zostać. Uwiecznienie tego rozkładu może pomóc mi zmienić sposób myślenia o tym miejscu. Pomóc mi uwolnić się od przeszłości. Z czystego egoizmu powinnam to zrobić dla samej siebie.

Mam już zakończyć rozmowę, gdy Morgan wypuszcza powietrze.

– To ma być pejzaż jak z koszmaru czy co? – pyta.

– Przepraszam. Po prostu trafiłam tu przypadkiem podczas spaceru. Naprawdę nie musicie tu przyjeżdżać. Mogę później spotkać się z wami gdzieś indziej.

– Wiesz co? – W jego głosie pojawia się nuta optymizmu. Trudno powiedzieć, czy to tylko na pokaz. – Pani Liotta mówiła, że najlepsze prace powstają z inspiracji czymś, co ma dla nas znaczenie. Może już czas tam wrócić, stawić czoła temu demonowi.

– Jesteś pewien? – pytam. – Ale Mallory...

– Powiem jej, gdzie się spotykamy. Sama zdecyduje, czy chce jechać, czy nie.

– A twoi rodzice?

Kolejna pauza.

– Nie muszą o niczym wiedzieć.

*

Zdażyłam zrobić z pięćdziesiąt zdjęć, gdy na łąkę za lunaparkiem podjeżdża czarny SUV. Podejrzewam, że Morgan jest sam, dopóki nie otworzą się drzwi od strony pasażera. Przyciskam dłoń do żołądka, żeby uspokoić nerwy, a potem idę na grzbiet wzgórza i unoszę ją na powitanie.

Morgan, ze szkicownikiem w ręku, rusza szutrową drogą pod górę, a Mallory trzyma się kilka metrów za nim. Miga mi tylko jej głowa lub ramię, jakby używała sylwetki brata niczym tarczy.

– Co tu się wydarzyło? – woła Morgan, oglądając pozostałości karuzeli. Jest zdemolowana, brakuje ozdobnych posągów koni, a eleganckie niegdyś zdobienia i lustra są pełne dziur po strzałach. – Dlaczego to wszystko nie jest ogrodzone?

– Tato powiedział mi, że zamknęli lunapark dobrych kilka lat temu – odpowiadam, a Benny truchta, by powitać rodzeństwo. – Może chcą, żeby ludzie wszystko rozkradli, żeby nie musieć stąd niczego wywozić.

Morgan pochyła się i zatapia obie dłonie w sierści Benny'ego, mrużąc:

– Dobry piesek, dobry, dobry piesek. – Ale to Mallory budzi największe zainteresowanie psa. Posapując, obwąchuje jej nogi i z nadzieją merda ogonem.

– Cześć, Mallory – mówię. Kiwa głową, nie patrząc mi w oczy. Wkłada słuchawki do uszu, odwraca się i oddala zdewastowaną boczną alejką.

Morgan prawie nie zwraca na mnie uwagi, zafascynowany ruiną, w jaką popadło to tętniące niegdyś życiem miejsce. Jest pod wrażeniem wszechobecnego rozkładu, ale też ma się na baczności,

jak gdyby upadła bestia mogła jeszcze pokazać zęby.

– Nie tego się spodziewałem – mamrocze sam do siebie. Błady uśmiech na jego ustach mówi mi, że dostrzegł artystyczny potencjał tego miejsca. Bez słowa zdejmuje kurtkę, wybiera odpowiedni obiekt i otwiera szkicownik. Zostawiam go i szukam w wysokiej trawie ścieżki do diabelskiego młyna po drugiej stronie parku.

Godzinę później spotykamy się w strefie piknikowej, gdzie stały kiedyś budki z jedzeniem. Morgan rozkłada swoje rysunki na drewnianym stole, żebyśmy mogli zdecydować, które z nich najlepiej korespondują z moimi zdjęciami. Przewijam w aparacie zdjęcia, pozwalając mu patrzeć na wyświetlacz. Przysuwa się do mnie bliżej, nasze ramiona się dotykają. Milkniemy na chwilę, gdy powiększam jedno z ujęć, żeby sprawdzić, czy jest ostre.

– Między nami wszystko gra? – odzywa się cicho Morgan.

Obracam się częściowo ku niemu.

– Tak, jasne. Co masz na myśli?

Spuszcza wzrok na rozłożone przed sobą kartki.

– Nie wspomniałaś nic o... no wiesz. – Stuka palcem w drzazgę na krawędzi blatu. – Wydaje mi się, że źle odczytałem sytuację.

Ostatnie zdanie wypowiada tak, jakby zadawał pytanie. Puls mi przyspiesza. Czy on mówi o naszym pocałunku? Czy ma na myśli to, co wydarzyło się w sypialni Mallory? Odkładam aparat i pocieram otwartymi dłońmi nogawki dżinsów.

– Zdarza mi się za szybko angażować – ciągnie. – Chyba boję się, że wszystko, co dobre w moim życiu, zostanie mi odebrane. – Spogląda w stronę siostry, ale równie dobrze mógłby mówić o swoim rodzinnym miasteczku albo szczęśliwym dzieciństwie. – Kiedy Mallory zaginęła, ogarnęło mnie poczucie totalnej beznadziei, jak gdybym już nigdy nie miał się poczuć szczęśliwy. Zawsze narzekałem, że młodsza siostra wszędzie się za mną

szwenda, aż nagle okazało się, że zniknęła. Nienawidziłem siebie za te wszystkie razy, kiedy chciałem mieć ją z głowy.

Przytakuje, czekając, aż znowu zacznie mówić.

– Kiedy się odnalazła, czułem, że dostałem drugą szansę. Zawarłem wtedy umowę z ośmioletnim sobą: nigdy nie bierz dobrych rzeczy za pewnik i trzymaj się ich ze wszystkich sił, bo możesz je stracić.

Wpatruję się w stół, poruszona tym, przez co przeszedł ośmioletni Morgan.

– Problem w tym – ciągnie, przesuując palcami po blacie – że czasem trochę mnie ponosi. Naprawdę zrozumieć, jeśli chcesz, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

– Morgan?

Zerka na mnie niepewnie, czując, co teraz powiem. Wygląda na równie zaskoczonego jak ja, gdy kładę mu rękę na kolanie i przysuwam twarz do jego twarzy. Przez krótką chwilę oddychamy tym samym rozkosznym powietrzem.

Patrząc mi w oczy, muska ustami moje wargi, jak gdyby czekał na potwierdzenie, że właśnie tego pragnę. Rozchylam lekko usta, przygryzam jego dolną wargę i delikatnie ciągnę. To wystarcza, by przymknął powieki i przyłożywszy dłoń do mojego policzka, zaczął mnie ostrożnie całować.

Natrętny głos w mojej głowie nie przestaje się dopytywać, czy naprawdę na to zasługuję. Czy Morgan nadal by mnie chciał, gdyby wiedział, że mam nierówno pod sufitem? Jednak pocałunki stają się coraz bardziej namiętne i nie jestem w stanie zebrać myśli. Zamykam oczy i poddaję się temu uczuciu, każdy nerw w moim ciele płonie. Istnieje tylko smak Morgana Fishera, bijący przez koszulkę żar jego ciała, jego drżący oddech w tych krótkich chwilach, gdy nasze usta odrywają od siebie.

Nie wiem, jak długo to trwa, ale nasz pocałunek przerywa głośne łupnięcie w stół. Morgan odsuwa się ode mnie i oboje obracamy się w stronę blatu, zza którego przygląda nam się gniewnie Mallory. Trzyma w ręku pustą butelkę na wodę, wskazując brodą Benny'ego, który węszy wśród starych kubłów na śmieci. Potrząsam głową.

– Nie wiem, o co ci...

Mallory przewraca oczami i wstaje od stołu. Rusza w głąb lunaparku z butelką w dłoni. Morgan chichocze, gdy odprowadzamy ją wzrokiem.

– Co ją ugryzło? – mówi, kręcąc głową.

Nagle doznaję olśnienia.

– Woda – mówię, zrywając się z ławki. – Chce, żebym przyniosła Benny'emu wody.

– Już po nią poszła – stwierdza Morgan i też wstaje. – Więc nie musisz nigdzie iść. – Splata swoje palce z moimi i przyciąga mnie do siebie, jego nieśmiały uśmiech przyprawia mnie o drżenie. Ale gdy znów chce mnie pocałować, coś sobie uświadamiam.

W całym lunaparku jest tylko jedno miejsce z bieżącą wodą.

Mallory idzie do budynku toalet.

– Ja... – Wysuwam dłoń z uścisku Morgana i gramolę się przez ławkę. – Przepraszam, zaraz wracam.

Unosi brwi, bardziej rozbawiony niż urażony.

– Okej. Ale twoja skłonność do uciekania za każdym razem, gdy cię pocałuję, troszkę mnie martwi. – Uśmiecha się pod nosem i zaczyna zbierać rysunki, które wsuwa do szkicownika.

Siłą woli zmuszam się, żeby iść normalnie, chociaż mam ochotę puścić się biegiem za Mallory. Nie wiem czemu, ale muszę powstrzymać ją przed wejściem do toalet. Czy w ogóle chcę ją powstrzymać? Może idę za nią, bo chcę zobaczyć, co się stanie,

jeśli tam wejdzie.

Gdy tylko karuzela zasłoni mnie przed wzrokiem Morgana, przyspieszam kroku. Dygoczę, kiedy zrywa się wiatr. Wydobywa z przerdzewiałych karuzel jęklive zgrzyty, szepcze w opustoszałych uliczkach niczym duchy dawnych gości. Dostrzegam przed sobą pomazany graffiti budynek, milczący i złowieszczy niby drzemiący stwór, któremu nie należy zakłócać spokoju.

Mallory, jakby to wyczuła, zatrzymuje się kilka metrów przed wejściem. Zwalniam i staję obok drewnianego stoiska, gdzie sprzedawano kiedyś popcorn i watę cukrową. W tym samym miejscu, z którego obserwowałam, jak Wróbel zrywa balony z nadgarstka ufnej sześciolatki i wypuszcza je w niebo.

Spoglądam w górę, jak gdybym mogła je jeszcze zobaczyć, jeden różowy, jeden żółty. Bezpowrotnie utracone skrawki naszego dzieciństwa odlatujące w siną dal.

Grzebię butem w ziemi, żeby zaznaczyć swoją obecność. Barki Mallory drgają, ale nie odwraca się, jakby przez cały czas wiedziała, że za nią idę. Zastanawiam się, czy się nie wycofać i nie zostawić jej samej, ale wiem, że nie znajdę lepszego momentu, żeby zadać jej nurtujące mnie pytania.

– Mallory? – zagaduję do jej pleców.

Obraca się powoli na dźwięk swojego imienia, napięta jak nakręcona sprężyna. Nozdrza jej drgają, gdy usiłuje powstrzymać łzy. Spogląda w niebo, jak gdyby też wypatrywała odlatujących baloników.

– O co chodzi? – pytam, robiąc krok naprzód. – Coś ci się przypomniało?

Nie wiem, czy jestem przygotowana na jej odpowiedź. Stoi nieruchomo, jak gdyby mnie nie usłyszała.

– Mallory, przypomniawsz sobie coś, co się tutaj wydarzyło? –
Nie daję za wygraną. – Kiedy cię porwano?

W końcu spogląda w moją stronę i kiwa stanowczo głową. Agresywnie. Wwierca się we mnie przenikliwym spojrzeniem, unosi rękę i wskazuje palcem moją pierś.

Jej usta układają się w jedno słowo.

„Ciebie”.

20

WTEDY

13 maja 2008

Stenogram z sesji z doktor Ingrid Ballantine

Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży

Klinika dziecięca w Newcastle

Pacjentka: Natasha Carmody, 9 lat

IB: Porozmawiajmy o Mallory. To ta dziewczynka, która zaginęła na kilka dni? Na jakiś tydzień?

NC: ...

IB: Pokazywano ją wiele razy w wiadomościach. Plakaty z jej zdjęciem wisiały na słupach i tablicach ogłoszeniowych. Widziałaś je może?

NC: Mhm.

IB: Wszyscy bardzo się o nią martwili. Znalazła się w samym centrum uwagi, prawda?

NC: Mhm.

IB: Tamtego dnia byłaś w wesołym miasteczku zupełnie sama, tak? Nikt nie zwracał na ciebie uwagi.

NC: ...

IB: Miło być zauważonym, zgodzisz się? Czuć, że ktoś cię słucha?

NC: Aha...

IB: Powiedziałaś dorosłym w lunaparku, że chyba widziałaś Mallory tuż przed tym, jak zniknęła?

NC: Naprawdę ją widziałam. Z Morganem. Mallory trzymała baloniki.

IB: Tak?

NC: Miała je zawiązane wokół nadgarstka, żeby nie odleciały.

IB: Więc musiałaś być całkiem blisko, żeby to wszystko zauważyć. Przywitałaś się z nimi?

NC: Nie.

IB: Więc Morgan i Mallory nie widzieli, że za nimi idziesz?

NC: Chyba nie.

IB: Dlaczego za nimi poszłaś?

NC: Bałam się. Chciałam wracać do domu.

IB: I wróciłaś?

NC: Nikogo innego tam nie znałam. Ciocia Ally miała przyjechać po mnie później, więc pomyślałam, że może mama Morgana zabierze mnie do domu. Chciałam go zapytać, czy mogę wrócić do Port Bellamy ich samochodem.

IB: Chciałaś wrócić do domu, bo zostałaś uwięziona w drewnianej skrzyni?

NC: Tak.

IB: Rozumiem. Musiałaś być przerażona.

NC: Chciałam powiedzieć rodzicom.

IB: Ale byli zajęci Timem, prawda?

NC: Tak.

IB: Miałaś im masę rzeczy do opowiedzenia – zostałaś uwięziona w skrzyni i widziałaś, jak porwano tamtą dziewczynkę. W ten

sposób na pewno zwróciłabyś na siebie ich uwagę.

NC: ...

IB: Czasami, kiedy opowiadamy komuś historyjkę, ubarwiamy ją różnymi szczegółami, żeby wydała się ciekawsza.

NC: To nie była historyjka. Nie zmyśliłam tego.

IB: W porządku.

NC: Widziałam, jak to zrobił. Porwał ją.

IB: Czy ktoś inny też to widział?

NC: Chyba nie.

IB: Dlaczego?

NC: Chyba nikt oprócz mnie nie może go zobaczyć.

21

TERAZ

Biegnę z Bennym do domu kompletnie rozstrojona. Przed oczyma wciąż mam Mallory celującą we mnie oskarżycielsko palcem, jak gdyby wskazywała przestępcę na policyjnym okazaniu. Próbuję przeanalizować pod każdym możliwym kątem to, co chciała mi przekazać: pamięta, że byłam w wesołym miasteczku. Czy widziała mnie w chwili, w której porwał ją Wróbel?

Czy brałam w tym udział?

Czy weszłam za nią do toalet?

Odpędzam od siebie tę ostatnią myśl. To niemożliwe, zapamiętałabym coś takiego. To musiał być Wróbel, to on ją porwał.

Taa, jasne – twój wymyślony przyjaciel, który nie istnieje.

Gdy wpadam na podwórko przed domem, cała się trzęsę, a w głowie czuję bolesne pulsowanie. Złapanie oddechu zajmuje mi znacznie dłużej, niż powinno.

Na werandzie na tyłach domu przez piętnaście minut piszę wiadomość do Mallory, którą w końcu kasuję przed wysłaniem, ignorując SMS-y od Sadie wyskakujące na ekranie, gdy próbuję zebrać myśli. Przypominam sobie, jak Morgan przerwał naszą konfrontację przed toaletami, podekscytowany swoimi szkicami i gotowy spotkać się znowu dziś wieczorem. Kiedy zaprosił mnie

na kolację, zaczęłam wymyślać najróżniejsze powody, dlaczego powinniśmy spotkać się u mnie. Nie ma mowy, żebym usiadła przy stole naprzeciwko Mallory i jej rodziców.

Zostawiam Benny'ego drzemiącego pod drzewem w ogrodzie i otwieram szopę na narzędzia, żeby znaleźć rower, o którym wspominała Ally, gdy oprowadzała mnie wczoraj po domu. Szopa jest ciasna i zagracona, muszę przesunąć stary psi kojec i trzy worki nawozu, żeby dostać się do roweru, ale opanowuję narastającą panikę, starając się wyjść jak najszybciej na zewnątrz.

Rower jest stary i zardzewiały, ma opony z białym paskiem i duży druciany koszyk, a ja mam nadzieję, że nie rozleci się, zanim dojadę do supermarketu w Greenwillow i z powrotem. Odnoszę klucz od szopy do kuchni i zamykam dom, zadowolona, że mogę zająć myśli przygotowaniami do kolacji, nawet jeśli nerwowe rozmyślenia o Mallory zastąpił teraz niepokój wywołany perspektywą przebywania sam na sam z jej bratem.

Przez ponad pół godziny wędruję po supermarkecie, wybierając składniki na danie z makaronem. Roztrząsam każdą decyzję, a głowa boli mnie coraz bardziej. W drodze powrotnej przeszywający ból utrudnia mi trzymanie prosto kierownicy, a kiedy docieram pod drzwi domu Ally, ledwo co widzę. Zostawiam zakupy w kuchni, biorę dwie tabletki paracetamolu i zwalam się na kanapę, żeby zamknąć oczy choć na minutę.

Kiedy znów je otwieram, już zmierzcha. W salonie panuje mrok.

Nie, nie, nie. Znowu to zrobił. Ten dom ciągle mnie zaskakuje.

Zrywam się z kanapy, pstrykam włącznik światła na ścianie, a potem obchodzę cały pokój i zapalam wszystkie lampy. Otwieram kuchenne drzwi wychodzące na ogród z tyłu domu i gwizdzę na Benny'ego. Morgan ma się pojawić za piętnaście minut, a ja ani nie przygotowałam niczego do kolacji, ani nawet nie wzięłam

prysznic.

Napełniam miskę Benny'ego i wynoszę ją na werandę, bębniąc w nią nerwowo palcami. Mam wyrzuty sumienia, że zostawiłam go samego na tak długo. Marna za mnie opiekunka. Stawiam miskę na schodach, obchodzę cały ogród i dopiero wtedy ogarnia mnie panika.

Benny przepadł.

Furtka jest zamknięta na zasuwkę, w płocie nie ma dziur ani wykopanych pod nim dołków, które świadczyłyby o ucieczce. Nie da się wejść pod dom, a szczerze wątpię, żeby psu udało się wspiąć po ścianie szopy na drugą stronę.

– Benny? – Próbuję zagwizdać, ale wargi mi drżą. Jeśli wydostał się z ogrodu, może być już wiele mil stąd. Jak mam go znaleźć po ciemku, mając do dyspozycji tylko rozklekotany rower Ally? – Benny? Chodź, piesku. Wracaj.

Słyszę za plecami ciche skomlenie, więc odwracam się, ale ogród jest pusty. Może to z buszu? Ponownie wołam Benny'ego i znów słyszę w odpowiedzi słabe szczeknięcie. Okręcam się i biegnę w tamtą stronę, nie wiedząc nawet, czego szukam. Dopiero gdy docieram do szopy na narzędzia, zauważam, że drzwi są lekko uchylone.

Przecież zamknęłam je po wyciągnięciu roweru. Zamknęłam je na klucz, prawda?

Uchylam drzwi i szukam po omacku włącznika na ścianie, przerażona koniecznością wejścia do środka. Słyszę dyszenie Benny'ego, słabe i płytkie, a sekundę później zapala się fluorescencyjna żarówka. Białe światło zalewa szafki i stoły warsztatowe, oświetla kartony i sterty śmieci. Tam, wciśnięty w kąt między starą lodówką a ścianą, dostrzegam kłęb złotego futra.

Nie jest idealnie złote.

Cała sierść usiana jest plamkami szkarłatu.

Rzucam się w jego stronę.

– Benny? O Boże. Coś ty narobił?

Jakimś cudem zaplątał się w zwój drutu kolczastego. Okręcił nim sobie kilka razy szyję, wbijając ostre kolce głęboko w futro. Im bardziej się szarpał, tym głębiej wbijały się kolce, tak że w skórze zieją wielkie rany.

– Przepraszam. Czy to cię boli, piesku? – Ręce tak mi się trzęsą, że więcej z tego szkody niż pożytku. Szukam na stole czegoś, czym mogłabym przeciąć drut, usiłując nie myśleć o tym, że Benny szamotał się tutaj przez kilka godzin, podczas gdy ja spałam sobie w najlepsze. W kącie jest ciasno, przez co nad górną wargą występują mi kropelki potu. Tak daleko od drzwi szopa wydaje mi się jeszcze ciaśniejsza.

Znajduję zardzewiały sekator i próbuję przeciąć najmocniej zaciśniętą pętlę. Benny musiał wpaść w panikę, skoro zdołał ją tak mocno zaciągnąć. Drut gnie się i krzywi w tępych ostrzach, raczej nie uda mi się go przeciąć. Benny znów warczy i szczypie mnie zębami w palce. Nie pogryzł mnie jeszcze wyłącznie dlatego, że ma ograniczone ruchy.

– Wiem, wiem – mówię uspokajająco. – Tak mi przykro. – Upuszczam sekator i nachylam się, żeby go przytulić i uspokoić nas oboje. – Cii. Ciiiiii. – Ściany szopy napierają na nas ze wszystkich stron, od metalicznego zapachu krwi Benny’ego kręci mi się w głowie. Pies skamle, oddychając z trudem. Próbuje usiąść, ale tylko zaciska drut jeszcze mocniej.

– Idę po telefon, piesku. – Drapię go za uchem dla dodania mu otuchy i brudzę całą rękę krwią. – Idę zadzwonić po pomoc.

Na czworakach wyczołguję się z szopy na zachwaszczony chodnik, moim ciałem wstrząsa odruch wymiotny.

Kuchnia zalana jest złotym światłem, ale w domu panuje chłód. Buzujący ogień mógłby dać odpór bezchmurnej nocy, ale nie byłby w stanie ogrzać moich zziębniętych kości. Zerkam w stronę haczyka przy drzwiach, gdzie powinien wisieć klucz do szopy. Nie ma go tam. Nie tkwił też w drzwiach szopy. To wszystko nie ma sensu.

Szukam komórki na kuchennym blacie, a potem w plecaku, zostawiając smugi krwi Benny'ego na wszystkim, czego dotknę.

Gdzie ona jest, u diabła?

Pędzę do salonu, żeby sprawdzić, czy nie wypadła mi z kieszeni, kiedy spałam, pamiętając, żeby wytrzeć zakrwawione ręce w dzinsy, zanim zacznę zaglądać pod poduchy na kanapie. Nigdzie jej nie ma. Biegam po pokojach w poszukiwaniu telefonu stacjonarnego.

Bezczelowość moich poczynań sprawia, że z gardła wyrywa mi się jęk frustracji. Muszę wsiąść na rower Ally, podjechać do najbliższego sąsiada i wszcząć alarm. Zabieram z kuchni klucze do domu i ruszam pędem do drzwi wejściowych. W chwili, w której wbiegam do holu, drogę zastępuje mi jakaś postać. Wpadam na nią z impetem, który odrzuca mnie aż na ścianę.

Na chwilę robi mi się czarno przed oczami – w uszach słyszę wysoki pisk, czaszka boli mnie w miejscu, którym wyrznęłam o ścianę – i słyszę stęknienie, chyba moje własne. Spoglądam w dół, zaskoczona, że wciąż trzymam się na nogach. W dłoni ściskam pęk kluczy do domu.

Broń, łomocze mi w głowie. Intruz.

Mrugam, żeby pozbyć się wirujących przed oczami białych plam, i wciskam dwa klucze między knykcie. Odwracam się w stronę napastnika i unoszę rękę do ciosu.

– Spokojnie! – woła nieznajomy, unosząc rękę obronnym

gestem. – Co ty wyprawiasz? To ja. To tylko ja. – Morgan odsuwa się pod ścianę, z zaskoczenia upuszczając torbę z zakupami. Pudełko lodów toczy się po podłodze.

Opuszczam dłoń, w której trzymam klucze, a drugą dotykam rosnącego na czole guza.

– Jak się dostałeś do środka? – pytam chrapliwym, roztrzęsionym głosem.

– Pukałem kilka razy. Nie otwierałaś – odpowiada Morgan. – Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz... – urywa, ogarniając wzrokiem rdzawe smugi na moich rękach oraz plamy czerwieni na koszulce i džinsach. Rusza w moją stronę, wyciągając ręce, jakby chciał mnie objąć w talii. – Co się...? Coś ci...?

Potrząsam szybko głową, odsuwając się od niego.

– To nie moja krew. Benny zaplątał się w drut kolczasty w szopie na narzędzia. Jest poraniony, muszę wezwać pomoc. Nie mogę znaleźć mojego cholernego telefonu.

– Pokaż mi go – mówi Morgan.

Wyprowadzam go na dwór i czekam za drzwiami szopy, kiedy kuca, żeby obejrzeć Benny'ego. Chciałabym uspokoić psa, ale nie jestem w stanie zmusić się do przekroczenia progu.

– Musimy go zabrać do weterynarza – mówi przez ramię Morgan. – I to zaraz. Znasz kogoś w okolicy?

– W Ellenbrook – odpowiadam. Widziałam magnes na lodówce. – Jest tu coś w rodzaju klatki, jakby kojec dla psa. Zauważyłam ją, kiedy wyciągałam wcześniej rower. – Zaglądam do środka i wskazuję palcem, ale pod stołem warsztatowym nie ma nic oprócz zakurzonej betonowej podłogi. Co, u licha? – Była tu. Przysięgam, że tam stała.

– Nieważne – stwierdza Morgan. – Nie możemy go wsadzić do klatki w takim stanie. Lepiej położyć go na pace samochodu

mojego taty. – Kuca przy Bennym i głaszcze go lekko po szyi, próbując ocenić, jak go przenieść. – A najlepiej sprawdzimy, czy weterynarz nie mógłby przyjechać do nas. Nie wiem, jak go uwolnić, nie robiąc mu przy tym jeszcze większej krzywdy.

Już mam się odwrócić i pobiec do domu, ale Morgan wstaje i łapie mnie za rękę. Ścisną ją lekko, po czym wkłada w nią telefon.

– Weź głęboki oddech – mówi uspokajającym tonem. – Wszystko będzie dobrze.

*

Kiedy pani weterynarz – dostojnej pięćdziesięcioletce o imieniu Margaret – udaje się podać Benny’emu środek uspokajający i wyplątać go z drutu kolczastego, jest już ósma wieczór i czarna noc. Teraz razem ze swoim asystentem niosą go do białej furgonetki, a ja i Morgan oświetlamy im drogę latarkami. Margaret wyjaśnia, że musi oczyścić Benny’emu rany i założyć szwy na sali operacyjnej.

– Wszystko w porządku, skarbie – zapewnia mnie. – Nic mu nie będzie. Przestań się obwiniać.

– Zostawiłam drzwi szopy otwarte. – Sama nie wierzę w to, co mówię. – Miałam się nim opiekować, a pozwoliłam mu tam wejść i zaplątać się w to świństwo.

Margaret zdejmuje lateksowe rękawiczki z miną pełną stanowczości.

– Wiele rzeczy już widziałam – stwierdza. – Zwierzaki, którym przytrafiły się najróżniejsze nieszczęścia. Potrafią niezłe napsocić, to pewne. Ale coś mi mówi, że to nie był wypadek.

– Słucham?

Morgan robi krok naprzód.

– Ktoś mu to zrobił? – pytam.

– Drut był bardzo mocno zaciśnięty – odpowiada Margaret. – Nawet gdyby włożył głowę w pętlę, nie zdołałby zaciągnąć go na tyle, żeby się unieruchomić.

Z ust wyrywa mi się zduszony okrzyk.

– Kto mógłby zrobić coś takiego?

– Znudzone dzieciaki? – Margaret wzrusza ramionami. – Może zrobiły to dla żartu, a wyszło, jak wyszło? Wiem, że sierżant Blake miał ostatnio w Jamison przypadek torturowania kota przez faceta, który chciał w ten sposób ukarać swoją byłą dziewczynę. Przychodzi ci na myśl ktoś, kto mógłby chcieć zwrócić na siebie uwagę?

Martwy ptak na progu domu. Wróbel w galerii handlowej.

– Nie – odpowiadam, odpędzając od siebie te absurdalne myśli.

– Byłaś w domu przez całe popołudnie? – pyta Margaret.

– Zostawiłam Benny’ego i pojechałam do supermarketu koło pierwszej. Nie było mnie jakąś godzinę.

– Był w ogrodzie, kiedy wróciłaś do domu? – pyta Morgan. – Zauważyłaś, czy drzwi szopy były otwarte?

– Ja... nie wiem. Bolała mnie głowa i zasnęłam na kanapie.

– Na trzy godziny? – W głosie Morgana słychać powątpiewanie. – Nie zauważyłaś niczego niezwykłego?

– Nie! – odpalam. Dlaczego oni mnie tak maglują? – Spałam.

Jego twarz łagodnieje.

– Przepraszam, Tash. To nie twoja wina. Po prostu martwię się, że zasnęłaś sama w obcym domu przy otwartych drzwiach. Zwłaszcza gdy po okolicy grasuje jakiś psychol.

– Zamknęłam dom – protestuję, ale zupełnie bez przekonania. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie niczego, co działo się tego

popołudnia, jeśli nie liczyć obezwładniającego bólu głowy.

Morgan mruży oczy.

– Okej. Ale frontowe drzwi nie były zamknięte na klucz, kiedy tu przyszedłem...

Zerkam w stronę domu i nagle ogarnia mnie fala zmęczenia, nie jestem już niczego pewna. Margaret zamyka drzwi furgonetki i odwraca się do mnie z notesem w dłoni.

– Benny nie jest moim stałym pacjentem – mówi. – Dlatego poproszę o dane twojej cioci. Masz może jej numer telefonu?

– Zapodziałam gdzieś komórkę – mamroczę, uświadamiając sobie, że Margaret musi mnie uważać za nieźle zakręconą. – Nie znam numeru Ally na pamięć. Pojechała na weekend do Byron Bay i wróci w poniedziałek. Zadzwoń do pani jutro rano, żeby zapytać, jak się czuje Benny. Jestem pewna, że do tego czasu znajdę swój telefon.

Margaret poklepuje mnie po ramieniu.

– Idź się umyć. Benny jest w dobrych rękach. – Spogląda na Morgana. – Dotrzymasz jej dzisiaj towarzystwa? Chyba jest trochę roztrzęsiona.

– Tak – zapewnia Morgan. – To dobry pomysł. – Rzuca mi pokrzepiające spojrzenie. – Zadzwoń, żeby dać znać rodzicom. Nie powinnaś być sama.

*

Morgan rozpala ogień w kominku w salonie i szykuje dla nas makaron, podczas gdy ja biorę prysznic. Przewieszam przeprane ubrania przez drążek zasłonki prysznicowej; utrwalone na nich blade ślady krwi przypominają mi o moim zaniedbaniu. Zanim zjemy, robimy jeszcze ostatni obchód domu, upewniając się, że wszystkie drzwi i okna są zamknięte, i w końcu lądujemy obok

siebie na patchworkowej kanapie. Morgan zrzuca buty i siada po turecku, a ja sadowię się wygodnie, zadowolona, że zostaje na noc i nie będę sama.

Jestem tak wykończona, że oczy same mi się zamykają, ale mój umysł raz po raz powraca do przykrych wspomnień, jakbym nie zasłużyła na odpoczynek. Rozgniewana Mallory w lunaparku; Benny warczący na mnie, gdy próbuję go uwolnić; niedowierzenie w oczach Morgana na wieść o tym, że przespałam trzy godziny. Opieram głowę o oparcie kanapy, coraz bardziej senna, ledwo dociera do mnie, że ktoś wyjmuje mi z ręki miskę z makaronem, przykrywa nogi kocem i otula nim aż pod szyję. Na zmianę przysypiam i wybudzam się, a trzaskający ogień i śmiech telewizyjnej publiczności usypiają mnie coraz mocniej. W pewnym momencie, zbudzona pochrapywaniem Morgana, odkrywam, że leżę w pozycji embrionalnej z głową na jego kolanach.

Kiedy znów otwieram oczy, poranne słońce wpada przez szparę w zasłonach. Świeci mi prosto w oczy niczym lampa w pokoju przesłuchań. Leżę wyciągnięta na kanapie, z głową na stercie poduszek, i od razu ogarnia mnie lęk, że Morgan wymknął się w środku nocy.

Wtedy czuję na plecach ciepło jego ciała i miarowy oddech na szyi. Obejmuje mnie w talii. Wtulam się w niego, a on mamrocze coś cicho sennym głosem, napina ramię, żeby przyciągnąć mnie do siebie, a potem znów się rozluźnia.

Przytuleni, tkwimy w tym cudownym zawieszeniu; ciało Morgana przyciśnięte do mojego jest znajome, a jednocześnie stanowi obietnicę nieznanego. Czuję, że zapadam z powrotem w ciepłą, bezpieczną drzemkę, ale nagle słyszę dwa ostre piknięcia dochodzące gdzieś z głębi domu.

Wzdrygam się na ten dźwięk.

Moja komórka.

Wstaję z kanapy najostrożniej, jak się da, żeby nie zbudzić Morgana, ale nic z tego. Ziewa i wyrzuca ramiona nad głowę, przeciągając się po kocie. Idę na palcach do kuchni i ze zdumieniem odkrywam, że mój telefon leży na środku okrągłego stołu, widoczny jak na dłoni. Oprócz paru nieodebranych połączeń i SMS-ów od Sadie mam jedną nową wiadomość. Od Mallory.

Czego chcesz?

Marszczę brwi. Nad dymkiem z jej pytaniem widzę moją wiadomość z ostatniej soboty, w której uprzedzam, że idę z jedzeniem do jej sypialni. Nie rozumiem kontekstu tego nowego SMS-a. Czego chcę? W jakim sensie?

Podejrzliwość kiełkuje we mnie niczym zatrute ziarno. Mallory wie. Wie, że nie pytałam o jej zaginięcie z uprzejmości. Chce wiedzieć, jaki mam ukryty motyw, dlaczego próbuję się do niej zbliżyć.

Hej, Mallory, odpisuję. Co masz na myśli?

Słyszę, że Morgan chodzi po salonie na końcu korytarza. Przez krótką chwilę widzę go, jak drapie się po brzuchu i mierzwi sobie włosy.

Wciąż ściskam komórkę w dłoni, gdy przychodzi odpowiedź od Mallory.

Mój telefon pokazuje trzy nieodebrane połączenia od ciebie w środku nocy. Dlaczego nie zostawiłaś wiadomości?

Kręcę głową z niedowierzaniem i sprawdzam historię połączeń. Ktoś faktycznie dzwonił do niej o 2.41, 3.36 i 5.02. *Co jest grane, do cholery?* Nawet nie widziałam swojej komórki od trzynastej poprzedniego dnia. Jeśli to Morgan ją znalazł, po co wydzwaniałby z niej po nocy do siostry? Po co ktokolwiek miałby dzwonić do Mallory? Przecież wiadomo, że nie da się z nią porozmawiać.

Zastanawiam się, co odpisać, gdy do kuchni wchodzi Morgan.

– Znalazłem go wczoraj w nocy – mówi, wskazując telefon. – Szedłem do łazienki.

– Co? Gdzie?

– Na podłodze w korytarzu. – Podchodzi do szafek. – Musiałś go upuścić, kiedy wczoraj na mnie wpadłaś.

– Nie – protestuję, kręcąc głową. – To niemożliwe. Już wcześniej mi się zgubił.

Morgan wyjmuje z szafki nad kuchenką dwa kubki do kawy i ogląda się przez ramię.

– Jesteś pewna?

– Tak, nie mogłam go znaleźć. To dlatego biegłam do sąsiadów. Żeby skorzystać z ich telefonu.

Morgan wzrusza ramionami.

– Okej.

– Zresztą ile razy przechodziliśmy wczoraj korytarzem? Dlaczego nie zauważyliśmy go wcześniej?

Morgan unosi ręce w obronnym geście.

– Hej, mówię tylko, że tam go znalazłem.

„Mówię tylko”.

W jego głosie pobrzmiewa zniecierpliwienie. Przypomina mi się, z jakim niedowierzaniem patrzył na mnie wczoraj, kiedy upierałam się, że zamknęłam dom na klucz. Czy uważa, że kłamię? Czy to on nie mówi prawdy?

– O której poszedłaś do łazienki? – pytam, mając w pamięci połączenia z numerem Mallory.

Wzrusza ramionami i zagląda do spizarki.

– Nie wiem. Może koło pierwszej. A co?

– Co zrobiłeś z telefonem po tym, jak go znalazłeś?

Jego dłoń zawisa nad słoikiem z kawą.

– Hm, zostawiłem go na stole w kuchni. Co to za przesłuchanie?

– Jestem po prostu lekko skołowana, to wszystko.

– Aha. Ja też.

Rozchmurza się i kiwa do mnie słoikiem z kawą, jakby zastrzyk kofeiny mógł przeprogramować mój otępiały mózg. Wracam do wiadomości od Mallory i odpowiadam tak, żeby nie wyjść na kompletnie stukniętą:

Przepraszam, musiałam wybrać twój numer przez pomyłkę. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Odsuwam komórkę na drugi koniec stołu, jak gdyby zawiodła moje zaufanie. Ale z doświadczenia wiem, że to ja jestem niegodna zaufania.

– Gdzie czajnik? – pyta Morgan.

Podchodzę do kuchenki i zdejmuję z palnika stary miedziany imbryk. Gdy napełniam go nad zlewem, mój wzrok wędruje ku oknu wychodzącemu na tył domu. Szopa na narzędzia, zwyczajna i niczym się niewyróżniająca, stoi sobie na skraju buszu i nic nie wskazuje na to, że piętnaście godzin temu rozegrał się w niej istny horror.

Pod wpływem impulsu spoglądam na haczyk na ścianie przy drzwiach, gdzie ciotka trzyma klucz do szopy. Czajnik wyślizguje mi się z ręki i wpada z hukiem do zlewu, strumień wody rozbryzguje się na wszystkie strony.

– Ostrożnie! – woła Morgan i przyskakuje, żeby zakręcić kran. – Ktoś tu jeszcze przysypia. – Chichocząc, delikatnie odsuwa mnie na bok, żeby zetrzeć ścierką rozchlapaną wodę. Oszołomiona, odsuwam się od zlewu i jak przez mgłę biorę od Morgana ścierkę, którą podaje mi, żebym się wytarła.

– Wszystko w porządku? – pyta, kładąc mi dłoń w tali.

Nie, ani trochę! – mam ochotę wykrzyczeć. Bo klucz do szopy wisi teraz na haczyku, z którego wczoraj zniknął.

Zaciskam wargi, czując za oczami tępy ból. Mam ochotę zapytać Morgana, czy klucz do szopy też gdzieś przypadkiem znalazł. Mam ochotę zapytać go, co robił po opuszczeniu wesołego miasteczka, gdzie był, kiedy pojechałam do supermarketu, a Benny został tu całkiem sam. Mam ochotę zapytać go, jak wszedł wczoraj do domu ciotki, skoro jestem absolutnie pewna, że zamknęłam drzwi na klucz.

Ale bądźmy szczerzy, jak ja mogę być czegokolwiek pewna?

– Może stąd wyjedziemy? – proponuje Morgan, obracając mnie ku sobie. – Spędźmy ten dzień z moją rodziną, nad rzeką. – Zakłada mi kosmyk włosów za ucho i uśmiecha się z nadzieją. – Przedstawiłbym cię rodzicom.

Potrząsam głową, unikając jego wzroku.

– Muszę... muszę tu jakoś ogarnąć. Zadzwoń w parę miejsc. Posprzątać szopę.

– Chcę ci pomóc – mówi Morgan. Nie zgadzam się. Wysyłam go w drogę znacznie szybciej niż którekolwiek z nas się spodziewało, mimo że nie mam najmniejszej ochoty zostawać tu sama. Potem sprzątam salon, zmywam naczynia w kuchni i wynoszę do ogrodu wiadro z mydlinami. Przez dwie godziny, zapłakana i spanikowana, robiąc co chwila przerwy, szoruję podłogę w szopie, dopóki nie usunę z niej ostatniej kropelki krwi Benny'ego.

Dzwonię do kliniki weterynaryjnej, żeby zapytać o stan psa i podać Margaret namiary na Ally, a potem zostawiam długą, szczegółową wiadomość na poczcie głosowej ciotki.

I w końcu robię to, czego nie mogłam zrobić, mając osiem lat.

Dzwonię do taty, żeby przyjechał i zabrał mnie do domu.

22

WTEDY

„The Mid Coast Times” (numer archiwalny)

Dział: Wydarzenia

Data: 15 marca 2008

PORT BELLAMY, NOWA POŁUDNIOWA WALIA. Rodzina Fisherów pożegnała Port Bellamy i złe wspomnienia.

Rodzina Mallory Fisher, sześciolatki, która w styczniu zaginęła na tydzień, przeniosła się pod nieznany adres w innym stanie, aby „odciąć się od przeszłości” – jak to ujęła osoba z bliskiego otoczenia rodziny. To koniec spekulacji na temat przeprowadzki Fisherów, które pojawiły się po tym, gdy ojciec Mallory, Daniel Fisher, zamknął w ubiegłym miesiącu swój gabinet ortodontyczny w Newcastle.

Po dwóch miesiącach śledztwa policja nie jest ani trochę bliżej rozwiązania zagadki tajemniczego zniknięcia Mallory Fisher z lunaparku w Greenwillow i jej odnalezienia się w Parku Narodowym Barrington Tops.

Daniel i Annabel Fisherowie, których na samym początku dochodzenia oczyszczono z podejrzeń, wydali na początku miesiąca oświadczenie, w którym potwierdzili, że śledztwo jest w toku. „Wierzimy, że już wkrótce dowiemy się, co dokładnie przydarzyło się naszej córce” – napisali w oświadczeniu. „Współpracujemy

w pełni z policją, aby sprawca został zatrzymany. Prosimy o kontakt wszystkie osoby, które posiadają jakiegokolwiek informacje w tej sprawie”.

Bliski znajomy rodziny wyjaśnia, że wskutek traumatycznych przeżyć Mallory nadal nie mówi, co hamuje postępy w śledztwie.

Inspektor Owen Morris potwierdził, że „choć Mallory była w stanie przekazać nam, że pamięta, jak obudziła się i błąkała samotnie po parku narodowym, wygląda na to, że nie potrafi przypomnieć sobie, jak się tam w ogóle dostała”.

Inspektor Morris wyjaśnił, że na tym etapie Mallory wciąż komunikuje się niewerbalnie. Niemniej jednak zadawane jej pytania zostały starannie skonstruowane przez psychologa dziecięcego, żeby odpowiedzi były jasne i jednoznaczne.

„W tak delikatnym przypadku” – tłumaczy inspektor Morris – „ważne jest, aby dać dziecku czas na dojście do siebie. Emocjonalna trauma często może mieć wpływ na sposób, w jaki ofiara zapamiętała przebieg zdarzeń, musimy więc uzbroić się w cierpliwość. Śledztwo jest w toku i nie wykluczamy żadnej ewentualności”.

Przyjaciele rodziny donoszą, że dzieci Fisherów znalazły się pod ostrzałem mediów i nie uczęszczają do szkoły.

„Potrzebują zacząć od nowa” – usłyszeliśmy. „Może kiedyś, gdy cały ten zgiełk ucichnie, wrócą do Port Bellamy”.

23

TERAZ

Przeczytałam chyba każdy artykuł prasowy na temat zniknięcia Mallory. Przez kilka ostatnich dni cały swój czas przed lekcjami przeznaczony na edycję zdjęć poświęciłam poszukiwaniu śladów ewentualnych porywaczy, nawet tych najbardziej nikłych i pozornie nieistotnych. W każdym artykule to samo: brak nazwisk czy choćby kiepskiego portretu pamięciowego. W doniesieniach medialnych nie wspomniano o żadnych podejrzanych pojazdach ani szemranych typach kręcących się w tamtym czasie po Barrington Tops.

Nic nie wskazuje na to, że Mallory została porwana.

Jak gdyby winowajca zapadł się pod ziemię.

Albo potrafił się bardzo dobrze ukrywać.

Zbliża się termin oddania projektu i powinnam zająć się obróbką zdjęć z lunaparku, ale gdy tylko się za to zabieram, wracają wspomnienia z Willow Creek i znów przeżywam szok na myśl o tym, co spotkało Benny'ego. Zostawiłam Ally tyle wiadomości na poczcie głosowej, że chyba zapchałam jej całą skrzynkę. Za każdym razem, gdy zaczynam mówić, piknięcie przerywa mi w pół zdania.

Dlaczego Ally nie oddzwania? Co prawda wiem o niej bardzo niewiele. Czym się zajmuje? Kim są jej znajomi? W którym momencie ona i tata przestali się dogadywać?

Świadomość, że siedzę w szkole, podczas gdy Benny dochodzi do siebie w jakiejś sterylnej klinice weterynaryjnej sto kilometrów stąd, sprawia, że czuje się bezradna. Przeglądam więc stare artykuły prasowe, szukając...

Czego? Dowodu na to, że Wróbel istnieje?

– Cześć, nieznajoma.

Zza drzwi pracowni komputerowej wygląda Sadie. W niedzielę wieczorem opowiedziałam jej, co się wydarzyło w weekend i od tamtego czasu właściwie nie rozmawiałyśmy, jeśli nie liczyć kilku zdawkowych SMS-ów. Zbagatelizowałam pocałunek z Morganem, wiedząc, że Sadie będzie miała na ten temat wyrobione zdanie, zwłaszcza po tym całym szaleństwie, które miało miejsce później.

– Na szczęście znów uratował cię z opresji – skwitowała z nutką jakby zazdrości w głosie. Dopiero później przyszło mi do głowy, że mogła to być podejrzliwość.

Chociaż zachowanie Morgana mnie też wydało się dziwne, jednak kiedy Sadie komentuje motyw jego postępowania, czuję, że powinnam go bronić, jego i całą jego rodzinę. To dlatego minimalizuję okno przeglądarki, zostawiając na widoku podejrzanie pusty ekran.

Sadie zerka spod zmarszczonych brwi na monitor, po czym spogląda na mnie.

– Wiedziałaś, że cię tu znajdę. Wprowadziłaś się tu na stałe? Może powinnaś pomyśleć o kilku roślinach doniczkowych.

– Mam masę zdjęć do obróbki – odpowiadam. Sadie już trzy razy w tym tygodniu miała do mnie pretensje, że spędzam tu także przerwy na lunch. Łatwo jej mówić – nie musi oddać dużego projektu zaraz po Wielkanocy. Z tych samych powodów unikam też Morgana – potrzebuję być sama, żeby wszystko przemyśleć.

– Okej – mówi Sadie, unosząc obie ręce, jak gdyby się

wycofywała. – Chciałam się tylko upewnić, że będziesz w ten weekend na imprezie charytatywnej u Francine Tan.

– Przecież mówiłam, że będę.

Roznoszenie przystawek i uśmiechanie się uprzejmie to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Ale nie chcę zostawić mamy Sadie na łodzi, no i potrzebuję kasy na pokrycie rachunku za leczenie Benny'ego, o ile tylko Ally oddzwoni, żeby podać mi kwotę.

Sadie opiera się o framugę drzwi.

– Masz ochotę pogadać? Nie żebym nie była zachwycona, kiedy zbywasz mnie półsłówkami.

Obracam się z krzesłem w jej stronę i opieram łokciami o kolana.

– Chodzi o psa ciotki. Ally nie odpowiada na moje wiadomości. Chyba jest na mnie wkurzona. – Nie wyczerpuje to ogromu moich zmartwień, ale powinno wystarczyć.

Sadie zagryza policzek od środka, zastanawia się.

– Nie przejmowałabym się tym aż tak, pewnie wciąż jest w szoku. Od wypadku minął zaledwie tydzień. A nawet jeśli obwinia ciebie, to niesłusznie, zresztą i tak nie masz ochoty z nią gadać.

– Miałam się opiekować Bennym. – Staram się nie myśleć o tych kilku brakujących godzinach, znikającym kluczu i zagubionym telefonie. – Czyja to wina, jeśli nie moja?

Sadie wzrusza ramionami, zerkając przez ramię na kogoś przechodzącego korytarzem.

– Skąd mogłaś wiedzieć, że pies w ogóle wlezie do tej szopy, albo, co gorsza, zapłącze się w klamoty Ally? Wypadki się zdarzają.

Jej wyluzowanie doprowadza mnie do szału. Nie ma pojęcia, jak wielkie mam poczucie winy ani jak bardzo chciałabym znaleźć

lepsze wytłumaczenia dla tego, co się wydarzyło.

– Posłuchaj – mówię. – Jestem trochę zajęta...

Sadie unosi brwi z niezadowoleniem.

– Masz ochotę pogadać o tym, co cię naprawdę gryzie?

– Niespecjalnie.

– I w tym właśnie kłopot, przyjaciółko. Coś przede mną ukrywasz.

– Nieprawda.

Wskazuje brodą ekran komputera.

– No to powiedz, co tam czytałaś.

– Nic.

– To nie wyglądało jak nic. Powiedziałaś, że edytujesz zdjęcia.

Przewracam oczami.

– Och, przepraszam, pani detektyw. Proszę mnie aresztować za zrobienie sobie krótkiej przerwy.

– Okeeej – odpowiada przeciągle Sadie. – Zaczyna się robić nieprzyjemnie. Zadzwoń, kiedy moja najlepsza kumpela już wróci, bo nie mam ochoty na te bzdety.

– Jasne. Coś jeszcze?

– Chyba nie – odpowiada głucho. – A, byłabym zapomniała... – Szpera przez chwilę w plecaku, po czym wyjmuje mały pakunek z żółtą kokardką. Rzuca mi go, tak że łapię go w ostatniej chwili. Odchodząc, mruczy pod nosem: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”.

*

Reszta moich urodzin mija bez specjalnych fajerwerków. Na plastyce nie wspominam o nich Morganowi, nawet gdy Rachel

wpatruje się we mnie znacząco, jakby przypomniała sobie, co to za dzień, ale nie miała zamiaru się z tym zdradzić. W domu pytam mamę, czy możemy przesunąć uroczystą kolację na weekend, bo dziś nie czuję się na siłach. Ponieważ od powrotu z Willow Creek jestem blada i apatyczna, mama upiera się, że złapałam jakiegoś wirusa i pakuje mnie do łóżka na dwa kolejne dni. Nie powiedziałam ani jej, ani tacie o tym, co się przydarzyło Benny'emu.

W sobotnie popołudnie prezent od Sadie wciąż leży nierozpakowany na moim biurku. Nie odezwała się do mnie, kiedy opuściłam szkołę, i czuję, że węzeł wzajemnych uraz zacieśnia się coraz bardziej, a ja nie wiem, jak go poluzować. Kiedy pojawia się w klubie żeglarskim na imprezie charytatywnej Francine Tan, wcale nie jest lepiej. Sadie krzywi się, gdy tylko wchodzę do kuchni.

– Prosiłam cię, żebyś założyła białą koszulkę – mówi, ciągnąc za kołnierzyk swojej polówki z napisem „So Delish”. Odwraca się do Kiri. – Przepraszam, mamó. Uprzedzałam ją.

Spuszczam wzrok na swój czarny T-shirt, usiłując przypomnieć sobie taką rozmowę.

– Nic nie szkodzi – zapewnia Kiri. Jej nieskazitelnie biała koszulka odcina się na tle lodówek ze stali nierdzewnej. – Nic się nie stało, Tash. – Mijając Sadie, głaszcze ją po ręce i mruczy pod nosem, że to nic wielkiego, po czym przechodzi do omówienia planu dzisiejszego wieczoru.

W sali na piętrze krążę bezszelestnie między gośćmi, proponując im wino musujące lub sok pomarańczowy w wysokich kieliszkach, zbieram puste naczynia i zanoszę je do kuchni, żeby załadować zmywarkę, po czym rozpoczynam kolejną rundę. Kiedy Sadie nie wyrabia się z serwowaniem przekąsek, pomagam Kiri ułożyć na

talerzach kulki risotta oraz bliny z wędzonym łososiem, a potem je roznoszę.

Goście tłoczą się pod niewielką sceną, na której Rachel asystuje matce. Obsługuje z laptopa prezentację w PowerPoincie, podczas gdy Francine rozpląwa się w zachwytach nad poszczególnymi przedmiotami wyświetlanymi na wielkim ekranie. Licytacja, stuk młotka, znów jedzenie i picie, a potem wszystko zaczyna się od nowa.

– Dzięki za pomoc – mówi Sadie, kiedy któryś raz z rzędu wracamy do kuchni. – Ci dziani żeglarze mają niezły spust.

Uśmiecha się do mnie kpiąco, a ja czuję falę ulgi – panująca między nami wrogość nieco słabnie. Ale i tak powinnam opowiedzieć jej, co mnie trapi.

– Hej, Dee, możemy pogadać po imprezie?

– Jasne – odpowiada bez wahania. – Wszystko gra? Nie zamierzasz się chyba wypiąć na moją mamę?

– Nic podobnego – zapewniam. – Chodzi o Mallory i Morgana Fisherów.

Wyraz twarzy Sadie niczego nie zdradza, ale brew jej drga, jak gdyby dokładnie wiedziała, o czym chcę porozmawiać.

– Niech zgadnę – mówi sucho. – Ty i Morgan bierzecie ślub i nie wiesz, jak mi powiedzieć, że to Mallory będzie twoją druhną.

– Ha, ha, ha... Zresztą i tak zawsze powtarzałaś, że nie chcesz być druhną. Co najwyżej drużbą, pamiętasz?

– Racja – odpowiada, rozchmurzając się. – Wiesz, że nie cierpię tafty.

Sadie uśmiecha się niepewnie i widzę, że jest skrepowana. Ale zgodnie z danym słowem spotyka się ze mną na piętrze, kiedy wszyscy goście już wyjdą.

Kiri wynosi ostatnie pudła do furgonetki, a my zamiatamy salę, w której odbywała się aukcja, rozmawiając o wszystkim i o niczym, aż w końcu docieramy do drzwi prowadzących do holu.

– Wykrztusisz to wreszcie? – pyta Sadie.

Z westchnieniem opieram się na kiju od miotły.

– Okej. Fisherowie. Wiesz, że ostatnio spędzałam z nimi trochę czasu...

– Zauważyłam.

– No więc znałam ich, jeszcze zanim wyprowadzili się z Port Bellamy.

– Tak, wiem – odpowiada. – Wspominałaś o tym.

– A lenie mówiłam ci, że byłam przy tym, jak Mallory Fisher została uprowadzona.

– Co takiego? Z lunaparku? Nie oddaliła się sama?

Sadie nie zna tej historii tak dobrze jak miejscowi, bo ona i jej mama przeprowadziły się do Port Bellamy rok po całym zajściu.

– Mieszkałam wtedy u ciotki – ciągnę. – Byłam w tym wesołym miasteczku w dniu, w którym zniknęła Mallory.

Przełykam ślinę, wahając się, czy mówić dalej. Nigdy nie powiedziałam o tym Sadie z obawy, że się ode mnie odwróci. Ale czuję, że wszystko wymyka mi się spod kontroli, a Sadie jest osobą, której najbardziej ufam.

– Policja uważa, że Mallory oddaliła się poza teren lunaparku i ktoś uprowadził ją z jakiejś bocznej drogi w Greenwillow – kontynuuję. – Ale to nieprawda. Widziałam, jak ją porwano.

Sadie marszczy brwi.

– Co masz na myśli?

– Moja ciotka zostawiła mnie w lunaparku samą, a ja wypatrzyłam Mallory, Morgana i ich rodziców. Rozpaczliwie

pragnęłam wrócić do domu i pomyślałam, że Fisherowie zabrają mnie ze sobą do Port Bellamy.

– Okej. – Sadie zachęca mnie gestem, żebym kontynuowała. – Przejdź do porwania.

– Poszłam za Mallory i Morganem do łazienki – mówię. – Ale on szedł za mną. Niechcący zaprowadziłam go prosto do nich.

– Zaczekaj. Kto szedł? Morgan?

– Wróbel. – Jego imię, wypowiedziane drżącym głosem, więźnie mi w gardle. Nigdy nie przyznałam przed samą sobą, a tym bardziej przed kimś innym, że Wróbel ze wszystkich dzieci w lunaparku wybrał właśnie Mallory wyłącznie dlatego, że to ja go do niej zaprowadziłam.

– Chwilę, wróc. – Sadie się prostuje. – Twój wymyślony przyjaciel Wróbel? Uważasz, że to on porwał Mallory?

Wzdrygam się, słysząc niedowierzanie w głosie Sadie. Czuję, że się dystansuje. To, co mówię, jak zwykle brzmi nedorzecznie, a nawet gorzej, bo jestem dziewięć lat starsza i powinnam była już zmądrzeć.

– Wiem, jak to brzmi – mówię. – Ale tak to zapamiętałam. Czekaając, aż Mallory wyjdzie z toalety, spojrzał prosto na mnie, jakby rzucał mi wyzwanie. To był wybór między nią a mną, a ja nie chciałam się już z nim bawić. Myślałam, że to taka zabawa.

– Tash. – Poważny ton Sadie sprawia, że puls mi przyspiesza. – Mówisz o Wróblu tak, jakby istniał naprawdę.

– Wiem.

– Ale wymyśliłaś go przecież. Tak mówi twoja psychiatra, zgadza się? Wymyśliłaś go, bo czułaś się samotna?

– Wydawał się prawdziwy.

– Dobrze, ale jest duża różnica między tym, co wydaje się

prawdziwe, a tym, co jest prawdziwe. Wciąż pamiętam tort w kształcie aerodynamicznej rakiety, który babcia zrobiła mi na szóste urodziny. Tak naprawdę była to smętna rolada z rożkiem lodów zatkniętym na czubku. Widziałam zdjęcia. Zupełnie inaczej ją zapamiętałam.

Opieram miotłę o ścianę i zakładam ręce na piersi.

– Sorry, ale Wróbel budził większą grozę niż twoja smętna rolada.

Sadie obdarza mnie przeciągłym spojrzeniem i przez moment mam wrażenie, że ją uraziłam. Ale po chwili pstryka palcami.

– Wiesz co? Może masz rację.

– To znaczy?

– A co, jeśli pamiętasz aerodynamiczną raketę zamiast rolady?

– Co?

– Twój umysł mógł zapamiętać pewne rzeczy inaczej, niż wyglądały naprawdę.

– Serio? – pytam z przekąsem. – Co do tego wszyscy są zgodni, stąd terapia i tak dalej.

Sadie wzdycha ze zniecierpliwieniem.

– Chodzi mi o to, czy to możliwe, że stworzyłaś postać Wróbla, żeby zapomnieć o kimś, kogo znasz? Żeby uniknąć traumy?

Śmieję się sztucznie.

– Chyba trochę się zagalopowałaś.

Sadie robi wielkie oczy.

– Jaja sobie ze mnie robisz? I to mówi laska, która właśnie wyznała mi, że jej wymyślony przyjaciel porwał dziecko z lunaparku.

– Cii! – mówię, rozglądając się po wielkiej sali. Wciąż jest pusta, ale przesuwne drzwi do holu są lekko uchylone. – Nie tak głośno.

Nie sądzisz, że doktor Ingrid przerobiłaby ten scenariusz przez ostatnie dziesięć lat terapii?

Sadie celuje we mnie trzonkiem miotły.

– Okej, w takim razie odpowiedz na pytanie: czy kiedykolwiek widziałaś Wróbla i swoją ciotkę jednocześnie w tym samym pomieszczeniu?

Odrzucam głowę do tyłu i potrząsam nią z rezygnacją.

– Jezu. Teraz wyjeżdżasz z jakąś teorią spiskową.

– A co mam powiedzieć, Tash? Opowiadasz niestworzone historie o tym, jak twój wymyślony kumpel porwał prawdziwe, żywe dziecko z publicznej toalety. Przepraszam, że próbuję znaleźć prawdopodobne wytłumaczenie, które nie brzmi tak, jakbyś była kompletnie szurnięta.

Jej ostatnie słowa zawisają w powietrzu niczym chmury nad ziemią. Sadie zamyka oczy, jak gdyby chciała je cofnąć w głąb swojej głowy, gdzie najwyraźniej tkwiły od pewnego czasu.

– Niezła gadka. – Unoszę drżącą rękę do drzwi. – Doceniam twoją szczerość.

– Tash... – Sadie próbuje dotknąć mojego ramienia, ale zrzucam jej dłoń.

– Przestań. Powiedz mamie, że wrócę do domu sama.

Otwieram szarpnięciem drzwi i staję twarzą w twarz z Rachel Tan.

Przez chwilę obie stoimy jak wryte. Jedwabiste włosy Rachel opadają jej na ramiona, usta ma rozchylone ze zdumienia. Nie dlatego, że prawie na nią wpadłam, ani nawet dlatego, że przyłapałam ją na podsłuchiwanie. Jest zaskoczona tym, co usłyszała.

W mgnieniu oka odzyskuje panowanie nad sobą.

– Zapomniałam laptopa – oznajmia, przepychając się obok mnie. Tupot jej obcasów po posadzce mógłby być równie dobrze odgłosem gwoździ wbijanych w moją trumnę.

Napotykam wzrok Sadie, w jej oczach odbija się dokładnie to, co sama myślę.

To tylko kwestia czasu, kiedy Rachel użyje zdobytych właśnie informacji przeciwko mnie.

24

WTEDY

Dziś w nocy jest za gorąco.

W mojej sypialni brakuje powietrza, a ja leżę na kołdrze i czekam, aż ciocia Ally pójdzie na górę. Łóżko pode mną przypomina rozgrzany asfalt, włosy lepią mi się do karku jak wodorosty. Wydaje mi się, że słyszę na zewnątrz jakiś powiew, ale nie otworzę okna, żeby to sprawdzić. Jest zamknięte od tamtej nocy, kiedy Wróbel wleciał do środka i wylądował na siedzisku obok łóżka.

Zaciągam zasłony i palę lampę przez całą noc, podsunęłam też nocny stolik pod drzwi. Jest strasznie gorąco, a mnie okropnie chce się pić. Ciocia Ally nie zostawia mi na noc szklanki z wodą, jak robią rodzice w domu.

Wieczorem tłukła się po kuchni, więc starałam się schodzić jej z oczu. Kiedy po południu wróciłam z dworu, stolik kawowy był przewrócony, a jedna z waz babci roztrzaskana o kominek. Kiedy zapytałam ją o to, co się stało, rozzłościła się i kazała mi iść na górę wziąć kąpiel. Ale na kolację zrobiła spaghetti i powiedziała, że jutro zabierze mnie w nagrodę do wesołego miasteczka w Greenwillow. Dużo się do mnie uśmiechała. Ale ten uśmiech nie sięgał oczu.

A teraz tak strasznie chce mi się pić.

Co będzie gorsze? Pójść do kuchni teraz, kiedy ciocia Ally wciąż tam jest? Czy pójść tam samotnie, kiedy będzie ciemno?

Słyszę ją w korytarzu, jak szepcze coś do Benny'ego. Psia obroża pobrzękuje, gdy labrador truchta za nią na piętro. Leżę nieruchomo, dopóki podłoga nie przestanie skrzypieć i woda nie przestanie lecieć, a z góry nie dobiega już żaden odgłos. Zsuwam się z łóżka, podchodzę do drzwi i odsuwam nocny stolik na bok. Ciocia Ally nie zostawiła dla mnie światła w korytarzu, a włącznik jest przy drzwiach wejściowych. Jest bardzo ciemno i odległość do kuchni wydaje się trzy razy dłuższa niż zwykle.

Jeśli wstrzymam oddech i pójde na paluszkach, nikt mnie nie usłyszy. Jeśli będę się trzymać blisko ściany, nikt nie podkradnie się do mnie od tyłu. Czekam w drzwiach sypialni jeszcze minutę, aby mieć pewność, że cienie się nie poruszają; wypatruję miejsc, w których mógł się ukryć.

Kiedy tata zadzwonił po kolacji, chciałam opowiedzieć mu, co Wróbel zrobił nad strumykiem we wtorek. To było okrutne i przerażające, a tata na pewno chciałby o tym wiedzieć. Kiedy zaczęłam mu to wyjaśniać, kazał mi dać ciocię do telefonu. Wyglądała na zagniewaną, gdy wyrywała mi słuchawkę z ręki i ze zmarszczonymi brwiami słuchała, co tata ma jej do powiedzenia.

– Stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji – powiedziała potem. – Myślałam, że uzgodniłyśmy, że nie będziemy zawracać twoim rodzicom głowy tym całym Wróblem. Przy niemowlaku już i tak mają pełne ręce roboty.

Ale teraz zostało tylko kilka dni do przyjazdu taty – gdy zabierze mnie do domu, wszystko mu opowiem. Dopilnuję, żeby rodzice dowiedzieli się o każdej najdrobniejszej rzeczy, jaka się tu wydarzyła. To ważne. Żeby już nigdy nie odesłali mnie z domu.

Biegnę szybko do kuchni, zapominając o poruszaniu się na

palcach i wstrzymywaniu oddechu. Gdy dopadam zlewu, myślę już tylko o tym, jak bardzo chce mi się pić. Nalewając wody do szklanki, zerkam na swoje odbicie w oknie.

Dostrzegam jakiś ruch nad swoim lewym ramieniem.

Obracam się, ale kuchnia jest pusta. Kiedy znów spoglądam w okno, widzę, że ten kształt wcale nie jest odbiciem – znajduje się po drugiej stronie szyby. Staję na palcach, żeby przyjrzeć się lepiej postaci rozciągniętej na drugim końcu werandy. Jedna ręka i noga zwisają jej poza podest niczym u szmacianej lalki.

Podchodzę do drzwi na werandę i odsuwam kraciaste zasłonki, żeby wyjrzeć przez okienko. Nawet w świetle księżyca rozpoznaję jego kościste ręce, kanciaste barki i zarys ogolonej głowy.

Wiem, dlaczego tu jest. Przyszedł zepsuć mi jutrzejszy dzień. Jeśli też tam będzie, zepsuje mi całą zabawę.

Włączam światło na werandzie i stukam knykami w okienko w drzwiach. Wróbel nawet nie drgnie. Stukam, dopóki nie obróci głowy w moją stronę. Powieki ma ciężkie, jak gdyby drzemał.

– Nie przychodź tu więcej – mówię. – Nie chcę się z tobą bawić. Po prostu idź sobie!

Mamrocze coś, czego nie słyszę. Jeszcze nigdy nie był taki bezwładny i sflaczały. Przyciągam krzesło od stołu, sięgam do zasuwki i uchylam drzwi.

– Słyszałeś mnie? – pytam. – Więcej tu nie przychodź. Nie podobają mi się twoje zabawy.

Chichocze sam do siebie, pocierając twarz dłonią.

– Zabawa jeszcze się nie skończyła. Najlepsze wciąż przed nami.

– Mam to gdzieś. Nie bawię się z tobą. Dlaczego miałabym chcieć być twoją przyjaciółką?

Wróbel uderza się ciężką ręką w pierś.

– *Bo mam magiczną moc.*

Otwieram drzwi szerzej i opieram się biodrem o framugę.

– *Nieprawda – mówię i zastanawiam się, czy on to robi dlatego, że nikt inny nie może go zobaczyć. Zawsze pojawia się jakby znikąd.*

– *Potrafię zmienić garść włosów w garniec złota – mówi, poruszając palcami.*

– *To zupełnie bez sensu.*

Wróbel przewraca się na bok i opiera na łokciu.

– *Potrafię czytać ci w myślach. – Stuka się palcem w głowę. – Już tam jestem, pełzam i drapię pazurami.*

– *Nieprawda.*

– *Coś ci powiem – ciągnie. – Coś, o czym właśnie myślisz.*

– *Nic nie myślę.*

– *Moje imię. Wymyśliłaś mi imię.*

Wcale o tym nie myślałam. Ale teraz tak. Usiłuję oczyścić umysł i nie myśleć o niczym. Nie może o tym wiedzieć – nigdy mu o tym nie mówiłam.

– *Nazywasz mnie Wróblem. – Znow stuka się w czoło. – Nie ukryjesz się przede mną.*

– *To nie magia – odpowiadam, ale serce ściska mi się w piersi. – Zgadłeś przypadkiem.*

Uśmiecha się do mnie sennie, a potem białka oczu wywracają mu się do wnętrza głowy, jak gdyby nie był w stanie pozostać przytomny ani chwili dłużej.

– *To nie koniec zabawy – mamrocze, otwierając jedno oko, i obserwuje, jak cofam się do domu. Staram się nie patrzeć na niego, kiedy zamykam drzwi i zasuwam zasuwkę. Może jeśli nie będę zwracać na niego uwagi, zniknie.*

Gdy sięgam do włącznika światła, nie jestem w stanie oprzeć się

pokusie i po raz ostatni wyglądam na zewnątrz. Wróbel unosi ciężką rękę i wskazuje na mnie, wołając śpiewnie:

– Gotowa czy nie, zaraz cię złapię.

25

TERAZ

Upłynął pierwszy tydzień kwietnia, a ja tkwię zawieszona w stanie permanentnego niepokoju. Od imprezy charytatywnej w klubie żeglarskim minęły dwa tygodnie i czuję, że Rachel tylko czeka na odpowiedni moment, żeby wykorzystać przeciwko mnie podsłuchane informacje. Za każdym razem, gdy Morgan podchodzi do mnie w szkole, zastanawiam się, czy Rachel mu wypaplała mój sekret, czy może chce się dowiedzieć, dlaczego od weekendu w Willow Creek traktuję go tak chłodno.

Choć bardzo liczę na rozwój sytuacji między mną a Morganem i chcę go poznać lepiej, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że lada moment Mallory przypomni sobie coś konkretnego w związku z porwaniem. Cokolwiek to będzie, będzie dotyczyło mnie. Czuję się nieustannie narażona na zdemaskowanie.

Gdy tylko mam okazję, próbuję zająć myśli pracą nad portfolio. Ale nawet teraz, kiedy przeglądam zdjęcia opuszczonego lunaparku, wciąż powracają do mnie wspomnienia o Wróblu śledzącym mnie w bocznej alejce. Rozważam sugestię Sadie, że to mój dziecięcy umysł stworzył Wróbla, aby ukryć prawdziwą tożsamość innej osoby; usiłuję przypomnieć sobie, czy rzeczywiście omawialiśmy taką możliwość z doktor Ingrid. Wciąż wracam myślami do moich pozostałych zaburzeń w tamtym czasie, do faktu, że nikt prócz mnie nie widział Wróbla, do pytań doktor

Ingrid, czy słyszałam inne głosy.

Przy wybieraniu zdjęć, jakie przekażę Morganowi, aby mógł do nich nawiązać w ostatecznej wersji swoich szkiców do „Sennyh pejzaży”, zastanawiam się, czy któreś z nich jest na tyle dobre, żebym mogła je włączyć do portfolio. Garbię się nad laptopem mamy, przewijając obrazki w nadziei na to, że coś mnie zaintryguje. Cofam się aż do zdjęć zrobionych w porcie w lutym, pomijam kilka nijakich, szerokich ujęć plaży, gdy nagle coś przykuwa moją uwagę. Ale nie z tych powodów, na które liczyłam.

Klikam dwa razy na miniaturkę, żeby ją powiększyć. To widok na plażę w kierunku wschodnim. Za pasem wydm porośniętych karłowatymi trawami fragment Marine Drive biegnie łukiem wzdłuż wybrzeża. W odległości około kilometra, przy drodze, przodem do mola stoi zaparkowany samochód. Przybliżam obraz na tyle, na ile się da, żeby się nie rozpikselował. Choć jest ziarnisty, nie mam wątpliwości, co przedstawia.

Brązowego pick-upa ozdobionego pomarańczowymi paskami.

Gdy myślę o tamtym poranku, przypominam sobie, że tego dnia zadzwoniłam do Ally w sprawie odwiedzin. Jestem pewna, że właśnie się obudziła, a Benny leżał zwinięty na łóżku obok niej. Czy to możliwe, że siedziała wtedy w swoim aucie tu, w Port Bellamy? A jeśli tak, to po co?

Zastanawiam się, ile starych pick-upów musi krążyć w okolicach portu, nie wspominając o tych, których właściciele zrobili sobie jednodniowy wypad na plażę. Pamiętam, że ostatnio widziałam podobny samochód zaparkowany na Banksia Avenue w pobliżu domu Fisherów. Mam pewnie paranoję z powodu tego wszystkiego, co się ostatnio wydarzyło, ale i tak wyciągam telefon i wysyłam Ally SMS-a. Upłynęły prawie trzy tygodnie od wypadku Benny'ego, a ona wciąż się do mnie nie odezwała. Unika mnie i źle

się z tym czuję.

Cześć, Ally. Odsłuchałaś moje wiadomości? Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Gdy wciskam wyślij, rozlega się dzwonek do drzwi, a zaraz potem pogodny, beztroski głos Francine Tan. Zapomniałam, że mama zaprosiła ją na popołudnie, żeby omówić sprawy komitetu rodzicielskiego. Wkrótce słyszę kroki na schodach – to pewnie Tim próbuje ukryć się przed mamą ogarniętą szalem gościnności. Ale zamiast niego w drzwiach mojego pokoju staje Rachel Tan.

– A ty co tu robisz?

– Mama mówi, że muszę cię zaprosić. – Wciska mi do ręki jakąś pocztówkę. To zaproszenie na osiemnastkę bliźniąt w restauracji ich wuja. – Wiem, że i tak nie przyjdiesz, więc czy możesz po prostu przekazać swojej mamie, że dostałaś zaproszenie? Bo moja to sprawdzi.

Oddaję jej kartkę.

– Po co w ogóle mi je dajesz?

Wrzuca zaproszenie do kosza pod moim biurkiem.

– Bo nie chcę okłamywać matki.

– Jasne. Bo ty nigdy nie kłamiesz.

Rachel prychnęła.

– Serio? Chcesz pogadać na temat kłamania? Może zaczniemy od porwania Mallory przez twojego wymyślonego przyjaciela? A może od tego, że ukrywasz przed Morganem, jaka jesteś pokręcona?

– Posłuchaj – mówię, wstając z łóżka. – Nie wiem, co ci się wydaje, że usłyszałaś w klubie żeglarskim...

– Obie wiemy, co usłyszałam. Szczerze mówiąc, nawet nie jestem zaskoczona.

– Co masz na myśli?

Rachel zakłada ręce na piersi i mruży oczy.

– Zawsze było z tobą coś nie tak, Tash. Wiedziałam to od chwili, w której się tu przeprowadziłam, nawet zanim usłyszałam plotki.

– To ty zaczęłaś je rozsiewać – odpowiadam i też krzyżuję ramiona.

– Proszę cię. Dzieciaki przeżywały cię od wariatek i dziwolągów na długo przed moim przyjazdem. To od nich usłyszałam, że świrowałaś w szkole, żeby ściągnąć na siebie uwagę, że zawsze udawałaś bezbronną, żeby wszyscy ci współczuli.

– Myślisz, że chciałam być w centrum uwagi? – pytam piskliwym głosem, wściekła na siebie, że nie potrafię opanować emocji. – Naprawdę miałam ataki paniki. Zresztą nie wiem, czemu ci się w ogóle tłumaczę.

– A kiedy zamierzasz się wytłumaczyć Morganowi?

Czuję ukłucie lęku. Zbyt długo zwlekam z odpowiedzią i w oczach Rachel pojawia się błysk zwycięstwa.

– Czego ty chcesz, Rachel? – Chciałam, żeby odczuła moje obrzydzenie, ale zabrzmiało to raczej tak, jakbym błagała ją o zawarcie układu.

– Zostaw tę biedną rodzinę w spokoju – mówi, jakby rzeczywiście nie zależało jej wyłącznie na przywłaszczenia sobie Morgana. – Nie dzwoń. Nie chodź do nich. Po prostu trzymaj się od nich z daleka.

– Niby czemu miałabym cię posłuchać?

– Bo wyświadczam ci przysługę! Daję ci szansę, żeby się wycofać, zanim kompletnie się poniżysz.

– A jeśli tego nie zrobię?

Rachel przewraca oczami.

– A jak myślisz, mądrało? Powiem Fisherom, co podsłuchałam, a oni uznają cię za wariatkę.

Wpatruję się wściekle w podłogę. Motywy Rachel tak łatwo przejrzeć.

– Czyli tak czy siak mam się już nie zbliżać do Morgana?

Twarz Rachel wykrzywia zadowolony uśmiezek.

– Nie mówiłam, że przy okazji nie wyświadczam przysługi sobie.

*

Godzinę później samochód Tanów odjeżdża spod naszego domu, a ja wciąż nie mogę dojść do siebie po sprzeczce z Rachel. Łapię komórkę i wybieram numer Sadie, chociaż od rozmowy w klubie żeglarskim zrobiło się między nami jakoś drętwło. Trzymamy się lekkich, przyjemnych tematów, ale to nie są prawdziwe rozmowy. Żadna z nas nie wspomina o Fisherach ani o Wróblu.

– Hej. – Sadie odbiera po dwóch dzwonkach. – Jak leci? – W jej głosie nie słychać tej ciepłej poufałości, do której zdążyłam się już przyzwyczać.

– Przed chwilą znów ścięłam się z Rachel.

– Uch. Czego chciała?

W tle słychać muzykę. Sadie sprawia wrażenie rozkojarzonej.

– Możesz rozmawiać czy...

– Jasne. Spoko. Jestem w kinie z Alice.

– Na randce? – Nie chciałam, żeby zabrzmiało to tak, jakbym się dąsała.

– Taak. Nie masz nic przeciwko? – pyta Sadie ze śmiechem. Mój podły nastrój robi się jeszcze gorszy.

– Przepraszam. Nie będę wam przeszkadzać.

– Czekał – mówi Sadie. – Wszystko gra? Czegoś potrzebujesz?

„Potrzebujesz?” Dlaczego zawsze wszystko kręci się wokół tego, że czegoś potrzebuję? Przełykam rosnącą frustrację.

– Rachel grozi, że powie Morganowi, co podsłuchiwała w klubie.

– Hm – mruczy Sadie. – Niedobrze. Chyba będziesz musiała dopaść go pierwsza.

– Co takiego?

– Ubiec Rachel.

– Nie mogę opowiedzieć o tym Morganowi – protestuję. – Znienawidzi mnie!

Dźwięk z drugiej strony robi się przytłumiony, jak gdyby Sadie przykryła telefon dłonią. Kiedy ją zdejmuję, słyszę kilka ostatnich słów skierowanych do kogoś innego.

– Dee?

– Posłuchaj – mówi. – Wiem, że masz słabość do Morgana Fishera...

– „Słabość”? Rzewniej się nie dało? Jeśli mnie pamięć nie myli, kibicowałaś tej „słabości” od samego początku.

– Tak – odpowiada Sadie. – Ale to było przedtem.

– Przed czym?

– Przed tą akcją w pralni i zniknięciem Tima w galerii handlowej. Poza tym sposób, w jaki dostał się do domu twojej ciotki, jest nieco podejrzany, nie sądzisz?

– Tak jakby otwarcie sobie drzwi było jakąś zbrodnią – odparowuję sucho. – Morgan naprawdę mi pomógł w tamten weekend.

– Wiem. Tak tylko mówię.

– Nie wiedziałam, że prowadzisz rejestr podejrzanych spraw.

Sadie wzdycha.

– Nie prowadzę. Wiem, że on ci się podoba, ale... coś mnie

w tym wszystkim niepokoi.

– Okej. Udajmy, że w ogóle nie było tematu.

– Ale właśnie o to chodzi: ostatnio gadasz wyłącznie o Fisherach. Co cię łączy z tą rodziną?

Właśnie mam odpowiedzieć, gdy słyszę dźwięk przychodzącej wiadomości. Muszę ją natychmiast przeczytać. Może to od Morgana. A może od Mallory.

– Muszę kończyć.

– Tash – mówi szybko Sadie – kiedy masz następną wizytę u doktor Ingrid?

– Co? – Robi mi się niedobrze. – Dlaczego o to pytasz?

Kolejne westchnienie.

– Myślę, że może dobrze byłoby...

– Muszę kończyć – powtarzam, przerywając jej, zanim zasugeruje coś, czego nie chcę usłyszeć. „Kompletnie szurnięta”. „Kompletnie szurnięta”. Od kiedy to powiedziała, nie mogę tego zapomnieć.

Rozłączam się i otwieram nową wiadomość. Prawie upuszczam komórkę na widok imienia Ally na ekranie.

Nie przejmuj się, mój pies ma się dobrze, kiedy znowu przyjedziesz?

Jestem tak skołowana, że muszę przeczytać wiadomość jeszcze raz.

Nie dość, że Ally zapewnia mnie, że wszystko jest w porządku, to jeszcze zaprasza mnie ponownie do Willow Creek? Dlaczego dopiero teraz napisała, że Benny’emu nic nie jest? Trzęsącymi rękami wklepuję wymijającą odpowiedź. Kusi mnie, żeby zadzwonić jeszcze raz do Sadie i zapytać, co sądzi o wiadomości od ciotki, ale wiem, że zarzuci mi, że jak zwykle dzielę włos na

czworo.

Opadam na łóżko, czując się dojmująco samotna. Dzielę włos na czworo, bo nie mam z kim o tym porozmawiać, nie mam nikogo, kto by mnie zrozumiał. Jediną osobą, która byłaby w stanie zrozumieć, przez co przechodzę, jest akurat ktoś, kto nie potrafi mówić.

Biorę do ręki komórkę i przewijam listę otrzymanych wiadomości, szukając Mallory. Moje kciuki pracują niczym szalone.

Hej, Mallory. Tylko się nie obraż, ale nie daje mi to spokoju. Kilka tygodni temu w lunaparku zapytałam, czy coś ci się przypomniało, a ty wskazałaś na mnie. O co ci chodziło?

Wciskam wyslij, po czym odpycham telefon od siebie, jakby był zadzumiony. Czy ja naprawdę rozpoczęłam tę rozmowę? Czy rzeczywiście chcę wiedzieć?

Mallory odpowiada po kilku minutach.

Rozpoznałam cię na przyjęciu u mnie w domu. Nie wiedziałam, skąd cię pamiętam. Kiedy zobaczyłam cię obok stoiska z popcornem w lunaparku, miałam déjà vu. Jakbyśmy obie już tam kiedyś były. Mam rację?

Zagryzam od środka policzek i odpisuję:

Tak. Pamiętasz coś jeszcze?

Czekam na odpowiedź dobrych kilka minut i już myślę, że Mallory nie ma ochoty zdradzać więcej szczegółów, kiedy dostaję wiadomość:

Ostry ból nadgarstka, jak strzał z gumki. Mama mówi, że przywiązała mi do ręki baloniki. Chyba mnie uciskały, więc je ściągnęłam.

„Nie”, mam ochotę zaprotestować. „To był Wróbel. Zerwał ci je z ręki, zanim cię wprowadził”.

Biorę głęboki oddech, żeby ręce mi nie dygotały, gdy zadam kolejne pytanie. Zaraz poznam prawdę – albo Wróbel istniał naprawdę, albo był moim wymysłem.

Czy ktoś z tobą był, kiedy wyszłaś z toalet?

Wysyłam wiadomość i delikatnie odkładam telefon na łóżko. Gdy znów wibruje, boję się wziąć go do ręki.

Powtarzam to już od lat – pisze Mallory – ale po prostu nie pamiętam.

Wzdycham z poczuciem porażki. Miałam ogromną nadzieję, że Mallory zna odpowiedź, ale nie jesteśmy ani trochę bliższe odkrycia prawdy. Instykt podpowiada mi, że nie jest ze mną do końca szczerą. Coś wytrąciło ją z równowagi, kiedy znalazłam ją przed toaletami trzy tygodnie temu. Czegóż mi nie mówi.

Dostaję kolejną wiadomość:

Szczerze mówiąc, niezręcznie mi z tobą o tym rozmawiać. Prawie cię nie znam. Zresztą to nie twoja sprawa.

„Ależ jak najbardziej moja”, mam ochotę odpisać. „Bardziej niż ci się wydaje”. Stukam paznokciami w brzeg telefonu, szukając słów, które nie zrażą Mallory.

Chcę ci pomóc sobie przypomnieć – piszę. To szczerą prawdą.

Tym razem czekam na odpowiedź nieco dłużej.

Dlaczego? Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać?

Ponieważ – klepię gorączkowo w klawisze – wiem, co to znaczy być dezorientowanym i samotnym, kiedy twój własny mózg cię zdradza i miesza ci w pamięci. Tamten dzień w lunaparku kryje odpowiedzi ważne dla nas obu. Potrzebuję tego tak samo jak ty.

Czytam to, co napisałam, a potem niechętnie kasuję litery. Zamiast tego piszę trzy słowa, które znaczą to samo:

Po prostu możesz.

*

Wciąż gryzę się rozmową z Mallory, kiedy Morgan dopada mnie w szkole w przeddzień osiemnastki bliźniąt. Od czasu ultimatum postawionego mi przez Rachel udawało mi się go skutecznie unikać. Było to proste, bo nie mamy wielu wspólnych zajęć, a na te, na które chodzimy razem, wślizguję się w ostatniej chwili i pilnuję, żeby wymknąć się z nich jako pierwsza.

Plastyka to pierwsza lekcja, na której nie mogę trzymać go na dystans. Siedzimy obok siebie pod czujnym okiem Rachel. Na kilku poprzednich zajęciach za każdym razem, gdy zaczynał mówić niskim, znajomym tonem przeznaczonym tylko dla mnie, udawało mi się skierować jego uwagę z powrotem na nasz projekt.

To przejściowe – powtarzam sobie. Żeby zamknąć usta Rachel, dopóki czegoś nie wymyślę.

Ale Morgan rozpracował moją strategię pojawiania się w klasie w ostatniej chwili. Czeka pod drzwiami pracowni plastycznej, chociaż są zamknięte i wszyscy siedzą już w środku. Z ponurą miną prowadzi mnie w załom korytarza.

– Co się stało? – pytam. Boję się usłyszeć odpowiedź. Czy Mallory przemówiła? Czy Rachel spełniła swoje groźby?

– Dlaczego trzy tygodnie temu nie powiedziałaś mi, że masz urodziny? – pyta Morgan. – Rachel coś o tym wspomniała. Czuję się jak palant.

– Bo to nic ważnego. Miałam ciężki tydzień i jakoś nie było okazji.

Widzę jednak, że tak naprawdę męczy go coś innego.

– Myślałem, że jesteśmy... – Morgan rozgląda się, choć na korytarzu nie ma żywej duszy. – Myślałem, że jesteśmy razem. No wiesz, w Greenwillow pocałowałaś mnie tak... sądziłem, że coś do

mnie czujesz. Od tamtego czasu unikasz mnie, a ja nie rozumiem, co takiego zrobiłem, żeby wszystko schrzanić.

Mam ochotę wyciągnąć rękę i wygładzić zmarszczkę między jego brwiami. Wciskam dłoń do kieszeni i unikam jego zatroskanego spojrzenia. Czy ukrywanie tajemnicy to to samo, co kłamstwo? Bo czuję się tak paskudnie, jakbym kłamała.

– Czy ty... to znaczy, czy my... – Morgan gapi się w jakiś punkt nad moim ramieniem, jakby zadawał pytanie rzędowi szafek za moimi plecami. – To już koniec? Rzucasz mnie?

Nie powinnam się dziwić, że doszedł do takiego wniosku, ale i tak boli mnie ta sugestia. Żałuję, że nie mogę poprosić go o cierpliwość, wyjaśnić, że to tylko chwilowe. Nawet gdyby Rachel nie zagroziła, że wyjawia moje wstydlive tajemnice, przez co wyjdę na niezrównoważoną, jeśli nie chcę go zranić, powinnam ochłodzić nasze stosunki, dopóki sama nie dojdę ze sobą do ładu.

Ale jego urażone spojrzenie mówi mi, że już cierpi, a ja pragnę mu pomóc, ukoić ból, zapełnić pustkę, którą czuje. Wcale nie chcę z nim zrywać. Pragnę dać mu więcej siebie.

Morgan bierze moje milczenie za odpowiedź i rusza w stronę klasy. Zastępuję mu drogę i kładę mu dłonie na piersi. Wsuwam mu je pod kurtkę i przyciskam się do niego, chłonąc jego mydlany, lekko słony zapach.

– Nie wiem, co jest grane – szepcze mi we włosy.

Unoszę twarz i całuję go, bo nie ufam własnym słowom ani wyznaniom, które tylko go zdezorientują i zniechęcą. Moje wargi, tak zdradzieckie, jakby szeptały kłamstwa, uciszają jego pytania i nie dopuszczają mnie do głosu. Moje ciało poddaje się jego ciepłu i smakowi, ale w głowie aż mi iskrzy: im dłużej trwa nasz pocałunek, tym bardziej komplikuje się nasza sytuacja. Bo trzydzieści metrów stąd, w pracowni plastycznej, Rachel mierzy

wściekłym wzrokiem dwa puste siedzenia obok siebie.

Odwet jest nieunikniony.

26

WTEDY

27 marca 2012

Stenogram z sesji z doktor Ingrid Ballantine

Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży

Klinika dziecięca w Newcastle

Pacjentka: Natasha Carmody, 13 lat

IB: Witaj, Natasho. To wspaniale znów cię widzieć. Chyba powinnyśmy to jakoś uczcić.

NC: Dlaczego?

IB: W ubiegłym miesiącu upłynęła czwarta rocznica naszych spotkań. Teraz, gdy widzimy się co pół roku, za każdym razem wydajesz się znacznie doroślejsza.

NC: Mam wrażenie, że zawsze jestem taka sama.

IB: Ale to chyba nieprawda? Z pewnością zachowujesz się inaczej niż dziewięciolatka, która przyszła do mnie po raz pierwszy.

NC: Miałam wtedy osiem lat.

IB: Ach tak. Więc miałaś...

NC: Pamiętam wszystko, co wydarzyło się tamtego roku.

IB: To był dla ciebie trudny czas. Musiałaś stawić czoła wielu wyzwaniom.

NC: ...

IB: Jak ci minęło ostatnie pół roku? Zaczęłaś szkołę średnią, prawda?

NC: Mhm.

IB: Wciąż przyjaźnisz się z Sally?

NC: Sadie.

IB: Sadie, oczywiście.

NC: To moja najlepsza przyjaciółka. Rozśmieszamy się nawzajem.

IB: To cudowne, że na siebie trafiłyście. Wiem, że w przeszłości miałaś trudności z nawiązywaniem przyjaźni.

NC: Raczej z ich utrzymaniem.

IB: Można to tak ująć. Czy krąg waszych znajomych się powiększył, czy nadal trzymacie się tylko we dwie?

NC: Na początku roku poznałyśmy nową dziewczynę. Nazywa się Rachel Tan.

IB: To dobra wiadomość.

NC: Kilka tygodni temu zaprosiła nas na nocowanie. Nie podobało mi się tam.

IB: Dlaczego?

NC: Było mi za gorąco w śpiworze i przez przypadek wtoczyłam się we śnie pod biurko Rachel. Chyba miałam zły sen.

IB: To się czasem zdarza, kiedy jest za gorąco.

NC: Rachel mówi, że ją obudziłam, bo gadałam przez sen. Mówi, że wołałam jakiegoś Wróbla. Próbowałam usiąść i uderzyłam się głową w biurko. Myślałam, że znów jestem w skrzyni.

IB: To musiało być okropne.

NC: Było ciemno, nie wiedziałam, gdzie jestem. Trochę spanikowałam.

IB: Tak?

NC: Miałam wypadek.

IB: Zrobiłaś sobie krzywdę?

NC: Nie. Zmoczyłam się. Tak jak w dzieciństwie.

IB: Rozumiem.

NC: Od tamtej pory Rachel wciąż się dopytuje, kim jest Wróbel. A ja nie chcę o nim rozmawiać. Nie chcę w ogóle rozmawiać o tamtych sprawach.

IB: To zrozumiałe.

NC: Myślę, że Sadie się wygadała. Powiedziała Rachel, że miałam kiedyś wymyślonego przyjaciela.

IB: Dlaczego tak myślisz?

NC: Bo Rachel przestała pytać i tylko dziwnie mi się przygląda.

IB: Może warto by było usiąść z Rachel i wszystko jej wytłumaczyć? Może poczułabyś się lepiej.

NC: Nie. Boję się.

IB: Czego?

NC: Mrocznego miejsca.

IB: Sekretnego pokoju Wróbla?

NC: Nie, nie to mam na myśli. Wiem, że Wróbel nie istniał naprawdę. Jego sekretny pokój nie istniał.

IB: Więc co masz na myśli?

NC: Nie chcę wrócić do tego mrocznego miejsca, gdzie mój umysł widzi rzeczy, które tak naprawdę nie istnieją.

IB: Wciąż ci się to zdarza?

NC: Raczej nie. Od czasu do czasu mam wrażenie, że Wróbel mnie obserwuje. Tak jakby wrócił, żeby dokończyć zabawę.

IB: Co to za zabawa?

NC: Nie wiem. Nie ma żadnej zabawy, prawda? Tylko to sobie wymyśliłam.

IB: Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że często odczuwasz niepokój, kiedy jesteś zestresowana albo samotna? Czułaś się tak ostatnio?

NC: Może trochę. Po prostu... odkąd Rachel przyszła do naszej szkoły i zaczęła się z nami kolegować, czasami mam wrażenie, że Sadie lubi ją bardziej niż mnie.

IB: Dlaczego tak myślisz?

NC: Bo nie musi się o nią troszczyć ani tłumaczyć innym jej dziwnego zachowania. Rachel jest pewna siebie, a ja jestem dziwaczką. W szkole wciąż tak na mnie mówią.

IB: Czy to, co inni o tobie myślą, ma dla ciebie znaczenie?

NC: Tylko to, co myśli o mnie Sadie. Nie chcę jej stracić.

IB: Może Rachel wcale nie chce ci jej odebrać. Może po prostu szuka przyjaźni?

NC: Nie ze mną. Martwię się, że opowie wszystkim w szkole, że zsikałam się przez sen.

IB: Miałaś atak paniki. Może Rachel zrozumie, że nad tym nie panowałaś.

NC: Wątpię, żeby ją to obchodziło.

IB: A jak myślisz, co ją obchodzi?

NC: Myślę, że chce mieć Sadie tylko dla siebie.

IB: Musisz się zastanowić, jak zareagujesz, jeśli Rachel i Sadie zostaną przyjaciółkami. Czy jesteś gotowa dopuścić do przyjaźni z Sadie jeszcze kogoś?

NC: Raczej nie.

IB: Dlaczego?

NC: Czułabym się samotna.

IB: Każdy czuje się czasem samotny...

NC: Nie! To niemożliwe. Kiedy czuję się samotna, przytrafiają mi się złe rzeczy.

27

TERAZ

Prawie całą sobotę spędzam w Watergardens z Morganem, który kupuje prezenty urodzinowe dla Rachel i Christophera. On i jego tata idą dziś na osiemnastkę, ale jego mama i Mallory wolą zostać w domu. Kiedy po zakupach Morgan odwozi mnie do domu, proszę, żeby zaparkował wóz ojca obok szop na łodzie na końcu mojej ulicy. Całujemy się do czasu, aż szyby zaparowują i zaczynają mnie boleć usta, ale wciąż nie mam dość.

– Proszę, powiedz, że będziesz w Willow Creek na Wielkanoc – mówi Morgan, zasypując pocałunkami moją szyję aż do obojczyków.

– Będziesz w Greenwillow?

– Mhm. – Spogląda na mnie, a ja zastanawiam się, czy moje usta są równie obrzmiałe jak jego. – Mógłbym odwiedzić cię w domu ciotki. Proszę, obiecaj, że przyjedziesz. – Unosi filuternie brew.

– Hm... może – odpowiadam, nagle upojona wizją nas dwojga wtulonych w siebie na patchworkowej kanapie. Przebywanie z nim sam na sam jest jedynym atutem Willow Creek. – Ciotka mnie zaprosiła. Jeszcze jej nie odpowiedziałam.

Morgan uśmiecha się szeroko i teatralnie obmacuje moje kieszenie.

– To o czym my jeszcze rozmawiamy? Gdzie, u licha, podzielaś

telefon?

Kiedy w końcu wysiadam z samochodu, czuję mrowienie w całym ciele, a w głowie rozkosznie mi się kręci. Wpadam do domu po aparat i idę do starego młyna, żeby wykorzystać ten haj. Pstrykam zdjęcie za zdjęciem w chłodnym wietrze, rozgrzana obietnicą przyszłości z Morganem, jak gdyby wymyślenie siebie od nowa było mimo wszystko możliwe.

Słońce znika już za burzowymi chmurami, kiedy wracam do domu z uśmiechem na ustach. Mama zauważa mój dobry nastrój, gdy tylko wchodzę do kuchni.

– Chyba miałaś udany dzień – mówi, unosząc wzrok znad krojonej marchewki. Wydaje mi się, że dostrzegam czułość w jej spojrzeniu. Jakby mało mi było na dziś szalejących hormonów, czuję nagły przyływ uczuć.

– To prawda. – Kusi mnie, żeby jej o wszystkim opowiedzieć, ale chwile z Morganem to coś, co chcę zachować dla siebie.

– Może to... – zaczyna mama, wycierając ręce w ścierkę – sprawi, że będzie jeszcze lepszy. – Podchodzi do wnęki obok lodówki i wraca z pakunkiem wielkości pudełka od butów zawiniętym w brązowym papier. – Leżało na progu, kiedy wróciłam do domu.

Podaje mi paczkę. Nie ma na niej znaczka, a na wierzchu ktoś nagryzmolił moje imię czarnym markerem. Litera „O” w nazwisku jest przekreślona – niektórzy zapisują tak zero.

– Może to spóźniony prezent urodzinowy? – podpowiada mama.

Przypominam sobie, że odkąd Morgan dowiedział się o moich urodzinach, nawet słowem o nich nie pisał. Z kokieterijnym uśmiechem biorę pakunek od mamy, zachodząc w głowę, jak udało mu się go podrzucić, skoro prawie cały dzień spędziliśmy razem.

Paczka jest bardzo lekka, a kiedy nią potrząsam, coś szeleści

w środku. Widzę, że mama ma ochotę zapytać co to, ale zabiera się z powrotem za krojenie warzyw i mówi, że kolacja będzie o siódmej, kiedy tata z Timem wrócą z treningu futbolowego. Mama jest gotowa dać mi trochę przestrzeni i czuję, że to przełom... i właśnie dlatego nie powinnam przeginać. Jednak nie potrafię przestać myśleć o tym, że mogłabym spędzić więcej czasu sam na sam z Morganem.

– Mamo? – zaczynam, przystając w drzwiach. – Ciocia Ally zaprosiła mnie do siebie na Wielkanoc. Chyba się zgodzę.

Mama odkłada nóż.

– Och, Tash. No nie wiem...

– To tylko kilka dni – dodaję. – Szybciej skończę projekt do szkoły.

– Wielkanoc to czas dla rodziny.

– Ally należy do rodziny.

Mama prycha.

– Będę musiała porozmawiać o tym z tatą.

Co oznacza, że jest szansa.

– Dobrze. Dzięki, mamo. – Uśmiecham się do niej, a ona odpowiada bladym uśmiechem.

Biegnę do swojego pokoju, zamykam za sobą drzwi, zanim zmieni zdanie, i sadowię się na środku łóżka, żeby rozpakować prezent, podekscytowana niczym dzieciak w Boże Narodzenie. W środku jest czarne pudełko na buty. Mocuję się z taśmą klejącą przytrzymującą wieko, jakbym miała dwie lewe ręce. Wstrzymuję oddech i unoszę pokrywkę, wiedząc, że cokolwiek znajdę w środku, na pewno będę zachwycona, bo wybrał to dla mnie Morgan.

Rozchyłam dwie warstwy pogniecionej białej bibuły.

Na dnie pudełka leży pięć martwych wróbli.

*

Jem kolację w milczeniu, z trudem przełykając kęsy, i udaję, że słucham, jak Tim opowiada o zażartej końcówce meczu. Mama rzuca mi niepewne spojrzenia, zastanawiając się, co może być powodem tak diametralnej zmiany nastroju. Nieżywe ptaki krążą w moich myślach, jak gdyby powstały z martwych, pikują i kołują, dręczą mnie i szydzą ze mnie.

Wróbel wysłał mi wiadomość.

Nie. Pod moim łóżkiem leży pudełko martwych ptaków. Niewymyślone. Nieurojone.

A jeśli on wrócił?

Jak? Niby skąd? Mama sama wręczyła mi tę paczkę – ktoś, kto ją zostawił, na sto procent istnieje.

A jeśli on też jest prawdziwy?

Jak to w ogóle możliwe? Czy są jakieś dowody na to, że Wróbel istniał gdziekolwiek poza moimi wypaczonymi wspomnieniami?

Nie, te ptaki dostałam od kogoś, kto chciał wyprowadzić mnie z równowagi. Od kogoś, kto może coś zyskać, jeśli zacznę świrować.

To musiała być Rachel. To jedyna możliwość, która ma jakikolwiek sens.

Dlaczego nie stawiałam jej czoła kilka miesięcy temu, skoro podejrzewałam, że to ona zostawiła mi pod drzwiami pierwszego wróbla? Gdybym doprowadziła do publicznej konfrontacji, zdusiłabym całą sprawę w zarodku i pozbawiłabym Rachel całej frajdy z kolejnych prób sprowokowania mnie. Teraz wszystko się skomplikowało przez Morgana. Rachel kazała mi zostawić go w spokoju, a ja nie posłuchałam. Nie puści mi tego płazem.

Bawię się jedzeniem na talerzu, a w żołądku aż mnie ściska. Morgan jest na imprezie u Rachel, która może mu nagadać, co tylko jej ślina na język przyniesie, a ja nie mam się jak bronić. Jeśli Morgan ma usłyszeć, co zeznałam na policji dziewięć lat temu, to Sadie ma rację – powinien usłyszeć to ode mnie. Muszę mu to jakoś wytłumaczyć.

Przepraszam i wstaję od stołu, nie dokończywszy kolacji, po czym biegnę na górę, żeby zadzwonić do Morgana. Od razu włącza się poczta głosowa, więc zakładam tenisówki i bluzę z kapturem. Po zastanowieniu wyciągam spod łóżka pudełko od butów i wkładam je do plastikowej torby. Może będzie mi potrzebne jako dowód przeciw Rachel.

Kiedy schodzę na dół, rodzice sprzątają po kolacji.

– Muszę coś podrzucić Sadie – oznajmiam. – Zaprosiła mnie na wspólne oglądanie filmu.

Mama marszczy brwi.

– Myślałam, że Sadie idzie na osiemnastkę Tanów.

Staję jak wryta.

– Co takiego? – Potrząsam głową. – To niemożliwe.

– Tak mi powiedziała Kiri, spotkałam ją w supermarkecie. – Mama wzrusza ramionami. – Musiało jej się coś pomylić. Nie wracaj za późno.

Sadie prędzej padłaby trupem niż pojawiła się na imprezie u Rachel – musiała naściemniać mamie, bo miała inne plany. Może spotyka się z Alice? Nie ma to większego znaczenia, bo wcale się do niej nie wybieram, ale i tak czuję ukłucie żalu, że nie wtajemniczyła mnie w swoje plany na dzisiejszy wieczór. Jeśli potrzebowała alibi, powinna była poprosić mnie.

– Podrzucę cię – proponuje tata.

– Podjadę rowerem – mówię, łapiąc kask ze stolika w holu. – To

tylko pięć minut stąd.

Koreańska restauracja należąca do wuja bliźniąt tak naprawdę znajduje się dwa kilometry od naszego domu, w ciągu lokali przy Marine Drive, niedaleko molo. Christopher pracuje tam jako kelner już prawie od roku i właśnie załatwił Morganowi rozmowę o pracę w kuchni w piątkowe i sobotnie wieczory. Dzisiaj gwarna zazwyczaj ulica opustoszała z powodu mżawki i grzmotów przetaczających się nad oceanem. Słyszę strzępki muzyki i śmiechy dobiegające z Kimchi, jeszcze zanim zauważę blask neonu odbitego w mokrym chodniku.

Gdy podjeżdżam do wielkich szyb okiennych, mam wrażenie, że oglądam przyjęcie na kinowym ekranie. Goście tłoczą się wokół stołów nakrytych białymi obrusami, a między nimi przemykają kelnerzy z tacami pełnymi przysmaków. Na ścianie nad barem wisi wielki baner z napisem „Osiemnaste urodziny Rachel i Christophera!”, a na środku każdego stołu przyczepiono pęk srebrnych balonów wypełnionych helem.

Staroświecki bufet pod oknem ugina się pod stertą prezentów i wymyślnym trzypiętrowym czekoladowym tortem. Patrząc, jak jakaś ruda dziewczyna ukradkiem zanurza palec w błyszczącej polewie, a potem wtyka go sobie do ust i chichocze. Jej przyjaciółka nabiera jeszcze większą porcję, a potem obie zanoszą się śmiechem.

Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, że ruda dziewczyna to Alice, a jej przyjaciółka to moja przyjaciółka. Sadie bawi się na imprezie Rachel Tan.

Krew napływa mi do głowy, odsuwam się od okna, szukając wytłumaczenia dla Sadie. Ale z której strony bym tego nie ugryzła, jej obecność tutaj odbieram jako zdradę. Dlaczego tu przyszła? Dlaczego mi nie powiedziała?

I dlaczego czuję się niczym ofiara dowcipu, który bawi wszystkich oprócz mnie?

Ściągam reklamówkę z kierownicy, zostawiam rower oparty o wiatę autobusową i zdecydowanym gestem popycham drzwi, zanim się rozmyślę.

W ciasnym holu Kimchi stoją czarne winylowe fotele i doniczki z fikusami. Rośliny tworzą parawan oddzielający hol od jadalni, dzięki czemu jestem ukryta przed wzrokiem gości, ale jednocześnie sprawiają, że niewielka przestrzeń wydaje się ciasna i zagracona. Szukam po omacku drzwi za plecami, chcąc mieć pewność, że w każdej chwili mogę wyjść na zewnątrz.

Nagle pojawia się młody kelner w trzyczęściowym garniturze, który wyjaśnia, że restauracja jest zamknięta z powodu prywatnego przyjęcia.

– Tak, wiem – odpowiadam. – Nie zamierzam zostać, muszę tylko z kimś porozmawiać. – Zauważam przy barze Morgana, który chyba opowiada swojemu ojcu coś zabawnego, bo pan Fisher chichocze. Morgan jest ubrany w czarną koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami, włosy ma uniesione wysoko w charakterystycznym dla siebie stylu. Jest przystojny. Szczęśliwy. I tak jak wtedy, gdy trzy miesiące temu wysiadł przed szkołą z samochodu swojego ojca, świat wokół mnie zastyga, a ja pożeram go wzrokiem.

Czy naprawdę chcę odbyć z nim teraz tę rozmowę? Może po niej już nigdy się do mnie nie odezwie.

Zanim zdążę coś dodać, kelner oddala się w głąb sali restauracyjnej. Czekam zakłopotana, ale zaraz wraca z Christopherem.

– Cześć, Tash – wita mnie Chris. – Fajnie, że wpadłaś. – Uśmiecha się ciepło, a ja znów mam wyrzuty sumienia, że potraktowałam go tak szorstko u Fisherów. Po wszystkim

zachowywał się tak, jakby nic się nie stało i uparcie twierdził, że nie mam za co przeproszać. To porządny facet i nie pozwolę, żeby to, co myślę o jego siostrze, przeszkodziło nam w zostaniu przyjaciółmi, zwłaszcza przez wzgląd na Morgana.

– Cześć, Chris – mówię, omiatając wzrokiem jego ciemny wełniany sweter i spodnie w prążki. – Ale się odstawiłeś. Wszystkiego najlepszego.

– Dzięki. – Uśmiecha się szeroko. – Możesz przekazać mojej mamie, że od teraz jestem już oficjalnie dorosły? Bo przygotowała mi strój na dziś, chyba nie dostała zawiadomienia.

Mimo zdenerwowania zmuszam się do śmiechu.

– Twoja mama jest bardzo dobrze zorganizowana.

– Jeśli to uprzejmy sposób powiedzenia, że zawsze musi mieć wszystko pod kontrolą, to zgoda.

Uśmiecham się i czuję, że moja determinacja słabnie. Za bardzo się rozluźniłam. Przyszłam tutaj w określonym celu i powinnam trzymać się planu.

– Posłuchaj – mówię do Christophera. – Przykro mi, ale nie mogę zostać.

– Okej. Chcesz pogadać z Rachel?

– Nie, nie. Miałam...

– Zaczekaj – mówi, rozglądając się po restauracji. – Chyba rozmawia z DJ-em.

Zanim zdążę go powstrzymać, wraca truchtem do restauracji. Słyszę, jak woła Rachel. To zadziwiające, do jakiego stopnia niektórzy faceci pozostają nieświadomi różnych spięć i konfliktów. Christopher wciąż myśli, że jego siostra i ja jesteśmy tymi samymi dziewczynkami, które oglądały razem filmy i malowały sobie nawzajem paznokcie. A może chciałby, żebyśmy znów nimi były.

Rachel wpada do holu w czarnej sukience koktajlowej, promienna i zarumieniona. Na mój widok zwiesza ramiona, a uśmiech znika jej z twarzy. Powiedzieć, że podzielam jej niechęć, byłoby niedopowiedzeniem.

– Chyba żartujesz – wypala, mierząc mnie wzrokiem. – Po co tu przyszłaś?

– Mam gdzieś twoje cholerne przyjęcie – odcinam się. – Przyszłam się z kimś spotkać.

Spoglądam nad jej ramieniem na zatłoczoną salę i wyłapuję wzrokiem Morgana. Rachel robi krok w bok, żeby zasłonić mi widok.

– Miałaś się trzymać od niego z daleka.

– Nie możesz mi rozkazywać.

– Wyjdź stąd – mówi Rachel, zakładając ręce na piersi. – Nie pozwolę ci zrobić sceny i zepsuć mi urodzin.

– Wcale mi na tym nie zależy.

– Nie? A kto lubi być w centrum uwagi? – pyta Rachel. – To twoja specjalność.

Może to wrogość w jej spojrzeniu sprawia, że te ostatnie słowa trafiają w czuły punkt. Nagle ze zdwojoną siłą dociera do mnie radosny gwar rozbrzmiewający w restauracji, szmer bez troskich rozmów, głosy Morgana i jego taty opowiadających sobie żarty przy barze. A ja stoję tu w podartych dżinsach i spłowiałej bluzie, z włosami rozwichrzonymi po szalonej jeździe rowerem i jeszcze bardziej szalonym wzrokiem.

Przyjazd tu był błędem. To nie jest czas ani miejsce na to, żeby rozmawiać z Morganem o moich problemach. Pal licho moje upokorzenie – nie chcę skompromitować jego.

Reklamówka szeleści mi w dłoni. Czuję się bezsilna. Zrozpaczona.

*Na miłość boską, wysłała ci pudełko pełne martwych ptaków!
Zrób coś!*

– Muszę z tobą porozmawiać. – Unoszę reklamówkę. – Teraz.

– Boże, wykrztuś to wreszcie. Chcę wrócić do gości.

– Nie tutaj – odpowiadam, znów wyszukując w tłumie Morgana. Ruchem głowy wskazuję oświetloną rzędem latarni promenadę po przeciwnej stronie ulicy. – Spotkajmy się przy lodziarni, tylko bez twoich wścibskich przyjaciółek.

– Serio?

– Chyba nie chcesz, żebym ogłosiła wszem wobec, jaki numer mi wykręciłaś?

Rachel prychnęła z niedowierzaniem, ale w jej oczach widać cię niepewności. Jeszcze zanim zaczęła wysyłać mi martwe wróble, przez wiele lat zachowywała się wobec mnie wrednie i dobrze o tym wie. Nie na taką przemowę liczyła w swoje osiemnaste urodziny.

Wyglądam zza Rachel i orientuję się, że Sadie wypatrzyła mnie przez lukę między donicami. Idzie w naszą stronę ze zdziwioną miną. Wyślizguję się na zewnątrz i przebiegam przez ulicę w chwili, w której Sadie dochodzi do Rachel. Przyspieszam kroku, wiedząc, że Sadie pobiegnie za mną, zawoła mnie lada moment. Ale ten moment nie nadchodzi.

*

Na molo otacza mnie atramentowy bezmiar oceanu, fale omywają z chlupotem kadłuby łodzi na przystani. Od czasu do czasu horyzont rozświetla zygzak błyskawicy, po czym po niebie przetacza się grom. Kiedy docieram do chłostanej deszczem budki lodziarni, muszę oprzeć się ręką o ścianę, żeby utrzymać równowagę. Wiatr miota mną w przód i w tył, szarpie za włosy

i przenika do szpiku kości.

Kiedy zaczynam już wątpić, czy Rachel w ogóle się pojawi, wiatr przynosi tupot jej obcasów na deskach promenady. Mija kolejne latarnie, pojawiając się i znikając, w jednej chwili podświetlona, w kolejnej pochłonięta przez mrok. Gdy dochodzi do mnie, dygocząc zaciąga poły skórzanej kurtki.

– Masz dwie minuty – oświadcza. – Czego chcesz?

Wyciągam z reklamówki czarne pudełko, ale twarz Rachel pozostaje irytująco obojętna. Przygotowane zarzuty ulatują mi z głowy. Zrywam przykrywkę i podtykam jej pudełko pod nos.

– Możesz mi to wyjaśnić?

Spogląda na nie zaskoczona.

– Co to...? – Wytęża wzrok w nikłym świetle, a potem wzdryga się i odskakuje do tyłu. – Fuuj! – Machnięciem ręki wytrąca mi pudełko. Martwe wróble wypadają na molo wokół nas jak szmaciane piłeczki do gry w zośkę.

– Odbiło ci? – pyta. – Co jest z tobą nie tak, do cholery?

– A co jest nie tak z tobą?

Wiatr porywa puste pudełko po butach, które toczy się po deskach, aż w końcu szybuje poza krawędź pomostu.

Rachel wsuwa dłonie pod skórzaną kurtkę i obejmuje się ciasniej ramionami.

– Boże, jesteś naprawdę obłąkana.

Mierzę ją gniewnym wzrokiem.

– Dlaczego po prostu nie zostawisz mnie w spokoju?

– Serio? Przyszło ci kiedyś do głowy, że świat nie kręci się wokół ciebie?

– Wiem o tym.

– Doprawdy? Bo wszyscy rzygamy już operą mydlaną z Natashą

Carmody w roli głównej.

– Co takiego?

– Zawsze musisz być w centrum uwagi. „Tash ma napady paniki”, „Tash cierpi na klaustrofobię” i „Tash już nie chce, żebyśmy się przyjaźniły, bo jest taka biedna i wrażliwa”.

– To niby słowa Sadie? Chciałabyś. Wiem, że nigdy by czegoś takiego nie powiedziała.

Nie powiedziałaaby, prawda? Sadie tak o mnie nie myśli. Zawsze mogę na nią liczyć, ciągle to powtarza.

– Przyszło ci w ogóle do głowy, że kiedy się tu przeprowadziłam, po prostu chciałam znaleźć przyjaciół? – pyta Rachel. – Ty i Sadie zapraszałyście mnie na wspólne wyjścia, ale ty zawsze byłaś wobec niej strasznie zaborcza. Nadal jesteś. Dlaczego Sadie nie mogła być także moją przyjaciółką?

– Nie wiem, co...

Czaszka pęka mi z bólu, smagający ją wiatr rozprasza myśli i miesza mi w głowie.

– Pewnie tego nie pamiętasz. Pewnie masz to gdzieś. Ale ja pamiętam wasze prywatne żarty, których nie rozumiałam, i to, jak mnie w końcu wykluczyłyście. Pamiętam, jak nastawiałaś Sadie przeciwko mnie i nie pozwolę, żeby to samo powtórzyło się z Morganem.

Wpycha ręce jeszcze głębiej pod kurtkę, czarna koktajlowa sukienka łopocze jej wokół ud. Próbuję zrozumieć, co chce mi powiedzieć. Czy naprawdę tak to wyglądało? Zapamiętałam to zupełnie inaczej. Ale przecież nie pierwszy raz mi się to zdarza.

– Nie nastawiam Morgana przeciwko tobie – protestuję. – Sam się na tobie poznał.

– Na mnie? A co z tobą? Chodzi z kompletną szajbuską i nawet o tym nie wie.

– Możesz sobie o mnie gadać, co chcesz, Morgan i tak ci nie uwierzy.

Rysy twarzy Rachel twardnieją, wodzi gorączkowo wzrokiem, jakby szukała kolejnej obelgi. Nagle wyciąga z kurtki komórkę i macha mi nią przed nosem. Słodkie etui z Hello Kitty działa na mnie jak płachta na byka.

– W takim razie świetnie się składa, że nagrałam waszą rozmowę z Sadie w klubie żeglarskim. Morgan usłyszy wszystko twoimi własnymi słowami.

Zerkam na jej telefon. Błefuje. Nie miała w ręku komórki, kiedy przyłapałam ją na podsłuchiwanie.

A jeśli miała?

Łowię kątem oka ruch po drugiej stronie lodziarni. Jakiś cień znika za rogiem budki.

– Mówiłam, żebyś przyszła sama – warczę.

– Przyszłam sama. – Rachel nawet nie próbuje się odwrócić, jak gdyby od samego początku wiedziała, że ktoś tam jest. Świadek. Jej świadek. – Znów ponosi cię wyobraźnia, Tash? Rany, a to niespodzianka.

Potrząsa głową z taką pogardą, że czuję się zdemaskowana i poniżona, jakby obserwowały nas dziesiątki osób, a nie jeden nędzny szpieg. Wystarczy jedna osoba, żeby plotki rozeszły się po szkole, ponownie narażając mnie na kpiny i ciągłe przezwiska. Klasa maturalna miała być inna. Ja miałam być inna.

A tymczasem wszystko zostanie po staremu.

– Możesz sobie wsadzić swoje nagranie – warczę, zamroczona wściekłością. – A tak w ogóle to nie chciałam, żebyście zaprzyjaźniły się z Sadie, bo potrzebowałam jej bardziej niż ty. Zanim się pojawiła, nie miałam nikogo. Wiesz w ogóle, jak to jest? Czuć się totalnie osamotnionym? Ty w ciągu dwóch tygodni od

rozpoczęcia szkoły owinęłaś sobie wszystkich wokół palca. Nie potrzebowałaś nas. Nie potrzebowałaś Sadie. – Walę się pięścią w pierś. – Ja jej potrzebowałam. Potrzebuję jej teraz, a ona jest na twoich urodzinach.

Ze łzami frustracji w oczach odwracam się i zostawiam Rachel w kręgu martwych wróbli. Ruszam w stronę Marine Drive, rzucając przez ramię jadowite spojrzenie jej współnikowi. Za lodziarnią Seaspray, odziana w czerń i ukryta w mroku, kuli się jakaś postać.

„Hejka! Widzę cię!” – mam ochotę zawołać szyderczo.

Gdy ją mijam, postać odwraca za mną głowę i obserwujemy się nawzajem. Mrugam, żeby powstrzymać łzy, ale nie jestem w stanie dostrzec rysów twarzy. Twarz nieznanego jest osłonięta przed światłem latarni obszernym kapturem.

Wygląda zupełnie jak Wróbel.

Nie.

Na siedzisku pod oknem. W centrum handlowym.

Przestań.

Zupełnie jak Wróbel w każdym z moich koszmarów.

But więźnie mi w szparze między deskami i wywracam się, uderzając w molo kolanem, a potem biodrem i łokciem. „Nic ci nie jest?”, woła niechętnie Rachel, a do mnie dociera, jak żałośnie muszę wyglądać, rozciągnięta na molo niczym żreback z trudem wstający na nogi.

Z sykiem gramolę się z ziemi, bolesne miejsca jak nic zakwitną jutro tęczowymi siniakami. Usiłuję przeniknąć wzrokiem ciemność za lodziarnią. W mroku nie czai się żadna zakapturzona postać. Nikt nie szykuje się do skoku, nikt nie przemyka wzdłuż promenady. Nie ma tu nikogo oprócz Rachel Tan, która ściska w dłoni komórkę i pewnie wysyła właśnie Morganowi nagranie głosowe.

Nienawiść zalewa mnie niczym czarna woda pod moimi stopami. Najrozsądniej byłoby odejść, zanim powiem albo zrobię coś, czego będę żałować.

Ale jeśli ponowne pojawienie się Wróbla o czymś świadczy, to o tym, że przestałam myśleć rozsądnie.

*

Krążę na rowerze po opustoszałych portowych uliczkach, mijam szkołę i podjeżdżam na samą górę Old Bluff Road. Ignoruję nieustające telefony i SMS-y od Sadie, której ewidentna frustracja znajduje wyraz w ostatniej wiadomości, jaką mi wysyła: *CO JEST GRANE?*

Dopiero gdy przemakam do suchej nitki, decyduję, że chyba czas wracać do domu. Mama przysypia w fotelu, kiedy wchodzę do środka – jest znacznie później, niż sądziłam – i po raz kolejny mam wrażenie, że straciłam poczucie czasu. Rozbudzam ją delikatnie, żeby wiedziała, że wróciłam, po czym wycofuję się na górę, zanim oprzytomnieje na tyle, żeby zacząć zadawać pytania.

Wydaje mi się, że ledwo co przyłożyłam głowę do materaca, gdy budzi mnie dzwonek telefonu. Światło dnia przesącza się przez szpary w żaluzjach, malując pasy na moim łóżku. Bez przekonania macam dzinsy w poszukiwaniu komórki, po czym przypominam sobie, że jest w kieszeni wilgotnej bluzy ciśniętej na podłogę.

Przeszywający ból łokcia sprawia, że wydarzenia wczorajszego wieczoru powracają do mnie falą: mój upadek na molo i kłótnia z Rachel. Mój sekret o porwaniu Mallory zna już pewnie całe miasteczko.

Mam ochotę schować się pod kołdrą na resztę dnia, ale drzwi sypialni otwierają się na oścież. Mama trzyma w ręku bezprzewodowy telefon stacjonarny, policzki ma zarumienione.

- Dzwoniła Francine – oświadcza. – Rachel jest w szpitalu.
- Co? Dlaczego?
- Ktoś zaatakował ją wczoraj w nocy na moło w porcie.
- Mówisz serio?
- Natasho. – Mama jest śmiertelnie poważna. – Policja chce jak najszybciej z tobą porozmawiać.

28

WTEDY

„The Mid Coast Times” (numer archiwalny)

Dział: Wydarzenia i opinie

Data: 8 marca 2017

Autor: Jennifer Nguyen. Zdjęcia: Jack Allen

PORT BELLAMY, NOWA POŁUDNIOWA WALIA. Rodzina Fisherów wraca do macierzystego portu.

W ubiegły weekend do domu przy spokojnej uliczce na przedmieściach Port Bellamy powróciła rodzina, która dziesięć lat temu trafiła na nagłówki gazet. Znowu pojawiły się spekulacje na temat tamtego słonecznego popołudnia w styczniu 2008 roku, kiedy sześćoletnia Mallory Fisher zniknęła z wesołego miasteczka w Greenwillow.

Władze podały do wiadomości, że Mallory błąkała się po Parku Narodowym Barrington Tops co najwyżej 48 godzin i nie wiadomo, co działo się z nią przez pozostałe pięć dni. Mimo intensywnych poszukiwań i prób ustalenia, w którym miejscu została uwolniona, nigdy nie odnaleziono jej białych tenisówek i różowego sweterka. Ponieważ w 2008 roku wokół Greenwillow nie było kamer monitoringu, nie wiadomo, czy Mallory została porwana na terenie lunaparku, czy też oddaliła się sama.

Od wielu lat krążyły teorie spiskowe oskarżające Daniela

i Annabel Fisherów o sfigowanie porwania córki, aby przyciągnąć uwagę mediów i zarobić na udzielaniu wywiadów. Pojawiły się też spekulacje, że w porwanie był zamieszany Morgan, starszy brat Mallory, i że rodzice rodzeństwa zataili przed policją pewne informacje, aby to ukryć.

Teorie te potwierdzałoby oświadczenie inspektora Owena Morrisa na konferencji prasowej kilka dni po porwaniu Mallory:

„Nie możemy wykluczyć, że Mallory znała porywacza i z całą pewnością zbadamy między innymi ten trop”.

Jednak po dziewięciu latach nie jesteśmy ani trochę bliżsi wyjaśnienia zagadki zaginięcia Mallory Fisher. Czy faktycznie znała porywacza i ufała mu? Czy oddaliła się sama, czy może dała się komuś uprowadzić?

Jedno jest pewne: Mallory Fisher jest jedyną osobą, która może nam opowiedzieć, co działo się z nią przez ten tydzień. Ale Mallory nabrała wody w usta.

29

TERAZ

W poniedziałek z samego rana mama odwozi mnie na posterunek policji w Port Bellamy, żebym mogła złożyć zeznania w sprawie ataku na Rachel. Trzydziestoparoletnia pani detektyw o czarnych, kręconych włosach i w wykrochmalonych spodniach zaprasza mnie do niewielkiego pokoju z kilkoma kanapami i oknem, który w niczym nie przypomina surowych pokojów przesłuchań, jakie widuje się w telewizji. Detektyw prosi też do środka mamę, mimo że jestem już pełnoletnia. Sama idzie jeszcze przynieść nam colę z automatu w korytarzu. Biorę to wszystko za dobry znak. Nie jestem podejrzana.

– A więc słyszałaś już, że twoja przyjaciółka Rachel została napadnięta w sobotni wieczór na miejskiej promenadzie? – zaczyna detektyw Gordon. Ma nieskazitelną ciemnobrązową cerę i idealnie białe zęby. Czuję, że powinnam zaznaczyć, że ja i Rachel już od dawna się nie przyjaźnimy, ale podejrzewam, że taka cwana policjantka odrobiła zadanie domowe. – Ktoś podszedł do niej od tyłu i uderzył ją w głowę tak mocno, że straciła przytomność.

Mama wzdycha głośno, chociaż Francine opowiedziała nam o wszystkim już wczoraj. Rachel nie wie, na jak długo straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, leżała sama na moło, a jej telefon przepadł. Dowlekała się jakoś do Kimchi z głową pękającą z bólu i niejasnym wspomnieniem, że rozmawiała ze mną tuż przed tym,

jak urwał jej się film.

Potakuję uprzejmie.

– Została obrabowana.

Detektyw Gordon ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza.

– Chcemy dowiedzieć się, gdzie byłaś i co robiłaś w sobotę wieczorem przed spotkaniem z Rachel i po nim. Z tego, co wiem, byłaś ostatnią osobą, która rozmawiała z nią przed napadem.

Mama rzuca mi zmartwione spojrzenie. Detektyw spokojnie popija colę. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście jest taka wyluzowana, czy może próbuje uspić moją czujność, żeby w odpowiednim momencie mogła na mnie naskoczyć. Chowam dłonie pod kolana i ściskam siedzenie krzesła, relacjonując moją wersję przebiegu wydarzeń z sobotniego wieczoru. Pomijam wszystkie nieistotne szczegóły. Nie ma potrzeby wspominać o sprawach, które tylko zaciemnią obraz.

– Pokłóciłaś się z Rachel? – pyta sympatycznym tonem detektyw Gordon, zapisując coś w notesie. Zna już odpowiedź. Czy Rachel powiedziała jej też, o co poszło?

– Zrobiła mi kawał – odpowiadam. – Nie przypadł mi do gustu. Poprosiłam, żeby zostawiła mnie w spokoju.

Detektyw Gordon kiwa głową.

– A potem odeszłaś?

– Tak – odpowiadam, zastanawiając się, dlaczego nie pyta mnie o martwe ptaki. Może Rachel o nich nie wspomniała. Gdyby to zrobiła, wyszłaby na nieźle pokręconą, bez względu na to, co ją później spotkało.

– Czy ktokolwiek może potwierdzić, że wjechałaś rowerem na wzgórze?

– Hm... nie.

– Nikogo nie spotkałaś? Nikogo, kto mógłby potwierdzić, gdzie byłaś po dwudziestej trzydziści?

– Nie.

– A przed zejściem z mola? Zauważyłaś kogoś jeszcze?

Wbijam paznokcie w siedzenie krzesła i staram się opanować. Wiem, kogo wydaje mi się, że widziałam, ale za żadne skarby nie przyznam się do tego na głos. Mama spogląda na mnie wyczekująco i nagle znów czuję, że mam osiem lat i płaczę się w zeznaniach dotyczących Wróbla i lunaparku, co spotyka się z konsternacją i zniecierpliwieniem.

Tym razem nikt nie potraktuje mnie ulgowo. Nikt nie uzna moich słów za dziecięce wymysły. W najlepszym wypadku zostanę oskarżona o kłamstwo dla zwrócenia na siebie uwagi. W najgorszym – moje zdrowie psychiczne ponownie zostanie zakwestionowane i będę mogła pożegnać się z uniwersytetem.

– Nie – chrypię i szybko odchrząkuję. – Byłyśmy tylko my.

Długopis detektyw Gordon skrzypi na kartkach notesu. Podnosi wzrok – mrugnięcie, blady uśmiech – a ja czuję, że się rumienię. Zadaje jeszcze kilka pytań, ale nie jest chyba specjalnie zainteresowana odpowiedziami, a potem wstaje i wyciąga do mnie rękę na pożegnanie.

– To już koniec? – pyta mama, zawieszając torebkę na ramieniu.

– Zadzwoń, jeśli będę się chciała dowiedzieć czegoś więcej – odpowiada detektyw Gordon, idąc do drzwi. Celuje we mnie palcem. – Tylko nie wyjeżdżaj z miasta, zrozumiano?

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Jadę do domu ciotki na Wielkanoc – bełkoczę. – Ale to na wybrzeżu. Mniej niż dwie godziny drogi stąd.

Detektyw Gordon chichocze, patrząc to na mnie, to na moją mamę. Puszczą oko.

– Żartowałam. Mówię tak wszystkim przesłuchiwanym dzieciakom, które były na tej osiemnastce. Spokojnie.

Nie jestem jedyną osobą, z którą rozmawiała? Bogu niech będą dzięki. To tylko rutynowe przesłuchanie, kolejny trop do sprawdzenia. Uśmiecham się, jakbym od początku wiedziała, że to żart.

Detektyw Gordon przytrzymuje nam drzwi. Gdy ją mijam, nachyla się w moją stronę.

– Gdyby coś ci się przypomniało – mówi – skontaktuj się ze mną. Narzucam kurtkę, zostawiając nietkniętą puszkę coli na stole.

– Powiedziałam pani wszystko, co wiem.

Policjantka uśmiecha się, jak gdyby mi nie wierzyła.

*

W drodze z posterunku do szkoły mama niewiele się odzywa, ale bębni palcami w kierownicę, jakby szykowała się do poruszenia drażliwego tematu.

– Nie wspomniałaś, że zamierzasz spotkać się z Rachel w sobotę wieczorem – zaczyna. – Powiedziałaś, że idziesz do Sadie.

– Sadie nie było w domu, więc pojechałam na przejażdżkę.

– O ósmej wieczorem? – Mama unosi brew. – Więc przypadkiem trafiłaś na osiemnastkę bliźniąt i nadarzyła się okazja, żeby porozmawiać z Rachel?

– Tak.

Mama skręca na szkolny parking.

– Nie wierzę ci.

– Przynajmniej jesteś w tym konsekwentna.

Mama wjeżdża na miejsce parkingowe, zaciąga szarpnięciem hamulec i odwraca się gniewnie w moją stronę.

– Co powiedziałaś Rachel? Zrobiłaś jej przykrość?

Odwracam się twarzą do niej.

– Może to ona zrobiła przykrość mnie? Co z tymi wszystkimi nieprzyjemnościami, na jakie Rachel naraziła mnie, do cholery?

– Nie wyrażaj się.

Wbijam wzrok w jeden punkt na desce rozdzielczej i potrząsam głową.

– Nawet nie zapytałaś o kawał, który mi zrobiła, i dlaczego tak mnie to dotknęło. W ogóle cię to obchodzi?

Samochód mruczy nisko na jałowym biegu. Mama ma znużony wyraz twarzy, jej spojrzenie traci ostrość.

– Oczywiście, że tak, Natasho. Cały czas się o ciebie zamartwiam. Szczerze mówiąc, po tylu latach jestem już tym wyczerpana, a końca wciąż nie widać. Ataki paniki, koszmary senne i szkolne dramaty, a teraz jesteś przesłuchiwana w sprawie napadu?

– Przesłuchują wszystkich! – protestuję bez tchu. – Nie zrobiłam tego. Nic nie zrobiłam!

Mama wzdycha i wygląda przez przednią szybę.

– Wiem, że musiałaś sprostać wielu wyzwaniom...

– Jezu, gadasz jak doktor Ingrid.

– Ja tylko chcę ci pomóc – zapewnia mama. – Jak my wszyscy. Ale czasem mam wrażenie, że ty nie chcesz naszej pomocy. Tak jakbyś przekonała samą siebie, że te wszystkie kłamstwa są prawdą.

– Nie kłamałam. Nie z premedytacją.

Mama spogląda na mnie zrezygnowana, jak gdyby nie wywiązała się z obowiązku opieki nade mną.

– Zawsze mijałaś się z prawdą.

Kładę sobie plecak na kolanach i bawię się paskami. Wiem, że

mama przygląda mi się niczym układance z brakującymi elementami, łamigłówce, do której rozwiązania brakuje jej energii.

Mama wyłącza silnik i schyla się po swoją torebkę leżącą pod moimi nogami. Kładzie ją sobie na kolanach i czegoś w niej szuka.

– Przyszło w piątek – oznajmia, rozprostowując coś o udo. Podaje mi białą kopertę z logo RMIT⁴ z przodu. To musi być zamówiony przeze mnie informator o studiach magisterskich.

– To – mówi cicho mama, pukając palcem w kopertę. – Wiesz, że to niemożliwe.

– Co masz na myśli?

– Zamieszkanie z dala od domu to nie jest teraz najlepszy pomysł.

– Mam osiemnaście lat, mamo...

– Znowu masz lęki. Zachowujesz się nieodpowiedzialnie...

– Powiedziałaś ci, że nie mam nic wspólnego z napadem na Rachel!

– Mówię o Timie. Nie mogłam powierzyć ci opieki nad nim nawet na godzinę. Jak chcesz zadbać o siebie na studiach? Jak sobie poradzisz?

Gardło mi się zaciska, skubię wystającą z plecaka nitkę.

– Mówię to, bo martwię się o ciebie – ciągnie mama. – Masz okresy, kiedy radzisz sobie naprawdę dobrze, a potem coś wytrąca cię z równowagi i zaczynasz tracić grunt pod nogami.

– Nic nie wytrąciło mnie z równowagi.

– Fisherowie – mówi. To nie jest pytanie. – Odkąd wrócili, odżyły wszystkie wspomnienia związane z tamtym latem. Powróciłaś do złych nawyków, paranoi i szukania uwagi. – Wzdycha i kręci głową, patrząc na kierownicę. – Uważam, że powinniśmy poczekać z decyzją o studiach do kolejnej wizyty

u doktor Ballantine. Jestem pewna, że są uniwersytety, na które mogłabyś dojeżdżać stąd. Myślę, że właśnie to ci zaleci.

– Ale ja tego potrzebuję – upieram się, wskazując kopertę. – Nowego początku.

Mama spogląda na mnie z takim smutkiem, że wiem już, że nic z tego. Myślę, że ona też by tego chciała. Sama jestem sobie winna.

– Pozwól mi pojechać do Ally na Wielkanoc – błagam. – Udowodnię ci, że radzę sobie z dala od domu. Nie musisz się o mnie martwić.

Mama nie wygląda na przekonaną.

– Natasho, ja cały czas się martwię.

Otwieram drzwi samochodu i wysiadam. Mam już zamknąć je za sobą, ale pochylam się i zaglądam do środka.

– Proszę, nie podejmuj jeszcze żadnych decyzji co do moich studiów.

– Jesteś już spóźniona – ucina mama, zakłada okulary i przekręca kluczyk w stacyjce. – Porozmawiamy o tym później.

Jednak później nie nadchodzi. Wieczorem przy kolacji rodzice strategicznie nie poruszają tematu uniwersyteckiego informatora ani Wielkanocy. Mimo to wysyłam Ally SMS-a, że przyjadę. Odpowiada krótkim „Świetnie”, a ja zaczynam się zastanawiać, jak będzie mnie traktować. Może od wypadku Benny’ego upłynęło już wystarczająco dużo czasu i wszystko mi wybaczyła.

A może będą to moje ostatnie odwiedziny w Willow Creek.

*

Wszyscy chcą rozmawiać tylko o napadzie na Rachel, więc przez resztę tygodnia doskonale się w sztuce uników: umykam przed podejrzliwymi spojrzeniami przyjaciół Rachel i wystrzegam się

niezręcznych pytań moich własnych znajomych. Urywam się z kilku lekcji, w przerwach na lunch zaszywam się w pracowni komputerowej, a z Morganem spotykam się wyłącznie na sztuce i języku angielskim. Sadie całkiem już zrezygnowała z prób złapania mnie na korytarzu.

W Wielki Piątek rozlega się stanowcze pukanie do drzwi, a gdy słyszę podnieconą paplaninę Tima, wiem już, że to Sadie. Czuję przypływ entuzjazmu, chociaż nasza przyjaźń przechodzi ciężki okres.

– Hej – wita się, wchodząc do salonu. – Masz chwilę?

Prowadzę ją na patio za domem, gdzie normalnie usiadłybyśmy bok w bok na ogrodowej huśtawce. Dziś Sadie wybiera drewniany fotel naprzeciwko mnie i przysiada na samym brzeżku, jakby w każdej chwili była gotowa zeskoczyć i uciec.

– Chodzi o Rachel... – zaczyna.

– Tak?

– Rozmawiałaś z detektyw Gordon?

– Tak.

– I...?

– I co?

– Co jej powiedziałaś? – Sadie wypowiada się ostrożnie, jakby coś ją powstrzymywało. To nie leży w jej naturze i pewnie dlatego wydaje się taka spięta.

– Dokładnie to, co się wydarzyło – odpowiadam. – Rozmawialiśmy z Rachel na molo. Pokłóciłyśmy się, więc sobie poszłam. Dowiedziałam się, co się stało, następnego dnia rano, tak jak wszyscy.

– Byłaś ostatnią osobą, która rozmawiała z nią przed napadem.

– Tak, wiem, Dee. Do czego zmierzasz?

Sadie wstaje z fotela i zaczyna chodzić tam i z powrotem skrajem patio.

– Sprawiałaś wrażenie wzburzonej, kiedy zajrzałaś do Kimchi.

– I co z tego? A skoro już o tym mowa, dlaczego w ogóle poszłaś na jej urodziny? Jesteście teraz z Rachel najlepszymi przyjaciółkami?

Sadie pochmurnieje, słysząc rozgoryczenie pobrzmiewające w moich słowach. Jestem na siebie wściekła, ale nie potrafię nad tym zapanować.

– Wiedziałam, że zrobisz z igły widły – szepcze. – Alice w każdy czwartek chodzi z Christopherem na taekwondo. Zaprosił ją na swoją osiemnastkę, a ona zaprosiła mnie jako osobę towarzyszącą.

– Więc oficjalnie ze sobą chodzicie?

– Super – kwituje Sadie. – Jednak zdajesz sobie sprawę z istnienia świata zewnętrznego.

– O co ci chodzi?

– Coś cię gryzie, Tash. Coś ukrywasz. Widziałam te internetowe artykuły o Fisherach, które ciągle czytasz. Znów zaczęłaś wspominać o Wróble. Ostatnio zachowujesz się naprawdę...

– Jak?

– Jak nawiedzona. Nie jesteś sobą. Od powrotu Fisherów zachowujesz się paranoicznie, jak oczadziła.

Odwracam się do niej tyłem, skubiąc skórę na kciuku.

– Powiedziałaś policji, że dałaś Rachel pudełko martwych ptaków? – pyta Sadie. – Bo ona tak. Nie możesz niczego zatajać, bo uznają, że masz coś do ukrycia.

– Oskarżasz mnie o coś?

– Nie będę kłamać, Tash, to wszystko stawia cię w złym świetle.

– To Rachel zostawiła te ptaki pod moimi drzwiami. Wróble. –

Zakładam ręce na piersi. – Słyszała wszystko, co mówiłam w klubie żeglarskim. Podpuszcza mnie, próbuje mną manipulować.

Sadie krzywi się, nieprzekonana.

– Po co miałyby to robić?

– Z powodu Morgana.

Przez twarz Sadie przemyka grymas irytacji.

– Serio? Nie sądzę, żeby Rachel mogło aż tak zależeć na jakimś bladym koleśku w rurkach.

Odchylam się na oparcie huśtawki i mierzę ją wzrokiem. Nagle staje się dla mnie jasne, dlaczego oddaliśmy się od siebie w ostatnich miesiącach.

– Skreśliłaś Morgana, kiedy miałam ten atak paniki w pralni.

Twój twarz Sadie niczego nie zdradza.

– Czy to dlatego, że mu ufam i nie podoba ci się to? – Chcę wiedzieć. – Jesteś zazdrosna czy jak?

– Hej. Wrzuć na luz.

Przeoginam, ale nie potrafię powstrzymać potoku słów. Jakaś wstętna, wredna strona mnie chce obarczyć Sadie częścią ciężaru, który mnie przygniata, żeby ulżyć mi choć trochę w bólu.

– To dlatego, że nie potrafisz znieść myśli, że mogę liczyć na kogoś innego oprócz ciebie?

Sadie mruga.

– Słucham?

– Pytam serio: co z tego masz?

– Z czego?

– Z naszej przyjaźni. Zadawania się ze mną. To dlatego, że jestem taka słaba? Czujesz się ważna, bo tak bardzo na tobie polegamy?

– Tash, lepiej umów się...

– Nie musisz ciągle się mną opiekować! – wyrzucam z siebie i też wstaję. – Potrzebuję najlepszej przyjaciółki, a nie niańki.

– I tu się mylisz – odparowuje Sadie. – Gubisz brata w galerii handlowej, pies twojej ciotki zostaje ranny, kiedy się nim opiekujesz, a teraz jesteś podejrzana o atak na Rachel.

Z ust wyrywa mi się stłumiony okrzyk.

– Nie jestem podejrzana! – *Jezu, jestem?*

– Jaki jest wspólny mianownik, Tash? Tylko o to mi chodzi. – Sadie nie potrafi spojrzeć mi w oczy.

– Myślisz, że to ja zaatakowałam Rachel?

Zakłada ręce na piersi i ogląda się na koszulki powiewające na sznurku z praniem.

– Nie wiem, co mam myśleć. Prawie przestałaś ze mną rozmawiać.

Coś we mnie pęka. A więc do tego już doszło? Wszystko przecieka mi przez palce.

Sadie wzdycha.

– Posłuchaj, wiem, że nie skrzywdziłabyś Rachel specjalnie. Ale czasem, kiedy ktoś jest bardzo wzburzony, może zrobić coś nieumyślnie i wyprzeć to z pamięci. Alice mówi...

– Rozmawiałaś o mnie z Alice?

Sadie się rumieni, co rzadko jej się zdarza. Ale zaraz dociera do mnie, że jest jej wstyd za mnie.

– Musisz się z tym uporać.

– Próbuję.

– Dotrzeć do prawdy – ciągnie, patrząc mi w oczy.

Wbijam wzrok w buty.

– Wiem.

– Zapętiłaś się, Tashie. – Głos Sadie łagodnieje. – Coś wciąż łączy cię z tamtym latem, kiedy miałaś osiem lat, i przez to masz mętlik w głowie. – Potakuję, a ona robi krok w moją stronę. – Jeśli nie ustalisz, co jest prawdą, a co nie, pogrążysz się jeszcze bardziej.

Kładzie mi dłoń na ramieniu i mijając mnie, ściska lekko. Patrzę za nią, jak przechodzi przez patio i znika w domu.

Wiem, że Sadie ma rację: czuję, że się pogubiłam. Zapomniałam już, jak zaufać własnemu umysłowi, uwięziona w matni zwodniczych wspomnień. Potrzebne mi zimne ostrze prawdy, choćby miało mnie zaboлеć.

Tylko w ten sposób zdołam się uwolnić.

30

WTEDY

15 września 2014

Stenogram z sesji z doktor Ingrid Ballantine

Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży

Klinika dziecięca w Newcastle

Pacjentka: Natasha Carmody, 15 lat

IB: Opowiedz mi o swojej cioci Ally.

NC: Po co?

IB: Już dawno o niej nie wspominałaś.

NC: Nie widziałam jej od Gwiazdki kilka lat temu.

IB: Jej imię często padało podczas naszych sesji.

NC: Naprawdę?

IB: Na pewno rozmawialiśmy o lecie, które spędziłaś u niej w domu.

NC: To było dawno temu.

IB: Często o niej myślisz?

NC: Niespecjalnie. Rzadko się widujemy.

IB: Czy to dlatego, że jest między wami jakaś nierozwiązana kwestia?

NC: Co ma pani na myśli?

IB: Tamtego lata miałaś jej za złe, że powiedziała twoim rodzicom, że zmyślasz i jesteś niegrzeczna.

NC: Tak. Ale chyba nie miała innego wyjścia, prawda? Uznała, że rodzice powinni o tym wiedzieć.

IB: Czy od tamtej pory chciałaś nawiązać z nią kontakt?

NC: Raczej nie.

IB: Dlaczego?

NC: Chyba czułam, że nie mogę jej już zaufać.

IB: Rozumiem.

NC: Zapewniała mnie, że jest po mojej stronie, a potem zwała wszystko na mnie.

IB: Tak to odbierasz?

NC: Tak się wtedy czułam.

IB: Czy nadal się tak czujesz?

NC: Myślę, że jakaś część mnie zawsze będzie uważać, że to niesprawiedliwe.

IB: Niesprawiedliwe?

NC: Tak. Koniec końców to było jej słowo przeciwko mojemu.

31

TERAZ

Kiedy znów odwiedzam Willow Creek, panuje tu zupełnie inna atmosfera niż w ubiegłym miesiącu. Światło jest przytłumione i wszystko ma rozmyte krawędzie. Wysokie wierzby rosnące przy drodze zwieszają bezwładnie gałęzie, jakby wstrzymywały oddech. Porośnięte buszem góry za domem wydają się posępne i nieprzeniknione, jedynie rzadkie, piskliwe nawoływania ptaków świadczą o tym, że coś tam żyje.

Gdy przyjeżdżamy na miejsce w sobotni poranek, samochodu Ally nie ma przed domem. Tata zerka kilka razy na zegarek, bo musi się zaraz zbierać. On, mama i Tim są zaproszeni na grilla u Tanów w porze lunchu.

– Typowe – kwituje tata, wyglądając przez przednią szybę. Zdążył już trzy razy zapukać do drzwi i dwa razy zadzwonić do Ally. – Czy tak trudno jest zaczekać w domu na zaproszonych gości?

– Mam klucze – mówię, unosząc należący do niego pęk. – Nie martw się. Pewnie pojechała po ciepłe bułeczki albo coś w tym stylu.

Tata rzuca mi spojrzenie mówiące, że to tylko moje pobożne życzenia – i pewnie ma rację. Zresztą i tak nie obchodzi mnie Wielkanoc. Przyjechałam, żeby porozmawiać z Ally. Przyjechałam, żeby poznać odpowiedzi.

Tata ściska mnie wyjątkowo długo na pożegnanie.

– To także od mamy – mówi, całując mnie w czubek głowy. Naprawdę chcę mu wierzyć.

Odjeżdża w chmurze pyłu, a ja otwieram sobie drzwi i od razu zauważam, że dom wypadaloby wywietrzyć. Nasłuchuję stukania pazurków Benny’ego, ale najprawdopodobniej siedzi właśnie na fotelu pasażera, towarzysząc Ally w zakupach. Zanoszę plecak do pokoju na piętrze, gdzie spałam poprzednim razem. Pościel jest wciąż zmięta po mojej ostatniej wizycie.

Przez godzinę przerzucam kanały w telewizji, ale Ally wciąż nie wraca. Wyjmuję komórkę i wybieram jej numer, jednak znów włącza się poczta głosowa. Myślę o mojej rodzinie jadącej beze mnie do domu Tanów i ogarnia mnie dojmujące poczucie samotności. Piszę SMS-a do mamy.

Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić.

Niepokojąca cisza panująca w domu Ally każe mi się zastanowić i dodać:

Powiedz Rachel, że życzę jej, by poczuła się lepiej.

Potem dzwonię do Morgana.

– Hej – odbiera. – Chyba wieki z tobą nie rozmawiałem. Olałaś szkołę w tym tygodniu?

– Miałam kilka spraw do załatwienia – kłamię. – Jesteś już? W Greenwillow?

– Jeszcze nie. Będziemy wieczorem.

– Jakie macie plany na Niedzielę Wielkanocną?

– Cieszę się, że pytasz! – mówi z wyraźną radością. – Kuzyni mojego ojca przychodzą do nas na kolację. Chciałbym, żebyś też przyszła.

Z trzepotem serca przyjmuję zaproszenie, ale denerwuję się nie

tylko perspektywą kolacji z rodziną Morgana. Czuję się odpowiedzialna za rolę, jaką odegrałam w zniknięciu Mallory, nawet jeśli nie wiem jak dużą. Tak czy inaczej, jedno jest pewne: rodzina Fisherów jeszcze nigdy nie przyciągała mnie z taką siłą.

*

W porze kolacji nie wiem już, czy mam się dziwić, czy wściekać na Ally. Znając ją, zaczynam podejrzewać, że chce mi dać nauczkę. Próbuje mnie nastraszyć? Ukarać? Czy może najzwyczajniej w świecie zapomniała o mnie po suto zakrapianym popołudniu w pubie?

Szperam w szafkach, szukając składników, z których dałoby się przygotować kolację, ale od mojego poprzedniego pobytu w spizarni nie pojawiło się chyba nic nowego. Otwieram chlebak stojący na blacie i z zadowoleniem odkrywam pół bochenka chleba w plastikowej torbie. Gdy wydaję kromkę, okazuje się, że jest pokryta zielonymi plamami pleśni.

Wzdrygając się, idę wyrzucić chleb do kubła przy drzwiach i przypadkiem trącam butem miskę na wodę Benny'ego. Jest sucha jak wiór. Jakby tego było mało, zamieszkał w niej pajaczek, który pokrył jej wierzch krzyżującymi się nitkami pajęczyny.

Maszeruję do spizarni i wywlekam torbę z karmą, którą dawałam Benny'emu kilka tygodni temu. Mam wrażenie, że od mojego pobytu w ogóle jej nie ubyło.

Puls mi przyspiesza.

Czy Benny jest pod czyjąś opieką? Czy Ally skłamała, że doszedł do siebie?

Boże. Czy to możliwe, że Benny w ogóle nie wrócił do domu?

Instynktownie sięgam po telefon, żeby zadzwonić do Ally, ale uświadamiam sobie, że znów włączy się poczta głosowa. Zamiast

tego szukam na lodówce magnesu z numerem kliniki weterynaryjnej Margaret w Ellenbrook. Recepcjonistka odbiera po dwóch sygnałach.

– Dzień dobry – mówię. – Może pani mi pomoże. Chciałam się zapytać o psa, który był leczony w waszej klinice cztery tygodnie temu.

– Imię? – pyta miłym głosem.

– Tash Carmody.

Kobieta chichocze.

– Przepraszam, chodziło mi o imię zwierzaka. Tak wprowadzamy je do systemu.

– Aha. Benny. Eee... nazwisko Carmody?

Słyszę, jak stuka paznokciami w klawiaturę.

– Tak, znalazłam go. Dziesięcioletni labrador?

– Aha.

– Mam tu napisane... och. Hmm...

– Czy coś jest nie tak?

– Proszę chwilę zaczekać.

Zawiesza połączenie. Obgryzam paznokiec kciuka, słuchając nagrania z muzyką klasyczną, zdjęta nagłą paniką, że Benny nie przeżył. Dlaczego Ally miałyby mnie okłamać? Przez wzgląd na moje uczucia? Chyba nie zachowałyby takiej wiadomości dla siebie.

Muzyka urywa się i słyszę na linii głębszy głos:

– Tash?

– Halo? Margaret?

– Tak! – W jej głosie słychać ulgę. – Bardzo się cieszę, że ktoś się wreszcie odezwał.

– Co ma pani na myśli?

– Twoja ciotka wciąż nie zapłaciła za leczenie. W całym tym zamieszaniu, kiedy pakowaliśmy Benny’ego do furgonetki, zapomniałam wziąć od ciebie numeru telefonu. Nie wiedzieliśmy, do kogo jeszcze zadzwonić.

Wyciągam krzesło spod kuchennego stołu i siadam.

– Nie rozmawiała pani z ciocią, kiedy przyjechała odebrać Benny’ego?

– Skarbie – mówi Margaret. – Nikt nie przyjechał odebrać Benny’ego.

– Co takiego?

– Musieliśmy znaleźć mu opiekę zastępczą, bo tu nie mieliśmy miejsca, żeby go dalej trzymać.

– Nie rozumiem.

– Myśleliśmy, że twojej cioci coś się stało.

– Nie – odpowiadam, pocierając palcami czoło. – Nic jej nie jest. Po wypadku Benny’ego pisałyśmy do siebie SMS-y.

– Mogę podać ci dane opiekuna zastępczego, gdybyś chciała zabrać Benny’ego do domu.

– Poproszę – mówię. – Dziękuję. Jeśli będzie trzeba, wezmę go do siebie do Port Bellamy.

Margaret podaje mi numer telefonu do opiekuna, a ja umawiam się, że rachunek za leczenie psa wyśle mi na maila.

– Bardzo mi przykro, Margaret, z powodu tego całego zamieszania. Nie miałam pojęcia, że Ally już go nie chce. Podała jakiś powód?

– Kotku – odpowiada Margaret. – Twoja ciotka w ogóle się do nas nie odezwała.

*

Nocny sen na pusty żołądek nie przynosi odpoczynku, towarzystwa dotrzymują mi tylko skrzypienia i jęki starego domu. Przewracam się na materacu, jak gdybym próbowała utrzymać się na powierzchni, zatęchłe ściany i sufit napierają na mnie ze wszystkich stron. W pewnej chwili budzę się gwałtownie, przekonana, że Benny hałasuje na dole. To oczywiście niemożliwe, ale i tak leżę sztywno, jakbym połknęła kij, a serce wali mi jak młotem. Wiem, że nie zmruję oka, jeśli nie zejdem na dół i nie sprawdzę jeszcze raz, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte.

W Niedzielę Wielkanocną budzę się otepiała i pobolewa mnie głowa. Na śniadanie jem batoniki zbożowe bez mleka i dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie mogę zrobić zakupów, bo supermarket jest zamknięty. Ally wciąż nie odpowiedziała na żadną z moich wiadomości, a kiedy przeglądam jej zdawkowe odpowiedzi z ostatnich tygodni, ogarnia mnie rosnąca irytacja. Wygląda na to, że prowadzi ze mną jakąś grę; okłamała mnie i zwabiła tu pod wymyślonym pretekstem w sposób, który wydaje mi się przerażająco znajomy.

Żeby zająć czymś myśli, jadę sfotografować starą stodołę na obrzeżach Greenwillow. Ale już po chwili cykam zdjęcia na odwal, analizując niedawne sprzeczki i rozmowy. Niektóre uwagi Sadie nie dają mi spokoju.

„Twój umysł mógł zapamiętać pewne rzeczy inaczej, niż wyglądały naprawdę”.

„Czy kiedykolwiek widziałaś Wróbla i swoją ciotkę jednocześnie w tym samym pomieszczeniu?”.

Dlaczego Ally nie chciała, żebym rozmawiała z rodzicami o Wróblu? Czy to możliwe, że mnie krzywdziła, a mój ośmioletni umysł ukrył jej tożsamość? A może to ona podsunęła mi pomysł, że

ktoś taki jak Wróbel istnieje, aby zatrzeć własne ślady. To żadna tajemnica, że Ally nie cierpi mojego taty, a najprostszy sposób, żeby go zranić, to skrzywdzić jego dziecko. Ale co Ally by na tym zyskała? Sadystyczną przyjemność z namacania w głowie jego córce? Jeśli miała taki zamiar, trzeba jej przyznać, że odniosła sukces.

Chyba że jeszcze nie skończyła.

Dygocząc mimo jesiennego słońca, co sił w nogach pedałuje na rowerze Ally raz w górę, raz w dół szutrowymi drogami. Gdy docieram do domu, jestem roztrzęsiona i odwodniona, a w skroniach czuję znajome ćmienie zapowiadające ból głowy.

Telefon sygnalizuje nadejście wiadomości od Morgana.

Dojechaliśmy! W kuchni istne szaleństwo. Przyjechać po ciebie o szóstej?

Wysyłam pełną entuzjazmu odpowiedź, po czym wypijam dwie szklanki wody i szukam tabletek przeciwbólowych.

Na piętrze ściągam dzinsy i przepoconą koszulkę, wpełzam do wanny na lwich łapach i siadam skulona pod włączonym prysznicem. Gorąca woda parzy skórę, serce ściska mi się w piersi, zwiastując niechybny napad paniki. Potem wycieram się do sucha i wysypuję zawartość plecaka na łóżko, usiłując znaleźć odpowiedni strój na proszoną kolację. Przeglądając ubrania, trącam palcami coś twardego. Wytrząsam jedną z koszulek i na podłogę upada komórka w czerwonym etui.

Z pokrowca wpatrują się we mnie czarne, martwe oczy Hello Kitty.

O Boże.

To telefon Rachel.

32

WTEDY

Diabelski młyn już zwalnia, gdy zauważam Wróbla chowającego się za kasą z biletami. Wpatruje się w żółty wagonik, który miałam tylko dla siebie. Teraz żałuję, że nie wcisnęłam się do poprzedniego, razem z tamtą miłą rodziną, albo do nastolatków dwa wagoniki dalej. Gdybym była w towarzystwie innych ludzi, może zostawiłby mnie w spokoju.

– Idź sobie – mówię do niego, wysiadając na drewnianą platformę. Idzie za mną do furtki z napisem „Wyjście”, po schodkach w dół i na błotnistą trawę. Trzyma się na tyle daleko, że ludzie dziwnie się na mnie patrzą, jakbym gadała sama do siebie. – Masz mnie zostawić w spokoju.

Naciąga kaptur na czoło, ale i tak widzę fioletowe sińce pod oczami. Na policzku ma długie czerwone zadrapanie. Czym on się zajmuje? Dokąd idzie, kiedy nie namawia mnie, żebym się z nim pobawiła?

– Chodź ze mną – mówi. – Chcę ci coś pokazać. Spodoba ci się, obiecuję.

– Nie chcę. – Skręcam w prześwit między dwoma cyrkowymi namiotami. Prowadzi tylko do kilku kubłów na śmieci.

– Naprawdę powinnaś to zobaczyć – nalega, idąc kilka kroków za mną; zawsze trzyma się zbyt blisko mnie. Dochodzę do kubłów

i uświadamiam sobie, że to ślepy zaułek: Wróbel blokuje mi drogę powrotną. Obejmuję się ramionami.

– Już ci mówiłam, że nie chcę się z tobą bawić.

– Nawet jeśli pokażę ci magiczną sztuczkę?

Przewracam oczami i udaję, że mnie to nie obchodzi. Ale coś się we mnie skręca, jak gdybym miała żołądek pełen robaków. A jeśli naprawdę potrafi czarować? Nie wygląda na czarodzieja ani na superbohatera. A tak w ogóle to jak wygląda magia?

– Wiem, jak sprawić, żebyś zniknęła – oznajmia Wróbel.

Płachta namiotu łopocze na wietrze, zagłuszając odgłosy wesołego miasteczka. Karuzele i ludzie wydają się być daleko stąd.

– Nie chcę zniknąć.

– Ale nie chcesz też tutaj zostać, prawda? Jesteś samotna i znudzona.

– Chcę wrócić do domu.

– Doskonale się składa. Tak naprawdę wcale nie znikniesz. To magiczna sztuczka. Trafisz prosto do domu.

Zakładam ręce na piersi. Może znów zrobi coś okropnego, tak jak wtedy, kiedy zanurzył mi głowę w strumyku. Nie powinnam mu wierzyć. Na pewno nie mówi prawdy.

Ale jestem taka zmęczona i tak strasznie chce mi się pić, nogi też już mnie bolą. Skórę mam rozpaloną i podrażnioną. Poza tym wcale nie chcę wracać do domu cioci Ally. Nie lubię go. Nie lubię jego odgłosów, cieni i zapachu. A co, jeśli rodzice będą tak zajęci noworodkiem, że postanowią zostawić mnie w nim na dłużej? Na kolejne dwa tygodnie? Może nawet miesiąc. To może być moja jedyna szansa na powrót do domu, zanim zupełnie o mnie zapomną.

– Co musiałabym zrobić?

– Znalazłem specjalne pudło – mówi Wróbel. – Musisz tylko

wejść do środka, a ja wypowiem magiczne zaklęcie.

– No nie wiem...

Wróbel przestaje się uśmiechać, tak jak zawsze, kiedy mu się sprzeciwiam.

– No chodź – zachęca. – Chodź, to sama się przekonasz.

Jestem zdenerwowana, zmęczona, głodna i tęsknię za rodzicami tak bardzo, że chce mi się płakać. Chciałabym być teraz w domu, leżeć na swoim łóżku w otoczeniu książek i misiów, przykryta zielonym kocem i z dużą szklanką lemoniady pod ręką.

– Więc muszę tylko wejść na chwilę do środka?

Wróbel uśmiecha się szeroko, ukazując czarne i żółte zęby.

– Minie jak z bicza strzelił – odpowiada.

33

TERAZ

Nie wiem, jakie ciuchy w końcu wybrałam. To bez znaczenia. W każdym razie siedzę ubrana w kuchni Ally, a telefon Rachel leży przede mną na stole. Woda z mokrych włosów wsiąka mi w tył koszulki, spływa po plecach i cieknie na krzesło.

Skąd się u mnie wzięło?

Wzdrygam się, a potem cała zaczynam się trząść.

Co powinnam zrobić? Komu powinnam o tym powiedzieć?

Wstaję i zaczynam chodzić tam i z powrotem po kuchni. Morgan będzie tu za dwadzieścia minut. Muszę się uspokoić i to przemyśleć.

Idę do spiżarni poszukać ziołowej herbaty albo czegoś, co ukoji moje zszargane nerwy. Zauważam trzy butelki czerwonego wina podobne do tego, którym Ally poczęstowała mnie podczas poprzedniej wizyty. Bez wątpienia rozgrzało mnie i pomogło mi się odprężyć. To może być właśnie to, czego mi trzeba.

Zdejmuję nakrętkę, sięgam po kubek i nalewam sobie wina. Wypijam łąpczywie trzy duże łyki. Napełniam ponownie kubek i nie czekając, aż wino zacznie działać, niecierpliwie wychylam dwa kolejne hausty, po czym odsuwam kubek na bok.

Czy zrobiłam Rachel krzywdę? Czy zrobiłam inne rzeczy, których nie pamiętam?

Zafiksowałam się na Ally, ale może to ja byłam przed laty źródłem problemów? Co, jeśli Ally miała powód, żeby zamykać dzielące nas drzwi na klucz? Nerwowe rozmowy telefoniczne późno w nocy – czy rozmawiała o mnie z moim ojcem?

Czarne myśli tłuką się we wnętrzu mojej czaszki, aż zaczyna mi się kręcić w głowie. Pewnie to wino zaczyna działać, szkoda tylko, że nie wycisza mojego niepokoju wystarczająco szybko. Słyszę, że Morgan zajeżdża pod dom, i wypijam kolejny łyk.

Łapię komórkę Rachel, wrzucam ją do chlebaka i zaczepiam przy tym biodrem o stół. Wino wylewa się z kubka, więc ruszam z nim w stronę zlewu. Kiedy Morgan puka do drzwi, dopijam je prawie do końca i wlewam resztkę do odpływu.

– Cześć – wita się Morgan, kiedy otwieram frontowe drzwi. Jest ubrany w obcisły sweter w serek i beżowe spodnie, które miał na sobie podczas przyjęcia powitalnego. Przesuwa po mnie wzrokiem, a ja czuję, że bije ode mnie poczucie winy. – Eee... przyszedłem za wcześnie?

– Nie. Wcale nie – odpowiadam za głośno. Pochylam się, żeby założyć trampki, dla zachowania równowagi opierając się o ścianę. – Tylko pójde po torbę.

Czeka przy drzwiach, aż wrócę z kuchni. Zdobynam się na wymuszony uśmiech. Morgan nie może się dowiedzieć, że coś jest nie tak.

– E... Tash? Na zewnątrz jest dość chłodno. Może załóż kurtkę.

Zerkam na swoją białą koszulkę na ramiączkach i wystrzępione džinsy. Hm. A więc w to się ubrałam.

Chociaż w żołądku wszystko mi się kotłuje, w drodze nad rzekę jest mi ciepło i szumi mi w głowie. Opieram czoło o szybę i słucham, jak Morgan coś opowiada, chociaż niewiele z tego rozumiem. Nie pamiętam, ile wina wypiałam, ale jestem pewna, że

tylko lekko się wstawiłam. Wciąż mówię z sensem. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Mój wzrok prześlizguje się po frontach sklepów na głównej ulicy Geenwillow. Światła w środku gasną, a na drzwiach pojawiają się tabliczki z napisem ZAMKNIĘTE. W jednej z przecznic moją uwagę przykuwa obracający się neon OTWARTE DO PÓŻNA. Prostuję się gwałtownie na siedzeniu.

– Czekaj – mówię do Morgana. – Stój!

Wzdryga się, zerka w lusterko wsteczne, a potem hamuje i zjeżdża na bok.

– Cofnij. – Wykręcam się, żeby spojrzeć za siebie. – Zawróć! Zawróć!

– Po co? – pyta, ale spełnia moją prośbę. Na ulicach nie ma innych aut, więc może podjechać tyłem aż do skrzyżowania. – O co chodzi? Co się stało?

Przysuwam twarz tak blisko szyby, że mój gorący oddech pokrywa ją parą. Wciskam guzik, żeby otworzyć okno, i wyciągam szyję najdalej, jak to możliwe.

– Wydawało mi się, że widzę samochód ciotki. Tam, pod drogerią.

Wyteżam wzrok w zapadającym zmierzchu. Wzdłuż krawężnika stoi kilka hatchbacków, ale miejsca parkingowe przed drogerią są puste.

– Mogłabym przysiąc...

Morgan dotyka mojego ramienia, a ja aż podskakuję.

– Tash, na pewno wszystko gra? Wydajesz się trochę...

– Tak, wszystko w porządku. – Osuwam się na siedzenie i zawstydzona zamykam okno. – Coś mi się pomyliło. Zapomnij o tym.

Podejrzliwe spojrzenia, jakie Morgan rzuca mi przez resztę drogi, upewniają mnie, że łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Zerkam dyskretnie w boczne lusterko, obserwując światła samochodu jadącego na tyle daleko za nami, że nie potrafię stwierdzić, czy nas śledzi.

Zatrzymujemy się przed pokrytym niebieską deską domkiem nad brzegiem rzeki. Morgan wyskakuje z auta i podbiega do moich drzwi.

– Jesteś pewna, że dasz radę? – pyta, kiedy mocuję się z zapięciem pasów.

– Jasne! Nie mogę się doczekać. – Wypadam z samochodu, ale Morgan łapie mnie, zanim przewrócę się na zwirowe pobocze. Spoglądam na ciemną drogę za nami i z ulgą stwierdzam, że nie widać na niej reflektorów żadnego innego samochodu. – Jestem tylko trochę zmęczona. Dojdę do siebie w środku.

Ledwo przekroczymy próg wakacyjnego domu, pani Fisher wita mnie ciepłym uśmiechem i tacą bruschetty. Znów ma na sobie elegancką sukienkę w kwiaty, a jej ciemnobrązowe włosy opadają falami na ramiona.

– Wiem, że Daniel był kiedyś twoim ortodontą – zagaja, nachylając się, żeby pocałować mnie w policzek. – To cudownie znów cię widzieć. Ależ wydorosłałaś! Morgan nie przestaje o tobie opowiadać.

– Mamo... – Morgan przewraca oczami.

Usiłuję się uśmiechnąć, ale moje usta są odrętwiałe i odmawiają współpracy.

– Dziękuję za zaproszenie – odpowiadam powoli, starając się wymawiać wyraźnie każdą sylabę. Sięgam po krążek grzanki, ale nie udaje mi się donieść go do ust. Posiekany pomidor z bazylią ścieka mi na białą koszulkę.

– Ups – mówi pani Fisher. Podaje mi serwetkę. – Przepraszam, to bardzo brudząca przystawka. Powinnam była podać deskę serów. – Patrzy, jak wcieram czerwoną plamę w materiał. – Morgan, zaprowadź Tash do łazienki. Wystarczy trochę wody i powinno się sprać.

Ruszam za Morganem bocznym korytarzykiem i widzę, że jego krewni rzucają mi zaskoczone spojrzenia. Dopiero teraz zauważam, jacy wszyscy są wystrojeni – eleganckie koszule i spodnie z kantem, wypastowane buty. Zerkam na swoje obszarpane dżinsy i podniszczone trampki, zastanawiając się, co mi odbiło.

Wchodzę chwiejnym krokiem do łazienki, zawadzając ramieniem o framugę. Obracam się do Morgana.

– Twoja mama jest bardzo miła...

– Nawaliłaś się? – syczy Morgan, zerkając przez ramię.

– He?

– Ile wypiałś przed moim przyjazdem? – Ogląda się na swoich krewnych, kilkoro kobiet i mężczyzn w wieku jego ojca, którzy właśnie zajmują miejsca przy stole.

– Nie piłam...

– Nie panujesz nad tym, co robisz – stwierdza, ściągając brwi. – Wszystko gra? Coś jest nie tak?

Wszystko jest nie tak, Morgan! Mam wrażenie, że tracę rozum.

– Po prostu jestem zmęczona – zapewniam go. – Źle dzisiaj spałam. Zaraz się ogarnę.

Jak najdelikatniej przymykam za sobą drzwi i przy drugiej próbie udaje mi się przekręcić klucz w zamku. Zataczam się na lustro i muszę przytrzymać się zlewu, żeby pomieszczenie przestało się przechylać. Ochlapuję twarz wodą i przeczesuję włosy palcami, spoglądając w lustrze w swoje zaczerwienione oczy.

Wyglądasz jak dziewczyna, która ma coś do ukrycia.

W jadalni staram się nadażyć za kurtuazyjną wymianą zdań, wdzięczna losowi, że Morgan siedzi obok mnie i nie widzę jego miny, kiedy język mi się płacze. Widzę jednak twarz Mallory – uważne niebieskie oczy, cienkie jasne włosy okalające jej elfią twarzyczkę. Zajmuje miejsce naprzeciw mnie i rzuca mi ukradkowe spojrzenia, kiedy myśli, że nie patrzę. W pewnej chwili nasze spojrzenia się spotykają i Mallory zdobywa się na cień uśmiechu. Próbuję go odwzajemnić, ale tak naprawdę chce mi się płakać.

– Na przyjęciu, na którym niedawno byliśmy, doszło do pewnego incydentu – odzywa się pan Fisher. – Koleżankę Morgana napadnięto i porzucono nieprzytomną na moło w porcie.

Jedna z jego kuzynek cmoka.

– To okropne – stwierdza. – Czy złapali sprawcę?

– Dochodzenie wciąż trwa – odpowiada Morgan. – Ktoś ukradł jej telefon.

Tłuczone ziemniaki zaklejają mi usta, nie jestem w stanie ich przełknąć. Wciskam się głębiej w krzesło, a głos zabiera inny krewny.

– Niewiarygodne! – dudni, aż drżą mu wąsy. – Kto przy zdrowych zmysłach połączyłby się na używany telefon, ryzykując oskarżenie o napad?

„No tak”, mam ochotę odpowiedzieć, „A co, jeśli ten ktoś nie był przy zdrowych zmysłach?”.

– Ty też przyjaźnisz się z Rachel, Tash? – pyta pani Fisher, wkładając sobie do ust zielony groszek. Ona i jej mąż wpatrują się we mnie wyczekująco.

– No coż – próbuję usiąść prosto – kiedyś byliśmy przyjaciółkami. Teraz nie jesteśmy już ze sobą tak blisko. To okropne, co ją spotkało. – Sięgam po szklanekę wody i piję

łapczywie. Przez dno szklanki widzę przyglądającą mi się Mallory.

Chyba zrobiłam coś złego, Mallory. I to więcej niż raz.

Stawiam pustą szklankę na stole i próbuję ją napełnić. Dzbanek z wodą jest cięższy, niż przypuszczałam. Łokieć obwisa mi w połowie nalewania i dzbanek uderza w brzeg mojego talerza, wyrzucając w powietrze sztućce. Od talerza odłamuje się wielki porcelanowy półksiężyc.

– Och! – wołam, zrywając się od stołu i ściągając na siebie spojrzenia wszystkich. – Tak mi przykro!

– To nic takiego – zapewnia pani Fisher. – Nachyla się nad stołem, żeby zabrać ode mnie talerz. – To tylko drobny wypadek. Nic się nie stało.

– Oookeeej. – Morgan odsuwa krzesło i wstaje. – Tash i ja wyjdziemy na chwilę przewietrzyć się przed deserem. – Ciska swoją serwetkę na siedzenie krzesła, jakby smagał konia batem.

Spoglądam na wszystkich przepaszająco i mój wzrok pada na Mallory. Minę ma zbolaną, usta zaciśnięte, jakby wyczuwała moją udrękę. Chciałabym z nią porozmawiać, ale Morgan już ruszył w stronę drzwi. Wygramolenie się zza stołu zajmuje mi chwilę, przepaszam też jeszcze raz panią Fisher, a goście wracają do przerwanych rozmów. Kiedy wychodzę przed dom, nie potrafię odczytać wyrazu twarzy Morgana.

– Morgan, naprawdę przepaszam za ten talerz.

Opiera ręce na biodrach.

– Jak mogłaś przyjechać tu pijana? Do mojej rodziny? Bardzo chcieli cię poznać, a ty odstawiasz taki numer?

– Nie pomyślałam. Przepaszam.

– Ostatnio zachowujesz się naprawdę dziwnie. Nie nadążam za tobą: raz wpadasz w euforię, raz masz doła, zupełnie jak jo-jo.

Nie wiem, co odpowiedzieć, więc milczę. To wkurza go jeszcze bardziej.

– Mam wrażenie – zakłada ręce na piersi – że ukrywasz przede mną masę rzeczy.

Wbijam wzrok w ziemię. Nie chcę tego robić teraz. Postanowiłam porozmawiać z Morganem o Wróblu i lunaparku, ale to nie jest odpowiedni moment. Kręci mi się w głowie i nie myślę trzeźwo.

– W szkole mówi się o ataku na Rachel – ciągnie, a ja rzucam mu nieufne spojrzenie. – Podobno miałaś z tym coś wspólnego. To chyba niemożliwe, prawda?

Krzywiąc się, przypominam sobie komórkę Rachel, którą znalazłam w swoim plecaku.

– Przyszłam do Kimchi tego wieczoru, kiedy została napadnięta – przyznaję. – Pokłóciliśmy się na molo.

– Byłaś tam? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wzruszam ramionami i opieram się o słup na werandzie.

– O co się pokłóciliście? – pyta.

– Rachel wie o czymś, co zrobiłam w dzieciństwie. Coś, czego się wstydzę.

Morgan przysuwa się bliżej, a ja walczę z pokusą, żeby uciec.

– Co masz na myśli?

Nie masz już wyjścia. Musisz mu powiedzieć.

Zaciskam palce na słupie tak mocno, że aż bolą mnie knykcie.

– Chodzi o to, co powiedziałam policji tego dnia, kiedy zaginęła Mallory.

Morgan przęłyka ślinę. Mierzy mnie wzrokiem, jak gdyby już zaczął mnie widzieć w innym świetle.

– Powiedziałam im, że widziałam, jak Wróbel wyprowadza

Mallory z lunaparku.

Morgan rozchyła usta. Chwilę trwa, zanim się odezwie.

– Wróbel? Ten twój wymyślony upiór?

– Myślałam, że to się dzieje naprawdę. Myślałam, że to taka zabawa.

– Chwila. Więc widziałaś, jak ktoś zabiera Mallory spod toalet?

– Tak. To znaczy nie. Nie wiem. Wymyśliłam go sobie.

Morgan przygląda mi się odrobinę za długo. Niemal słyszę, jak w jego głowie odzywa się dzwonek alarmowy.

– Dlaczego zrobiłaś coś takiego?

– Przepraszam – mówię, robiąc krok w jego stronę. Morgan odsuwa się nieznacznie. – Nie wiem, co mnie napadło. Zresztą i tak nikt mi nie uwierzył.

– Bo zmyślałaś – mówi podniesionym głosem. – Kłamałaś.

– Miałam osiem...

– I co z tego? To cię usprawiedliwia?

– Nie, ja tylko...

– To był najgorszy dzień w naszym życiu, Tash – mówi. – A ty dla zabawy opowiadałaś jakie zmyślane bajeczki?

Mocno zagryzam wargi. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Nie potrafię tego lepiej wytłumaczyć.

– Odkąd się tu przeprowadziliśmy, uczepiłaś się nas jak rzep psiego ogona. Masz jakąś chorą obsesję na punkcie naszej rodziny czy co?

– Jasne, że nie!

– Jak mam uwierzyć w choć jedno twoje słowo?

Otwieram usta i wtedy dociera do mnie, że nie mam pojęcia, co mu odpowiedzieć. Zamykam buzię, a Morgan odwraca się do mnie

tyłem.

Wiem, że powinnam odejść, bo Morgan nie chce mnie znać. Ale coś, co powiedział, nie daje mi spokoju. Może to przez wyrzuty sumienia rozpaczliwie pragnę zrzucić na kogoś winę, ale czuję, że nie mogę tak tego zostawić.

Odkąd się tu przeprowadziliśmy.

Mój umysł pozwala dojść do głosu odłożonym na później podejrzeniom, których nie pozwoliłam sobie porządnie przeanalizować.

Odkąd się tu przeprowadziliśmy.

Wszystko zaczęło się od powrotu Fisherów.

Morgan zamknął mnie w swojej pralni, chociaż wiedział, że drzwi są zepsute. Był w galerii handlowej tego dnia, kiedy zgubił się Tim. Pojawił się ni stąd, ni zowąd w domu Ally, gdy Benny miał wypadek, chociaż jestem pewna, że zamknęłam frontowe drzwi. Morgan odwiózł mnie do domu w dniu, w którym pod moimi drzwiami wylądowało pudełko martwych wróbli i był na osiemnastce Rachel i Christophera. To Morgan mógł się podkraść do Rachel, ukraść jej komórkę, a potem mi ją podrzucić.

Czy Morgan byłby do tego zdolny? Czy posunąłby się do takiego okrucieństwa, żeby mnie dręczyć, żeby mnie ukarać? Czy to zemsta? Jeśli obwinia mnie o zaginięcie siostry, może być zdolny do wszystkiego.

– Wiedziałaś od początku? – udaje mi się wykrztusić.

Morgan marszczy brwi.

– Co masz na myśli? – Robi krok w moją stronę, miękko jak kot, przyglądając mi się trochę zbyt uważnie. Mam wrażenie, że to jakaś gra.

Zaciskam dłonie w pięści i przyciskam je do skroni. Czy to możliwe? Czy to Morgana powinnam się obawiać? A co z moimi

podejrzeniami wobec Ally?

Co z moimi podejrzeniami wobec samej siebie?

– Muszę już iść – mówię, obracam się i potykam. Muszę wytrzeźwieć, żeby być w stanie zebrać myśli i uporać się z tym wszystkim z dala od tego miejsca, z dala od Morgana. Chwiejnym krokiem wracam do drzwi. Są uchylone na kilka centymetrów i w smudze światła padającego z wnętrza domu rysuje się drobna sylwetka. Otwiera drzwi szerzej, żeby mnie przepuścić.

– Mal... – zaczyna Morgan, ale jego siostra oddała się szybkim krokiem. Kto wie, ile podsłuchiwała? Chcę ją przeprosić, przedstawić swoje argumenty, ale jakiś rozpaczliwy głos w mojej głowie woła: „Uciekaj”.

Pochylona przechodzę przez jadalnię do kuchni. Zabieram torebkę z komody i właśnie wtedy w drzwiach staje pani Fisher.

– Tash, skarbie? Co się stało? – Podchodzi, wyciągając rękę, żeby dotknąć mojego ramienia, ale się cofam. – Posprzeczaliście się z Morganem?

Dopiero teraz uświadamiam sobie, że płakałam. Szukam chusteczki, ale torebka wyslizguje mi się z rąk i spada na podłogę. Klękam, żeby pozbierać jej zawartość.

Pani Fisher podciąga satynową spódnicę, żeby uklęknąć obok mnie.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – mówi, masując mi plecy. – Po prostu trochę się wstawiłaś. Rano wszystko będzie dobrze.

Kiwam głową, pociągając nosem, ale nie wierzę jej ani przez sekundę. Pan Fisher wślizguje się do kuchni i staje nad nami z zatroskaną miną. Wymieniają z żoną zaniepokojone spojrzenia.

– Nie możesz wrócić do domu w takim stanie – oznajmia pani Fisher. – Co sobie pomyśli twoja ciocia?

– Nic mi nie będzie – udaje mi się wydusić, chociaż perspektywa powrotu do ciemnego, pustego domu ciotki jest prawie równie koszmarna jak pozostanie tutaj.

Pani Fisher wyciąga rękę, odgarnia mi włosy z mokrego policzka i zakłada je za ucho.

– Powinnaś zostać u nas na noc, kochanie.

Wciągam z drzeniem powietrze i kręcę głową.

– Dziękuję za kolację. – Dźwigam się z kolan. – Naprawdę jest mi bardzo przykro. Za wszystko.

– Och, Tash... – pani Fisher uśmiecha się smutno – ...to tylko obtłuczony talerz.

Pan Fisher nalega, że odwiezie mnie do domu i biegnie po kluczyki. Jego żona podejmuje ostatnią próbę nakłonienia mnie, żebym została u nich na noc, ale coś za moimi plecami zwraca jej uwagę.

– Zaopiekujesz się nią dziś wieczór? – pyta, a jej twarz łagodnieje. – Na pewno?

Mój puls przyspiesza. Nie chcę zostać sam na sam z Morganem – mam za duży mętlik w głowie. Muszę zadzwonić do Sadie. Muszę zadzwonić do rodziców.

Obracam się, żeby zaprotestować, ale to nie Morgan stoi w drzwiach z plecakiem i poduchą. To Mallory.

Nie patrząc na mnie, kiwa głową.

34

WTEDY

20 grudnia 2016

Stenogram z sesji z doktor Ingrid Ballantine

Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży

Klinika dziecięca w Newcastle

Pacjentka: Natasha Carmody, 17 lat

IB: Wkrótce zaczniesz klasę maturalną.

NC: Mhm.

IB: Jak się czujesz?

NC: Super.

IB: Nie zabrzmiało to przekonująco.

NC: Nie?

IB: Nie. Masz jakieś obawy?

NC: Nie.

IB: Coś cię niepokoi?

NC: Nie.

IB: Twoja mowa ciała jest interesująca.

NC: Tak?

IB: Jesteś bardzo spięta. Zamknięta w sobie. Nie chcesz tu być?

NC: Niespecjalnie.

IB: Dlaczego?

NC: Myślę, że nie potrzebuję już tych spotkań.

IB: Rozumiem.

NC: ...

IB: Dobrze sobie radzisz ze swoimi lękami?

NC: Tak.

IB: Nie miałaś ostatnio żadnych wypadków?

NC: To znaczy?

IB: Koszmarów sennych. Ataków klaustrofobii. Ataków paniki.

NC: Wszystko jest w stu procentach pod kontrolą.

IB: Nie jestem pewna, czy naprawdę w to wierzysz.

NC: O to właśnie chodzi – nikt nigdy nie próbował zrozumieć, w co wierzę.

IB: Możesz wyjaśnić, co masz na myśli?

NC: Mam już dość wyjaśniania. Uznajmy mnie za wyleczoną i zakończmy terapię.

35

TERAZ

Pan Fisher gasi silnik i upiera się, żeby odprowadzić nas do drzwi domu. Jeśli miałam jakąkolwiek nadzieję na pojawienie się ciotki, to zgasła na widok pustego podjazdu i ciemnych okien. Nie zostawiłam zapalonego światła na werandzie i w moim stanie dopiero za trzecim razem udaje mi się trafić kluczem do dziurki. Pan Fisher proponuje, że wejdzie z nami i rozpali w kominku, ale zapewniam go, że wystarczy nam piecyk olejowy. Uśmiecha się i mówi:

– Przeszanę się już wtrącać i zostawię was same.

Kręci się w holu, aż zaciągniemy zasłony, i prosi, żeby Mallory dała później znać, czy wszystko w porządku. Zapewniam go, że Ally niedługo wróci, chociaż sama w to nie wierzę. Ale nie chcę być sama. Z Mallory ledwo się znamy, jednak jej obecność dodaje mi otuchy.

– Nie przejmuj się moim synem – mówi pan Fisher na odchodnym. – Przełknie dumę i przeprosi za to, czym cię tak zdenerwował. Nigdy nie był tak szczęśliwy jak przez te kilka ostatnich miesięcy. – Chociaż wiem, że stara się mnie pocieszyć, jego słowa dobijają mnie jeszcze bardziej.

Po jego wyjściu czuję na sobie ciężar oceniającego spojrzenia Mallory. Cieszę się, że tu jest, ale dlaczego chciała ze mną przyjechać? Czy jej też powinnam się obawiać?

Poczucie, że coś nas łączy, które miałam w jadalni u Fisherów, każe mi przypuszczać, że przyjechała tu, bo wie, że potrzebuję czyjś wsparcia. Nawet jeśli jej brat przez kilka ostatnich miesięcy działał w ramach jakiejś prywatnej zemsty, coś mi mówi, że Mallory nic o tym nie wie.

Prowadzę ją do kuchni.

– Napijesz się herbaty? Gorącej czekolady?

Zastanawia się, a potem zauważa na stole butelkę czerwonego wina. Podchodzi do zlewu, gdzie na ociekaczu stoją dwie odwrócone szklanki.

– Serio? – pytam. – Po tym przedstawieniu, które dałam u was w domu?

Mallory wzrusza ramionami i stawia szklanki na stole przede mną. Chce mi się śmiać, kiedy napełniam je prawie po brzegi. Czemu nie, do diabła? Już i tak wszystko się pochrzało – równie dobrze może się schrzanić jeszcze bardziej.

Upijamy jednocześnie po dużym łyku wina i przychodzi mi do głowy, że dla Mallory to może być pierwszy łyk alkoholu w życiu. Nagle czuję się za nią odpowiedzialna, jak starsza siostra. Choć mam ochotę na chwilę zapomnienia, muszę trochę ostudzić jej zapał.

– Pizamy? – pytam. Odstawia szklankę i pokazuje mi uniesione kciuki.

Na piętrze oddaję jej do dyspozycji sypialnię, w której spałam zeszłej nocy, proponując, żeby odwrócić pościel na drugą stronę i wymienić poduszkę na tę, którą wzięła z domu. Sama wybieram pokój Ally, bo w ostatniej sypialni na piętrze brakuje materaca. Przebieramy się, a ja jeszcze raz sprawdzam, czy wszystkie okna i drzwi są pozamykane, starając się zrobić to jak najdyskretniej. Gdy mijam pokój gościnny na parterze, Mallory stuka mnie

w ramię, a mnie cała krew odpływa z twarzy.

Mallory marszczy brwi, widząc, że się waham, po czym otwiera drzwi na oścież, podchodzi pewnym krokiem do okna i sama sprawdza, czy jest zamknięte, udając, że nie widzi, jak krzywię się na widok zalanego księżycową poświatą siedziska pod oknem, jak gdyby to był jakiś potwór.

Znajduję nam szydełkowe narzuty zrobione przez babcię i zanosimy swoje szklanki do salonu. Wybieram w telewizji jakąś komedię romantyczną z lat dziewięćdziesiątych, a Mallory pisze rodzicom SMS-a na dobranoc.

– Dzięki za dotrzymanie mi towarzystwa – mówię i po raz kolejny czuję, że zaraz się rozplączę. Mallory kiwa głową i posyła mi zaciekawiony półuśmieszek. Nachyla się, żeby wziąć moją komórkę ze stolika i rzuca mi ją lekko na kolana. Pisze coś na swoim telefonie, a mój brzęczy w odpowiedzi.

Co się dzisiaj stało? Co cię tak wzburzyło?

Kiedy podnoszę na nią wzrok, jej uniesione brwi wyrażają troskę. W tej chwili wiem, że nikt nie jest w stanie zrozumieć mnie lepiej niż Mallory. Ale jak mam to ująć w słowa? I jak mam podzielić się z nią podejrzeniami wobec jej brata?

Długa historia – odpisuję. To skomplikowane.

Może zacznij od dzisiejszego wieczora? – proponuje. O co wam poszło z Morganem?

Posyłam jej skruszone spojrzenie i upijam duży łyk wina.

– Jest na mnie zły o to, co powiedziałam policji w dniu twojego zaginięcia – mówię.

Zaraz potem słowa wylewają się ze mnie jak wymioty, jak demon, którego trzeba wypędzić. Opowiadam o tych dwóch tygodniach, które tu spędziłam, kiedy miałam osiem lat, o tym, jak wymyśliłam Wróbla, o moim zaburzonym dzieciństwie i latach

terapii. W szczegółach opisuję, co zapamiętałam z tamtego popołudnia w lunaparku.

– Nie wiedziałam wtedy, że Wróbel był wytworem mojej wyobraźni – tłumaczę jej. – Nie wiedziałam, że nikt inny go nie widzi. Przysięgam, kiedy patrzyłam, jak cię wabi, wydawało mi się to równie rzeczywiste jak słońce na niebie.

Mallory rozważa moje słowa. Marszcząc brwi, pociąga kolejny łyk.

– Nie chcę, żebyś pomyślała, że twoje zaginięcie było dla mnie żartem – ciągnę. – Nie chciałam marnować czasu policji. Naprawdę wierzyłam, że to, co opowiedziałam rodzicom i policjantom, rzeczywiście się wydarzyło. Naprawdę chciałam, żebyś się odnalazła.

Mallory bierze komórkę.

Przynajmniej próbowałaś im powiedzieć.

Przekrzywiam głowę, zastanawiając się nad tym. Jest tyle pytań, które od lat chciałam jej zadać, a teraz wreszcie mam okazję.

– Dlaczego nie mogłaś nikomu nic powiedzieć? – pytam. – Dlaczego przestałaś mówić?

Sączę wino, a Mallory układa odpowiedź.

Moja terapeutka nazywa to mutyzmem wywołanym traumą. Mama mówiła, że za każdym razem, kiedy policja próbowała mnie przesłuchać, zamykałam się w sobie. Od tamtej pory jest tak, jak gdyby mój mózg nie wiedział, jak to się robi. Słowa więzną mi w gardle, a ja łapię powietrze jak ryba. Porażka.

– A to, co pisali w gazetach? – pytam, podnosząc wzrok znad komórki. – Czytałam w jakimś artykule, że powiedziałaś policji, że przespałaś prawie cały ten czas, kiedy zaginęłaś.

Mallory kiwa głową i odpisuje.

Wydawało mi się, że spałam, bo między pobytem w wesołym miasteczku a przebudzeniem w parku narodowym miałam w pamięci same luki. Psycholog policyjny kazał mi narysować to, co pamiętam – wyszła z tego cała masa rysunków, na których leżę z zamkniętymi oczami. A potem już tylko busz i jeszcze więcej buszu.

Zmieniam pozycję na kanapie.

– Jak drzewa w twoim pamiętniku? – pytam i natychmiast uświadamiam sobie, że nie powinnam o tym wiedzieć. – Przepraszam, przejrzałam go, kiedy spadł na podłogę tego dnia, gdy rzuciłaś we mnie lampą.

Mallory chichocze na to wspomnienie i ja też parskam. Nie wiem, czemu teraz wydaje się to takie zabawne. Wtedy z całą pewnością nie było mi do śmiechu.

– A te rysunki staroświeckiej szafy? – wypytuję. – To też zapamiętałaś?

Mallory kręci głową, wstukując odpowiedź.

Dziwna sprawa. Mam w głowie jej obraz, ale nie wiem, skąd się tam wziął. Wciąż dopracowuję szczegóły. Nie potrafię narysować jej dokładnie tak, jak widzę ją w myślach.

– Może chcesz zostać projektantką mebli? – żartuję. Mallory uśmiecha się i wzrusza ramionami. Rozsiada się wygodnie w fotelu i znów pociąga łyk wina ze szklanki. – I nic więcej nie pamiętasz?

Mallory zastanawia się przez chwilę, a potem wciska szklankę między kolana, żeby pisać oboma kciukami. W połowie wiadomości zastyga, policzki jej płoną.

Same strzępki. Niektóre zapachy. Drzemkę podczas jazdy samochodem, w którym grało radio. To obrzydliwe, ale chyba kilka razy się zsikałam. Może nawet sfajdałam. Nie wiem, w jakim stanie mnie znaleziono i za bardzo się wstydzę, żeby zapytać mamę, czy to prawda.

Uśmiecham się ze współczuciem.

– Ja też w dzieciństwie moczyłam się w nocy. Miałam nawet mały wypadek podczas urodzinowego pizama party u Rachel Tan, to dopiero obciach. Ciesz się, że nie pamiętasz takich szczegółów. – Gdy tylko wypowiadam te słowa, dociera do mnie, jak szorstko to zabrzmiało. – Przepraszam. Nie to miałam na myśli. To musi być okropnie frustrujące nie móc sobie przypomnieć, co się z tobą działo.

Mallory opróżnia szklankę do końca. Siada po turecku i pisze kolejną wiadomość, wpatrując się w ekran komórki zmrużonymi oczami, jakby miała problemy ze wzrokiem.

Lekarze mówią, że mam ammeezję dysocyjną.

– Że co? – Podnoszę wzrok znad SMS-a. Mallory czyta jeszcze raz, co napisała, po czym obie zaczynamy chichotać. Próbuje jeszcze raz, starannie wpisując każdą literę.

Amnezję dysocjacyjną. Moje problemy z mówieniem są z tym związane.

– Chwileczkę. – Prawie upuszczam telefon. – Słyszałam o tym. Moja psychiatra użyła tej nazwy w rozmowie z rodzicami, kiedy martwili się, że zmyślam, aby wyprzeć traumatyczne wspomnienia.

Mallory kiwa głową i pisze dalej. Nie posługuje się kciukami tak sprawnie jak wcześniej i napisanie wiadomości zajmuje jej sporo czasu.

Podobno zakopałam głęboko wspomnienia o tym, co się stało. Od czasu do czasu przypominam sobie jakiś drobny szczegół, zwykle pod wpływem jakiegoś dźwięku lub zapachu.

– Na przykład?

Jak wtedy, kiedy nachyliłaś się nad moim łóżkiem, zanim rzuciłam w ciebie lampą. Nie mam pojęcia, dlaczego się tak wystraszyłam. Po prostu wiedziałam, że powinnam się bać.

Poruszam się niespokojnie. Mallory już pisze kolejną linijkę.

Nie widziałam twojej twarzy. Może chodziło o kaptur?

– Kaptur? – pytam. – Myślisz, że to wspomnienie?

Moje usta odmawiają współpracy, słowa zlewają się ze sobą. Mallory wzrusza ramionami. Nachyla się, żeby odstawić szklankę na stolik kawowy i chybia o kilka centymetrów. Szklanka uderza głucho o dywan. Mallory mruga powoli, rozbawiona.

– To dziwne – stwierdzam, ziewając. – Wróbel zawsze nosił kaptur. Miał go na głowie, kiedy cię zabierał.

Wydaje mi się, że to coś istotnego, ale słowa wydobywające się z moich ust są niewyraźnie i brzmią niemądrze. Wiem, że odbyliśmy poważną rozmowę na jakiś temat, ale w tej chwili nie potrafię powiedzieć jaki. Mallory uśmiecha się leniwie, jak gdybym opowiedziała dowcip, powieki ma ciężkie. Nagle sen wydaje się najlepszym pomysłem na świecie.

Podtrzymując się nawzajem, tarabanimy się po schodach na górę. Jestem pijana, ale inaczej niż wcześniej – zamiast czuć się lekko, jestem powolna i ociężała. Czuję, jak wszystko, co zjadłam wieczorem, kotłuje mi się w brzuchu.

Czekając, aż Mallory wyjdzie z łazienki, oblewam się zimnym potem. Chwiejnym krokiem ruszam do sypialni Ally, żeby poszukać w jej szafie wełnianego swetra. Otacza mnie woń gardenii zmieszana z zapachem papierosów, który przyprawia mnie o mdłości. Udaje mi się przełykać kwas żołądkowy podchodzący mi do gardła, dopóki nie upewnię się, że Mallory dotarła bezpiecznie do swojej sypialni.

Prawie śpi na stojąco – nie powinnam była pozwolić jej pić. Ma tylko piętnaście lat i jest taka drobna. Nie zdawałam sobie sprawy, że jedna szklanka może mieć taki efekt.

– Dzięki, że tu jesteś – mówię, czując nagłą potrzebę uściskania

jej. Kiedy ją obejmuję, jest jak szmaciana lalka – zatacza się bezwładnie, zamotana w sweter Ally.

Mam już ją puścić, kiedy nagle drętwieje i całe jej ciało robi się sztywne jak deska.

Wypuszczam ją z objęć.

– Wszystko gra?

Mallory się nie rusza. Omiata mnie znużonym wzrokiem od stóp do głów i z powrotem. Patrzy na mnie, jak gdyby widziała mnie pierwszy raz w życiu, jakby zastanawiała się, skąd się tu w ogóle wzięła.

– Musisz iść spać – mówię, wskazując głową łóżko pod oknem. Coś w sposobie, w jaki mi się przygląda, sprawia, że skręca mi się żołądek. Ślina napływa mi do ust, więc biegnę do drzwi.

– Dobranoc – udaje mi się wykrztusić, po czym w ostatniej chwili wpadam do łazienki, żeby wymiotować.

36

WTEDY

W drewnianym pudle jest czarno jak w nocy. Czarnej. Nie widzę nawet własnej dłoni, którą trzymam przed twarzą. Pachnie wilgotnymi ręcznikami, cebulą i zapoconymi skarpetami. A co z tymi wszystkimi kostiumami wywalonymi w błoto obok skrzyni? Kolorowymi koszulami, fantazyjnymi marynarkami, perukami z kręconych włosów i piórami? Pewnie się zniszczyły. Wszystko będzie na mnie.

To był zły pomysł. Nie powinnam była się zgodzić.

– Dziesięć sekund minęło – wołam, waląc pięścią w wieko. – Schowałam się! Wypuść mnie.

Skrzynia przechyla się pod kątem, a ja ześlizguję się w dół. Wpadam na ściankę i uderzam w nią czołem. Przed oczyma krążą mi białe plamy.

– Au! – krzyczę, okładając bok pudła ramieniem. – Przestań. – Wciśnięte w drewno kolana chyba są posiniaczone. – Chcę wyjść!

Wszystko podskakuje, a ja znów uderzam się w głowę. Moją szyję przeszywa ostry ból, jak uszczyknięcie. Kołyszę się w przód i w tył, tak jakby ktoś włókł skrzynię po ziemi. Dokąd mnie zabiera? Nic o tym nie wspominał.

To nie jest część zabawy.

– Otwieraj! – wrzeszczę, ale mój głos ledwo słyhać. Głowę mam

skrzywioną pod dziwnym kątem i trudno mi oddychać.

Skrzynia znów podskakuje. Wróbel mnie ignoruje.

Nie mogę oddychać.

A co, jeśli skończy mi się powietrze?

Powiedział mi, że to zrobi. Powiedział, że jeśli nie pójdę się bawić w piwnicy, zamknie mnie w skrzyni i skonam z głodu.

– Proszę! Zmieniłam zdanie. Wypuść mnie!

Skrzynia gwałtownie nieruchomieje i opada na ziemię. Nie słyszę nic prócz dudnienia w uszach i własnego oddechu odbijającego się od drewna. Po raz ostatni unoszę słabnącą rękę, żeby zastukać w wieko. Bok dłoni boli, w gardle drapie mnie, jakbym zaraz miała się rozpłakać.

– Proszę, wypuść mnie!

Za ciemno, za ciemno. Oszczędzaj powietrze.

Skul się.

Oddychaj powoli.

– Proszę.

Nic nie słyszę. Co się dzieje? Czy on kiedykolwiek wróci?

Nie chcę skonać z głodu.

Chcę opowiedzieć mamie i tacie o rzeczach, które robił Wróbel.

Chcę zobaczyć mojego nowo narodzonego braciszka.

Z zewnątrz słyszeć stłumiony głos. Ktoś przeklina.

Czy to...? Czy to możliwe...?

– Tata?

Może całe to podrzucanie i obijanie się było podróżą w czasie i w przestrzeni! Może Wróbel dotrzymał słowa. Może naprawdę potrafi czarować. Jestem wreszcie w domu, a te dwa tygodnie u cioci Ally były tylko złym snem.

– Tato!

Ktoś otwiera wieko skrzyni szarpnięciem. Nad głową mam błękitne niebo i muszę zmrużyć oczy przed słońcem.

– Jazda mi stąd! – ryczy jakiś głos.

Mrugam, wpatrując się w podobny do niedźwiedzia cień pochylający się nade mną. To nie tata. I na pewno nie Wróbel.

– Dość mam bachorów bawiących się tu w chowanego – mówi głos, gdy podnoszę się z kolan. – To nie plac zabaw, słyszysz? Wstęp tylko dla artystów. Zmykaj stąd i biegnij do rodziców.

Przed moją twarzą pojawia się wielka czerwona rękawica. Łapię się jej i wyłazę z kufra. Mężczyzna w makijażu klauna i w kręconej peruce na głowie cmoka z dezaprobatą, a ja rozglądam się dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Wróbel dokądś mnie włókł. Może w każdej chwili wrócić.

– Przepraszam – mówię, odsuwając się od klauna. Macha na mnie ręką, jakby odganiał natrętną muchę.

Oddalam się biegiem od wielkiego namiotu i wpadam w tłum ludzi w bocznej alejce. Nie chcę już tu być. Muszę tylko znaleźć Morgana Fishera i wszystko będzie dobrze. Widziałam go wcześniej pod autodromem, był z rodzicami i siostrą. Też mieszkają w Port Bellamy, jeśli ładnie ich poproszę, może zabiorą mnie ze sobą do domu.

Powstrzymując łzy, wracam pędem pod budki z jedzeniem. Staram się nie myśleć o poobcieranych kolanach i cuchnącej, ciemnej skrzyni.

Mam w głowie tylko jedną myśl, która dodaje mi skrzydeł.

Znajdź Morgana.

Znajdź Morgana.

Znajdź Morgana.

Znajdź Morgana, zanim Wróbel znajdzie ciebie.

37

TERAZ

Budzę się zeszywniała, z obolałymi ramionami, i na jedną przerażającą chwilę ogarnia mnie lęk, że znów jestem uwięziona w skrzyni. Powierzchnia pod moim prawym bokiem stawia opór, policzek mam przyciśnięty do czegoś zimnego i twardego. Unoszę jedną powiekę. Wita mnie jednak nie duszące, czarne jak smoła wnętrze kufra, lecz ponure światło poranka. Otrząsam się z resztek snu i dociera do mnie, że przespałam noc na podłodze w łazience.

Gdy próbuję usiąść, moja głowa wyraża dobitny sprzeciw. W ustach zaschło mi na wiór, żołądek mam pusty i tkliwy. Naprawdę wypiałam wczoraj aż tyle, że mam dziś tak koszmarne kaca? Przypominam sobie, jak klęczałam nad muszlą klozetową – i samo to wystarcza, żebym znów zgięła się nad nią wpół. Zdążyłam się już pozbyć wszystkiego, co miałam wczoraj w żołądku, więc dławię się samą żółcią.

Potykaç się, podchodzę do umywalki i palcem wcieram w zęby trochę pasty. Zerkam na swoje odbicie w lustrze – w bladym świetle wyglądam upiornie. Jestem pewna, że cuchnę winem, wymiocinami i Bóg wie czym jeszcze, ale zanim wezmę prysznic, muszę sprawdzić, co u Mallory. Jeśli czuje się choć w połowie tak paskudnie jak ja, obudzi się w kiepskim stanie i może potrzebować mojej pomocy.

Gdy podchodzę do drzwi, instynktownie sięgam do włącznika

światła i dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie pamiętam, żebym je wczoraj wyłączyła. Szary świt wsącza się przez matową szybę okienka nad drzwiami łazienki. Kładę dłoń na mosiężnej gałce klamki i ciągnę. Drzwi nie ustępują. Obracam gałkę w drugą stronę i szarpnię mocniej. Zawiasy jęczą i skrzypią, ale drzwi ani drgną.

Kucam i patrzę przez dziurkę od klucza na korytarz. Jeśli istnieje klucz do tych drzwi, to nie ma go ani w zamku, ani w łazience. Czy Ally wspominała, że ten zamek lubi się psuć? Może zacina się w chłodne poranki.

Serio? Dlaczego ten dom zawsze robi mi na złość?

Serce zaczyna mi walić w piersi, buntując się przeciwko ciasnej przestrzeni. Uspokajam oddech i stukam knykciami w drzwi.

– Mallory? Jesteś tam? – Stukam głośniej. – Mallory, śpisz?

Kucam i jeszcze raz spoglądam przez dziurkę od klucza, ale po drugiej stronie nic się nie porusza. Mam już wstać, gdy na białych kafelkach pod stopami zauważam czerwoną, rozmazaną plamę. Podnoszę jedną nogę, żeby się jej przyjrzeć, i odkrywam drobne zadrapania na kostce. Skóra jest poraniona, na jednym z draśnień widać małe kropelki krwi. Oglądam drugą kostkę – są na niej identyczne zadrapania.

Zdumiona, rozglądam się po łazience.

Co ja wyrabiałam przez sen?

Muszę się stąd wydostać. Natychmiast. Nie wiedzieć czemu wąskie, zamalowane okienko drażni mnie jeszcze bardziej, niż gdyby w pomieszczeniu w ogóle nie było okna.

– Mallory! – krzyczę, szarpiąc znowu za klamkę. – Mallory, możesz mi pomóc?

Chodzę tam i z powrotem pod drzwiami. Co mogę zrobić? Siedzieć i czekać, aż Mallory się obudzi? Czy próbować wyważyć drzwi? Podnoszę wzrok na szybę z matowego szkła, którą babcia

zamontowała nad drzwiami, żeby w łazience nie zrobił się grzyb.

Dalej, Tash! Rusz głową!

Rozglądam się po pomieszczeniu i mój wzrok pada na ceramiczny stojak na szczotkę do WC ustawiony obok sedesu. Ściągam ręcznik z uchwyty przy umywalce i owijam nim pięść. Wdrapuję się na szafkę umywalki i przepraszając w myślach świętej pamięci babcię, biorę zamach i walę stojakiem w szybkę.

Szyba pęka, odłamki szkła sypią się na podłogę po drugiej stronie. Owiniętą ręcznikiem dłonią usuwam ostre kawałki sterczące z ramy. Ściągam dwa ręczniki z haczyków na ścianie, przewieszam przez okienko, a potem nieruchomieję, nasłuchując szybkich kroków Mallory. Gdy nic takiego nie następuje, ogarnia mnie zwątpienie i konsternacja.

Czy to możliwe, że Mallory zamknęła mnie w łazience?

A może to ja zamknęłam się przed nią?

Łapię się zabezpieczonej ręcznikami krawędzi okienka i napędzana strachem oraz adrenaliną, wyskakuję w górę. Wisząc połową ciała na zewnątrz, przesuwam się do przodu, wciskam kolano w szparę obok siebie, tracę równowagę i wywinąwszy fikołka, wypadam na korytarz.

Łąduję ciężko na pupie i biodrze wśród chrzęstu potłuczonego szkła. Szybko sprawdzam, czy odłamki nie powbiły mi się w ramiona lub nogi i wyciągam kilka drobnych fragmentów szkła z paznokci i skóry. Mogło być znacznie gorzej, co mnie cieszy – jeszcze bardziej cieszę się z tego, że wyostałam się z łazienki.

– Mallory? – pytam znowu, zdejmując robiony na drutach sweter, który najwyraźniej pożyczyłam wczoraj wieczorem od Ally. Rozkładam go na potłuczonym szkłe i na palcach wydostaję się ze strefy zagrożenia. Szybkim krokiem ruszam do pokoju, w którym spała Mallory. Łóżko jest wygniecione, pościel zwisa na podłogę.

Na schodach nasłuchuję odgłosów szykowania śniadania. Nie słyszę ani bulgotania czajnika, ani szelestu wysypywanych płatków śniadaniowych. Gdy wchodzę do kuchni, jest w niej ciemno i cicho jak w grobie.

Wołam jeszcze raz, tym razem głośniej:

– Mallory? Bez żartów! Gdzie jesteś?

Metodycznie sprawdzam pokój po pokoju, przesuając się ku frontowi domu, a nogi z każdym krokiem robią mi się jak z waty. Zmuszam się, żeby zajrzeć do pokoju gościnnego, a gdy z niego wychodzę, ogarniają mnie mdłości.

Ten dom znów to zrobił. Uwięził mnie tu samą.

Mam cichą nadzieję, że Mallory lunatykuje. Może przez pomyłkę trafiła do innej sypialni. Wbiegam z powrotem na górę i ganiam po pokojach niczym dziecko bawiące się w chowanego. Gdy wracam do sypialni, w której spała Mallory, jej komórka wciąż znajduje się na stoliku nocnym. Buty leżą rozrzucone przy plecaku u stóp łóżka.

Wyglądam przez okno na ogród w dole i zauważam, że trawę pokrywa nieskazitelna warstwa szronu. Zbiegam na dół, pędzę do kuchennych drzwi i wyglądam przez okienko, po czym sięgam do zasuwki. Rozsądek każe mi się zatrzymać. Mallory nie może być na werandzie na tyłach domu, skoro drzwi są wciąż zamknięte od środka.

Zasuwa oraz łańcuch na drzwiach frontowych też tkwią na swoim miejscu. Idę z pokoju do pokoju, sprawdzając okna, ale wszystkie są zamknięte. Dopiero po zrobieniu obchodu całego domu, sprawdzeniu każdej szafy, zajrzeniu pod każde łóżko, do spiżarni, pralni i za zasłonkę prysznicową poddaję się narastającej panice.

Mallory, która była pod moją opieką, zniknęła.

Z domu, który jest nadal zamknięty od środka.

Łapię komórkę, siadam przy kuchennym stole i prawie wybieram numer Mallory, ale przypominam sobie, że jej telefon leży na górze. Zdesperowana, dzwonię do Morgana. Albo wciąż śpi, albo filtruje niechciane rozmowy, bo od razu włącza się poczta głosowa.

– Morgan, proszę, oddzwoń, gdy tylko odsłuchasz tę wiadomość – mówię. – To pilne. Chodzi o Mallory.

Rzucam telefon na blat i rozglądam się bezradnie po pustej kuchni. Przypominam sobie, jak wiele lat temu, siedząc w tym samym miejscu, Ally zapewniała mnie, że nie ma nic złego w byciu innym i jak bardzo zależy jej na tym, żeby moi rodzice nie dowiedzieli się, że coś w mojej głowie szwankuje. Widywałam wtedy rzeczy, które nie istniały, i wymyślałam różne sytuacje, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Czy wciąż to robię?

Czy mam obsesję na punkcie Fisherów, co zarzucił mi Morgan?

A jeśli tak... czy mogłam skrzywdzić Mallory?

Obejmuję głowę rękami, usiłując zaczerpnąć powietrza w płuca. Przypominam sobie słowa Sadie: „Jaki jest wspólny mianownik, Tash?”. Zawsze myślałam, że te wszystkie niepokojące rzeczy mi się przydarzały. A co, jeśli to ja je aranżowałam? Jeśli planowałam to wszystko, żeby zdobyć współczucie i uwagę, jak chorzy psychicznie rodzice podtruwający własne dzieci?

A co, jeśli to ja skrzywdziłam Benny’ego?

Co, jeśli zrobiłam krzywdę innym?

Cała się trzęsę. Tyle rzeczy wydaje się nie mieć sensu. Zadaję sobie pytanie, czy kiedykolwiek go miały, czy kiedykolwiek byłam w stanie odróżnić prawdę od fantazji. Nic dziwnego, że moi rodzice są nadopiekuńczy – pewnie rozumieją mnie lepiej niż ja sama siebie.

Dygocę tak mocno, że mam wrażenie, że zaraz popękają mi

kości. Sięgam po komórkę i dzwonię do jedynej osoby, która jest w stanie ściągnąć mnie znad krawędzi.

Sadie odbiera po trzecim sygnale.

– Hej. Jest strasznie wcześnie: wszystko gra?

– Sadie – szepczę.

– Tash? Co się stało?

– Chyba... chyba coś zrobiłam, Dee. Coś złego.

– Tash, mów głośniej. Ledwo cię słyszę. Gdzie jesteś?

– W domu ciotki w Willow Creek.

– Okej – mówi Sadie. – Co się dzieje?

Dotykam drżącą dłonią czoła.

– Możliwe, że zrobiłam coś Mallory.

– Mallory Fisher? O czym ty mówisz? Gdzie twoja ciotka?

– Ally tu nie ma – odpowiadam. – A Mallory po prostu... zniknęła.

Sadie wypuszcza powietrze.

– Tashie? Słyszę, jaka jesteś zdenerwowana. Musisz się uspokoić i wyjaśnić mi, co się dokładnie dzieje.

Ściskam komórkę jak w imadle.

– Mallory została u mnie wczoraj na noc. Dziś rano nie mogę jej znaleźć.

– Może poszła się przejść – podsuwa Sadie. – Pożyczyła twoje klucze?

– Nie. Mam je tutaj. Zresztą nie mogła zasunąć za sobą zasuwki. To można zrobić tylko od wewnątrz.

– A okna? Może spanikowała, bo nie mogła otworzyć drzwi.

– Wszystkie okna też są zamknięte od środka.

– A co mogłaś jej zrobić?

– Nie... nie wiem. Myślę, że jestem chora. Myślę, że robiłam różne rzeczy, które wymazałam z pamięci.

– Na przykład? – pyta Sadie z obawą w głosie.

– Zaatakowałam Rachel na molo. Chyba zabrałam jej telefon, bo nagrała to, co mówiłam o Wróblu w klubie żeglarskim.

– Nie zaatakowałaś Rachel – mówi stanowczo Sadie.

– Skąd wiesz?

– Bo cię znam, Tash. Nie skrzywdziłabyś jej, chociaż wszyscy wiemy, że czasem przydałoby się palnąć ją w łeb.

– Dee, ja nie żartuję.

– Ja też nie! Nie ma mowy, żebyś to zrobiła. Pamiętałabyś.

– Wcale nie jestem tego taka pewna. Chyba nie ufam swojej pamięci...

– Ja jestem pewna.

– Mówiłaś przecież, że jestem wspólnym mianownikiem tych wszystkich dziwnych zdarzeń?

Sadie wzdycha tak ciężko, że słyszę jej oddech w telefonie.

– Chyba obie powiedziałyśmy rzeczy, których tak naprawdę nie myślimy.

– Ale to prawda? Z tym wspólnym mianownikiem?

– Tak. Ale najwyraźniej jeszcze ktoś nim jest. Musi być jakieś inne wytłumaczenie.

– Oprócz tego, że oszalałam?

– Tash – mówi Sadie – jesteś najzdrowszą na umyśle szaloną osobą, jaką znam.

Zwieszam głowę.

– Naprawdę się boję. Czuję, że tracę głowę.

– Posłuchaj, nie jesteś sama, wiesz, że zawsze możesz na mnie

liczyć. Pożyczę od mamy furgonetkę i przyjadę do ciebie. Razem to wyjaśnimy, okej? Jaki to adres?

Podaję jej wskazówki dojazdu, ściskając telefon tak mocno, że grozi to jego zepsuciem.

– Już wyjeżdżam – oznajmia Sadie. – Zjedz śniadanie i weź prysznic. Nigdzie się nie ruszaj. Nic złego się nie stanie, jeśli zostaniesz w domu.

W tym właśnie sęk – to ten dom jest problemem.

To tu wszystko się zaczęło, więc logiczne jest, że i tu musi się to zakończyć.

*

Biorę sobie do serca radę Sadie i postanawiam zjeść na śniadanie suche tosty, które są chyba jedyną rzeczą, która może zapobiec kolejnej fali mdłości. Bez zastanowienia otwieram chlebak, w którym nie ma nic oprócz pospiesznie ukrytej komórki Rachel. Serce mi się ściska, gdy ją wyjmuję i obracam kilka razy w dłoniach. Włączam ją – nie jest zabezpieczona hasłem.

Przeglądam album ze zdjęciami, w którym jest parę filmików z plaży i ze szkoły. Na kilku z nich Rachel wygłupia się z rodzicami i Christopherem w ich domu. Najnowszy film to trzyminutowe nagranie z urodzin w Kimchi. Nie ma żadnego filmu z klubu żeglarskiego z moim wyznaniem o Wróblu. Rachel blefowała.

Albo zdążyłam usunąć dowody.

Odpycham telefon na drugi koniec stołu i rozglądam się po kuchni. Wpatruję się w magnes kliniki weterynaryjnej na lodówce, rozmyślając nad tym, co powiedziała Margaret – Ally w ogóle się do niej nie odezwała. Więc to już druga związana ze mną osoba, która zaginęła.

Pędzę na piętro do sypialni Ally i przetrząsam szafę oraz

szuflady w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki. Nie wiem nawet, czego właściwie szukam, kiedy w głębi szafy odkrywam walizkę. To chyba ta sama sfatygowana brązowa walizka, którą ciotka spakowała na wyjazd do ośrodka jogi w ubiegłym miesiącu. Pamiętam, jak stała przed frontowymi drzwiami.

Wyciągam walizkę na środek pokoju, żeby ją otworzyć. W środku znajdują się długie, kwieciste spódnice Ally, koszulki w barwach ziemi, czarne spodnie do jogi i paczka papierosów.

Czy Ally w ogóle dotarła na warsztaty jogi? Czy po prostu nie chciało jej się rozpakować po powrocie?

Wstaję chwiejnie i ruszam do gabinetu Ally na końcu korytarza. To jeden z tych pokoi, które dziewięć lat temu były zawsze zamknięte na klucz i miałam do nich zakaz wstępu. Dziś otwieram drzwi na oścież i przerzucam szpargały na biurku ciotki, ani przez sekundę nie przejmując się tym, że naruszam jej prywatność.

Przeładam samoprzylepne karteczki i notesy, szukając czegokolwiek, co zdradziłoby mi jej obecne miejsce pobytu. Pod stertą nieotwartych listów leży tygodniowy terminarz. Jeden z marcowych weekendów jest założony satynową wstążką, a moje imię wpisane jest długopisem trzy dni z rzędu. Pod sobotą Ally zanotowała „Życie i Umysł, Byron” i wzięła napis w kółko. Szukam skrawka papieru, żeby to zapisać, a potem zmieniam zdanie i zabieram na dół cały kalendarz.

W kuchni googluję w telefonie „Życie i Umysł, Byron Bay”. Jako pierwszy wynik wyszukiwania wyskakują dane teleadresowe firmy. Wybieram podany numer telefonu i czuję ulgę, gdy ktoś odbiera – bądź co bądź, jest Poniedziałek Wielkanocny i nie ma jeszcze godziny ósmej.

– Dzień dobry. Moja ciocia przebywała w waszym ośrodku w marcu – zwracam się do recepcjonistki i podaję jej daty

z leżącego przede mną kalendarza. – A przynajmniej miała taki zamiar. Chciałam sprawdzić, czy faktycznie dotarła na miejsce.

– Nie możesz sama jej o to zapytać? – odpowiada oschle recepcjonistka.

Starając się naśladować uprzejmy, acz stanowczy ton Sadie, mówię:

– Moja ciocia zaginęła, a ja proszę panią o pomoc. Może mi pani odpowiedzieć czy nie?

Kobieta wzdycha.

– Chwileczkę.

Przełącza mnie na oczekiwanie i przez kilka minut słucham fletni Pana oraz szumu strumyka. Kiedy wraca na linię, słyszę szelest kartek.

– No dobrze – zaczyna. – Chcę uprzedzić panią, że nie zwracamy pieniędzy gościom, którzy się nie pojawili.

Osuwam się na najbliższe krzesło.

– Czy chce pani przez to powiedzieć, że Ally Carmody nie przyjechała w umówionym terminie?

– Zgadza się. Próbowaliśmy skontaktować się z nią kilka razy i nie ponosimy odpowiedzialności za to, że nie oddzwoniła. To była sesja opłacona z góry, a refundacja jest możliwa tylko...

Rozłączam się i kartkuję terminarz Ally, przeglądając tygodnie poprzedzające moją marcową wizytę. Jej zapiski są albo nieczytelne, albo tak skrótowe, że nic z nich nie rozumiem. Cofam się aż do dnia, w którym ciocia pojawiła się na progu naszego domu w Port Bellamy w wirze cygańskich spódnic i atmosferze wrogości. W poprzek strony nagryzmolone są dwa zdania:

Pierwsze brzmi: ODEBRAĆ KLUCZE OD RICHA!

A pod spodem: *PJ – 9 rano. Róg Mavis i Lindsay Street,*

Cessnock.

Moją uwagę natychmiast przyciąga skrót „PJ”. Tak jak szkolna sympatia Ally? Peter czy Patrick jakiś tam? Myślałam, że zerwali kontakty. Wygląda na to, że Patrick żyje, ma się dobrze i mieszka w Cessnock, jeśli to rzeczywiście ta sama osoba. Kiedy tamtego dnia podsłuchałam rozmowę rodziców w kuchni, tata wspominał, że Ally wpadnie do nas po drodze z Hunter Valley. Czy Ally pojechała tam z powodu PJ-a?

Może on wie, gdzie jest ciotka.

Może jest z nim teraz w Cessnock.

Łapię komórkę i wpisuję w wyszukiwarkę adres z kalendarza, licząc na to, że wyrzuci adres domowy z numerem telefonu. Skoro Ally nie odbiera telefonu, może PJ odbierze swój. Pierwszy wynik wyszukiwania to szary kwadrat map Google z adresem poniżej. Strzałka wskazuje wyszukiwany obiekt.

Zakład Karny w Cessnock.

Marszcząc brwi, wciskam klawisz Backspace i wpisuję ponownie adres. Znów to samo.

Ally była w więzieniu o dziewiątej rano tego samego dnia, kiedy zjawiała się u nas? Pamiętam wyraźnie, że gdy wmaszerowała do naszego domu, ktoś palił papierosa w jej samochodzie. Wszystko wskazuje na to, że to poboczny wątek komplikujący moje poszukiwania Ally, co wcale nie zmniejsza mojego niepokoju o Mallory. Ale instynkt podpowiada mi, że ten strzępek informacji jest ważny.

Szukam w pamięci szczegółów na temat byłego chłopaka Ally, rzeczy, które opowiadała mi tu, w tej kuchni. Był biegaczem czy coś w tym rodzaju. Należał do szkolnej drużyny lekkoatletycznej – miał przydomek Rakieta. Peter Jones? Patrick Jones? Patrick Jonas? Tak! Patrick Jonas.

Wrzucam w Google hasła „Patrick Jonas” i „Zakład Karny Cessnock”. Pierwszy wynik wyszukiwania to artykuł z gazety.

Wstrzymując oddech, otwieram link.

38

WTEDY

„The Shore Observer” (numer archiwalny)

Dział: Wiadomości

Data: 28 lutego 2008

GLOUCESTER, NOWA POŁUDNIOWA WALIA. Mieszkaniec Gloucester skazany na jedenaście lat więzienia za handel metamfetaminą.

Patrick Michael Jonas z Gloucester w Nowej Południowej Walii został w ubiegłą środę skazany na jedenaście lat więzienia za nielegalny obrót metamfetaminą, zwaną potocznie kryształem.

Jonas, lat 36, został aresztowany 16 stycznia po tym, jak policyjna brygada antynarkotykowa przeszukała jego miejsce zamieszkania przy Roberts Road na podstawie anonimowego zgłoszenia. Policja skonfiskowała wagę cyfrową, 825 dolarów gotówką i liczne torebki strunowe zawierające łącznie 215 gramów przezroczystych kryształków. Substancja została przebadana i okazała się metamfetaminą.

Jonas spędzi jedenaście lat w zakładzie karnym w Cessnock w Nowej Południowej Walii z możliwością ubiegania się o przedterminowe zwolnienie po dziewięciu latach.

39

TERAZ

„Po dziewięciu latach”.

Te ostatnie trzy słowa artykułu są niczym reflektory rozświetlające czarną mgłę.

Minęło dziewięć lat od tamtego koszmarnego lata w Willow Creek. Dziewięć lat od zaginięcia Mallory. Dziewięć lat, odkąd Wróbel wleciał ciemną nocą do mojej sypialni i zapytał, czy chcę się z nim bawić.

Sprawdzam jeszcze raz datę aresztowania Patricka Jonasa – 16 stycznia 2008 roku. Cztery dni po zniknięciu Mallory i trzy dni przed jej odnalezieniem. Uznano, że błąkała się samotnie po Parku Narodowym Barrington Tops najwyżej czterdzieści osiem godzin. Patrick Jonas mieszkał w pobliżu Greenwillow w chwili aresztowania.

Czuję, jakby całe moje dzieciństwo było niczym rozrzucone po podłodze puzzle – wystarczy, że podniosę je we właściwej kolejności, by ułożyć z nich sensowną całość.

Googluję „Patrick Jonas aresztowanie metamfetamina”, licząc na znalezienie zdjęcia z procesu. Klikam w *obrazy* i ekran zapełnia się dziesiątkami miniaturowych policyjnych zdjęć. Przewijam rzędy twarzy, powiększając zdjęcia tych mężczyzn, którzy w 2008 roku mogli być w wieku zbliżonym do Ally. Jednak według nazw plików

i załączonych linków żaden z nich nie jest Patrickiem Jonaszem. Mimo to są do niego przerażająco podobni.

Wychudzone twarze. Ziemista cera. Niektórzy mają owrzodzenia na czołach i nosach. Upstrzone strupami policzki i szyje. Jeden z mężczyzn uśmiecha się do aparatu, demonstrując rząd zepsutych zębów, w większości czarnych pieńków sterczących z gnijących dziąseł. Kilka zdjęć przedstawia wielokrotne aresztowania tej samej osoby, co pozwoliło uchwycić postępujące wyniszczenie i przedwczesne starzenie się narkomana. Nie sposób stwierdzić, w jakim byli wieku, kiedy ich sfotografowano.

Kilkoma kliknięciami wchodzę na stronę poświęconą uzależnieniu od kryształku, na której zamieszczono film z aresztowania ćpuna w pociągu, nagrane przez jednego z pasażerów. Narkoman jest rozdygotany i rozdrażniony, nie jest w stanie zapanować nad rękami, którymi rozdrapuje skórę rąk. Próbuje przebłagać policjantów i targować się z nimi, by w następnej chwili rzucić się na nich z błyskiem wściekłości w pustych oczach.

Nagłe olśnienie odbiera mi dech w piersi.

Ten mężczyzna i te zdjęcia przypominają mi Wróbla.

Odkładam telefon i przeczesuję włosy palcami, usiłując połączyć fakty.

Ja, Mallory, Wróbel, Patrick Jonas i Ally. Tamto letnie popołudnie w wesołym miasteczku.

Teorie rozbijające się we wnętrzu mojej czaszki przyprawiają mnie o ból głowy, towarzyszy im jak echo rytmiczne dudnienie starego bojlera napełniającego się po moim prysznicu. Gdyby Benny tu był, już zbiegałby do holu i ujadał pod drzwiami piwnicy.

Podnoszę wzrok znad telefonu i dotykam palcami kołnierzyka

zachlapanej wymiocinami pizamy.

Jeszcze nie brałam prysznic.

Skądkolwiek dobiega ten dźwięk, nie jest to odgłos bojlera.

*

Kiedy robiłam obchód domu w poszukiwaniu Mallory, nie zajrzałam do piwnicy. Po co? To zatęchła, ciemna dziura. Nie ma tam nic ciekawego i nie ma stamtąd drugiego wyjścia. Przebywanie po tej stronie drzwi jest wystarczająco przykre i nie mam najmniejszej ochoty narażać się na klaustrofobiczne koszmary czyhające na mnie z drugiej strony.

Kiedy babcia jeszcze żyła, odważyłam się wejść do piwnicy tylko raz. Na rok przed jej śmiercią tata pomagał jej przewieźć kilka antyków. Kiedy tato i babcia wynosili do samochodu komplet krzeseł z drewna orzechowego, ja zostałam na dole, żeby się rozejrzeć. Wytrzymałam tam mniej niż trzy minuty – gdy tylko bojler zasyczał, popędziłam schodami na górę, jakby duch zmarłego Szkota deptał mi po piętach.

Pamiętam jedno: na zewnątrz nie prowadzą żadne drzwi. Nie ma nawet okna. Jeśli Mallory zeszła tam z własnej woli, to po to, żeby się ukryć.

A jeśli nie zrobiła tego z własnej woli...

Robię głęboki wdech, przekręcam klamkę, przymykam na sekundę powieki i popycham drzwi. Drewniane stopnie giną w mroku. Szukam na oślep włącznika światła, wciągając w nozdrza zapach stęchlizny. Macki chłodu oplatają mi twarz i ramiona, ciągnąc mnie w dół.

Pod niskim belkowanym stropem zapala się kilka żarówek, ukazując surowe ściany z połączonych zaprawą kamieni. Swego czasu na podłogę wylano beton, a niektóre belki zastąpiono

nowymi. Obok schodów stoi stary stół warsztatowy, na którym piętrzą się zepsute sprzęty, wśród nich stara lodówka pozbawiona drzwiczek. Bojler stoi w przeciwległym rogu, zardzewiały i nieszkodliwy, cieknąca z niego woda tworzy na podłodze kałużę. Przywodzi na myśl starą, udręczoną duszę, a mnie ogarnia coś w rodzaju współczucia.

To zabawne, że w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa rzeczy, których tak się baliśmy, wydają się całkiem zwyczajne.

Druga połowa pomieszczenia jest zagracona starymi meblami: ustawionymi na chybił trafił modernistycznymi stolikami do kawy, stołkami barowymi w stylu *art déco* i uszakami w kwieciste wzory. Rustykalny kredens stoi odsunięty pod kątem od ściany. W ciemnym rogu, na blacie staroświeckiego stołu jadalnego ktoś urządził sobie posłanie. Domyślam się, że materac i pościel zostały ściągnięte z sypialni na piętrze. Po podłodze walają się resztki jedzenia i puste opakowania, w powietrzu czuć zapach rozkładających się skórek owoców. Pod ścianą ktoś ustawił puste butelki po wodzie jak kręgle.

Ktoś tu mieszkał?

Włoski na ramionach stają mi dęba.

– Mallory? – pytam ostrożnie. Przystaję, żeby uspokoić oddech. Nadstawiam uszu i przez sekundę nasłuchuję w kompletnej ciszy. Zaraz przerywa ją jednak seria stłumionych brzdęków. Obracam się w stronę bojlera, serce wali mi w piersi jak młotem.

– Mallory? – powtarzam, tym razem głośniej. W odpowiedzi słyszę dudnienie. Rozglądam się po pomieszczeniu, szukając źródła dźwięku. Brzmi tak, jak gdyby dochodził z wnętrza murów.

Kiedy podchodzę do sosnowego kredensu, dźwięk przybiera na sile. Wślizguję się za mebel i przystawiam ucho do ściany. Dopiero po sekundzie orientuję się, że to nie jest kamienny mur. Odsuwam

kredens jeszcze bardziej, żeby mieć więcej światła, i odkrywam zwykłe drewniane drzwi.

Co to ma być, do diabła?

Odsuwam się od drzwi i szukam czegoś, w co mogłabym się uzbroić – nie wiadomo, co zastanę po drugiej stronie. Na małym stoliku w rogu stoją dwa pojedyncze trzydziestocentymetrowe świeczniki. Biorę jeden z nich do ręki. Toczone drewno jest solidne i daje mi poczucie siły.

Znów przyciskam ucho do drzwi. Łoskot ustał, ale zastąpiło go natarczywe nucenie, jak gdyby ktoś usiłował śpiewać wysokim głosem.

Unoszę świecznik w prawej ręce, naciskam klamkę lewą, popycham drzwi i robię krok do tyłu. Ostre światło dzienne pada mi na twarz, zmuszając mnie do przysłonięcia oczu.

Dwa poziome okna pod sufitem zalewają graciarnię światłem. Usiłuję zorientować się, gdzie jestem na planie domu. Jak mogłam nie zauważyć tych okien z zewnątrz?

Ależ zauważyłam je już wcześniej. W ten weekend, kiedy opiekowałam się Bennym. Znalazłam go w ogrodzie, kiedy czekał właśnie pod tymi oknami, ukrytymi przy ziemi z lewej strony domu.

Mrużąc oczy przed słońcem, dostrzegam jeszcze więcej antyków: mahoniowe wezłowie łóżka, komplet stolików nocnych, pusty regał na książki sięgający niczym drabina aż do okien. W nozdrza uderza mnie smród, przykry odór nieczystości niczym w publicznej toalecie. Znajomy zapach przesiąkniętych moczem ubrań, który pamiętam aż za dobrze z dzieciństwa.

Ktoś tutaj był.

Ktoś może tu być w tej chwili.

Po prawej stronie widzę plecy wielkiej szafy, która zasłania mi

drugą połowę pomieszczenia. Z wahaniem robię krok naprzód, potem drugi, cały czas trzymając nad głową świecznik gotowy do ciosu. Znów rozlega się pozbawione melodii nucenie, które teraz słyszę znacznie lepiej. Coś szeleści i chrobocze na betonowej podłodze w kącie, którego nie widzę. Chcę zawołać znowu Mallory, ale instynkt podpowiada mi, żeby być cicho.

Wychodzę z za wielkiej szafy i wtedy ją dostrzegam: drucianą klatkę dla psa, która zniknęła z szopy w ogrodzie, kiedy byłam tu poprzednim razem.

W środku tkwi Mallory.

Rzucam się naprzód – moja pierwsza reakcja to biec jej na ratunek. Ale zaraz znów słyszę skrobanie i dociera do mnie, że to nie Mallory się porusza. Jest tu z nami ktoś jeszcze.

Skradam się kilka ostatnich kroków i zaglądam za szafę. Parę metrów od klatki kuli się pod ścianą jakaś postać. Odwrócona do mnie plecami, majstruje coś przed sobą, ale rozpoznaję wzorzysty materiał spódnicy, teraz zabrudzonej na brzegach. Włosy zwisają jej na ramiona w długich, tłustych strąkach.

– Ally?

Na dźwięk mojego głosu ciotka obraca głowę i spogląda na mnie przerażonym wzrokiem. W miejscu, gdzie powinny być usta, ma przyklejony szeroki pasek szarej taśmy izolacyjnej. Usiłuje coś powiedzieć, ale wydaje z siebie tylko nagłące pomruki, rozdymając nozdrza z wysiłku. Podbiegam do niej, a ona pręży się cała, próbując mi coś przekazać – jedną brudną nogą robi wymach w bok, żeby kopnąć w pionową rurę z wodą na ścianie.

– O mój Boże. Co to ma znaczyć? – Drżącymi palcami ostrożnie podważam brzeżek taśmy. – Co tu się dzieje?! – Ledwo chwytam za taśmę, a Ally szarpie głową w bok, zrywając ją jednym szybkim ruchem. Skóra pod spodem jest podrażniona, usta łuszczą się i są

popękane. Ally dławi się zwiłkiem gazy, który wciąż tkwi w jej ustach. Szybko go wyciągam.

– Zaraz tu wróci! – mówi ochrypłym głosem. – Zaraz wróci! – Pierś jej faluje, gdy łapie ją atak suchego kaszlu.

– Kto? – pytam. – Kto to zrobił?

Ally się krzywi.

– PJ.

– Twój chłopak z liceum? – Przypominam sobie artykuł o jego aresztowaniu. – Co takiego? Dlaczego? – Zerkam na Mallory skuloną w drucianej klatce, z głową wciśniętą w kąt, jakby drzemała.

– Szybko. Może wrócić w każdej chwili – ponagla mnie Ally, szarpiąc rękami. Są związane pomarańczowym kablem, mój ojciec używał takiego do kosiarki strunowej. Jest zawinięty parę razy wokół każdego nadgarstka, potem owinięty kilkakrotnie wokół rury z wodą i zaplątany na kilka supłów. – Musisz to czymś rozciąć.

Upuszczam świecznik i rozglądam się za czymś ostrym. Mój wzrok znów pada na drucianą klatkę, której drzwiczki są zamknięte chromowaną kłódką.

– Mallory? Słyszysz mnie?

– Jest odurzona – mówi Ally. – Podał jej środek nasenny. Tobie też.

– Środek nasenny? O czym ty...? – A potem przypominam sobie, jakie otumanione byliśmy wczoraj wieczorem po jednej szklance wina. Zostawiłyśmy je na kuchennym stole, kiedy poszłyśmy na górę założyć piżamy i sprawdzić zamki. – Dodał nam czegoś do picia?

– Nie wiem, jakim cudem trzymasz się na nogach – odpowiada Ally. – Kiedy mnie uspił, byłam nieprzytomna przez piętnaście godzin.

Dotykam kołnierzyka pizamy, który wciąż kwaśno pachnie.

– Zanim zasnęłam, zwymiotowałam całą zawartość żołądka. Musiałam pozbyć się narkotyku z organizmu.

– Dzięki Bogu. – Ciotka wskazuje głową klatkę. – Przywłókł ją tutaj wczorajszej nocy. Czekałam, aż zaciągnie tu ciebie.

Myślę o moich obolałych barkach i tajemniczych zadrapaniach na kostkach nóg.

– Gdzieś mnie włókł. Obudziłam się zamknięta w łazience.

– Jesteś za ciężka – stwierdza Ally, mierząc mnie wzrokiem. – Nie dałby rady. Pewnie myślał, że jesteśmy podobnej budowy. Ciesz się, że nie włókł cię dwa piętra w dół. Ja obudziłam się cała posiniaczona.

Zerkam na Mallory, na jej drobną sylwetkę w pizamie w kwiaty. Na samą myśl o tym, że ją niósł, że jej dotykał...

– Szybko! – woła Ally, aż się wzdrygam. – Pospiesz się! Znajdź coś ostrego. Już!

Odwracam się, żeby przeszukać resztę pomieszczenia. Podłoga cuchnie uryną i fekaliami, w rogu stoi zapaskudzone wiaderko, do którego nie mam najmniejszego zamiaru się zbliżyć. Tu też walają się resztki jedzenia, butelki po wodzie i rolki po papierze toaletowym.

Pod ścianą poniżej okienek stoi wielki drewniany kredens pełen staroświeckiej zastawy. Szperam wśród zardzewiałych blach do pieczenia i malowanych puszek na ciastka, szukając nożyczek albo dużego noża.

– Od jak dawna tu jesteś? – pytam.

– Kilka tygodni. – Ally stęka, usiłując rozruszać barki. – Od tamtego weekendu, kiedy miałaś zająć się Bennym.

Odwracam gwałtownie głowę.

– Przecież wysyłałaś mi SMS-y. Zaprosiłaś mnie na Wielkanoc.

– To nie ja. – Na dowód tych słów potrząsa skrępowanymi rękami. – To on. Chciał cię tu ściągnąć z powrotem.

– Mnie? – pytam, rozdziawiając usta. – Po co?

– W ten pierwszy weekend nie wszystko poszło zgodnie z jego planem. Przywłókł mnie tu pierwszej nocy, a kolejnej zamierzał ściągnąć ciebie, kiedy już zniesie na dół klatkę. – Kiwa głową w stronę Mallory. – Ale nie mógł cię dopaść, bo w domu był ktoś jeszcze.

– Morgan – szepczę. Jak mogłam pomyśleć, że Morgan jest niebezpieczny? W rzeczywistości ocalił mnie tamtej nocy. – Został ze mną, bo martwiłam się o Benny’ego.

Ally wykręca się, żeby na mnie spojrzeć.

– Tash – mówi – nie słyszałam Benny’ego od dnia, kiedy tu trafiłam. Co zrobił PJ? – Głos jej się łamie. – Co on zrobił mojemu psu?

– Benny’emu nic nie jest. – Usiłuję zebrać rozproszone myśli, mój mózg ledwo nadąża z przetwarzaniem nowych informacji. Benny szczekał pod oknami piwnicy i drapał w prowadzące do niej drzwi. Stanowił zagrożenie. – Został ranny, więc ściągnęliśmy tu weterynarza. Jest pod opieką zastępczą, możemy przywieźć go do domu, kiedy tylko zechcesz.

Wymieniamy spojrzenia – Benny nie wróci do domu, jeśli nie wydostaniemy się z tej piwnicy.

Porzucam drewniany kredens i podchodzę do orzechowej komody w kącie. Szarpnięciem otwieram najwyższą szufladę i przeglądam jej zawartość, rozgarniając długopisy i gumki recepturki, rolki taśmy klejącej i pliki papierów, które spadają na podłogę. W środkowej szufladzie są tylko zatechłe planszówki, różowy sweterek, brudne tenisówki, same bezużyteczne rupiecie,

które sprawiają, że klnę pod nosem. Ale w dolnej szufladzie pobrzękują sztucce. Grzebię wśród widelców i łyżek, aż w końcu zaciskam palce na dużym srebrnym nożu do chleba.

Kiedy wstaję, stopa ślizga mi się na jakichś śmieciach, które wypadły z komody. Odklejam od podeszwy plastikowy woreczek i już mam go rzucić na ziemię, kiedy coś przykuwa moją uwagę. U góry torebki ktoś nabazgrał długopisem: BORONIA AVENUE 11.

Stary adres Fisherów w Port Bellamy?

Pismo wydaje się znajome. Litera „o” są przekreślone jak zera.

W woreczku znajdują się pozwijane kremowe wstążki. Unoszę przezroczysty plastik w stronę okna, połyskliwa organza mieni się w słońcu.

Nie, to nie wstążki.

Mrużę oczy.

Czy to...?

Spoglądam na głowę Mallory wciśniętą w kąt klatki.

– Może być – stwierdza Ally. – Pospiesz się. Szybko. Szybko!

Mrugam, nie rozumiejąc. Ally ruchem głowy wskazuje ząbkowany nóż w mojej dłoni.

Upycham woreczek w kieszeni spodni od piżamy, podbiegam do rury z wodą i klękam na brudnej podłodze obok ciotki. Zerkam niepewnie na ostrze noża. Może zdołam przeciąć nim kabel wokół nadgarstków Ally, ale nie mam pojęcia, jak usunąć kłódkę z klatki Mallory. Przęłykam ślinę, czując podchodzącą do gardła panikę.

Oddychaj, Tash. Nie wszystko naraz.

– Kim on jest? – pytam, piłując nożem kabel między rękami Ally a rurą. – Kim on naprawdę jest?

Ciotka osuwa się na ścianę. Próbując się oswobodzić, w kilku

miejskach otarła skórę na nadgarstkach do żywego mięsa.

– Moją bratnią duszą – odpowiada, potrząsając głową, jak gdyby to był jakiś kiepski żart. – Z gębą pełną frazesów i obietnic. Schodzimy się i rozstajemy od czasów liceum. Opowiadałam ci o nim, kiedy widziałyśmy się ostatnim razem. Nazywa się Patrick Jonas. Ty... – Wypuszcza powoli powietrze z płuc. – Ty znasz go pod innym imieniem.

Cała sztywnieję, nóż zastyga nad kablem.

Ally odwraca wzrok.

– Wróbel. Patrick to twój Wróbel.

Ściska mnie w gardle. Z trudem udaje mi się wydusić:

– „Mój” Wróbel?

Ciotka powiedziała to w taki sposób, jak gdyby Wróbel był wyłącznie mój, tak jakby był wytworem mojej wyobraźni, którego nikt inny nie może zobaczyć. Ale to przecież nieprawda. To nigdy nie była prawda. I Ally właśnie to przyznała.

Szarpię ją za ramię, zmuszając, żeby na mnie spojrzała.

– Wiedziałaś o tym?

Ally wbija wzrok w ścianę, głos ma dziwnie nieobecny.

– To była delikatna sytuacja i...

– Wiedziałaś?! – Rzucam nóż na ziemię i wstaję. – Przez cały ten czas wiedziałaś, co wyprawia i nawet nie kiwnęłaś palcem?

– Przecież nic takiego właściwie nie zrobił, prawda?

Z ust wyrywa mi się zduszony okrzyk oburzenia.

– On mnie dręczył, Ally. Przerazał. Prawie utopił mnie w strumieniu!

– Nie widziałam, że...

– Mówiłam ci! Mówiłam ci przecież. Pozwoliłaś, żeby zarzucono mi kłamstwa i domaganie się uwagi. Przez całe lata miałam nocne

koszmary, bo nikt mi nie wierzył. Nawet rodzice mi nie wierzyli.

Ally zwiesza głowę, unikając mojego wzroku.

– Wiem. Mdlilo mnie od tego wszystkiego. Ale uznałam, że lepiej dla wszystkich będzie zapomnieć o całej sprawie. PJ i tak trafił do więzienia, nie mógł nikogo skrzywdzić.

– Skrzywdzić? On mnie złamał, Ally. Po tamtym lecie nigdy nie byłam już taka sama.

– Ale teraz wszystko jest już w porządku? Doszłaś do siebie.

– Czy ja wyglądam, jakbym doszła do siebie? – Głos mi się załamuje. – Nic nie wiesz o moim życiu.

– Posłuchaj, Tash...

– Boże, a ja ci zaufałam. – Nie jestem w stanie opanować drżenia w głosie. – Twierdziłaś, że jestem inna. Mówiłaś, że jesteśmy do siebie podobne. Ale ja nie jestem taka jak ty. Nigdy nie chciałabym być taka jak ty.

Ally targa kablem, pomrukując z frustracji.

– On zaraz wrócisz, rozumiesz? Kiedy się stąd wydostaniemy, możesz ogłosić wszem wobec jaka ze mnie wredna suka...

– Moi rodzice nie będą zaskoczeni...

– Serio? Nie mów.

Odwracam się do niej plecami, gryząc się w język, chociaż mam ochotę wykrzyknąć jej w twarz tyle rzeczy. Ze złości aż kręci mi się w głowie. Dławię się łzami, które chcę przed nią ukryć. Przytrzymuję się ręką szafy i moje palce natrafiają na delikatną rozetę wyrzeźbioną na drzwiach. Wpatruję się w drewno palisandru między palcami, a potem podążam wzrokiem ku górze, wzdłuż ozdobnego obramowania. Motyw oplata dziurkę, w której tkwi mosiężny klucz, a potem wędruje ku łukowatemu zwieńczeniu szafy.

Cofam się, żeby objąć wzrokiem cały mebel.

To wiktoriańska szafa z rysunków Mallory.

Obracam się w stronę psiej klatki na podłodze. Mallory porusza się przez sen, z policzkiem przyciśniętym do metalowych prętów. Kolejny kawałek tej chorej układanki trafia na swoje miejsce: Mallory była już kiedyś więziona w tej piwnicy. Widziałam jej notes. Widziałam jej wspomnienia.

– To tutaj ją przetrzymywał – szepczę. Kątem oka widzę, że Ally mnie obserwuje. Podchodzę do niej stanowczym krokiem. – Dlaczego Patrick Jonas uprowadził Mallory z wesołego miasteczka?

Ally spogląda z jękiem w sufit.

– Nie mamy na to czasu.

– Unikałaś odpowiedzi przez dziewięć lat, Ally. Lepiej zacznij mówić.

Ally rzuca mi ponure spojrzenie pełne wzdąrdy, jaką zwykle rezerwuje dla mojego ojca. Wskazuje głową nóż leżący na podłodze między nami.

– Ty tnij, a ja będę mówić.

40

WTEDY

20 grudnia 2016

Stenogram z sesji z doktor Ingrid Ballantine

Oddział psychiatrii dzieci i młodzieży

Klinika dziecięca w Newcastle

Pacjentka: Natasha Carmody, 17 lat

NC: Przeczytałam ostatnio pewien cytat.

IB: Cytat?

NC: Ktoś go wrzucił na Tumblr.

IB: Rozumiem.

NC: Te słowa utkwily mi w pamieci.

IB: Jak brzmial ten cytat?

NC: „Ptak siedzący na drzewie nie boi się, że gałąź się złamie, bo nie ufa gałęzi, lecz własnym skrzydłom”.

IB: Rozumiem. Jak myślisz, co to znaczy?

NC: Chodzi o wiarę w siebie.

IB: Mów dalej.

NC: Chyba za bardzo polegam na innych. Czy wierzę dość mocno we własne siły, żeby się uratować?

IB: A wierzysz?

NC: No właśnie. Trzeba poczekać, aż gałąź się złamie, żeby się o tym przekonać.

41

TERAZ

Podnoszę nóż i ponawiam atak na kabel. Jest zapętlony tyle razy, że mam wrażenie, że próbuję przeciąć linę grubą na cal. Mallory znów porusza się w klatce, a widok jej drobnego ciała ściśniętego w środku podsyca we mnie gniew. To takie upodlające. Żałuję, że nie mogę zająć jej miejsca, teraz i dziewięć lat temu.

Ciotka syczy, gdy szarpię kablem trochę mocniej, niż to konieczne.

– Odebrałaś PJ-a z więzienia? – pytam.

– Jakies trzy miesiące temu. Skąd wiesz?

– Domyśliłam się. Handluje metą?

– Jest od niej uzależniony.

Podnoszę wzrok.

– Przeczytałam w gazecie, że w jego mieszkaniu znaleziono dużo towaru. Oskarżono go o handel narkotykami.

Ally wpatruje się w milczeniu w nóż.

– Chwileczkę, to anonimowe zgłoszenie, przez które wpadł, to byłaś ty?

– Musiałam coś zrobić! Bez przerwy ćpał i zrobił się agresywny. Nie panował nad sobą.

– Skoro był ćpunem, a nie dilerem, skąd wzięło się u niego tyle mety?

Udaje mi się przeciąć ostatni zwój kabla po jednej stronie rury. Ally uwalnia rękę, a ja przechodzę na drugą stronę. Ciotka poluzowuje zębami kabel wokół oswobodzonego nadgarstka.

– Ally? – nie odpuszczam.

Ciotka rzuca mi zniecierpliwione spojrzenie.

– Podrzuciłam mu mój towar i zadzwoniłam po gliny.

– Co takiego?

– To był mój towar, okej? Mój interes. PJ mi pomagał. A przy okazji ćpał, jak się okazuje.

Telefony i dostawy, zamknięte pokoje, do których nie miałam wstępu. Ally trzymała tam narkotyki? Zwitki banknotów? Jezu. Miała pod opieką ośmiolatkę. Moi rodzice jej ufali. Ja jej ufałam.

– Potem już nigdy nie handlowałam metą. Tylko trawką. Czasem tabletkami. – Zerka na nóż, który zastygł nieruchomo w powietrzu, i przewraca oczami na widok mojej zszokowanej miny. – Och, oszczędź mi tego świętoszkowatego oburzenia. Wystarczy, że muszę je znosić ze strony mojego brata.

„Dostarczasz ludziom truciznę” – mam ochotę powiedzieć. „To prawie tak, jakbyś sama im ją wstrzykiwała”. Ally krytykuje mojego ojca za to, że jest konserwatywnym urzędasem w krawacie, a sama zarabia na cudzej krzywdzie. Ciekawe, czy w ogóle słyszy to, co wygaduje. Cała ta joga i organiczne jedzenie... to jakaś kpina.

– PJ ciągle ćpał – ciągnie Ally. – Tracił na wadze i poszarzała mu skóra. Nawet dziąsła miał szare i wypadały mu zęby. Jego ciało gnęło od środka. – Zmienia pozycję, żeby rozmasować wolną ręką miejsce między łopatkami. Biję od niej ostry odór niemytego ciała. – Wiedziałam, że podbierał mi kasę. Liczby się nie zgadzały. Carl – nasz dostawca – oczekiwał spłaty. Byliśmy mu winni forszę. Musiałam zamykać drzwi na klucz. Musiałam sama jeździć z dostawami. Nie mogłam ryzykować, że PJ przećpa resztę naszego

towaru.

– Więc pozwoliłaś narkomanowi wpadać tu, kiedy naszła go ochota, mając mnie pod opieką?

– Kazałam mu trzymać się z daleka od domu – warczy Ally – ale kręcił się w pobliżu i zakradał do środka w nocy. – Wskazuje podbródkiem okna nad regałem. – Wchodził i wychodził przez okna.

Myślę o pokoju gościnnym, w którym spałam, o Wróblu skulonym na siedzisku pod oknem. Nie wlatywał do środka jak ptaszek, który chce się zaprzyjaźnić z samotną ośmiolatką. Włamywał się jak zamroczony narkotykami kryminalista, którym przecież był.

– Jak mogłaś pozwolić mu się do mnie zbliżyć?

– Nie pozwoliłam. Natknął się na ciebie przypadkiem drugiej nocy twojego pobytu. Uknuł wtedy cały plan wyciągnięcia pieniędzy od twojego ojca, żeby spłacić dług za narkotyki.

– Co ty...?

– A potem wszystko schrzanił. Usiłował ściągnąć cię tu na dół, do piwnicy. To niedorzeczne: dom jest pierwszym miejscem, które przeszukałaby policja.

Chyba się przesłyszałam.

– Zamierzaliście upozorować moje porwanie? To jakiś żart?

– Widziałaś przecież jego twarz! Musiał wiedzieć, że kiedy cię oddamy, wypaplesz wszystko policji. O piwnicy, o tym, gdzie cię trzymał. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić... – Spogląda na mnie, krzywiąc się.

– Czego się domyślić?

Ciotka przełyka ślinę i odwraca wzrok.

– PJ nie zamierzał cię wypuścić, kiedy już dostaniemy pieniądze.

To nie może być prawda.

– Wystraszyłam się – ciągnie Ally z błagalnym spojrzeniem w przekrwionych oczach. – Powiedziałam mu, że nie chcę brać w tym udziału.

Żółć podchodzi mi do gardła.

– Ally...

– Odmówiłam i kazałam mu odejść. Ale on i tak to zrobił. – Wskazuje głową Mallory. – Porwał tę małą Fisherów zamiast ciebie.

Oszołomiona, przysiadam w kucki, nóż wysuwa mi się z dłoni. Nie zwracam uwagi na to, że Ally podnosi go i dalej tnie sama.

– Powiedział mi już po fakcie – mówi z twarzą zaróżowioną z wysiłku. – Sprowadził mnie do piwnicy i pokazał klatkę. Powiedziałam mu, że musi ją wypuścić, ale był zbyt naćpany, żeby myśleć trzeźwo. Sama musiałam to zakończyć.

– Mallory...

– PJ czymś ją odurzał. Kiedy się wybudzała, podawał jej nafaszerowane narkotykiem jedzenie, a ona znów traciła przytomność.

– Jak trafiła do Barrington Tops?

Ally wzdycha.

– Musiałam poczekać, aż ojciec zabierze cię do domu, dopiero wtedy mogłam ją wyprowadzić z piwnicy i wsadzić do samochodu.

Doznaję nagłego olśnienia. Mallory była więziona tuż pod moimi stopami. A potem moja własna ciotka porzuciła ją w buszu jak worek śmieci. Teraz rozumiem, dlaczego Mallory zesztyniała wczoraj wieczorem, kiedy objęłam ją przed pójściem spać. Sweter Ally nie jest jedyną rzeczą przesiąkniętą słodkawym zapachem dymu. Pachnie nim cały pick-up.

– To ty zostawiłaś ją w parku narodowym? – pytam bez tchu. – Miała sześć lat...

Ally dalej piłuje kabel, udając, że nie dosłyszała.

Przypominam sobie, jak Wróbel próbował zwabić mnie do piwnicy, jak prawie mnie utopił, żebym straciła przytomność i by mógł mnie tu zaciągnąć. Prawie mu się udało tamtego dnia w lunaparku, kiedy schowałam się w kufrze z kostiumami – wystarczyłoby, żeby zawlókł mnie do samochodu i wywiózł.

Czy to mnie wpakowałby do tej klatki zamiast Mallory? Czy skończyłabym w parku narodowym, głodna i samotna, wyrrywając sobie włosy z głowy?

Zerkam na złote włosy Mallory wysypujące się z drucianego kojca i przed oczyma staje mi Wróbel, rozciągnięty na deskach werandy na tyłach domu, bełkoczący o zabawach i magii.

Potrafię zmienić garść włosów w garniec złota.

Oddech więźnie mi w gardle. Dotykam schowanego w kieszeni woreczka, na którym ktoś nabazgrał BORONIA AVENUE 11.

– To Wróbel wyrwał jej włosy – oświadczam. Nawet nie czekam na potwierdzenie. – Dla okupu.

To miały być moje włosy. To miałam być ja.

Ally stęka, piłując ostatnie zwoje kabla mocującego jej lewy przegub do rury.

– Zamierzał wysłać włosy jej rodzicom na dowód, że naprawdę ją przetrzymuje.

Mówi to tak bezceremonialnie, że prawie tracę panowanie nad sobą. Ja i Mallory byłyśmy tylko kartą przetargową dla dwójki zadłużonych dilerów.

Szarpię drzwiami psiej klatki tak mocno, że aż grzechoczą zawiasy. Kłódka kołysze się tam i z powrotem, ale dalej trzyma.

– Gdzie klucz? – warczę przez ramię.

Ally nie przestaje piłować więzów.

– Gdzie jest klucz?! – Ręce trzęsą mi się tak, że mam ochotę podejść do Ally i dla odmiany potrząsnąć nią.

Podrywa głowę.

– Nie ma żadnego klucza! Nie rozumiesz? Nie mamy się stąd wydostać.

Obchodzę klatkę, szukając jakiegoś słabego punktu.

– Dlaczego ja i Mallory? To nie my go wsypałyśmy!

Ally przecina ostatni kabel i pęta opadają na ziemię.

– Planuje coś z kolesiami, których poznał w pudle – odpowiada. – Chyba laboratorium mety gdzieś w Victorii. Kazali mu ogarnąć temat i siedzieć cicho, dopóki się do niego nie odezwą.

– Co to, do diabła, znaczy?

Ciotka wypuszcza nóż i przytrzymując się rury, próbuje dźwignąć się z ziemi. Nie jest w stanie ustać na osłabionych nogach.

– Ma zatrzeć wszystkie ślady, Tash – wyjaśnia. – Dlatego musimy się stąd wydostać.

Wreszcie pojmuje – to my jesteśmy śladami, które należy zatrzeć. Pozostałymi przy życiu świadkami jego dawnych występków.

– Przecież wyszedł z więzienia kilka miesięcy temu – protestuję. – Dlaczego tak długo zwlekał?

Ally krzywi się, próbując znowu wstać.

– Po pierwsze, musiał wytropić ją. – Wskazuje lekceważąco Mallory. – Śledził cię. Szukał okazji.

Okazji do czego?

Wzdrygając się, przypominam sobie tamten dzień, kiedy

wypatrzyłam go w Watergardens, samochód Ally pojawiający się w różnych częściach Port Bellamy, to uczucie, że ktoś mnie śledzi, kiedy szłam na przyjęcie u Fisherów. Ally doprowadziła go do mnie w dniu, w którym wyszedł z więzienia, a potem ja nieświadomie doprowadziłam go do Mallory – tak samo jak w wesołym miasteczku, kiedy byliśmy dziećmi. U siebie w domu Mallory była bezpieczna, tam nie mógł jej dopaść. Aż do ubiegłej nocy, kiedy szukając pocieszenia, pozwoliłam jej tu przyjechać.

– Przecież tyle razy byłam sama. Mógł mnie wtedy dorwać – mówię, przypominając sobie poranki spędzone na plaży, godziny błąkania się po mieście po kłótni z Rachel na molo. – Zaatakował moją przyjaciółkę Rachel zamiast mnie. – Ułamek sekundy później orientuję się, że nazwałam Rachel przyjaciółką.

– Tę dziewczynę z telefonem? Tak. Słyszał, jak groziła ci, że ujawni jakieś nagranie. Wiązało ono jego osobę z porwaniem, więc musiał się go pozbyć.

– Ale nie pozbył się telefonu – protestuję. – Wczoraj znalazłam komórkę Rachel w swojej torbie.

– Nie było na niej żadnego nagrania.

– Więc po co mi ją dał? Mógł ją wyrzucić, roztrzaskać na kawałki.

– To nie byłoby równie zabawne jak mącenie ci w głowie, prawda? A jak ci się podobały martwe wróble?

Na chwilę odbiera mi mowę. Ally kręci głową.

– Nie rozumiesz, Tash? – pyta. – Jesteś jego zabawką. Byłaś nią wtedy i teraz znowu nią jesteś. Kręci go wzbudzenie w tobie lęku.

Z trudem przełykam ślinę, zawstydzona. Jeśli to prawda, osiągnął swój cel.

– Skąd o tym wiesz?

Ally prychnęła.

– Żartujesz? Po narkotykach gada jak najęty, gęba mu się nie zamyka. Siedzę tu od tygodni, Tash! Myślisz, że nie zadaję pytań, nie szukam słabych punktów, nie próbuję go jakoś podejść, żeby się stąd wydostać?

– Minęło kilka tygodni, dlaczego nie próbował mnie porwać? Ani Mallory...?

– Za mało czasu. – Ally mija mnie chwiejnym krokiem. – Za duże ryzyko. Chciał ściągnąć was obie tutaj, do Willow Creek.

– Po co?

– Pozbycie się nas w taki sposób wzbudzi mniej podejrzeń niż trzy osobne zaginięcia.

– W jaki sposób? – pytam drwiąco. – Masz na myśli potrójne zabójstwo?

– Pożar domu – odpowiada Ally. – Tragiczny wypadek.

– Co?

– Cholernie sprytne. Nie ma mowy, żeby sam na to wpadł.

– Nie ro...

– Chce wyłudzić odszkodowanie – tłumaczy ciotka takim tonem, jakby nie mogła uwierzyć, że tego nie pojmuję. – Drań mamił mnie słodkimi słówkami, a tak naprawdę cały czas obmyślał zemstę.

Z gardła wyrывa mi się jęk. To Patrick Jonas jest tym „kimś innym” wymienionym przez Ally w testamencie zamiast mojego taty.

– Jego nowi wspólnicy będą twierdzić, że zaraz po wyjściu z więzienia przeprowadził się do Victorii – ciągnie Ally. – Więc nawet nie będzie go w tym samym stanie, kiedy dom spłonie z nami w środku.

– To nadal będzie podejrzane – mówię, wskazując Mallory. – Myślisz, że eksperci ustalający przyczyny pożaru przymkną oko na

ciało w klatce?

Ally utyka w stronę drzwi.

– A kogo to obchodzi? Myślisz, że PJ rozumuje logicznie? Kiedy ją tu wczoraj przyprowadziłaś, to jakby wygrał w totolotka: wszystkie trzy pod jednym dachem. Teraz pojechał do miasteczka po rzeczy potrzebne mu do wprowadzenia planu w życie. Dzisiaj.

Ally odwraca się do mnie tyłem i rusza do wyjścia, powłócząc nogami.

– Czeka! Musisz mi pomóc uwolnić Mallory!

Ciotka ignoruje mnie.

– Pomóż mi! – błagam. – Sama jej stąd nie wyniosę. Jesteś jej to winna!

Ally przystaje pod oknami i przekrzywia głowę. Myślę, że może coś wreszcie do niej dotarło, ale ucisza mnie i zerka w górę.

– Słyszysz? To mój samochód na Cowpasture Road. – Spogląda na mnie z przerażeniem. – Już jedzie. Musimy uciekać.

Odrzucam nóż i macam podłogę w poszukiwaniu świecznika.

– Więc pomóż mi ją uwolnić!

– Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, uciekniesz ze mną.

– Nie zostawię Mallory. – Walę świecznikiem w kłódkę, aż cała klatka się trzęsie.

– Pobiegnę do sąsiadów – mówi Ally. – Wezwę policję.

– Nie zdążą na czas, jeśli podpali dom!

Oglądam się przez ramię i dociera do mnie, że mówię do powietrza. Nie mogę w to uwierzyć, dopóki nie usłyszę tupotu stóp Ally na schodach do piwnicy.

– Przynajmniej rzuć mi telefon – wołam za nią. – Leży na stole w kuchni. Ally! – Słyszę, jak otwierają się drzwi frontowe, a potem trzaśnięcie zamykającej się moskitiery. Ally robi to, co potrafi

najlepiej: dba o własną skórę.

Uderzam w kłódkę raz po raz, odłamki świecznika lecą na wszystkie strony. Łomot budzi Mallory. Zaspana i oszołomiona, mruga i unosi dłoń do prętów klatki.

– Mallory. – Wpycham rękę przez szparę między drutami i łapię jej palce. – Spokojnie. Nic ci nie jest. Wydostanę cię stąd!

Mallory próbuje usiąść, a ja znów szarpię drzwiami klatki. Udało mi się wygiąć niektóre pręty, ale nadal trzymają.

– To Wróbel – tłumaczę jej. – On istnieje. Wrócił po nas.

Mallory zauważa szafę z palisandru i wytrzeszcza oczy. Mogę sobie tylko wyobrazić panikę, jaka ogarnia ją, gdy rozpoznaje znajome wnętrze.

Staję przed nią, żeby zasłonić sobą szafę.

– Wydostanę cię stąd, dobrze? Nie zostawię cię tu samej.

Nasze spojrzenia spotykają się, Mallory kiwa głową, usiłując powstrzymać drżenie ust. Mam już zapytać, czy dałaby radę kopnąć w drzwi klatki od środka, ale przerywa mi pisk hamulców. Pod domem zaparkował samochód. Spoglądam na okienka nad regałem – stąd, gdzie stoję, widać, że jedno z nich jest lekko uchylone.

Mallory łka. Przykładam palec do ust i po cichu przechodzę przez pokój. Czy zdążę pobiec na górę po telefon i wrócić, a potem zabarykadować za sobą drzwi? Nie mogę uwolnić Mallory, ale mogę powstrzymać Wróbla przed dostaniem się do środka. Wystarczy, że powstrzymam go do przyjazdu policji.

Z dołu widzę przez okno tylko kilka wysokich chwastów rosnących na poziomie ziemi. Stawiam stopę na najniższej półce i sprawdzam jej wytrzymałość. Mallory uderza ręką w klatkę, kręcąc głową.

– W porządku – szepczę, sięgając ku wyższej półce. – Zamknę

tylko okno.

Zastygam, słysząc trzaśnięcie drzwi samochodu. Potem rozlega się chrzęst butów na żwirze – wyteżam słuch, chcąc stwierdzić, czy kroki kierują się w moją stronę, czy na werandę. Znów zaczynam się wspinać, ale za oknem pojawiają się nogi w brudnych bojówkach i okutych stalą buciorach, więc zeskakuję z regału i przypadam do podłogi.

Okienko otwiera się na zewnątrz i ktoś stawia w rogu czerwony kanister, żeby je podeprzeć. Kolejny kanister ląduje obok pierwszego, a potem czarne buciory oddalają się od okna.

Nie muszę przyglądać się cieczy, która wychlusnęła z kanistra, żeby wiedzieć, co jest w środku – zapach benzyny czuć aż tutaj. Rozglądam się dookoła, uświadamiając sobie, że te wszystkie drewniane meble posłużą za doskonałą rozpałkę. Mallory potrząsa klatką, żeby zwrócić moją uwagę, więc podkradam się do drzwiczek i szarpie zawiasami. Trochę się wygięły, ale nadal trzymają. Mallory wysuwa rękę spomiędzy prętów i łapie mnie za nadgarstek, żebym na nią spojrzała.

– Wiem – mówię napiętym głosem. – Wiem.

Znów ściska moją dłoń z szeroko otwartymi ustami. Gardło jej faluje, jak gdyby się dławiała. Dopiero po chwili dociera do mnie, że próbuje coś powiedzieć.

Z jej ust wydobywa się zaledwie rozpaczliwe tchnienie, ale jej udęczone spojrzenie wyraża dokładnie to, co chce mi przekazać.

„Schowaj się”.

42

WTEDY

Chowam się.

Skulona i drżąca, obserwuję go zza stoiska z popcornem. Kręci się przed toaletami jak lśniąca czarna wrona. Czekam, aż stamtąd wyjdę, ale mnie tam nie ma – ukryłam się.

Nie będę się już z nim bawić.

Czuję, że wygrałam.

Nie zwraca uwagi na szum przekrzywionej mechanicznej ośmiornicy ani na skoczną organową muzykę dobiegającą z karuzeli. Mija go grupka hałaśliwych nastolatków, jeden z nich wysypuje mu pod nogi trochę popcornu. Ale on ani drgnie, nieruchomy jak posąg. Czekam na mnie.

Ale ja czekam na Morgana. Jego rodzice zabiorą mnie do domu. Rodzina Fisherów zaopiekuje się mną.

W drzwiach budynku toalet pojawia się młodsza siostra Morgana, jej jasne włosy lśnią w słońcu. Do nadgarstka ma przywiązane dwa baloniki – jeden różowy i jeden żółty – które podskakują i obijają się o siebie, sprawiając, że dziewczynka chichocze. Rozgląda się za bratem i zauważa mnie, jak wyglądam zza stoiska z popcornem.

Mam ochotę unieść rękę, żeby jej pomachać.

Właśnie wtedy pojawia się Wróbel z kapturem naciągniętym

głęboko na twarz. Jego cień pada na Mallory.

Mallory Fisher? Czego Wróbel od niej chce?

Podnosi na niego wzrok.

Mallory też go widzi!

Nachyla się ku niej, poruszając szybko ustami, i wskazuje ścieżkę prowadzącą na parking u stóp wzgórza. Mallory kiwa głową i pozwala, żeby wziął ją za rękę. Zrywa jej baloniki z nadgarstka i wypuszcza, jak gdyby wykonał magiczną sztuczkę.

Powiedział mi, że potrafi sprawić, żeby coś zniknęło.

Wróbel ogląda się przez ramię na stoisko z popcornem, na moją kryjówkę, która wcale nie jest kryjówką.

Wie, że tu jestem.

Wie, że pozwalam mu zabrać inną dziewczynkę zamiast mnie.

Wyszczersza w uśmiechu czarne i pożółkłe zęby, jakby rzucał mi wyzwanie. Chce, żebym wyszła i zajęła miejsce Mallory.

Ale to tylko kolejna sztuczka.

Pozostaję w ukryciu, dopóki Wróbel nie odleci.

43

TERAZ

„Schowaj się!”.

Mallory powtarza to bezgłośnie, tym razem z jeszcze większą mocą. Podążam wzrokiem za jej spojrzeniem, ku okienkom po drugiej stronie pomieszczenia. Kroki zbliżają się, za jednym z okien pojawia się cień. Stawia dwa kolejne kanistry obok pozostałych, a potem klęka.

Omiotam wzrokiem ściany i meble. Nie chcę zostawić Mallory samej i bezbronnej. Jest za późno, żeby przemknąć do piwnicy – Wróbel już przekłada nogi przez okno.

Mallory przeciska rękę przez szparę między prętami i uderza mnie w udo. Wskazuje szafę, w której zamku tkwi mosiężny klucz. Sunę przy podłodze, podczas gdy Wróbel wdrapuje się na szczyt regału. Ukryta przed jego wzrokiem, sięgam ostrożnie po klucz i przekręcam go zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aż usłyszę kliknięcie. Gdy lakierowane drzwi ustępują, uchylam je na tyle, żeby móc wśliznąć się do środka. Owiewa mnie chłodna stęchlizna głodnych cieni.

Moja skóra pokrywa się gęsią skórką, zaciskam dłonie w pięści. Usiłuję przekonać własny mózg, żeby postąpił wbrew temu, co zawsze podpowiadał mu instynkt.

Nie dam rady.

Nie wejdę z własnej woli do tego ciasnego wnętrza.

Zza szafy słycać łoskot i chlupot wciąganych przez okno kanistrów z benzyną. Za moimi plecami Mallory ułożyła się z powrotem na podłodze klatki, jakby spała. Patrzy, jak waham się przed drzwiami szafy i coś zmienia się w wyrazie jej twarzy – rozchyła nieznacznie wargi, mięśnie wokół jej oczu wiotczeją.

Wymieniamy nieme spojrzenia wyrażające to, co nieuniknione.

Rezygnację.

– Przepraszam – mówię bezgłośnie, potrząsając głową. Chyba wyczuwa, jak bardzo gardzę sobą w tej chwili, wyczuwa moją frustrację spowodowaną tym, że nie jestem w stanie zapanować nad strachem na tyle, żeby dać nam szansę. Mruga raz, powoli, łaskawie, jak gdyby chciała mnie zapewnić: „W porządku, Tash. To nie twoja wina”.

Nie, to nie moja wina, że się tu znalazłyśmy ani że padłyśmy jego ofiarą jako dzieci. To nie moja wina, że nas śledził i odurzył, że byłyśmy tylko nieistotnymi pionkami w grze o znacznie większą stawkę. Ale pozwoliłam, żeby Wróbel i krzywdy, jakie mi wyrządził, o władnęły mną. Pozwalam, żeby Wróbel określał to, kim jestem.

Regał skrzypi pod jego ciężarem, gdy opuszcza się na podłogę. Podnoszę świecznik i posyłam Mallory pokrzepiające spojrzenie.

Damy radę. Wydostaniemy się stąd. Razem.

Robię wdech i przeciskam się przez wąską szparę w drzwiach, trzymając od środka oprawę zamka, żeby przyciągnąć je za sobą. Drzwi nie domkną się całkowicie, dopóki ktoś nie przekręci klucza z zewnątrz. Cieszy mnie to – szeroka na centymetr smuga światła z graciarni utrzymuje mnie przy życiu. Choć we wnętrzu szafy mieszczą się obszerne suknie i fraki, równie dobrze mogłaby być trumną. Nie panuję już nad pulsem i oddechem. Oblewa mnie fala

gorąca, tak jakby nawet moja krew rozpaczliwie usiłowała się wydostać.

Kiedy Wróbel puszcza wiązaną przekleństw tuż za drzwiami szafy, jestem pewna, że odkrył moją kryjówkę. Może sprawia to dźwięk jego głosu, a może strach, że zamknie mnie w środku, ale czuję parcie na pęcherz. Zaciskam nogi tak mocno, że bolą mnie mięśnie ud.

Skrawek jego chudej postaci pojawia się tuż przede mną – miga mi z profilu, gdy kuca obok rury. Przez tyle lat wmawiano mi, że fantazjuję, że teraz prawie nie jestem w stanie uwierzyć, że on naprawdę istnieje w rzeczywistym świecie, a nie wyłącznie w mojej głowie.

Podnosi z podłogi kawałek plastikowego kabla, wywarkując kolejne przekleństwo. Wzdrygam się, gdy rzuca kabel na ziemię i znika mi z linii wzroku. Słyszę, jak kopie w klatkę Mallory i muszę zagryźć wargę i policzyć do pięciu, żeby nie stracić panowania nad sobą. Wróbel chodzi po pokoju. Klatka znów grzechocze, a ja modłę się w duchu, żeby Mallory nie przestała udawać nieprzytomnej.

Ściskając świecznik w jednej dłoni, drugą przykładam płasko do skrzydła drzwi.

Mam po swojej stronie element zaskoczenia. O ile tego nie schrzanię.

Całe moje ciało pulsuje. Czekam na odpowiedni moment. Jego cień przesuwa się przed szparą i wtedy rzucam się na drzwi całym ciężarem ciała. Drzwi wytrącają go z równowagi, a ja wypadam z szafy i zwalam się na niego. Robię zamach świecznikiem, gdy obraca się w moją stronę, ale chybiam i zamiast w głowę trafiam w ramię. W mgnieniu oka chwytą mnie jedną ręką za gardło, drugą wyszarpując mi świecznik.

Popycha mnie pod ścianę, żeby wyróżnąć mną o kamienie. Na chwilę robi mi się czarno przed oczami. Mrugam i wtedy widzę twarz Wróbla kilka centymetrów od swojej.

Jego żółtawa skóra jest poznaczona bliznami po ospie. Pod oczami ma głębokie zmarszczki. Przez głowę przelatują mi niedorzeczne myśli: „Starzeje się. Nie jest już pozbawionym wieku chochlikiem, za którego go uważałam”.

– Ktoś się obudził – mówi. Drga mu powieka, źrenice ma czarne i rozszerzone. – Pomogliśmy ciotuni dać nogę?

Na przedramieniu występują mu wyraźne zygzaki żył, gdy dławi moją tchawicę w żelaznym uścisku. Próbuje ściągnąć z szyi jego palce, ale wczepiły się w nią jak potrzask na niedźwiedzia. Szamoczę się pod ścianą, ale osiągam wyłącznie tyle, że wzmacnia uścisk. Przed oczyma latają mi białe plamy.

Wyszczorza zęby, otwiera szeroko usta i wydaje z siebie gardłowy ryk, prosto w moją twarz.

Jego gorący oddech i wściekłość sprawiają, że wzdrygam się i sztywnieję. Słyszę, jak przerażona Mallory wali i kopie w klatkę.

– Tym razem jesteś moja, ty mała dziwko. – Podrzuca trzymanym w dłoni świecznikiem jak tenisista szykujący się do serwu. – Rozegramy to po mojemu.

Wbija mi koniec świecznika w brzuch, wyciskając powietrze z płuc. Zginam się wpół i dławię. Wróbel pozwala mi upaść na kolana. Kątem oka dostrzegam, że robi nogą zamach, ale nie jestem w stanie zareagować. Uderzenie jego buta jest jak cios siekiery rozrąbującej mi żebra.

Zwalam się na bok. Nawet nie potrafię złapać oddechu, żeby krzyknąć. Wyciąga pięść w stronę mojej głowy, a ja kulę się przed ciosem. Łapie mnie za włosy i wlecze w stronę rury z wodą.

Rzuca mnie pod ścianę i podnosi moją bezwładną rękę, żeby

owinąć kabel wokół nadgarstka. Zbieram resztkę sił, żeby go odepchnąć. W odpowiedzi wali mnie łokciem w twarz. Uderzenie sprawia, że z nosa wycieka mi coś ciepłego, w uszach słyszę przeciągłe zawodzenie. Przez chwilę jestem tak nieprzytomna, że wydaje mi się, że ktoś woła moje imię.

Oglądam się na Mallory. Wpatruje się we mnie wielkimi oczami, szara jak popiół.

Mallory odzyskała mowę?

Znów słyszę swoje imię, ale usta Mallory pozostają nieruchome.

– Gdzie jesteś? – woła głos z góry. – Frontowe drzwi były otwarte. Tash?

Sadie.

Szlag, szlag, szlag!

– Nie – bulgoczę, dławiąc się krwią podchodzącą mi do gardła. – Sadie, uciekaj.

Żebra kłują mnie przy każdym słowie. Wróbel znów grzmoci mną o ścianę, po czym puszcza się pędem przez pokój. Łapie dwa kanistry i biegnie prosto do schodów.

– Sadie, uciekaj! – krzyczę, dźwigając się do pozycji siedzącej. – Uciekaj z domu! Uciekaj do auta! – Odplątnię kabel z nadgarstków i kuśtykam w stronę klatki z Mallory. Gdzieś pod powierzchnią bólu czuję przypływ adrenaliny. – Mal, musisz wyważyć zawiasy, okej? Teraz. Szybko!

Kiwa głową, przyciąga nogi do siebie i kopie w drzwi tak długo, aż górny zawias się wygina. Nie przestaje kopać, dopóki metalowe okucie nie rozpadnie się i nie odleci.

– Już prawie! – Ciągnę za pręty, odginając drzwiczki do dołu. Powstały w ten sposób otwór jest na tyle duży, żeby Mallory mogła się przecisnąć. Próbuje, ale głowa utyka jej w połowie drogi.

Jeszcze kilka kopniaków i Mallory ponawia próbę. Targam drzwiczkami na trzymającym się wciąż zawiasie, przekrzywiając je jeszcze mocniej. Jeszcze tylko parę kopnięć i Mallory będzie mogła...

Szarpnięcie za włosy odciąga mnie do tyłu.

Mallory wydaje z siebie bezgłośny okrzyk i gramoli się w głąb klatki. Wróbel obejmuje mi szyję ramieniem i ściska, zmuszając mnie, żebym uklękła. Rękaw ma mokry, cuchnący benzyną. Na piętrze rozlega się alarm przeciwpożarowy.

Wróbel wlecze mnie do rury z wodą, wypuszcza z uścisku i łapie za kark. Zmusza mnie, żebym pochyliła się do przodu, a sam szuka na ziemi pomarańczowego kabla.

Nagle znowu mam osiem lat, klęczę z twarzą zanurzoną w strumyku, zdana na łaskę Wróbla. Tamtego dnia zdołałam się uwolnić.

Muszę zrobić to jeszcze raz.

Mallory wysuwa rękę spomiędzy prętów i przez sekundę myślę, że chce dodać mi otuchy. Ale zaraz dociera do mnie, że po coś sięga – pod ścianą, pół metra od klatki, leży drewniany świecznik. Wstrzymuję oddech, gdy muska palcami okrągłą podstawę, prawie wypychając go poza swój zasięg. Zaczepia paznokciami za krawędź i przyciąga świecznik do siebie. Łapie go i natychmiast ciska po podłodze w moją stronę.

Jeśli Wróbel coś zauważył, to nie ma czasu zareagować. Chwytam świecznik i jednym płynnym ruchem walę go nim w twarz. Czuję chrupnięcie, gdy trafiam go w szczękę. Wróbel osuwa się na kolana, a ja dalej okładam go świecznikiem, powalając na ziemię.

– Teraz, Mallory! – wrzeszczę, włączając mu na plecy. – Uciekaj!

Mallory reaguje na mój okrzyk jak na dźwięk pistoletu

startowego na zawodach pływackich. Napiera na drzwi klatki ze wszystkich sił.

Czuję zapach dymu. Wyobrażam sobie płomienie oblizujące ściany i pożerające meble. Nie wiem, ile czasu zostało nam na ucieczkę. Wróbel stęka pode mną i wiem, że długo go tak nie utrzymam. Ma zbyt wiele do stracenia i za dużo powodów, żeby wziąć się w garść i walczyć dalej.

Zwalam mu się całym ciężarem ciała na plecy i obejmuję go ramieniem za szyję. Mallory znów próbuje precyzyjnie głowę na drugą stronę, ale otwór wciąż jest za mały. Obraca się, zapiera plecami o tył klatki i kopie w drzwi obiema nogami. Wróbel wierzga pode mną, usiłując mnie zrzucić.

Mam wrażenie, że w moim mózgu włącza się jakiś przełącznik. *Nawet się nie waz!* Ogarnia mnie furia.

Po tym wszystkim nie może nas dorwać.

Po tym wszystkim, co przez niego przeszliśmy, nie może wygrać.

Mallory tak gwałtownie próbuje precyzyjnie się przez otwór, że drut kaleczy ją w skroń. Łkając, usiłuje wydostać się na wolność. Ten widok jest tak bolesny, że też zaczynam płakać.

Zaciskam ramię wokół szyi Wróbla. Wymachuje rękami, okładając mnie po udach.

– Nie umiesz się bawić – syczę mu do ucha. – Przestań się szamotać.

Powinnam już wiedzieć, że żylasta sylwetka Wróbla ukrywa jego siłę. Przewala się na plecy jak krokodyl, pociągając mnie za sobą. Uderzam w szafę tak mocno, że aż otwierają się drzwi, a mnie znów zatyka.

Wróbel podnosi się z ziemi. Zwijam się w kłębek, oczekując kopniaka lub ciosu pięścią. Ale on ma tylko jeden cel – czerwone

kanistry po drugiej stronie pomieszczenia. W kilka sekund odkręca zakrętkę pierwszego. Czekam, aż przewróci pojemnik kopnięciem, rozlewając kałużę benzyny u moich stóp. Ale nie, łapie za uchwyt. Gdzieś z nim idzie. Może z powrotem na górę. Może będziemy miały jeszcze jedną szansę, żeby wspiać się po regale i uciec.

Jak na filmie puszczoneym w zwolnionym tempie przechyla kanister nad psią klatką.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie, NIE, NIE, NIE!

Mallory wydaje z siebie skrzek i zwija się w kłębek; ciecz rozchlapuje się na prętach, oblewając ją całą. Rzucam się w stronę kojca, żeby osłonić ją własnym ciałem, choć moje żebra protestują z bólu. Reszta benzyny chlusta mi na plecy, włosy, ścieka po szyi i dostaje się do ust.

Jak to możliwe?

Miałyśmy się wydostać.

Podrywam się, gotowa rzucić się na niego i okładać go pięściami resztką sił. Wróbel trzyma w dłoni srebrną zapalniczkę Zippo.

– O, o, ooo – nuci, ostrożnie wychodząc z kałuży benzyny rozlewającej się spod klatki.

Od oparów pieką mnie oczy. Dyszę. Jestem tak wycieńczona, że nie mogę zebrać myśli.

Wpycham rękę przez pręty klatki i łapię Mallory za nadgarstek. Wsuwa swoją dłoń w moją i nasze palce się splatają.

Jesteśmy ze sobą związane, Mallory. Jak siostry trzymające się za rękę.

– Nie patrz na niego – mówię, wyczuwając, że Wróbel wycofuje się w stronę piwnicy. Mallory kiwa głową, wpatrując się jasnoblękitnymi oczyma w moją twarz. – Patrz na mnie, Mal. Tylko na mnie.

Wróbel nie mówi nic, nie ma dla nas żadnych słów na pożegnanie. Żadnych usprawiedliwień czy pustych przeprosin.

Nic dla niego nie znaczymy. Jesteśmy pionkami.

Śladami, które należy zatrzeć.

Mój umysł nie przestaje szukać czegoś, co mogłoby posłużyć za broń, drogi ucieczki, sposobu wydostania nas z tej piwnicy. Nawet jeśli zajmiemy się ogniem. Nawet jeśli cały dom zawali nam się na głowę, znajdę jakiś sposób.

Słyszę kliknięcie otwieranej zapalniczki. Wpatruję się w oczy Mallory.

– Jestem tutaj – zapewniam ją.

Nie wiem, co robić.

Jeszcze się nie poddałam, ale nie wiem – nie wiem! – jak nam pomóc.

Czy zostało mi dość energii, żeby się na niego rzucić? Przechytryzić go? Przeciągnąć klatkę z Mallory po podłodze? Wystarczy, że zapali zapalniczkę, a nasze ubrania staną w płomieniach.

Mallory szlocha. Kosmyk włosów opada jej na oczy i przykleja się do smugi łez na policzku. Mam ochotę odgarnąć go jej z twarzy. Ale właśnie wtedy coś mi świta.

Iskierka nadziei.

– Czekaj! – wołam do Wróbla, odwracając się w jego stronę. Ściskam dłoń Mallory, prostuję się i staję na wysokości otwartej szafy. – Wygrałeś w uczciwy sposób. Zaslugujesz na pamiątkę.

Może to przeżarty narkotykami mózg, a może chora chęć przedłużenia naszych tortur, ale coś każe mu się zatrzymać. Szukam w kieszeni plastikowego woreczka. Wysypuję z niego włosy Mallory i unoszę ku niemu na otwartej dłoni.

Podchodzi bliżej. Ale nie dość blisko. Owijam wokół palca kosmyk własnych włosów i wyrywam go brutalnie z głowy. Chora satysfakcja każe mu podejść jeszcze bliżej. Kładę swoje brązowe pasemko na blond włosach Mallory i wyciągam ku niemu jak ofiarę.

Wróbel zbliża się powoli, dzierżąc zapalniczkę jak pistolet. Napinam mięśnie, gotując się do skoku. Gdy staje naprzeciw szafy, rzucam się do przodu, wydając z siebie rozpaczliwy okrzyk bojowy. Uderzam go barkiem w ramię. Jedzie do tyłu po betonie i zapiera się butami o podstawę szafy.

Okładam go i młóczę pięściami, kopię i drapię, aż traci równowagę i wpada do środka.

– To magiczna sztuczka! – wrzeszczę. – Wiem, jak sprawić, żebyś zniknął.

Popycham skrzydło drzwi, ale jedna z kostek Wróbla zwisa na podłogę. Miażdżę ją drzwiami raz po raz, dopóki z krzykiem nie schowa jej do środka.

Zatraskuję drzwi i przygniatam je całym ciałem, usiłując przekręcić klucz w zamku. Prawie przewracam się z ulgi, gdy zapadka trafia na swoje miejsce.

Wróbel miota się wewnątrz szafy.

– Zabiję cię! Rozerwę cię na strzępy! – wrzeszczy.

Rzuca się na drzwi z takim impetem, że szafa się chwieje. Potem jeszcze raz, jeszcze mocniej. Nie zdziwiłabym się, gdyby połamiał przy tym kości.

– Koniec zabawy, ty chory popaprańcu! – wołam, waląc pięścią w drzwi. – Wygrałam! – To, co mówię, jest tak absurdalne, że chce mi się śmiać. Chyba jestem w szoku.

Szafa jest solidna i nie ma w środku miejsca, żeby wziąć zamach albo nabrać rozpędu, ale to nie znaczy, że nie uda mu się wydostać.

Biegnę w kąt i niezdarnie wywlekam orzechową komodę na środek pomieszczenia. Ustawiam ją w odległości wyciągniętego ramienia od szafy i przewracam do tyłu, żeby zaprzeć drzwi.

Wróbel znów ryczy, ale teraz, gdy drzwi są podparte, jego uderzenia nie są już tak skuteczne.

– Spalę was! Spalę was wszystkie, wy dziwki!

Dym gęstnieje. Graciarnię zasnuwa błękitna mgiełka. Nie mam ochoty wyobrazić sobie płomieni pochłaniających korytarz i schody do piwnicy. Skóra piecze mnie i swędzi od benzyny, Mallory też jest cała w czerwonych plamach.

– Dobra – mówię do niej. – Pora się stąd wydostać. Wyobraź sobie, że drzwi klatki to gęba tego dupka.

Mallory zdobywa się na cień uśmiechu, a potem zabiera się do roboty. Nasze małe zwycięstwo sprawiło, że przystępuje do niej z nowym entuzjazmem. Atakuje zawzięcie drzwiczki klatki i po pięciu kopniakach dolny zawias pęka. Wyginam drzwi w swoją stronę, a Mallory przełazi górą prosto w moje ramiona. Ściska mnie tak mocno, że ledwo oddycham, ale nie protestuję.

Coś pada z głuchym łoskotem na podłogę za naszymi plecami. Włącza się kolejny alarm przeciwpożarowy. Z piwnicy dochodzi skwierczenie – ogień jest zdecydowanie za blisko. Szarpnię Mallory za przesiąkniętą benzyną piżamę.

– Dasz radę się wspiąć? – pytam, wskazując regał. Podtrzymując się nawzajem i szurając nogami, ruszamy w jego stronę. Ponad nieustający łomot z wnętrza szafy przebija się męski głos wołający Mallory.

– Morgan? – wrzeszczę. – Morgan!

Kilka sekund później on sam pojawia się w okienku nad naszymi głowami.

– Są tutaj! – woła przez ramię. Kładzie się na brzuchu, a pod

oknem zatrzymuje się gwałtownie para fioletowych conversów. Wszędzie bym je poznała. Czuję taką ulgę, że chce mi się płakać.

– Sadie? – wołam. – Nic ci nie jest?

Morgan wychyla się przez okno, a Mallory rozpoczyna wspinaczkę. Podpieram ją od dołu.

– Sadie nic nie jest – mówi, wyciągając ręce do siostry. – Usłyszała twoje krzyki i zobaczyła płomienie. Zadzwoiła po służby ratunkowe.

– Dzięki Bogu. Nic jej nie zrobił?

Mallory jest teraz między nami, więc nie widzę pytania malującego się na jego twarzy.

– Kto? Sadie nikogo nie widziała.

Mam ochotę się roześmiać. *Skąd ja to znam?*

Do graciarni wpadają kłęby dymu i gorąca. Z piwnicy bije złowieszczą pomarańczowa poświata. Wróbel wciąż łomocze w drzwi szafy, ale jakby z mniejszym przekonaniem.

Morgan pomaga Mallory wyjść przez okno, a ja zaczynam się wspinać. Gryzący dym i obolałe żebra nie ułatwiają mi zadania. Morgan znów wychyla się przez okienko i wyciąga do mnie rękę. Patrzę w górę i już mam ją złapać, gdy Morgan wzdycha:

– Tash...

Serce staje mi w piersi.

Wróbel się wydostał. Stoi tuż za mną.

Ale wciąż słyszę natarczywe dudnienie z wnętrza szafy i wiem, że jestem bezpieczna. To widok krwi na moim podbródku zaskoczył Morgana, widok moich zapuchniętych oczu.

Łapie mnie oburącz za przedramię i przyciąga do siebie. Sadie czeka za oknem i obejmuje mnie, gdy tylko znajdę się po drugiej stronie.

– Jezu, młoda – mówi z drzeniem w głosie. Ściska mnie tak mocno, że się krzywię. – Czego się nie robi dla zwrócenia na siebie uwagi, co?

Parskam śmiechem, ale po chwili zalewam się łzami. Uwieszona na jej ramieniu, pozwalam odprowadzić się od domu. Z okien bucha już dym, salon stoi w płomieniach. Słyszę w oddali wycie syren i zastanawiam się, czy straż dojedzie na miejsce, zanim pożar strawi graciarnię.

Mijamy brązowy samochód Ally, na pace stoją jeszcze dwa czerwone kanistry. Sadie kieruje Mallory do dostawczaka swojej mamy, gdzie trzyma koszulki polo, w które możemy się przebrać z naszych toksycznych ubrań. Mallory, dygocąc, polewa wodą z węża ogrodowego włosy, ręce i nogi, żeby zmyć z siebie benzynę.

– Tash? – woła Morgan, który wciąż kuca pod okienkiem. Nagle bucha z niego kłęb gęstego dymu, więc Morgan cofa się, trąc oczy. – To dudnienie w środku: co to?

Unoszę twarz ku niebu i ku chmurom przypominającym różową watę cukrową. Słońce grzeje, przymykam oczy.

Stąd nie słyszę już dudnienia.

W ogóle go nie słyszę.

– Upiór – odpowiadam.

44

WTEDY

Tata znajduje mnie przy starej przerdzewiałej furtce na tyłach ogrodu babci, tyle że teraz to już nie jest ogród babci – teraz ogród należy do cioci Ally i jej rozbrykanego szczeniaka, który kopie dołki. Trawa jest wyższa, niż zapamiętałam, a passiflora pnąca się po furtce uschła i zmarniała. Wcześniej tata z westchnieniem kopnął zbryloną ziemię w miejscu, gdzie babcia hodowała sałatę i pomidory.

– Nie chce jej się zadbać o ogród – powiedział, rozglądając się dookoła.

Może niektórzy potrafią dbać tylko o siebie.

Zebrałam trochę białych stokrotek, kilka kawałków kory, gałązki i dwie kieszenie kamyków. Tata kuca przede mną, podnosi mały szary kamyk i pociera go między palcami niczym talizman na szczęście. Podstawiam rękę, a on kładzie mi go dokładnie na środku dłoni.

– Zrobię prezent dla dzidziusia – mówię, rozkładając wszystko na brudnej ziemi. – Coś na powitanie do jego pokoju.

– Coś jak domek dla elfów? – pyta tata.

– Tato. – Przewracam oczami. – Mam osiem lat. Nie wierzę w elfy.

Tata udaje, że jest w szoku.

– *Dlaczego nie?*

– *Elfy nie istnieją.*

– *Czyżby? – Tata drapie się po szczeciniastej brodzie. – Wiem z dobrego źródła, że dzieci potrafią zobaczyć przeróżne magiczne istoty, które są niewidzialne dla dorosłych. Może po prostu nie szukałaś dość wytrwale.*

Szturcham go gałązką w kolano, bo zawsze się ze mną droczy. Ale tak naprawdę nie jestem zła. Podoba mi się pomysł, że magiczne istoty naprawdę istnieją. Jeśli jedna z nich mnie odwiedzi, tata będzie pierwszą osobą, której o tym powiem.

– *Muszę już jechać – oznajmia tata. – Zadzwonimy do ciebie, jak tylko maluch się urodzi. Dobrze, skarbie? – Pochyla się, żeby pocałować mnie w czubek głowy.*

– *Dobrze, tato.*

Zwleka jeszcze chwilę z pójściem do samochodu, a ja mam nadzieję, że zmienił zdanie. Może jednak będzie chciał, żebym pojechała z nim i mamą do szpitala.

Tata potrząsa kluczami.

– *No to w drogę. Życz nam powodzenia.*

– *Powodzenia! – mówię i uśmiecham się najszerszej, jak potrafię, bo sprawia wrażenie lekko zdenerwowanego narodzinami dziecka. Ja też trochę się denerwuję, bo czekają nas zmiany. Po powrocie do domu wszystko będzie inaczej.*

Ale inaczej nie znaczy źle.

Z czasem inaczej spowszednieje.

45

TERAZ

Od mojej ostatniej wizyty zmienił się wystrój gabinetu doktor Ingrid: pojawiły się w nim nowe bladozielone tapety, eleganckie nowoczesne kanapy i dywan w kolorowe geometryczne wzory, chyba nieco zbyt krzykliwy. Przemebrowanie nastąpiło w ciągu ostatniego półrocza, ale czuję, że to adekwatne tło dla spotkania, które ma być nowym początkiem.

Przyglądam się trzem zabytkowym ptaszkom z porcelany i prawie puszczam mimo uszu następane pytanie doktor Ingrid.

Psychiatra mruga powoli i unosi lekko kształtne brwi, aby okazać mi zainteresowanie, ale nie osądzać. Przez te wszystkie lata niewiele się postarzała. Może ma zmarszczki, kiedy się uśmiecha, ale mnie zawsze pokazuje tylko gładką maskę.

– Twoja ciotka – powtarza uprzejmie. – Zamierzasz się z nią kontaktować?

Siadam wygodniej w fotelu i wyglądam przez okno na skąpane w zieleni ulice Newcastle. Ciężkie chmury wiszą nisko nad rzędami domów i kościelnymi wieżami.

– Tylko jeśli będę musiała – odpowiadam. – Dopiero podczas procesu. Ale to za kilka miesięcy.

Doktor Ingrid wie wszystko o aresztowaniu Ally. W ramach dochodzenia musiałam udzielić policji pozwolenia na wgląd

w stenogramy z naszych sesji. Sprawa porwania Mallory została ponownie otwarta i Ally postawiono zarzuty o pomocnictwo. Prawdopodobnie zostanie wezwana na świadka zarówno oskarżenia, jak i obrony. Tata zapewnia mnie, że nie ma się czym przejmować, wystarczy, że stawię się w sądzie i powiem prawdę.

Uwierzcie mi, ironia tych słów nie umyka żadnemu z nas.

– Co czujesz do ciotki?

Wzruszam ramionami.

– Chyba mi jej żal. Spaprała sobie życie.

Doktor Ingrid przekrzywia głowę, jak gdyby wiedziała, że mówię tylko to, co chce usłyszeć. Nie wybaczyłam Ally. Jeszcze nie. Pewnie nigdy jej nie wybaczę. Wiem, że przebaczenie ma pomóc mnie samej zostawić przeszłość za sobą, a nie poprawić samopoczucie ciotce, zwłaszcza że, ostatecznie, ona też padła ofiarą Patricka Jonasa. Ale nawet jeśli podejmę próbę zrozumienia, dlaczego wolała chronić swojego nieznaczącego chłopaka niż własną siostrzenicę, nigdy nie wybaczę jej tego, że porzuciła odurzoną i bezbronną sześciolatkę samą w buszu.

– A co czujesz, gdy myślisz o Patricku Jonasie? – pyta doktor Ingrid.

– Co czuję, gdy myślę o jego śmierci?

– Skoro tak to ujęłaś...

– Nie wiem, co powinnam czuć – wzdygam. – Nie podoba mi się, że miałam swój udział w czyjejś śmierci, jeśli o to pani pyta.

– Czujesz się za to odpowiedzialna?

– A powinnam? – odparowuję.

Pióro doktor Ingrid zastyga nad notesem.

– Chciałabyś o tym porozmawiać?

Znów wyglądam przez okno.

– Niespecjalnie.

– Może na kolejnej sesji – podsuwa, zapisując kilka linijek.

Nagle ogarnia mnie chęć zasypania jej pytaniami.

A co pani czuje w związku z osobą Patricka Jonasa, doktor Ingrid? Co pani czuje, wiedząc, że przez cały ten czas Wróbel istniał naprawdę?

Zamiast tego spoglądam na swoje dłonie i milczę. Zbyt łatwo dać upust rozgoryczeniu. Przez tyle lat czułam niechęć do ludzi, którzy mi nie wierzyli, że nie mogę znów marnować czasu i energii na pielęgnowanie urazy do tych samych ludzi, kiedy wreszcie mi wierzą.

Z lekkim uśmiechem spoglądam na zegar ścienny – do końca sesji zostało pięć minut. Zgodziłam się tu przyjść na prośbę mamy, w ramach naszej nowej umowy, aby być dla siebie nawzajem bardziej wyrozumiałymi. Mama powściągnęła swoje nadopiekuńcze zapędy na tyle, żeby pozwolić mi przyjechać tu samej i spędzić wieczór w Newcastle z przyjaciółmi.

– Więc jakie masz plany na przyszłość? – pyta doktor Ingrid. – Na poprzednim spotkaniu wspominałaś o podaniach na studia.

– Tak. Za kilka miesięcy zacznę je wysyłać. Przygotowuję portfolio na rozmowy kwalifikacyjne.

– Wciąż chciałabyś studiować w Melbourne?

– To mój pierwszy wybór. Ale rozważam też studia bliżej domu. Muszę porozmawiać z rodzicami przed podjęciem decyzji.

– Po przyjeździe wspominałaś coś o chłopaku...

Znów wyglądam przez okno, wiedząc, że Morgan czeka na mnie w kawiarni na rogu. Od pożaru trzy tygodnie temu nie odstępował mnie prawie na krok. Łączy nas teraz coś w rodzaju bliskiej zażyłości, ale fizyczne napięcie między nami rośnie z każdym dniem. Wiem, że stara się zostawić mi przestrzeń, żebym mogła

przetrawić to wszystko, co się wydarzyło, ale w duchu życzyłamby sobie, żeby przestał być takim gentlemanem. Tęsknię za nim. Tęsknię za kierunkiem, w jakim zmierzał nasz raczkujący związek.

– Mieliśmy trudne początki – odpowiadam – więc teraz wolimy się nie spieszyć.

– Brzmi rozsądnie. – Doktor Ingrid zerka na zegar i zakłada skuwkę na pióro. – Podczas ostatniej sesji sygnalizowałam, że chciałabyś zakończyć terapię. Czy po tym wszystkim, co się wydarzyło, nadal tak uważasz?

– Chcę kontynuować terapię – odpowiadam. – To jasne, że muszę przepracować kwestię zaufania. Nie tylko z powodu Ally i Patricka Jonasa, ale też dlatego, że nie uwierzyli mi ci, do których zwróciłam się o pomoc.

Doktor Ingrid kiwa głową ze zrozumieniem.

– Oczywiście. Myślę, że kontynuacja terapii to dobry pomysł. – Obraca się razem z krzesłem i sięga po leżący na biurku terminarz.

– Mając to wszystko na uwadze, doktor Ballantine – wstaję z fotela i zarzucam sobie torbę na ramię – będę potrzebowała skierowania do nowego psychiatry.

*

Czekam właśnie na przejściu, aż zmienią się światła, kiedy przypominam sobie, żeby włączyć z powrotem komórkę. W poczcie głosowej mam długą wiadomość od Tima, który narzeka, że mama każe mu się ostrzec przed jutrzejszą sesją fotograficzną. Dzwonię do domu i Tim odbiera po pierwszym sygnale.

– Nie chcę iść do fryzjera – jęczy, kiedy już wylał z siebie wszystkie żale. – Poza tym zdjęcia z rodzicami są nefajne. A co, jeśli dzieciaki w szkole się dowiedzą?

– Nie powinieneś się tak przejmować tym, co myślą dzieciaki w szkole.

– Będą się ze mnie śmiać.

– A kogo to obchodzi? Niech się śmieją, skoro nie mają nic lepszego do roboty – odpowiadam. – Ze mnie też mogą się pośmiać.

– Też idziesz na zdjęcia? – pyta Tim z nadzieją w głosie.

– No jasne! I nawet wybiorę się do fryzjera. – Zakładam cienkie pasmo włosów za ucho, gotowa na nową fryzurę. – Wiesz, że na sesję wolno przyjść z czworonogiem? Mysza nie byłaby zachwycona, ale Benny zapozuje jak zawodowiec. Nie ma w tym chyba nic niefajnego?

Uśmiecham się, słysząc ulgę i podekscytowanie w głosie Tima, gdy woła mamę, żeby poinformować ją o zmianie planów. W pewnym momencie odkłada telefon, zapominając się rozłączyć. Jestem już pod kawiarnią. Morgan, Christopher i Sadie siedzą pod oknem i prowadzą tak ożywioną dyskusję, że nawet mnie nie zauważyli. Dziewczyna Sadie, Alice, podchodzi do stolika, niosąc kilka łyżeczek i cukiernicę. Na mój widok uśmiecha się szeroko. Macham do niej.

– Tash? – odzywa się mama, która znalazła porzucony telefon. – Jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– Cieszę się, że idziesz z nami – oznajmia. – Nie byłam pewna, czy... Nie chciałam cię do niczego zmuszać.

– Za nic bym tego nie przegapiła. Tylko powiedz Timowi, że musi najpierw wykopać Benny'ego. Rano wytarzał się na plaży w rybich flakach.

Mama wybucha śmiechem.

– Oczywiście. Baw się dobrze dziś wieczór.

– Nie wrócimy późno – zapewniam. – Mogę ci wysłać SMS-a, żebyś wiedziała, że wszystko w porządku.

– Tash, nie trzeba – odpowiada. – Ufam ci. A teraz idź i baw się dobrze.

*

Lekki deszcz kropi na pofałdowaną markizę kawiarni, do której mam właśnie wejść. Jestem już prawie w środku, gdy na chodniku za sobą słyszę pospieszne kroki.

– Czekaaj, czekaaj! – woła znajomy głos. – Przytrzymaj drzwi.

Odwracam się i widzę Rachel i Mallory, które chowają się obok mnie pod markizą. W rękach trzymają wielkie, sztywne koperty, które starają się osłonić przed deszczem.

– Macie je? – pytam z ekscytacją, odsuwając się, żeby je przepuścić. – I jak wyszły?

– Rewelacyjnie – oświadcza Rachel. – Mówię ci, to najlepsza drukarnia. Mama zawsze korzysta z ich usług. Warto przejechać się tę godzinę.

Mallory trąca ją łokciem, unosząc dwa palce.

– No dobra, tam i z powrotem to dwie godziny – przyznaje Rachel. – Nie czepiaj się szczegółów, panno Trajkotko.

Mallory prycha i wystawia środkowy palec. Rachel wybucha śmiechem i przewraca oczami.

– Co za tupet.

– Ha! – mówię. – Przyganiał kocioł garnkowi?

Rachel uśmiecha się do mnie leciutko. Wciąż staramy się dopracować szczegółowe warunki rozejmu. W tej chwili znajdujemy się gdzieś między uprzejmą komunikacją w celu dokończenia szkolnego projektu a tolerowaniem się przez wzgląd

na wspólnych znajomych. Wkrótce będziemy musiały usiąść i porządnie to przegadać, ale teraz dzielący nas mur przynajmniej przepuszcza kilka promyków słońca.

Podczas gdy moje stosunki z Rachel ocieplają się w żółwym tempie, jej przyjaźń z Mallory rozkwita. Polubiły się, gdy tylko odkryły, że obie mają hopla na punkcie kreatywnych pamiętników. Już wcześniej zauważyłam, że na plastyce Rachel zawsze pochyła się nad zeszytem, ale nie miałam pojęcia, że zapętnia kolejne strony wierszami. Po naszych przejściach w Willow Creek Rachel poszła z kwiatami do Fisherów i zastała Mallory na środku jej pokoju w otoczeniu szkicowników. Od tamtej pory wymieniają się pamiętnikami, żeby komentować swoje prace.

To Mallory zachęciła Rachel, żeby pokazała mi swoją poezję – wiedziała, że ja i Morgan mamy poczucie, że naszym „Sennym pejzażom” brakuje czegoś istotnego. Rachel pojawiła się któregoś dnia w moich drzwiach z notesem w dłoni, a ja już po przeczytaniu trzech stron wiedziałam, jak połączyć jej wiersze z naszym projektem na plastykę. Rachel nie tylko się zgodziła, ale i wynegocjowała przyzwoitą zniżkę w drukarni.

– Połóż je tutaj – mówię, robiąc miejsce na wolnym stoliku. Mallory wymyka się, żeby dołączyć do Sadie i Alice pod oknem. – Nie mogę się doczekać, żeby je zobaczyć.

Rachel bierze obie koperty i ostrożnie układa je na blacie stołu. Odsuwa się, żeby zostawić mnie samą. Dotykam lekko jej ramienia.

– Dzięki, Rachel – mówię. – Za twoją poezję i wydruki. Uratowałaś nam tyłki.

– Wieść niesie, że sama potrafisz o siebie zadbać. – Uśmiecha się z rezerwą. – Ale miło, że to mówisz.

– Projekt gotowy? – pyta Christopher, podchodząc do nas. – Dzięki Bogu. Może teraz zajmiecie się w weekendy czymś bardziej

rozrywkowym, na przykład wybierzecie się do skateparku albo na Comic Con, albo...

– Na giełdę komputerową – kończymy równocześnie z Rachel. Wybucham śmiechem, a Rachel przewraca oczami.

– Spoko. Za ten tekst nie podzielę się z wami moimi miniburgerami.

– Zachowaj swoje hipsterskie przysmaki dla siebie – odpowiada Rachel, idąc za nim do lady. – Ja zamawiam pizzę.

Łowię spojrzenie Morgana i kiwam na niego, chcąc dokonać pierwszych oględzin razem z nimi.

– Uwierzysz, że to nasze prace? – pyta, nachylając się nad moim ramieniem, żeby im się lepiej przyjrzeć. Wielkoformatowe wydruki robią spektakularne wrażenie: kolory są głębokie i nasycone, wykończenie tak błyszczące, że niemal płynne. – Jak nam się to w ogóle udało, skoro ostatnio tyle się działo?

Stworzyliśmy cztery kolaże składające się ze zdjęć opustoszałego lunaparku, na które nałożyliśmy ulotne szkice Morgana oraz gorączkowe zapiski z pamiętnika Rachel. Powstałe obrazy są tajemnicze i niepokojące, a zarazem rozpaczliwie smutne. Według mnie oddają nasz stan ducha, gdy jesteśmy najbardziej bezbronni, w tych chwilach tuż przed zaśnięciem, kiedy leżymy wyciągnięci w ciszy i tylko mroczne myśli dotrzymują nam towarzystwa.

Lęk. Dojmująca samotność. Obawa przed byciem niezrozumianym.

Uświadomiłam sobie, że te myśli dotyczą nas wszystkich. Wszyscy mamy fundamentalną potrzebę bycia wysłuchanym, chcemy wiedzieć, że coś znaczymy. To łączy nas ze sobą i przypomina nam, że tak naprawdę nigdy nie jesteśmy zupełnie sami.

– To co robimy? – pytam, wsuwając odbitki z powrotem do

kopert. – Sprawdzimy tę nową knajpę z karaoke? A może kino?

– Nieee – odpowiada Morgan, wskazując za okno, gdzie rozpadało się na dobre. – Może lepiej zostańmy tutaj.

Zerkam na naszych roześmianych przyjaciół, którzy przekomarzają się i przerzucają historyjkami, i uświadamiam sobie, że chcę zostać właśnie tutaj. Z nowymi fotografiami pod pachą i całym wolnym wieczorem przed sobą wsuwam dłoń w dłoń Morgana, czując, jak niewielka przestrzeń wokół mnie otwiera się na nowe możliwości.

PODZIĘKOWANIA

Po pierwsze jestem ogromnie wdzięczna wydawnictwu Walker Books za wyłuskanie mojej książki ze sterty nadesłanych maszynopisów i wiarę we mnie. Dziękuję zwłaszcza mojej redaktor, Nicoli Santilli, i mojej wydawczyni, Linsay Knight. Obie zrozumiały, co chciałam przekazać przez tę historię, i miałam ogromne szczęście, że towarzyszyły mi podczas tego debiutu. Dziękuję wszystkim w Walker Books za entuzjazm, z jakim przyjęli moją powieść z dreszczykiem, oraz Amy Daoud za okładkę i projekt graficzny książki.

Z całego serca dziękuję Fleur Ferris za jej nieustającą serdeczność i wsparcie oraz mnóstwo fantastycznych rekomendacji na okładkę – gdybym mogła, wykorzystałabym je wszystkie! A także Ellie Marney i Rachael Craw, których słowa również trafiły na okładkę mojej książki.

Dziękuję moim niezwykłym recenzentkom, Erice David, Janelle Weiner, Ingrid Alexandrze i Rebekah Beddoe, które służyły mi radą i wsparciem w trakcie całego procesu wydawniczego, a także, nie szczędząc współczucia, omawiały ze mną kolejne wersje, poprawki i odrzucone fragmenty – dziękuję za waszą mądrość, wsparcie i przyjaźń. Nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak bardzo mi pomogliście.

Mam też dług wdzięczności wobec Emily Mead i Emily Marquart za recenzje poszczególnych rozdziałów, listów do wydawnictw i maszynopisów – dzięki ich przyjaźni ta długa droga

była znacznie przyjemniejsza. Serdecznie pozdrawiam Abigail Henderson, Georginę Kinkade i moją siostrę Vicky Watson – byłyście moimi pierwszymi czytelniczkami i dzięki wam zaczęłam myśleć o sobie jak o „prawdziwej pisarce”.

Dziękuję wszystkim osobom, z którymi dyskutowałam o literaturze dla dzieci na Twitterze i grupie facebookowej Duck Pond prowadzonej przez Jen Storer; dzięki nim tak samotne czasem zajęcie jak pisanie powieści sprawia o wiele większą frajdę. A także czytelnikom, recenzentom, księgarzom, blogerom książkowym i bookstagramerom, którzy z niesłabnącym entuzjazmem pielęgnują swoje czytelnicze pasje – jesteście absolutnie cudowni i bardzo cenię to, co robicie.

Dziękuję moim rodzicom, Pat i Royowi Boltonom, oraz teściom, Pat i Robowi Epsteinom – zawsze wiernie mi kibicowaliście.

I wreszcie, co najważniejsze, dziękuję Anthony’emu Epsteinowi, najbardziej cierpliwemu współnikowi, jakiego mogłabym sobie życzyć, i naszym synom, Hugonowi i Harveyowi, z których jestem dumna każdego dnia. Bez waszej miłości i wsparcia nigdy nie zaszłabym tak daleko. Spójrzcie, dzieciaki – książka mamy wreszcie trafiła na półkę!



SARAH EPSTEIN spędziła dzieciństwo, rysując, marząc i tworząc swoje książki na kuchennym stole. Pisarka, ilustratorka i projektantka dorastała na przedmieściach Sydney, a obecnie mieszka w Melbourne z mężem i dwoma synami. Uwielbia literaturę dla młodzieży, zwłaszcza thrillery. Fobia to jej pierwsza powieść.

Przypisy

- 1) Crime Stoppers – program policyjny umożliwiający anonimowe przekazanie informacji o przestępstwie (przyp. tłum.). ↵
- 2) Timber! – dosłownie „drewno”, tu: ostrzegawczy okrzyk drwali w chwili ścinania drzewa (przyp. tłum.). ↵
- 3 Koru – maoryski symbol wzrostu (przyp. tłum.). ↵
- 4) RMIT – Royal Melbourne Institute of Technology, australijska wyższa uczelnia. ↵